



PAUL CARSON  
**ZIMNA**  
**STAL**

Córka wybitnego chirurga zostaje brutalnie zamordowana  
w dublińskim parku.

»Książnica«

# Spis treści

- [Karta tytułowa](#)
- [Prolog](#)
  - [1](#)
- [2](#)
  - [3](#)
- [4](#)
  - [5](#)
- [6](#)
  - [7](#)
- [8](#)
  - [9](#)
- [10](#)
  - [11](#)
- [12](#)
  - [13](#)
- [14](#)
  - [15](#)
- [16](#)
  - [17](#)
- [18](#)
  - [19](#)
- [20](#)
  - [21](#)
- [22](#)

- [23](#)
- [24](#)
- [25](#)
- [26](#)
- [27](#)
- [28](#)
- [29](#)
- [30](#)
- [31](#)
- [32](#)
- [33](#)
- [34](#)
- [35](#)
- [36](#)
- [37](#)
- [38](#)
- [39](#)
- [40](#)
- [41](#)
- [42](#)
- [EPILOG](#)

**PAUL CARSON**

**ZIMNA STAL**

(Cold Steel)



**Przekład: Robert J. Szmidt**

**Książnica**

**2011**

# Prolog

Wtorek, 12 maja, godzina 8.15  
Szpital Mercy w Dublinie

Doktor Frank Clancy, lekarz specjalizujący się w chorobach krwi, przycisnął słuchawkę telefonu ramieniem do ucha, aby podczas rozmowy wypełniać leżącą przed nim kartotekę pacjenta.

- Witam, mówi Clancy.

W odpowiedzi usłyszał kobiecy głos.

- Doktorze Clancy, dzwonię do pana z laboratorium. Trafiliśmy na bardzo nietypową próbkę krwi i chcielibyśmy, aby rzucił pan na nią okiem.

Frank przewrócił stronę kartoteki i zaczął wypełniać kolejną rubrykę, jednocześnie zerkając na zegarek.

- Co w niej takiego nietypowego?

- Nie ma ani jednej białej krwinki. Zrobiliśmy pełną analizę, ale nie znaleźliśmy ani jednego leukocytu.

Clancy przestał pisać.

- Zrobiliście pełną analizę? - upewnił się.

- Tak.

- I nie znaleźliście białych krwinek?

- Zgadza się.

- Ani jednej? - zapytał zaskoczony, z niedowierzaniem.

- Ani jednej.

Frank odsunął kartotekę na środek biurka i wyprostował powoli plecy, mocno zaniepokojony tym, co właśnie usłyszał. Przełożył słuchawkę do prawej dłoni, nie zwalniając nawet na moment toku myśli. Brak leukocytów oznaczał wielkie niebezpieczeństwo, w końcu to właśnie one były najpotężniejszymi obrońcami organizmu przed infekcją. Bez nich żaden pacjent nie miał szans na przeżycie. Przeczesał wolną dłonią włosy, potem raz jeszcze spojrzął na zegarek. Był już spóźniony, jak zwykle zresztą.

- Zaraz do was zejdę. Proszę przygotować kartę choroby i pozostałe wyniki analiz.

- Już się robi - odparła dziewczyna.

- I jeszcze jedno - dodał - proszę zostawić mi dane osobowe pacjenta i numer oddziału. Chciałbym go zbadać osobiście. - Jego głos sugerował potrzebę pośpiechu.

- Dostarczę wszystko najdalej za piętnaście minut.

- Ona z kolei wydawała się spokojna i kompetentna.

Clancy zmusił się do uśmiechu, gdy wstawał.

- Świetnie, zaraz u was będę.

- Dziękuję, doktorze Clancy.

Frank założył służbowy biały fartuch i opuścił gabinet, wpadając w sam środek zgiełku panującego na jego oddziale. Minął grupę studentów przyglądających się podświetlonym zdjęciom rentgenowskim i dotarł do zespołu lekarzy czekających pomiędzy łózkami.

- Witam i przepraszam za spóźnienie - powiedział, unikając

potępiającego wzroku siostry oddziałowej. - Od czego zaczniemy? Kto przedstawi mi diagnozę tego pacjenta? - Wybrał kartotekę i przebiegał palcami po wytartych i pomiętych stronach, dopóki nie trafił na ostatni wpis, potem skinął głową w kierunku swojego zastępcy. - Możesz zaczynać.

Clancy nie słuchał dalszego monologu, myślami był już gdzie indziej. Ten telefon mocno go zaniepokoił. Kolejny pacjent cierpiał na zanik białych krwinek. To już drugi albo trzeci przypadek w ciągu ostatnich miesięcy. O co tu może chodzić?

## CORAZ WIĘCEJ ZNAKÓW ZAPYTANIA WOKÓŁ ZNIKNIĘCIA CÓRKI AMERYKAŃSKIEGO CHIRURGA

Policja wyraża coraz większe zaniepokojenie zaginięciem uczennicy nazwiskiem Jennifer Marks. Osiemnastolatka wyszła wczoraj ze szkoły, ale nie dotarła do domu. Jej poszukiwania rozpoczęto wczesnym wieczorem. Pomimo podjęcia zakrojonej na szeroką skalę akcji nie udało się ustalić, w jakim kierunku udała się zaginiona. Przeszukiwanie okolic kontynuowano aż do zapadnięcia zmroku i podjęto je ponownie o świcie. Policja od wczesnego ranka przepytuje mieszkańców kolejnych domów.

Jennifer Marks jest jedyną córką Dana Marksa, znanego amerykańskiego kardiochirurga, który przewodniczy niedawno utworzonej w naszym mieście Fundacji Serca. Niestety był on dla nas dzisiaj nieosiągalny.

# 1

Wtorek, 12 maja,  
„Dublin Evening Post”  
(wydanie poranne)

Wtorek, 12 maja, godzina 8.55

Klik.

Salę wykładową wypełniły szmery.

- Nie miałem zamiaru przyprawiać was z rana o mdłości.

- Declan Kelleher, chirurg urazowy szpitala Mercy w Dublinie, stał na katedrze, przyglądając się uważnie studentom medycyny z trzeciego roku. Wszyscy bez wyjątku mieli przerażenie w oczach. Kilku od razu odwróciło wzrok od slajdu wyświetlonego za jego plecami. - Niestety, urazówka to niemal wyłącznie najczarniejsze strony medycyny, czyli sama krew i flaki... - Zamilkł, potem obrócił się profilem do prezentacji. Wskaźnik laserowy, który trzymał w prawej dłoni, rzucał niewielki czerwony punkcik na wyświetlany obraz. - Spróbujmy zatem odgadnąć, na co teraz patrzymy. - Czerwona kropka zatrzymała się w zgięciu kończyny. - Oto staw kolanowy - wyjaśnił, a potem przesunął powoli wskaźnik na dalszą część ekranu. - A tu mamy to, co zostało z kości piszczelowej, strzałkowej i stawu skokowego.

Ze środkowych rzędów dobiegły szmery. Siedzący na końcu sali



starszy mężczyzna poruszył się niespokojnie na krześle i podparł ręką. Nie patrzył w stronę katedry, oczy miał zamknięte, powieki mocno zaciśnięte. Za to wsłuchiwał się w każde słowo. Kelleher odwrócił się ponownie twarzą w stronę audytorium i nacisnął klawisz umieszczony na blacie.

Klik.

- Zanim przejdziemy do dalszej części wykładu, proponuję, byśmy przypomnieli sobie, jak wygląda normalna kończyna widziana na zdjęciu rentgenowskim. - Gdy srebrno-szary obraz znalazł się przed obiektywem rzutnika, wykładowca skierował wskaźnik na ekran. - Oto kość udowa, gruba i masywna, łącząca staw biodrowy z kolanowym. A oto wspomniane przed chwilą kolano, a pod nim piszczel, kość strzałkowa oraz staw skokowy, kości śródstopia oraz te niewielkie paliczki, w których na pewno rozpoznaliście palce stopy.

Odwrócił się w stronę audytorium. Większość studentów spoglądała na ekran, nieliczni na niego. Zwalista sylwetka wykładowcy i jego wiecznie nieuczesane włosy zasłaniały widok siedzącym najniżej, ci wyciągali szyje, by móc dostrzec znajdującą się za nim część ekranu.

- Wróćmy teraz do pierwszego slajdu i spróbujmy się zorientować, jak wielkie obrażenia odniósł nasz pacjent.

Klik.

Kolorowe przezrocze zajęło miejsce zdjęcia rentgenowskiego i wszyscy zebrani spojrzeli na ekran, aby przypatrzeć się dokładniej ranom. Tym razem nikt nie odwrócił głowy, słuchacze zdołali zapanować nad obrzydzeniem. Trafiając na staż, studenci musieli się nauczyć, jak panować nie tylko nad nerwami, ale i własnymi

żołądkami. Oczy człowieka siedzącego w ostatnim rzędzie otworzyły się i równie szybko zamknęły. Ich właściciel w ułamku sekundy dostrzegł wyświetlany obraz i zadrżał na jego widok, mimo iż we wnętrzu sali wykładowej było duszno i gorąco. Widok był naprawdę przytłaczający. Na ekranie okolonym zielonymi kurtynami widać było nogę. Slajd obejmował kawałek uda, kolano i pozostałe kości, włącznie ze stopą. Staw kolanowy był zgięty mniej więcej pod kątem trzydziestu stopni. Nieco niżej skóra urywała się raptownie, odsłaniając zakrwawioną masę tkanek i mięśni, spomiędzy których wyłaniały się lśniące białą, świeżo odsłonięte kości podudzia. Obie były pogruchotane, ich ostre końce sterczały z ran, przypominając wielkie wykałaczki.

- Mówiąc szczerze - przyznał Kelleher - nie jestem do końca pewien, co tutaj widzę. - Czerwony znaczek spoczął na białym ułamku. - To może być fragment, piszczeli.

- Wykładowca przesunął wskaźnik na czerwonawą masę.

- A to mięsień brzuchaty łydki albo część płaszczkowatego. Niestety nie jestem tego pewien.

Klik.

Kolejny srebrno-szary obraz pojawił się na ekranie. Na jego widok ktoś w środkowych rzędach jęknął głośno.

- Wygląda okropnie, nieprawdaż? - przyznał Kelleher, przypatrując się slajdowi. Czerwona kropka pojechała w górę i zatrzymała się na jasnym masywnym kształcie. - To kość udowa. - Znacznik ruszył w dół, powoli zbliżając się do granicy totalnego chaosu. - Tutaj mamy normalnie wyglądające kolano, potem jedną trzecią nienaruszonej

kości piszczelowej i strzałkowej, a poniżej masę zmiażdżonych i przemieszczonych tkanek.

Przeniósł wzrok na audytorium i raz jeszcze przyjrzał się twarzom studentów. Większość wciąż patrzyła na wyświetlany slajd, ale paru pochylało się już nad zeszytami, robiąc notatki. Tylko jeden czy dwóch spoglądało w jego stronę. Mężczyzna w ostatnim rzędzie siedział ze spuszczoną głową.

- Jak już wspomniałem, nie miałem zamiaru przyprawiać was o mdłości, niemniej powinniście oswajać się z myślą, że w wasze ręce trafią ofiary wypadków, którymi będziecie musieli się zajmować bez względu na stopień odniesionych przez nie obrażeń. - Nikt się nie odezwał, umilkły też odgłosy pisania, wszyscy spoglądali teraz w jego stronę. - Sądzę jednak, że chcielibyście zobaczyć, jak poradził sobie pacjent, którego poharataną nogę oglądaliście przed chwilą.

Kelleher nacisnął kolejny klawisz na pulpicie i zapalił górne oświetlenie sali. Studenci przecierali oczy, by przyzwyczaić je do nagłej zmiany, pochylali się też do siebie, aby wymienić uwagi. Długopisy znów zaszeleściły po papierze, gdy wrócili do robienia notatek. Siedzący w ostatnim rzędzie mężczyzna poprawił się jeszcze raz na fotelu. Pomagając sobie lewą stopą, cofnął nieco drugą nogę. Pomasował ją, krzywiąc się przy tym z bólu.

Kelleher uniósł palec.

- Chciałbym wam przedstawić właściciela owej połamanej kończyny. Proszę do mnie, panie komisarzu.

Wszyscy studenci odwrócili głowy. W odpowiedzi z góry popłynął głos o charakterystycznym wyniosłym akcencie z Donegal.

- Oczywiście, jeśli tylko da mi pan chwilkę.

- Chciałbym wam przedstawić komisarza Jima Clarke'a. - powiedział Kelleher.

Wskazany mężczyzna wstawał właśnie z rozklekotanego fotela. Zanim wysunął ostrożnie prawą nogę na przejście, oparł się na pojedynczej kuli. Jej podstawa uderzyła w podłogę z głuchym stuknięciem. Przeniósł ciężar ciała na lewą nogę i wstał, pomagając sobie ręką. Wsunął kulę pod ramię i stał przez moment nieruchomo, zanim ruszył w dół audytorium. Każdy jego krok był boleśnie powolny. Studenci nie potrafili oderwać wzroku od lekko zgarbionej sylwetki komisarza. Był szczupły, nawet chudy, miał sześć stóp i jeden cal wzrostu. Nosił zwykły mundur policyjny. Siedzący przy przejściu mogli dostrzec na jego twarzy grymas bólu przy każdym stawianym kroku. Kilka stopni przed katedrą Clarke zatrzymał się, by obetrzeć chusteczką pot z czoła. Potem przecesał palcami niesforne włosy, a raczej to, co po nich zostało po pięćdziesięciu dwóch latach życia, próbując pokazać się młodzieży z lepszej strony.

- Przepraszam. Chodzenie po schodach nie idzie mi zbyt dobrze.

- Proszę się nie spieszyć - uspokoił go Kelleher, przysuwając jednocześnie krzesło bliżej katedry. Odpiął mikrofon od klapy marynarki i trzymał go w dłoni, dopóki Clarke nie usiadł ponownie. Dopiero wtedy podał go komisarzowi.

- Nasz gość - wyjaśnił studentom - jest emerytowanym członkiem jednostki specjalnej do zwalczania przestępczości zorganizowanej.

Policjant spojrzał na siedzących przed nim studentów i uśmiechnął się krzywo. Wyglądał na zakłopotanego - jak człowiek, który nie do

końca zrozumiał, co powinien zrobić podczas uroczystości wręczenia mu ważnego odznaczenia.

- Dwa lata temu, dokładnie dwudziestego piątego lipca, przyjęto go do tego szpitala z obrażeniami, które przed chwilą widzieliście. Miałem wtedy dyżur i natychmiast się nim zająłem. - Kelleher odwrócił się bokiem do gościa. - Zaprosiłem go tutaj, aby opowiedział, jak doszło do tego zranienia.

- Clarke zareagował na to stwierdzenie lekkim skinieniem głowy. - Jest z nami także doktor Patrick Dillon.

Wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna wstał z ostatniego miejsca w pierwszym rzędzie i stanął twarzą w kierunku audytorium. Nosił nienagannie wyprasowane flanelowe spodnie i granatowy blezer z białą chusteczką wystającą z kieszeni na piersi. Wyjął okulary z kieszeni i założył je, by osłonić oczy przed jasnymi światłami sali wykładowej. Włosy miał ciemne, zaczesane do tyłu w kaczki kuper.

- Doktor Dillon - wyjaśnił Kelleher - jest psychiatrą sądowym, czyli kimś, kto ma do czynienia z szalonymi przestępcami. Jego specjalnością jest zabezpieczanie placówek psychiatrycznych, takich, w których personel uczony jest samoobrony, a jednym z podstawowych narzędzi pracy na oddziale bywa gaz paraliżujący. Doktor Dillon praktykował również w Broadmoor, największym brytyjskim szpitalu tej specjalności. Niedawno otrzymał stanowisko szefa departamentu psychiatrii sądowej w szpitalu Rockdale w hrabstwie Meath, gdzie do jego obowiązków należy między innymi współpraca z policją przy najcięższych przestępstwach. - Kelleher wyczytywał te informacje z odwrotu koperty, którą trzymał w ręku. -

W ramach naszej porannej sesji chciałbym wam zaproponować - ciągnął - przyjrzenie się urazówce z innego niż czysto medyczny punktu widzenia. Powiedzmy, taki rzut oka za kulisy... - Urwał na moment. - Nawet na zwykłych oddziałach urazowych zetkniecie się ze skutkami popełnianych przestępstw. Z gwałtami, pchnięciami nożem, strzelaninami, pobiciami. Z poważnymi, celowo zadanymi ranami. Nie raz zadacie sobie przy tym pytanie: „Kto mógł zrobić coś podobnego?”. Dlatego dzisiaj dowiedcie się, jak dochodzi do podobnych zdarzeń, poznacie też tło jednego z nich. - Kelleher skinął głową w stronę Dillona i usiadł w pierwszym rzędzie, aby go wysłuchać.

Przedstawiony lekarz stanął na katedrze i spojrzał uważnie na zebranych studentów.

- Psychiatria - zaczął - to nic innego jak obserwacja i leczenie zaburzeń umysłu - mówił spokojnym, ale i dystyngowanym głosem, z lekkim angielskim akcentem. - Większość moich kolegów po fachu spędza całe życie zawodowe, borykając się wyłącznie z depresjami, stanami lękowymi albo schizofrenią. Ale my, w psychiatrii sądowej, mamy do czynienia z szalonymi zbrodniarzami. Co więcej stykamy się z umysłowo chorymi przestępcami, których mimo dokonanych okrucieństw, czasami nawet morderstw, nie można postawić przed zwykłym sądem. - Słuchacze chłonęli każde jego słowo, skupił na sobie całą ich uwagę. - Moja praca dotyczy chorób psychicznych i zbrodni, dwóch najbardziej intrygujących obszarów ludzkich zachowań. - Mówił teraz wolniej, ale bardziej stanowczo. - Zaglądam w umysły zabójców. - Słowa te zmroziły studentów, nawet Jim Clarke

poruszył się niespokojnie. - Od czasu do czasu - ciągnął Dillon - jestem proszony o sporządzenie profilu psychologicznego czy też, jeśli wolicie, charakterystyki osób, które mogły popełnić konkretne przestępstwa. - Schował okulary do bocznej kieszeni.

- Po wysłuchaniu opowieści pana komisarza - zakończył przemowę - postaram się wyjaśnić stan umysłu przestępcy zamieszanego w tę sprawę. - Zszedł z podium i stanął z boku.

Clarke poruszył się na krześle, poprawiając podbiciem lewej stopy ułożenie uszkodzonej nogi. Pochylił się i oparł kulę o boczną ściankę katedry, potem otarł czoło z potu i znieruchomiał na moment, aby zebrać myśli. I opanować emocje. Tyle razy opowiadał już o tych wydarzeniach, że mógłby je bezbłędnie opisać nawet wyrwany ze snu. Ale za każdym razem sprawiało mu to ten sam problem; ból wciąż był realny, podobnie jak przerażenie.

- Pełniłem służbę w Blackrock, jednej z południowych dzielnic Dublina - zaczął, jego głos był ledwie słyszalny mimo podpięcia mikrofonu. Studenci zajmujący krzesła w ostatnich rzędach pochylali się, aby móc go usłyszeć. - Siedziałem w nieoznakowanym samochodzie. Razem z partnerem. Od miesięcy śledziliśmy jednego z dublińskich baronów narkotykowych, sprawdzając trasy i częstotliwość dostaw, aby stworzyć pełną mapę jego siatki dystrybucyjnej...

Komisarz przerwał i spojrzał w stronę szklanki z wodą stojącej na blacie katedry, zauważając przy okazji, że na twarzach siedzących w pierwszym rzędzie studentów pojawiły się współczujące uśmiechy. Naczynie szybko trafiło w jego ręce.

- Zaparkowaliśmy naprzeciw nadbrzeżnego pubu - ciągnął Clarke. - Czarny ford transit przejechał obok nas bardzo powoli i zatrzymał się z dala od innych pojazdów przy samym rogu ulicy. Tak bardzo nie pasował do tego otoczenia, że od razu nasunęła mi się myśl, iż kierowca nieprzypadkowo wybrał właśnie to miejsce. Skontaktowaliśmy się z centralą i ustaliliśmy, że numery rejestracyjne transita są fałszywe. Prowadzący go mężczyzna wysiadł, nie zamykając za sobą drzwi, i skierował się do pubu. Mój kolega odczekał trzy minuty i ruszył jego śladem. Ja zostałem w samochodzie, kontynuując obserwację. Zauważyłem parę nastolatków popijającą piwo z puszek w niewielkim oddaleniu, ale nie poświęcałem jej zbytnej uwagi. Sporo się śmiali, jakby przebywanie we własnym towarzystwie sprawiało im wielką przyjemność.

Na krótką chwilę Clarke znów znalazł się na fotelu za kierownicą, rozważając, czy czekać dalej spokojnie, czy wyjść i sprawdzić transita. Słyszał szum dobiegający z włączonego radia, czuł zapach morza, do jego uszu dobiegał huk fal rozbijających się o betonowy mur po drugiej stronie ulicy, niespełna dwadzieścia jardów od miejsca, w którym zaparkował.

- Powinienem był zaczekać. To mój jedyny błąd, powinienem był zaczekać.

Transit okazał się czysty, na pace miał tylko puste pudła ułożone równo przy burcie, za siedzeniem kierowcy. Dziesięć minut zajęło mu otworzenie i sprawdzenie wszystkich. Gdy wracał do nieoznakowanego samochodu, zauważył, że roześmiana parka zniknęła.



- Nie pamiętam dokładnie, co wydarzyło się potem. Wiem tylko, że gdy przekręciłem kluczyk w stacyjce, usłyszałem potworny huk, chociaż tak do końca nie jestem pewien, czy nie był on efektem uszkodzenia bębneków, a potem poczułem ogromny ból w nogach... - Urwał i podniósł wzrok. Na audytorium panowała kompletna cisza, studenci zamarli, nawet długopisy w ich rękach znieruchomiały. - Ocknąłem się dopiero, gdy wyciągano mnie z samochodu, ktoś strasznie krzyczał, moment później do jego wrzasków dołączyło zawodzenie syreny ambulansu. Zobaczyłem przed sobą twarz w masce i usłyszałem głos, który powtarzał, bym głęboko oddychał.

- Otarł raz jeszcze czoło chusteczką i upił łyk wody ze szklanki.

Kelleher, patrząc na studentów, zauważył wielkie skupienie, z jakim słuchali tej opowieści. Podkreślił nieco potencjometr mikrofonu.

- Pod moim siedzeniem umieszczono funt materiałów wybuchowych i podłączono ten ładunek do stacyjki. - Clarke raz jeszcze napił się wody, tym razem bardziej łapczywie, jakby próbował zalać nią wydobywające się z krtani słowa. Powoli odstawił szklankę na podłogę, zrobił to tylko dlatego, żeby studenci nie widzieli, jak bardzo trzęsą mu się dłonie.

Nie zdołał jednak ukryć emocji i dlatego Kelleher zdecydował się przerwać jego wystąpienie.

- Stan komisarza Clarke'a był bardzo poważny, gdy przywieziono go do nas. Utracił wiele krwi, miał bardzo niskie ciśnienie, omdlewał co chwilę. Prawa noga wyglądała strasznie, ale lewą miał niemal nietkniętą, aczkolwiek doznał w niej pęknięcia kości piszczelowej. Uznaliśmy więc za priorytet ustabilizowanie jego stanu i podniesienie

ciśnienia krwi. Następnie przeniesiono go na salę operacyjną, aby amputować prawą nogę, sądziliśmy bowiem, że jest nie do uratowania.

Kelleher przygasił światła sali wykładowej i zaczął wyświetlać kolejne slajdy, wyjaśniając jednocześnie, w jaki sposób chirurgom udało się rekonstrukcja prawej kończyny komisarza. Na jednym z przezroczy widać było druty i śruby. Używał ich zespół ortopedów, gdy po licznych konsultacjach cofnięto w końcu decyzję o amputacji. Składali oni kości, odłamek po odłamku, przez całą noc. W połowie operacji dołączył też do nich chirurg naczyniowy.

- Na szczęście unerwienie kończyny zachowało się w niemal nienaruszonym stanie - ciągnął Kelleher, rzucając kolejnymi terminami medycznymi, które siedzący obok katedry mężczyzna starał się z całych sił ignorować, jakby ta część wykładu nie dotyczyła już jego osoby.

- Czy dowiedzieliście się, kto dokonał tego zamachu? - zapytała rudowłosa dziewczyna siedząca w drugim rzędzie.

Clarke opuścił lekko głowę i zaczął masować prawą nogę. Spojrzał z ukosa na ciekawą studentkę, jej twarz, pomimo panującego półmroku, była wyraźna w świetle projektora.

- Tak. Człowiek ten nazywał się Christy O'Hara. Był znanym podówczas płatnym zabójcą. Zdołał ukryć się przed nami, ale zginął podczas porachunków między gangami.

- Nikt inny nie był w to zamieszany? - dopytywała ta sama dziewczyna.

- Trzy miesiące później, gdy wciąż jeszcze leżałem na tamtym

oddziale - komisarz uniósł palec wskazujący w stronę sufitu - nasza ekipa dochodzeniowa sporządziła listę potencjalnych podejrzanych, ludzi, którzy odnieśliby największe korzyści w przypadku mojej śmierci. Jej pobieżne przejrzanie zajmowało mniej więcej cztery godziny. - Ktoś z tylnych rzędów gwizdnął z podziwem, tu i ówdzie rozległy się nerwowe chichoty. Clarke zignorował je całkowicie. - Zawężiliśmy krąg poszukiwań do siedmiu osób. W końcu jeden z naszych informatorów podał nam nazwisko. Okazało się, że zleceniodawcą był Jude Kennedy, baron narkotykowy, któremu deptaliśmy po piętach.

Tym razem nikt się nie odezwał, nad audytorium zaległa kompletna cisza. Laserowy wskaźnik trzymany przez Declana Kellehera błędził bez celu po bocznej ścianie sali. Clarke odchrząknął i sięgnął po szklankę stojącą obok jego stóp. Odgłos przełykania wody wzmocniony przez mikrofon dotarł do ostatnich rzędów. Komisarz odstawił szklankę i spojrzał na studentów.

- On także zginął, zastrzelony podczas dyskusji o podziale stref wpływów.

- I dobrze - mruknął któryś ze słuchaczy, na co Clarke zareagował bladym uśmiechem.

Declan Kelleher wstał i gestem dłoni zaprosił psychiatrę sądowego do powrotu na katedrę.

- Może pan, doktorze Dillon, zdoła nam wyjaśnić, co popycha ludzi do popełniania zabójstw z zimną krwią? Jak działa umysł płatnego zabójcy? Jak tłumaczy to psychiatria? W jaki sposób może pan pomóc policji podczas dochodzeń, powiedzmy, gdy chodzi o morderstwo?

Dillon słuchał tych pytań ze ściągniętymi ustami i brwiami. Milczał przez niemal trzy minuty, potem ustawił sobie mikrofon.

- Bezwzględni zabójcy są w wielu przypadkach klasycznymi socjopatami. Zabijają dla pieniędzy, z zimną krwią i bez wyrzutów sumienia. Ale ci, którzy zlecają im takie zadania i płacą za nie po wykonaniu, są równie źli. Zapewniam was, że ich także nie dręczą wyrzuty sumienia. Moja rola podczas dochodzenia polega na ustaleniu, z jakiego rodzaju przestępstwem mamy do czynienia. Czy jest to atak strzelającego na ślepo szaleńca, czy profesjonalna egzekucja, czyli jednak kula wpakowana w tył głowy. Rodzaj ataku odzwierciedla stan umysłu napastnika. Kiedy doradzam policji, stwarzam charakterystyki każdego elementu zaistniałego zdarzenia: samego przestępstwa, użytej broni, miejsca zbrodni et cetera.

Ciszę, która zapadła po tych słowach, przerwał odgłos otwierania drzwi po drugiej stronie sali. Wszyscy jak jeden mąż odwrócili głowy, by spojrzeć na wysoką postać wypełniającą przestrzeń pomiędzy framugami. Przybysz odkaslnął, jakby chciał powiadomić wszystkich o swojej obecności.

W ciemności poruszyła się czyjaś ręka. To Clarke sięgnął po kulę i uniósł ją wysoko, by pokazać, gdzie siedzi. Moss Kavanaugh, etatowy ochroniarz komisarza pełniący też czasowo rolę jego kierowcy, zszedł po schodach. Liczący sześć stóp i trzy cale dryblas o kruczoczarnych włosach i twarzy zawodnika rugby przełożył komórkę do drugiej dłoni, zanim pochylił się, aby wyszeptać:

- Musimy już iść, szefie. Znaleziono córkę tego Marksa.

Clarke przyjrzał się uważnie jego twarzy.

- Gdzie?

- Porzucono ją w parku, w którejś ze wschodnich dzielnic miasta. - Teraz mikrofon wychwytywał nawet szept, więc komisarz natychmiast nakrył go prawą dłonią.

- Żywą czy martwą?

- Martwą.

- Jezu... - Tyle tylko Clarke zdołał wymamrotać, gdy wstawał z krzesła. Skinął głową Dillonowi na znak, że może już kontynuować.

Ciało odnaleziono o godzinie siódmej czterdzieści sześć tego ranka.

Jogger trafił na siną, sztywną białą nogę wystającą z pobliskich zarośli. Potknął się o nią tak mocno, że aż mu wypadły słuchawki z uszu. Musiał przystanąć, aby je poprawić. Odwrócił się, trzymając je w dłoniach, i zamarł na niemal dwie minuty, nie mogąc uwierzyć własnym oczom. To, co ujrzał, wydało mu się nierzeczywiste. Dopiero po dłuższej chwili podszedł bliżej, dwukrotnie oglądając się przez ramię, by sprawdzić, czy ktoś go nie obserwuje. Nie zauważył jednak nikogo. Park był pusty o tak wczesnej porze dnia, jeśli nie liczyć kilku srok buszujących w zroszonej trawie. Jedynymi dźwiękami, jakie docierały do uszu joggera, były ochryple skrzeczenia tych ptaków, wydawane w momencie, gdy któryś z nich stawał na drodze drugiego. Podchodząc na tyle blisko, na ile pozwalała mu odwaga, dostrzegł dwie wyglądające jak odlane z wosku, bardzo blade nogi. Jedna była zgięta w kolanie, druga niemal całkowicie wyprostowana. Za nimi znajdowała się reszta ciała leżącego twarzą ku ziemi, częściowo przykrytego listowiem i gałązkami, pośród których pająki zdążyły rozpiąć poznaczone kroplami rosy sieci. Gdy odchylił jeden z

konarów, wschodzące słońce tańczyło w tych drobinkach wody przez krótką chwilę, zanim delikatne nici poddały się i pękły. Nogi należą do kobiety, uznał bez namysłu jogger, zanim jeszcze ujrzał zadartą powyżej pasa spódniczkę. Sekundę później uświadomił sobie, że ma przed sobą ciało martwej osoby, nie tracił więc czasu na próby sprowadzenia pomocy.

Spojrzał na zegarek i pobiegł dalej.

Pierwszy wóz policyjny pojawił się na miejscu dwadzieścia trzy minuty po godzinie ósmej, co zostało odnotowane przez młodego policjanta, który wspinał się na zielone, ostro zakończone ogrodzenie parku, aby podążyć za joggerem do miejsca, w którym ten znalazł ciało. Idąc po pokrytej rosą trawie, funkcjonariusz zadawał szybko kolejne pytania, na które towarzyszący mu czterdziestoletni księgowy, niższy o całe sześć cali, odpowiadał najdokładniej, jak tylko potrafił. Zachowywał przy tym daleko idącą ostrożność, nie chciał bowiem sprawiać wrażenia osoby odpowiedzialnej za tę zbrodnię. O godzinie ósmej trzydzieści pięć komenda główna policji otrzymała oficjalne zgłoszenie o znalezieniu kobiecego ciała w poszarpanym ubraniu. Dwie minuty później na miejscu zbrodni dokonano kolejnego odkrycia. W plecach ofiary, tuż poniżej obojczyka, tkwił nóż. Oficer opisujący to znalezisko zameldował, że ostrze było wbite aż po rękojęść. O ósmej trzydzieści osiem zgłosił lekko zmieszonym głosem, że towarzyszący mu jogger zemdlął, i poprosił o wezwanie karetki pogotowia.

- Usuńcie gapiów z za ogrodzenia. Dowiedzcie się, gdzie są klucze od bramy, i sprowadźcie mi tu kilku mundurowych, żeby przeszukali

dokładnie teren wokół zwłok.

Detektyw sierżant Tony Molloy zabezpieczał miejsce zdarzenia w oczekiwaniu na przybycie ekipy dochodzeniowej. Był wysokim, brzuchatym mężczyzną o dość pokaźnej łysinie i dwóch kępkach siwawych włosów okalających uszy. Miał czterdzieści sześć lat. Zachowywał się jak człowiek posiadający wielkie doświadczenie w tego typu zadaniach. Nie gestykułował za wiele, nie wrzeszczał na nikogo, wypowiadał się z pewnością i spokojem. Ludzie, którymi dowodził, nie tracili czasu, ich sylwetki rzucały długie cienie w słabym blasku wstającego dopiero dnia.

- Niech nikt się nie zbliża do ciała i zadbajcie, żeby żaden z tych cholernych ptaków się do niego nie dobrał.

Większość srok odleciała na bezpieczną odległość, tylko kilka skrzeczało teraz z okolicznych drzew, które zaczynały się dopiero zielenić po nadejściu wciąż chłodnej wiosny.

Znajdujący się we wschodniej części Dublina park Sandymount zajmował powierzchnię dwóch akrów. Porastało go wiele drzew - głównie klony i orzechowce - oddzielając zielone tereny od okolicznych domów i bloków mieszkalnych. Na głównym, od dawna niestrzyżonym trawniku grano zazwyczaj w piłkę albo rzucono frisbee. Od drogi i zabudowań odgradzało go dodatkowo wysokie na sześć stóp, zielone stalowe ogrodzenie, które aż się prosiło o odrobinę farby. Krzewy i młode drzewka porastały cały teren parku, aczkolwiek były po nim rozrzucone bez ładu i składu - każdy ogrodnik musiał to przyznać. Na jego wschodnim krańcu, tam gdzie znaleziono ciało, gęste zarośla rozpleniły się najmocniej. Około

trzydziestu jardów od miejsca zbrodni stała podniszczona drewniana altana. Deski, z której ją zbito, przegniły w wielu miejscach, a graffiti przykryło resztki oryginalnie położonej farby. W środku leżało wiele pogniecionych puszek po piwie, butelek po cydrze i niedopałków papierosów. Molloy zauważył je, kiedy zajrzał tam po raz pierwszy. Jego uwadze nie umknęła także pomazana krwią strzykawka.

- Zabezpieczcie też tę ruinę - rozkazał i kilka minut później pasmo żółtej policyjnej taśmy otoczyło drewnianą konstrukcję.

Molloy był urodzonym pesymistą. Martwił się o zdrowie, emeryturę, pogodę, a nawet kierunek, w którym zmierzał jego kraj. A kiedy przychodziły krótkie chwile, gdy nie miał się czym przejmować, bolał nad brakiem powodów do zmartwień. Ale teraz, gdy porównał wygląd znalezionej ciała z przesłanym z komendy opisem zaginionej Jennifer Marks, zrozumiał, że tego dnia będzie miał znacznie więcej powodów do pesymizmu niż zazwyczaj.



## 2

### Godzina 10.05

Dwaj mundurowi policjanci pojawili się przed domem doktora Marksa tuż po dziesiątej tego samego poranka. Dan przesiedział całą noc w salonie na dole, nie rozstając się na moment ze słuchawką telefonu. Odłączył wcześniej linię na piętrze, żeby dźwięk dzwonka nie niepokoił jego kalekiej żony.

- Doktor Marks?

Obaj policjanci byli młodzi, wysocy i żyłaści, jeden miał rude włosy, drugi ciemne. Czapki z daszkiem włożyli pod ramiona, miny mieli ponure.

- Tak.

Rudowłosy policjant odezwał się pierwszy, wolno cedził słowa, wypowiadając je z głębokim namysłem.

- Obawiam się, że mamy wiadomości dotyczące Jennifer.

Dan natychmiast wyparł z umysłu negatywny wydźwięk tego zdania.

- Tak, tak. Znaleźliście ją? - zapytał z desperacją. - Nic jej nie jest?

- Obawiam się, że nie przynosimy dobrych wieści.

- Ciemnowłosy policjant obrócił lekko głowę, by nie patrzeć Marksowi w oczy.

Jego kolega wziął na siebie mówienie.

- W parku, około dwóch mil stąd, znaleziono ciało dziewczyny odpowiadającej rysopisowi pana córki.

Policjant przekazał resztę informacji, mówiąc równie wolno i spokojnie. Podał godzinę odkrycia zwłok, opisał stan ubrania, dorzucił wszystkie uwagi, które pomagały osłabić wydźwięk okrutnej prawdy. Marks słuchał go przez kilka minut, potem zatrzasnął drzwi.

- Annie, policja znalazła Jennifer. - Dan Marks stanął w uchylonych drzwiach prowadzących do sypialni na piętrze.

Odpowiedziała mu cisza. W półmroku pomieszczenia z trudem dostrzegał sylwetkę żony. Siedziała na wózku inwalidzkim, wpatrując się w zaciągnięte szczelnie kotary.

- Kiedy... Kiedy nas wezwą, abyśmy...?

- Jeśli nie chcesz, Annie, nie musisz...

- Kiedy, sukinsynu! Gadaj!

Jej wrzask zaskoczył Dana. Musiał się przytrzymać framugi.

- Jak tylko powiadomią nas, że możemy przyjechać - odparł zdławionym głosem.

- Gdzie jest moja córka? Gdzie ją zabrali?

Dan Marks z trudem dobywał z siebie słowa.

- Jest w kostnicy. Zadzwoń do nas z kostnicy.

- W takim razie idź i przygotuj się - warknęła, ocierając ukradkiem oczy. - Całą noc czekałam na tę wiadomość. Mogę jechać w każdej chwili.

- Przyjdę do ciebie, jak tylko dowiem się czegoś więcej.

W odpowiedzi usłyszał niezrozumiałe burknięcie. Chwycił za gałkę, by zamknąć drzwi, ale zamiast tego raz jeszcze na nią spojrzął.

- Tak mi przykro, Annie.

- Zostaw mnie w spokoju, sukinsynu. Nie chcę słyszeć, jak użalasz się nad sobą. Rozumiesz?

Zamknął za sobą delikatnie drzwi, by odciąć się od jej szlochów.

Osiem miesięcy wcześniej wszystko wyglądało zupełnie inaczej.

Doktor John Regan, minister zdrowia w nowo wybranym rządzie, przygotowywał się do wygłoszenia orędzia do dziennikarzy. Sala w kancelarii premiera pękała w szwach. Regan ukradkiem rozejrzał się wokół, oceniając liczbę przybyłych. Była więcej niż satysfakcjonująca. Dostrzegł osiem ekip telewizyjnych, wszystkim towarzyszyli reporterzy. Po lewej stały dwie wielkie stacje ze Stanów oraz CNN i Sky News. W drugim narożniku rozstawiła sprzęt BBC, a obok niej znalazły się kamery dwóch lokalnych stacji, których Regan nie znał, oraz ekipa państwowej RTE. Kamerzyści z Bostonu przepchnęli się do pierwszego rzędu, sprawdzając wszystkie możliwe ujęcia. Na rozstawionych po całym pomieszczeniu krzesłach siedzieli dziennikarze z prasy i radia, niektórzy rozmawiali, inni notowali coś skrętnie. Dobrze, że kazałem zarezerwować tak dużą salę na tę okazję, pomyślał Regan. Frekwencja była znakomita, o czym zaproszeni na pewno zechcą wspomnieć w swoich relacjach.

Za nim, na podium, stał długi stół nakryty zielonym sukniem. Na jego blacie znajdowały się trzy butelki wody i tyleż szklanek. Odsunięte daleko krzesła czekały na przyjęcie gości. Dwie stopy za nimi ustawiono spore billboardy ze zdjęciami, logo i hasłami wyborczymi zwycięskiej partii: „Nowy rząd dla nowego pokolenia”. Uśmiechnięte twarze „młodzieży - przyszłości Irlandii” i John Regan,

ściskający dłonie, zatroskany, roześmiany z głową odchyloną do tyłu, ocierający łzy, kopiący piłkę. Pozytywny, a zarazem mocny przekaz. Irlandia, kraj posiadający najmłodsze społeczeństwo w Unii Europejskiej, musiała zamieść pajęczyny dawno minionych dni i skoncentrować się na przyszłości. Z tym hasłem zwyciężyli, zdobywając zdecydowaną większość głosów.

Trzydziestotrzyletni John Regan był najmłodszym ministrem zdrowia w historii kraju. Urodzony w ubogiej, robotniczej rodzinie zamieszkującej najstarszą część Dublina sam był kowalem swojej kariery. Entuzjazm, ambicje i przenikliwy umysł uitorowały mu drogę na uniwersytet, na którym przyłączył się do radykalnej młodzieży walczącej z przywilejami i podziałem klasowym. Wybór medycyny zaskoczył wielu z jego znajomych, aczkolwiek wszyscy musieli przyznać, że posiadał wystarczającą ilość samozaparca, by i w tej dziedzinie wspiąć się na szczyt. Niestety nuda pracy w szpitalu i brak wielkich wyzwań szybko go sfrustrowały. Zafascynowany polityką porzucił więc kitel i zajął się działalnością na tym właśnie polu. Pomimo gniewnych protestów kontrkandydatów, zarzucających jego sztabowi akty zastraszania, poprowadził swoją partię do zwycięstwa w wyborach.

Już po dwóch tygodniach urzędowania wywołał pierwszy konflikt ze środowiskiem medycznym, którego tak bardzo - choć potajemnie - nienawidził. Ogłosił, że lekarze zatrudnieni w publicznych szpitalach nie będą mieli prawa do prowadzenia prywatnych praktyk. Spowodował tymi słowami spory szum w szeregach specjalistów, którzy przyzwyczaili się już do podwajania albo i potrajania

przychodów dzięki dodatkowym zajęciom. Następnie opublikował tabele zarobków lekarzy, zestawiając je z szacunkowymi danymi dotyczącymi wpływów osiągniętych z pracy po godzinach. To z kolei oburzyło środowisko pacjentów. Gdy specjaliści wszelkiej maści zebrali się, aby odpowiedzieć na te ruchy, Regan wyciągnął asa z rękawa, ogłaszając utworzenie Fundacji Serca. Miało to być międzynarodowe centrum badania i leczenia chorób serca ulokowane przy szpitalu Mercy w Dublinie („znanym już z wybitnych osiągnięć na polu medycyny”).

Szpital Mercy wybudowano na zielonych przedmieściach Dublina, zespalaając w nim pięć mniejszych śródmiejskich klinik i placówek medycznych. Pierwsze kilka lat działalności tej instytucji nie należało do najłatwiejszych, ale niechęć środowiska wygasła dość szybko, podobnie jak zazdrość przegranych rywali. Szpital zyskał sobie doskonałe opinie środowiska, zwłaszcza jego centrum badań nad nowotworami, diagnostyka radiologiczna i oddział chorób dróg oddechowych. Interwencja Regana okazała się śmiałym i opłacalnym ruchem. Rząd obiecał wyasygnować okrągłe trzydzieści pięć milionów na ustanowienie Fundacji Serca. Piętnaście miało pochodzić od irlandzkich podatników, pozostałą kwotę powinna dołożyć Unia Europejska, traktująca inicjatywę młodego ministra jako próbę zrównoważenia północnoamerykańskiej dominacji na tym polu badawczym. Pieniądze unijne były jednak zależne od okresowych sprawozdań i wyników przedstawianych przez Fundację. W odpowiednim czasie Regan ujawnił informację, że spodziewa się zainteresowania projektem ze strony międzynarodowych sław. „Świat

będzie nam jej zazdrościł”. Miał nadzieję, że irlandzcy lekarze zdecydują się na objęcie większości stanowisk kierowniczych, chociaż wiedział, iż są niechętni jego pomysłowi. Od samego początku traktowali to przedsięwzięcie z dużą rezerwą, spodziewając się w każdej chwili jego spektakularnego upadku. Ale Regan zaplanował wszystko z niezwykłą starannością. Odczekał sześć tygodni, dając szansę lokalnym tuzom medycyny na przyłączenie się do projektu, a potem poleciał do Bostonu, skąd przywiózł prawdziwą drużynę marzeń - troje niezwykle utytułowanych kardiologów, którym zamierzał powierzyć stworzenie podwalin Fundacji. Zdołał ich wyłuskać ze szpitala Springton, jednej z najbardziej prestiżowych amerykańskich placówek medycznych, oferując bajeczne warunki kontraktów.

To także było nadzwyczaj śmiałe i udane posunięcie. Spodobało się wyborcom, i to bardzo. Notowania jego rządu od razu poszybowały w górę. Regan umocnił też osobistą pozycję na scenie politycznej. Zdołał okiełznać jedną z najbardziej wpływowych grup zawodowych w kraju i trzymał ją mocno za kark, nie pozwalając podnieść głowy. Zdobył też obiecane dwadzieścia milionów z funduszy Unii Europejskiej. Nawet plotkarskie rubryki dublińskich brukowców nie śmiały pisać złego słowa na jego temat, chociaż podczas kampanii wyborczej nie raz zdarzało im się czepiać kawalerskiego stanu i drukować niesmaczne plotki z życia towarzyskiego. Dzisiaj był nietykalnym, ukochanym synem narodu. Dzisiaj nadchodził kulminacyjny moment wielomiesięcznych wysiłków, czas rekompensaty za wszystkie szkody poniesione w tej walce.

- Jak zapewne wszyscy wiecie, zebraliśmy się tutaj dzisiaj, aby poznać wybitnych specjalistów z Bostonu, którzy podpisali kontrakty z naszym rządem i poprowadzą tworzoną właśnie Fundację Serca - zagań Regan, gdy zgromadzeni dziennikarze zajęli miejsca.

Postawny, szeroki w ramionach, wyglądał na wytrawnego męża stanu. Wybrał na tę okazję beżowy garnitur od Armaniego, granatową koszulę i jasnożółty krawat. Włosy miał mocno zaczesane do tyłu, co dodatkowo uwidaczniało wysokie czoło. Jako kawaler sprawiał wrażenie mężczyzny będącego obiektem westchnień wielu kobiet. Na jego twarzy cały czas malowała się troska, którą w okamgnieniu mógł zastąpić nienawiścią bądź złością, gdyby go do tego sprowokowano.

- W materiałach prasowych znajdziecie krótkie podsumowanie ich dorobku naukowego, spisy dotychczas pełnionych funkcji i prowadzonych badań. Gdy zapoznacie się z treścią tych dokumentów, jestem pewien, że przyznacie wszyscy, iż ściągnięcie do Dublina tak utalentowanych ludzi można uznać za ogromny sukces... - Przerwał na moment, pozwalając sobie na szybkie spojrzenie po sali. Kamerzyści walczyli z lampami i obiektywami o jak najlepsze ujęcie. Dyktafony uniesiono wysoko w górę, by nie uronić nawet słowa.

- Przedstawię naszych gości kolejno, a na końcu spotkania pozostawię ich do waszej dyspozycji. - Opuścił wzrok, odnotowując cyniczne i znudzone spojrzenia reporterów, dla których takie konferencje były chlebem powszednim. Poczeka, aż zobaczą, kogo im sprowadził. Na koniec prezentacji pospadają z tych krzeseł. - Jako pierwszego zaprezentuję państwu doktora Stone'a Colmana, biochemika i znanego na arenie międzynarodowej eksperta od zmian

komórkowych w chorobach układu krążenia.

Otworzono drzwi w bocznej ścianie sceny i na podium wszedł mężczyzna o wyglądzie klasycznego mola książkowego. Uśmiechał się nerwowo w stronę audytorium. Regan rzucił w tym czasie okiem do materiałów prasowych, aby sprawdzić jego wiek, zajmowane stanowiska i dorobek naukowy. Gdy podniósł wzrok, uśmiechnął się zachęcająco. Stone Colman był człowiekiem średniego wzrostu, miał czterdzieści cztery lata i nosił nieco za luźny, wymięty ciemnobrązowy garnitur. Rudawe włosy miał krótko przycięte, co nadawało mu wojskowy wygląd, niestety lekko zgarbiona sylwetka natychmiast psuła to wrażenie. Pierwszy Amerykanin przeszedł szybko przez scenę i zasiadł za stołem. Natychmiast otworzył butelkę wody mineralnej i nalał sobie pełną szklankę. Wyglądało na to, że czuje się niezręcznie jako obiekt prezentacji.

- Doktor Colman będzie kontynuował u nas badania nad zmianami komórkowymi zachodzącymi natychmiast po wystąpieniu zawału serca. Jego głównym zadaniem będzie jednak identyfikacja tajemniczych wciąż związków chemicznych, które jak głęboko wszyscy wierzymy, są jednym z głównych powodów podobnych dolegliwości. - Regan zauważył, że kilku dziennikarzy zaczęło notować. - Panowie, macie to wszystko w materiałach prasowych - przypomniał im.

- Chciałbym wam teraz przedstawić światowej sławy kardiologa, doktor Lindę Speer.

Na scenę, z gracją modelki, weszła główna atrakcja tej konferencji, Linda Speer - uosobienie piękna i mądrości. Miała już trzydzieści pięć



lat, ale wyglądała o całą dekadę młodziej. Nosiła idealnie uszyty granatowy żakiet, nałożony na długą szarą spódnicę i biały kaszmirowy golf. Podeszła pewnym krokiem do Colmana. Chemik uśmiechnął się do niej i wskazał stojącą przed jej krzesłem szklanekę, unosząc pytająco brew. Odmówiła ledwie widocznym ruchem prawej dłoni, przy okazji pokazując zebrany złotą bransoletkę, potem usiadła. Regan przyglądał się ze spokojem, jak kamerzyści robią jej zbliżenia. Doktor Speer skrzyżowała nogi, pozwalając, by jej błyszcząca szpilka od Gucciego zadyndała prowokacyjnie na palcach, potem przejechała dłonią po krótkich blond włosach, odgarniając je z twarzy.

Regan uśmiechnął się pod nosem, widząc pod sukнем wolno kołyszący się but. Ta kobieta miała klasę.

- Doktor Speer specjalizuje się zarówno w kardiologii tradycyjnej, jak i pediatrycznej. Do jej zadań będzie należało rozwinięcie programu kardiochirurgii dziecięcej w naszym kraju. Jeśli spojrzycie na trzecią stronę materiałów prasowych - w sali rozległo się głośne szeleszczenie papieru - znajdziecie na niej aktualne dane na temat liczby dokonywanych operacji oraz listy oczekujących na nie dzieci. Mimo iż współczesna medycyna pozwala na operowanie wrodzonych wad serca już w pierwszych dwunastu miesiącach życia, wielu z naszych małych pacjentów musi czekać na takie zabiegi co najmniej do drugich urodzin. - Regan odwrócił się, by spojrzeć na uniesioną wysoko twarz Lindy Speer. Wyglądało na to, że słucha jego słów w pełnym skupieniu. - Doktor Speer wierzy, że wkrótce po otwarciu naszej placówki zdołamy skrócić listę oczekujących dzieci poniżej

pierwszego roku życia o połowę. Czyż nie tak, Lindo?

Uosobienie urody i intelektu uśmiechnęło się, śnieżnobiały blask oszołomił całą salę. Wypowiedziała powoli słowo „tak”, kierując je do Regana, a on natychmiast poczuł mrowienie w kroczu. Odkaslnął, by oderwać się od lubieżnej wizji, i odwrócił się twarzą w stronę dziennikarzy.

- Jak zapewne wiecie, ten rząd został wybrany, by reprezentować przyszłość Irlandii, czyli najmłodsze pokolenia. Jeśli nie zdołamy zapewnić stosownej opieki medycznej naszym najmłodszym obywatelom, w tym noworodkom, zawiedziemy wyborców, dzięki którym zdobyliśmy władzę.

Kilku reporterów uśmiechnęło się, słysząc tak wyraźną partyjną propagandę, ale większość sumiennie zaczytywała się CV doktor Speer. Regan wiedział, że zwrócą uwagę na fakt, iż jest rozwódką i nie ma dzieci. Pomyślał też, że kilku najjurniejszych spośród żurnalistów z pewnością zaczną rozważać swoje szanse.

- Jako ostatniego przedstawiam państwu doktora Dana Marksa.

Drzwi w bocznej ścianie sceny otworzyły się po raz kolejny i na podest wkroczył człowiek pełniący rolę wisienki na torcie Regana. Dan Marks miał sylwetkę gracza amerykańskiej ligi futbolowej, mierzył sześć stóp i dwa cale wzrostu. Długie kręcone włosy całkiem mu już posiwiały. Nosił marynarkę z lnu w kolorze złamanej bieli, granatowe polo i luźne džinsy, jedne z tych, jakimi aktywni mężczyźni grubo po czterdziestce maskują swój wiek. Twarz miał zdrowo opaloną, zapewne za sprawą ostatniej konferencji na Florydzie, gdzie musiał spędzić pół godziny za pulpitem, aby móc

być się przez resztę tygodnia przy hotelowym basenie. Marks zatrzymał się w połowie drogi do stołu, spojrzął w stronę zgromadzonych i ukłonił im się szarmancko. Do jego uszu dotarło kilka stłumionych chichotów; siadając, odpowiedział dziennikarzom szerokim uśmiechem.

- Doktor Marks jest światowej sławy kardiochirurgiem - ciągnął zadowolony z siebie Regan - a na liście jego pacjentów jest znacznie więcej celebrytów niż w najnowszym wydaniu „Przewodnika po show-biznesie”. Tuż przed opuszczeniem Bostonu założył potrójne bypasy senatorowi Billowi Hallowi z Alabamy, by chwilę później zoperować na sąsiedniej sali zastawkę dwudzielną znanemu gospodarzowi talk-show Marvinowi Hannie... - poczekał, aż te fakty zapadną lepiej w pamięć słuchaczy, i dodał: - Z tego co mi przekazano, tamtego popołudnia zdążył jeszcze wyskoczyć na golfa i zaliczył w pięknym stylu osiemnaście dołków.

Regan zaczął się śmiać z błyskotliwej dygresji, ale zamilkł niemal od razu, widząc przed sobą beznamietne twarze reporterów. Dan szeptał coś do ucha Lindzie Speer, ignorując całą sytuację.

- Doktor Marks należy do drugiego pokolenia emigrantów z Irlandii - podjął minister. - Jego rodzice przybyli do Ameryki z hrabstwa Mayo. Dlatego odczuwa wielkie zadowolenie z możliwości powrotu do kraju swoich przodków, o czym poinformował mnie podczas rozmowy w zeszłym miesiącu, a jego żona i osiemnastoletnia córka przebywają w Dublinie już od sześciu tygodni.

- I bardzo im się to podoba - wtrącił głośno Dan, wpadając w słowo Reganowi. - Wprost nie potrafią się nachwalić.

Tak właśnie wyglądało powitanie mediów z drużyną marzeń. Reszta narodu mogła podziwiać przebieg konferencji jeszcze tego samego wieczora, oglądając ogólnokrajowe programy informacyjne. Cała trójka wyglądała na pewnych siebie i rozluźnionych. Ludzie podziwiali ich akcent rodem z Nowej Anglii, rozprawiając przy tym, że każde z nich mogłoby wygrać casting na bohatera serialu „ER w Dallas”. Mimo to John Regan czuł się bardzo swobodnie w ich towarzystwie. Irlandia szła spać tej nocy w przekonaniu, że była świadkiem czegoś naprawdę pozytywnego.

Telewizja, radio i prasa nie spuszczały oka z trójki wybitnych lekarzy przez kilka kolejnych tygodni. Tabloid „Daily Post” zamieścił szczegółowe życiorysy amerykańskich specjalistów, wypełniając strony alarmującymi śródtytułami: „Nieodpowiednie placówki medyczne”... „Brak perspektyw przyczyną niskiego morale młodej kadry medycznej”... „Brak zaangażowania i wyszkolenia wśród starszego personelu medycznego”. Przykłady tak otwartej krytyki sprawiły, że pod koniec miesiąca każdy z członków drużyny marzeń miał więcej wrogów, niż zdołał przyjąć pacjentów. Dział społeczny „Evening Post” przedstawił sylwetkę Jennifer Marks, opisując „jej pierwszy dzień w znajdującej się na południu Dublina szkole dla dziewcząt, prowadzonej przez Bractwo Różańca Świętego”, gdzie „kładzie się większy nacisk na kształtowanie młodych dam niż dziewcząt pragnących zrobić karierę zawodową”. Córka kardiologa uzupełniła listę celebrytek, które spędziły młodzińcze lata w zakonnej szkole. Z większością z nich przeprowadzono telefoniczne wywiady, w których rozplływały się nad zaletami tej placówki.

Linda Speer stała się bohaterką długiego artykułu w weekendowym kolorowym dodatku do dziennika „Post”, w którym wyznała przepytującym ją dziennikarzom, że należy do „wybitnego zespołu kardiologów” i bardzo pragnie kontynuować pracę z nimi przez następne dwa lata, aby dokończyć rozpoczęte niedawno badania. Zapomniała jedynie wspomnieć o pieniądzach. Speer dorastała w biednej rodzinie, jako jedna z pięciorga rodzeństwa. Ojciec porzucił ich już w jej wczesnym dzieciństwie. Mieszkająca w slumsach Bostonu matka robiła, co mogła, by zapewnić dzieciom wikt i opierunek.

Bywało, że pracowała na trzy etaty, aby zdobyć dodatkowe pieniądze. Linda poprzysięgła sobie - podobnie jak John Regan - że nigdy już nie będzie głodna. Nie cierpiała odium biedy.

Dziennikarze napisali, że wyszła wczesnie za męża, jeszcze w szkole medycznej, ale nie wspomniano nawet słowem, iż opuściła męża niespełna trzy lata później, gdy okazało się, że nie był w stanie zaspokoić jej nienasyconych ambicji. Wzmiankę o rozwodzie skwitowano klasycznym stwierdzeniem, że „nie układało im się w małżeństwie”. Od tamtego momentu Linda Speer koncentrowała się wyłącznie na własnej karierze, ale - z czego zwierzyła się rozmawiającej z nią dziennikarce - płęć była dla niej największą przeszkodą. Podczas wielu ważnych rozmów w sprawie pracy w zdominowanych przez mężczyzn placówkach medycznych musiała ustąpić miejsca zupełnie przeciętnym kandydatom płci przeciwnej, mimo iż była od nich młodsza i znacznie mądrzejsza. Przyznała też z wyjątkową jak na lekarza szczerością, że objęcie posady w Dublinie było dla niej alternatywną drogą dotarcia do wyznaczonego sobie

celu. Linda Speer pragnęła prawdziwego sukcesu, władzy i bogactwa. Wiedziała, że nie osiągnie tego, pozostając praktykującym lekarzem, w każdym razie nie na poziomie, do którego aspirowała. Irlandia miała być jej przepustką do prawdziwej fortuny.

Znacznie krótszy materiał w fachowej prasie medycznej głosił, że Stone Colman gotów był na otwarcie nowego etapu kariery zawodowej, a centrum tworzone przez Regana oferowało mu wielką szansę na zyskanie międzynarodowej sławy. Colman miał opinię ambitnego naukowca, a z treści artykułu wynikało, iż osiągnął w Bostonie wszystko, co tylko możliwe, potrzebował więc nowych wyzwań. Cytowano, że był „zachwycony” wysokością obiecanych mu funduszy, mając świadomość, jak bardzo okrojonym budżetem dysponował szpital Mercy.

„Z tego co słyszałem, ponad milion funtów ze środków wyasygnowanych przez Unię Europejską ma być przeznaczone wyłącznie na prace laboratoryjne” - stwierdził w rozmowie z dziennikarzem. „I chociaż kwota ta wydaje się astronomiczna, ledwie wystarczy do zrównoważenia potrzeb naszego wydziału. Prawdę powiedziawszy, laboratoria szpitalne powinny dysponować budżetami tego rzędu” - dodał nie bez sarkazmu.

„Post” opublikował też ekskluzywny reportaż o rodzinie Marksów: „Przykuta do wózka żona Annie, niegdyś utalentowany neurochirurg, dzisiaj dotknięta straszliwym stwardnieniem rozsianym. Opiekuje się nią jej ukochany mąż Dan, który osobiście podaje jej każdego dnia dawkę interferonu”. Zaprezentowano także zdjęcie portretowe uśmiechniętej rodziny zrobione przed drzwiami frontowymi

rezydencji Marksów, wiktoriańskiego dwupiętrowego domu znajdującego się na obrzeżach dyplomatycznej dzielnicy Dublina. Artykuł okraszały: wielki tytuł dworek marksów i zdjęcie rozradowanej Jennifer, dziewczyny o miłej twarzy, szczupłej budowie, trzymającej jedną ręką wózek inwalidzki matki, a drugą odgarniającej długie ciemne włosy z twarzy. Miała na sobie T-shirt z wyraźnym napisem: „Kocham Irlandię”.

Zdjęcie podpisano: „Typowa amerykańska dziewczyna”.

# 3

## Godzina 10.30

- Chodź tutaj, Joe. Zrób mi ujęcia całej grupy. Ale tak, żeby cię nie zobaczyli. I rób zbliżenia. - Jim Clarke ścisnął mocniej uchwyt kuli, gdy przywoływał młodego mundurowego. - Ty, tak, ty, chodź tutaj. Stań obok mnie i udawaj, że z nami rozmawiasz. Odwróć się plecami do tego tłumu - skinął głową w stronę gapiów stłoczonych za parkanem. - Nie, nie odwracaj się, patrz w moim kierunku. Pozwól Joemu oprzeć obiektyw aparatu o ramię i nie ruszaj się przez chwilę.

Jednym ze znaków rozpoznawczych Clarke'a była ogromna liczba zdjęć, jakie kazał robić przy każdym ważnym dochodzeniu.

Clarke, Kavanagh i Dillon dotarli do parku Sandymount dwadzieścia minut po opuszczeniu szpitala. Włączenie psychiatry sądowego do ekipy dochodzeniowej było rutynowym działaniem, gdy wydział miał do czynienia z morderstwem, dlatego często czekali z przeszukaniem miejsca zbrodni aż do chwili jego przybycia. Teren został już zabezpieczony. Żółta taśma łopotała na słabym wietrze pomiędzy ustawionymi w równych odstępach słupkami. Od ciała dzieliło ją co najmniej dwadzieścia stóp odległości. Policjanci mieli dostęp do odgrodzonego terenu dzięki wąskiemu korytarzowi, wytyczonemu w taki sposób, by ich ruch nie zagrażał zniszczeniem któregoś z dowodów. Pięciu ubranych w białe kostiumy członków



ekipy dochodzeniowej przeglądało z najwyższą uwagą każdą piędź zarośli, dwaj kolejni konwersowali, porównując sporządzone notatki i przypatrując się zdeptanej trawie przy ruinie drewnianej altany. Pomalowany na żółto, zaostriżony palik oznaczał miejsce, w którym znaleziono ślady krwi, trzy kolejne prowadziły prosto do ciała. Clarke przyjrzał się uważnie ogrodzonemu terenowi, przeliczył mundurowych i detektywów w cywilu, potem skontaktował się z centralą, prosząc o przysłanie kolejnego radiowozu. Słońce wspięło się wyżej na niebo, tylko kilka niewielkich chmur rzuciło mu dzisiaj wyzwanie. Wszystkie sroki dawno już uciekły z parku.

Joe Harrison, łysy, barczysty fotograf wydziału, zmienił obiektyw i zaczął robić zdjęcia gapiów. Zapasowy nikon spoczywał na jego wydatnym brzuchu. Wypstrykał trzydziestosześcioletni film w niespełna siedem minut, robiąc serię dużych zbliżeń.

- Skończyłeś? - zapytał go Clarke, ocierając czoło chusteczką. Gruby mundur sprawiał, że pocił się niemiłosiernie.

Harrison, człowiek wyjątkowo małomówny, skinął tylko głową, potem ruszył w stronę ogrodzonego terenu, skąd dobiegało wołanie techników.

- Zorganizuj jeszcze trzech chłopaków. - Clarke poinstruował młodego policjanta, który służył przed chwilą Joemu za statyw. - Podzielcie się na pary i przejdźcie tak dyskretnie, jak to tylko możliwe, na oba końce tego parkanu. Tamtędy wydostańcie się na ulicę.

Funkcjonariusz pochylił głowę, by nie uronić nawet słowa.

- Gdy znajdziecie się po drugiej stronie, macie zatrzymać cały ruch.

Nikt nie wchodzi i nikt nie wychodzi z tej uliczki. Otoczcie grupkę gapiów i wylegitymujcie wszystkich, spiszcie dane i adresy, a potem wy pytajcie, co robią przy parku o tak wczesnej porze. Zrozumiałeś wszystko? - Clarke, patrząc na twarz tego zasłuchanego chłopaka, pomyślał o starości, która tak mu doskwierała.

Pięć po jedenastej droga biegnąca wzdłuż ogrodzenia parku Sandymount została zamknięta z obu stron, pieszych i samochody kierowano w boczne uliczki. Kilka minut później grupka gapiów zaczęła raptownie maleć, gdy ludzie zorientowali się, że mundurowi policjanci zmierzają w ich stronę. Nikt jednak nie mógł opuścić tego miejsca, dopóki notesy nie poszły w ruch i nie spisano wszystkich szczegółów. Clarke przyglądał się przebiegowi tej akcji z uznaniem. Stojący obok Moss Kavanagh przerzucał komórkę z ręki do ręki, jego spojrzenie omiatało teren niczym promień latarni morskiej. Patrick Dillon dołączył do grupki funkcjonariuszy stojących na skraju gęstwiny, by wziąć udział w ożywionej dyskusji. Usatysfakcjonowany komisarz otarł raz jeszcze pot z czoła i pokuśtykał wolno w stronę ciała.

- Dotyk zimnej stali o świcie, komisarzu - powiedział doktor Noel Dunne, patolog sądowy stojący dwadzieścia stóp od linii krzewów pośrodku wąskiego przejścia prowadzącego na miejsce zbrodni. Był wysokim, otyłym mężczyzną z bujną, majestatycznie wyglądającą stalowosiwą brodą, której barwa pasowała idealnie do reszty długich włosów na głowie. Zarost pokrywał niemal całą powierzchnię jego twarzy, skutecznie uniemożliwiając wyczytanie malujących się na niej uczuć.

Patolog strzelał oczami, to na lewo, to na prawo, rejestrując wszystkie szczegóły parku i otaczającej go okolicy. Mimo skwaru panującego tego ranka miał na sobie kompletny tweedowy garnitur, grubą bawełnianą koszulę oraz zupełnie niepasujący do tego wszystkiego granatowy lniany krawat. Ludzie z wydziału traktowali go jak żywą legendę, nikt inny nie potrafił sypać anegdotami jak z rękawa w każdej, nawet najniezwyklejszej sytuacji. Na przykład przy okazji morderstwa.

- Nóż wbity w plecy aż po rękojeść - mamrotał pod nosem, robiąc notatki na kartce formatu A4 przypiętej do sztywnej podkładki. - Twoi ludzie powiedzieli mi, że to zaginiona córka Marksa - stwierdził raczej, niż spytał. - Czy dlatego ściągnąłeś tutaj naszego przyjaciela Dillona? - Wyszczrzył się w kierunku psychiatry. - Składasz profil psychologiczny zabójcy? - rzucił zawadiacko.

Dillon mruknął coś pod nosem, ale nie odpowiedział. Wydawał podobne, nieartykułowane dźwięki, kiedy rozmowa stawała się dla niego niezręczna.

Moss Kavanaugh trzymał w wielgachnych dłoniach oprawione zdjęcie. Rzucił na nie zdawkowe spojrzenie i natychmiast przekazał dalej. Clarke i Dunne przyjrzeni się uważniej uśmiechniętej twarzy pomiędzy grubymi ramkami, potem odwrócili głowy w stronę miejsca, które obfotografowywał Joe Harrison.

- Opis, który dostaliśmy wczoraj wieczorem, pasuje idealnie - stwierdził ponuro Dunne. Zatrzymał się na moment, by wykrzyzczyć kilka poleceń w stronę ubranego na biało technika. - I na pewno ma trzy srebrne ćwieki w lewym uchu.

Clarke spojrział na niego z zaciekawieniem.

- Ciało leży na brzuchu - wyjaśnił patolog - prawym policzkiem do ziemi, dlatego widziałem tylko jej lewą małżowinę. Trzy srebrne ćwieki. - Wskazał na zdjęcie. - Takie same jak te.

Clarke przyjrzał się uważniej i dostrzegł maleńkie srebrzyste punkciki w lewym uchu roześmianej dziewczyny.

- Trzy srebrne ćwieki - mamrotał Dunne, oddalając się od nich - takie same jak na zdjęciu. - Nagle zatrzymał się i odwrócił. - Jeśli to naprawdę ona - dodał z nieszczęśliwą miną - rozpęta się istne piekło.

Słońce zapanowało nad całym niebem, w polu widzenia nie było już ani jednej chmurki. Zanim patolog i jego zespół zdążyli zabezpieczyć wszystkie ślady na miejscu zbrodni, ich ubrania lepiły się od potu. Ciało wciąż leżało tam, gdzie je znaleziono, zbadano je, ale nie ruszano. Usunięto tylko otaczającą zwłoki warstewkę ziemi. Powyrywano wszystkie źdźbła trawy, potem odłamano zasłaniające głowę gałązki i pędy. Na końcu ogrodzonego przejścia piętrzyły się brązowe worki z dowodami rzeczowymi. Głowę, stopy i dłonie ofiary zabezpieczono plastikowymi woreczkami. Znaleziona w altanie zakrwawiona strzykawka trafiła do kartonika. Każda puszka po piwie, butelka po cydrze i niedopałek także znalazły się w osobnym opakowaniu. Wszystko zostało zaksięgowane i szczegółowo opisane. Gdy czternaścioro mężczyzn i kobiet kończyło pracę, towarzyszyła im aura zmęczenia i rezygnacji. Znaleziono kolejne ciało, zanotowano jeszcze jedno morderstwo. Ale wszyscy czuli podskórnie, że ta sprawa nie pozostanie bez echa. Jakby na potwierdzenie ich myśli, wysoko nad parkiem zawisł telewizyjny śmigłowiec. Huk rotora zagłuszył

wszystkie rozmowy, jedynym pozytywnym efektem pojawienia się hałaśliwej maszyny był ożywczy, chłodny podmuch generowany przez jej śmigła.

Około godziny czternastej zwłoki młodej dziewczyny podniesiono ostrożnie z ziemi i przetransportowano przez park Sandymount do oczekującego przy bramie karawanu, tam złożono je do metalowego pojemnika. Każdy ruch policjantów śledziły kamery ustawione w głębi ulicy, tak blisko, jak to tylko było możliwe. Kawalkada samochodów chronionych przez radiowozy ruszyła po chwili, przedzierając się powoli przez zatłoczone w godzinie szczytu ulice. Podróż była krótka; aby dotrzeć do kostnicy miejskiej przy Dublin's Store Street, karawan musiał przedostać się tylko na drugi brzeg rzeki Liffey. Kilku najstarszych mieszkańców sąsiednich bloków przeżegnało się, gdy mijał ich posępny orszak.

- Powiedziałbym, że upuścił ją tutaj.

Noel Dunne, Jim Clarke i Patrick Dillon stali tuż za pasem żółtej taśmy. Psychiatra wydawał się o wiele spokojniejszy od policjantów, jakby ślady przemocy nie robiły na nim najmniejszego wrażenia. Kilku techników z ekipy dochodzeniowej zgromadziło się wokół niego, przysłuchując się prowadzonej rozmowie. Ich sylwetki rzucały na ziemię ostre cienie. Wszystkie oczy zwrócone były na zdeptany fragment trawnika mierzący nie więcej niż dziesięć na dwadzieścia stóp, oznaczony ciemniejszymi plamkami w miejscach, gdzie wycięto zakrwawioną darni. Park nie miał stałego nadzoru, łąki koszone sporadycznie, nic więc dziwnego, że wysoka trawa sterczała na wszystkie strony. Wydeptany teren odróżniał się wyraźnie od

otoczenia.

- Przy pierwszej tyczce znaleźliśmy sporą kałużę krwi.
- Dunne wskazał notatnikiem w stronę żółtego kijka.
- Potem kilka mniejszych plam - zatoczył nim łuk - aż do tego miejsca. - Następny żółty znak wskazywał kolejny etap w popełnianiu zbrodni.

Patrick Dillon notował coś w kajeciku. Jego zwalista sylwetka kontrastowała znacznie z lekko się garbiącym patologiem.

- Powiedziałbym, że w tym momencie coś się wydarzyło - wtrącił. - Coś nieoczekiwanego. - Wszyscy spojrzeli w jego stronę. - Ciało zostało odłożone na dłuższą chwilę. Trawa jest mocniej dociśnięta, mamy też więcej śladów krwi.

- Zapisał coś w rogu strony, zanim podjął temat. - Jeszcze widać ślady w miejscach, gdzie stopy ofiary, w trakcie przenoszenia, tarły o ziemię. - Dunne i Clarke podążyli wzrokiem za jego palcem. - Potem została rzucona jak worek węgla.

Przez chwilę żaden z nich nic nie mówił, zatopieni w myślach starali się wyobrazić sobie tę scenę.

- Nie ma jednak odcisków stóp - podpowiedział im Dillon. - Ktoś zadał sobie sporo trudu, by pozacierać ślady.

Dokładne zamiecenie ziemi usunęło wszystkie ślady w miejscach, w których morderca stał lub chodził. Psychiatra przykucnął, opierając brodę na dłoni. Skupił całą uwagę na niewielkim kawałku terenu, tuż obok miejsca, w którym złożono zwłoki.

- Najpierw podniósł jej głowę, zapewne wsuwając dłonie pod ramiona.

- On?

- Tak sądzę. Mężczyźni zabijają znacznie częściej niż kobiety. -  
Dillon spojrzał na Dunne'a, jakby oczekiwał potwierdzenia swoich  
słów.

- Tak - przyznał znużony patolog. - W Dublinie mamy do czynienia  
niemal wyłącznie z mordercami płci męskiej.

Dillon podniósł się powoli, rozprostował plecy, potem sięgnął do  
kieszeni po dyktafon. Przez chwilę gmerał przy jego klawiszach.

- Wiecie już może, jaki był czas zgonu? - zapytał Clarke.

Dunne przejrzał swoje notatki.

- Moim zdaniem zginęła około godziny dwudziestej drugiej.  
Temperatura odbytnicy spadła do dwudziestu sześciu stopni  
Celsjusza. Ciało zdążyło ostygnąć i zeszywnieć. Biorąc pod uwagę  
gorącą noc i lekkie ubranie, stawałbym na dwudziestą drugą, na  
pewno nie stało się to po dwudziestej trzeciej. - Dunne odłożył  
podkładkę z notatkami. - Zobaczymy się w kostnicy.

Clarke obserwował, jak patolog oddala się z trudem, idąc pomiędzy  
pasmami rozpiętej taśmy. Nieustanny kontakt z okropieństwami  
zbrodni odarł go z ludzkich uczuć.

- Przyjadę tam za godzinę! - zawołał komisarz w stronę  
przygarbionych pleców.

Dunne machnął ręką na znak, że przyjął jego zapowiedź do  
wiadomości.

Patrick Dillon podyktował ostatnie spostrzeżenia, potem schował  
miniaturowy magnetofon.

- Sporządzę raport wstępny najprędzej jak to możliwe.

Telefon Mossa Kavanagha zadzwonił w samym środku pierwszej narady na miejscu zbrodni, zmuszając go do odejścia na stronę, aby nie przeszkadzać pozostałym uczestnikom rozmowy. Jego komórka miała bardzo charakterystyczny dzwonek, przypominający muzykę z kreskówek. Clarke nazywał takie dźwięki „zwariowanymi melodyjkami”.

- Tak?

- To ty, Mossy?

- Tak. Czego chcesz, Barry?

Barry Nolan był reporterem rubryki kryminalnej pism powiązanych z wydawcą „Posta”.

- Powiedz, do czego doszliście. Jesteście już pewni, że to córka Marksa?

Kavanagh oddalił się nieco, tak by nikt go nie usłyszał.

- Mogę ci tylko powiedzieć, że już jej nie szukamy.

- Co się stało, Mossy? Słyszałem, że znaleźliście ją z nożem w plecach. Czy mogę o tym napisać?

- Możesz.

- Podrzuć coś jeszcze? Została zgwałcona?

Kavanagh zauważył, że zebrani zaczynają się rozchodzić.

- Jeszcze nie wiemy. Zadzwoni wieczorem, może będę miał dla ciebie coś więcej.

- Pieprz się, Mossy. Jak ja mam z tym zdążyć do wieczornego wydania?

- Rano dam ci wyłączność na treść wniosków z sekcji.

- Jezu, wiesz o tym, że cię kocham, Mossy?



- Wal się na ryj - poradził mu Kavanagh i przerwał połączenie.

# 4

## Godzina 14.57

Micko Kelly nie wiedział, że ma krew na rękach, gdy obudził go dobiegający z sąsiedniego mieszkania głośny wrzask uzależnionego od narkotyków dziecka. Dochodziła już piętnasta, a on wciąż leżał na zapchlonym materacu. Wyciągnął rękę, nie otwierając oczu, i macał gorączkowo, dopóki nie trafił dłonią na niewielką plastikową butelkę. Potrząsnął nią mocno - odgłosy grzechotania sprawiły, że poczuł natychmiastową ulgę. Otworzył pojemniczek i wysypał na dłoń dwie tabletki rohypnolu. Zebrał w ustach tyle śliny, ile zdołał, i przełknął je na raz. Wyciągnął dłoń ponownie, tym razem szukając znacznie większej butelki. Znajdujący się w niej płyn zabulgotał krzepiąco. Micko odkręcił korek jedną ręką i pociągnął spory łyk, popijając metadon. Zakaszłał, gdy poczuł palenie w gardle. Podciągnął się prawie do pionu i powtórnie przyłożył flaszkę do warg. Tym razem przepłukał zęby i usta, aby pozbyć się z nich uczucia niesmaku. W tym momencie po raz pierwszy zobaczył krew na swoich palcach. Odsunął rękę, by sprawdzić, jak wiele jej tam jest. Zaschnięte plamy zajmowały całą dłoń, nawet pokryte tatuażami kostki. Micko padł na brudną poduszkę i przycisnął ją mocno do uszu, chcąc stłumić wrzaski drącego się wciąż dzieciaka.

- Kurwa mać! - ryknął, tłukąc pięścią w ścianę. - Pochlastam ci tego bachora, jeśli go zaraz nie uspokoisz!

Wrzaski nasiliły się jeszcze. Rozwścieczony Kelly zaczął gmerać pod materacem, dopóki nie trafił palcami na rękojeść noża Bowie o szerokim ostrzu. Spojrzał w stronę drzwi.

- Zabiję tego wrzaskliwego gnoja!

Płacz dziecka został momentalnie stłumiony.

Kelly opadł na materac, wydając głośny jęk ulgi. Nie wypuścił noża z ręki. Spojrzał raz jeszcze na plamy pokrywające dłonie i spróbował sobie przypomnieć, jak trafił do domu. Nie udało się. Niczego nie pamiętał. Podniósł się z trudem, oparł o ścianę i stanął chwiejnie na własnych nogach po raz pierwszy od szesnastu godzin. Zakręciło mu się w głowie.

Kelly mierzył sześć stóp i trzy cale. Ważył kiedyś nie mniej niż sto dziewięćdziesiąt funtów. Tyle że to było dawno temu, gdy miał dwadzieścia lat. Teraz, gdy przekroczył wiek Chrystusowy, spadł do poziomu stu pięćdziesięciu funtów i wciąż chudł. Niemyte od dawna włosy opadały pozlepianymi kędziorami aż na ramiona, zakrywając uszy. Twarz zdobił mu wielodniowy zarost, już dawno przestał pamiętać o regularnym goleniu. Nadal miał też na sobie to samo ubranie, które założył cztery dni temu, kradzione granatowe dresy i biały T-shirt od Marksa & Spencera. Nie potrafił zebrać myśli ani zogniskować wzroku, w ustach czuł suchość i niesmak. Miał też doła i był cholernie wkurzony. Zauważył ślady krwi na koszulce. Zaczął je pocierać dłonią, jakby dzięki temu mógł pozbyć się plam. Ściągnął w końcu T-shirt jedną ręką i cisnął go w kąt. Zataczając się, podszedł na drugą stronę pokoju, do brudnej i popękanej umywalki. Oparł się łokciem o ścianę i spojrzał w pokrytą nalotem, przyklejoną do tynku

połówkę lustra. Pieprzyć to! Odbicie nie wyglądało najlepiej, nawet dla niego, chociaż spędził całe lata na zerkaniu w lustro i obserwowaniu powolnej dezintegracji swojej twarzy. Zrobiony nad lewym okiem tatuaż przedstawiający dłoń dzierżącą nóż wyglądał, jakby ktoś spuścił z niego powietrze; na jego przykładzie widać było wyraźnie, jak bardzo Kelly schudł ostatnimi czasy.

Dziecko znów zaczęło się drzeć. Wsunął kradziony kompakt Black Sabbath do wyniesionego ze sklepu odtwarzacza i podkręcił głośność. Potem odlał się do plastikowego wiadra stojącego pod zlewozmywakiem i raz jeszcze spróbował przypomnieć sobie wydarzenia minionej nocy. Nadal niczego nie pamiętał. Gdy zaczął zmywać krew z rąk, rzucił okiem na leżącą pod ścianą, zmiętą koszulkę. Przez całą minutę obmacywał mokrymi palcami twarz i szczękę, sprawdzając, czy nie ma potłuczeń albo opuchnięć. W końcu podłożył płomień pod aluminiową folię, w której trzymał działkę heroiny, i zaciągnął się głęboko.

Na korytarzu usłyszał odgłosy awantury, trzaskały drzwi, ludzie klęli i wrzeszczeli, znowu rozdarło się dziecko.

- Zarżnę tego pieprzonego bachora. Słowo daję, że go zarżnę - obiecał sobie i jeszcze bardziej podkręcił głośność odtwarzacza. Rozerwał opakowanie batonika mars i zaczął go przeżuwać. Umysł nadal miał zaćmiony; gdy pociągnął raz jeszcze powietrze z podgrzanej folii, zachciało mu się spać. Uśmiechnął się, ugryzł kolejny kęs batona i zakaszlał. Sięgnął po kradzioną puszkę pepsi, otworzył ją i natychmiast wypił.

Czym ja się dzisiaj ujaram? Jestem przecież kompletnie splukany.

Walić to, trza będzie wyjść.

Zakrwawiony T-shirt znów wpadł mu w oko.

Na korytarzu siedemnastoletnia narkomanka pchała wózek ze swoim półrocznym dzieckiem w kierunku klatki schodowej, jedynej drogi prowadzącej na ulicę. Dzięki nałogowi mamusi dzieciak urodził się z uzależnieniem od heroiny. Wesoła rodzinka mieszkała w samym sercu miasta, w czynszowej kamienicy zwanej Hillcourt Mansions. W miejscu uznanym za najgorszą narkomańską melinę w całym Dublinie. Był to dwupiętrowy budynek z płaskim dachem, zaprojektowany w stylistyce lat pięćdziesiątych dwudziestego wieku. Na każdym piętrze znajdowało się po dwadzieścia lokali, których okna wychodziły na wybetonowane podwórze. Klatki schodowe mieściły się na obu końcach budynku. Zanim zapanowała tu heroina, dochodziło jedynie do drobnych przestępstw; ktoś komuś wyrwał torebkę, naprał po pysku albo zaczepiał wszystkich po pijaku. Ale gdy miasto zalała fala twardych narkotyków, Hillcourt Mansions stało się naprawdę niebezpiecznym miejscem. Lekarze odmawiali wchodzenia do mieszkań, policja odważała się na to tylko w wielkiej sile, a i to nie na długo. Kamienica stała się synonimem piekła na ziemi. Zdewastowaną ruiną pełną graffiti, zużytych strzykawek i melin.

Kelly miał samodzielny pokój wydzielony z mieszkania na wynajem. Spędzał w nim większość czasu, leżąc na lepkiem od brudu materacu, otepiiony zażywaniem różnych kombinacji narkotyków. Nie posiadał niczego wartościowego, prócz kradzionego odtwarzacza i kilku płyt CD. W kącie stał też wielki plastikowy kosz na śmieci, w ćwierci zapełniony zużytymi strzykawkami i kawałkami folii, w której

kiedyś znajdowała się heroina. Pod materacem ukrywał kolekcję noży: sprężynowców i składanych o szerokich albo wąskich ostrzach. Niemal na każdym z nich można było znaleźć ślady krwi. Pokój, w którym przebywał, był odrażającą norą, zapchlona i wiecznie śmierdzącą uryną.

Ale to akurat najmniej przeszkadzało Micko Kelly'emu.

# 5

## Godzina 15.30

- Przepraszam, że przeszkadzam, panie Nolan, ale muszę zakomunikować dziewczętom coś ważnego.

Siostra Concepta Downes stanęła w drzwiach klasy numer sześć w budynku Bractwa Różańca Świętego w Blackrock. Szkołę od parku Sandymount dzieliły niespełna cztery mile. Znajdujący się tuż za zakonnica detektyw Tony Molloy obserwował uważnie wnętrze pomieszczenia, czekając cierpliwie na swoją kolej. Siostra Concepta miała na sobie służbowy strój. Granatowy czubaty czepiec sięgał tylko do połowy czoła, nie zasłaniając siwej grzywki. Długa szara suknia, biała bluzka i narzucony na nią sweter barwy stali dopełniały zakonnego ubioru. Z szyi zwisał jej spory drewniany krucyfiks, przebierała po nim nerwowo palcami. Miała zaledwie pięć stóp i dwa cale wzrostu, przy postawnym policjancie wyglądała jak karzełek.

- Przedstawiam sierżanta Molloya. Chciałby wam coś przekazać. - Kierowała te słowa do nauczyciela języka francuskiego, Gerry'ego Nolana, ale wypowiedziała je wystarczająco głośno, aby dotarły do wszystkich w klasie.

Wykładowca był przystojnym mężczyzną po trzydziestce, nosił luźne spodnie, lnianą marynarkę i rozpiętą pod szyją ciemnoniebieską koszulę. Odsunął się od tablicy i stanął przy kaloryferze.

- Obawiam się, że mam bardzo złe wieści - zaczęła zakonnica,

dobierając ostrożnie każde słowo.

Molloy przyglądał się twarzom dwudziestu dwóch dziewcząt siedzących za pulpitami. Miały po siedemnaście, może osiemnaście lat, wszystkie były śliczne i zgrabne, jakby pochodziły z rasowej hodowli i stosowały dietę przez całe życie. Były między nimi także Murzynki i Azjatki, zapewne córki dyplomatów, uznał detektyw. Dziewczęta miały na sobie szkolne mundurki, szare spódnice, białe bluzki i granatowe krawaty. Pod pulpitami dostrzegł wysokie granatowe skarpetki i czarne proste buty. Nie zauważył ani jednej pary adidasów. Mimo to od uczennic biła przytłaczająca aura bogactwa i uprzywilejowania. Były to dziewczyny przywożone do szkoły najnowszymi modelami beemek, volvo i merców; żadna z nich nie trafiła tutaj z wnętrza zdezelowanej toyoty corolli z lat dziewięćdziesiątych, takiej jak ta, której żona Molloya używała do podrzucania na zajęcia trójki ich dzieci.

- Obawiam się, że nie ma już wśród nas Jennifer Marks.

- Słowa zakonnicy zawisły w powietrzu, zaskoczone uczennice wymieniały zdezorientowane spojrzenia. - Jenny nie żyje.

Dziewczęta równocześnie zaczerpnęły tchu, ich twarze wyrażały teraz przerażenie i niewiarę.

- Jezu Chryste... - wymamrotał pod nosem Gerry Nolan.

- Nie mogę powiedzieć nic więcej. Wiem, że to musi być dla was straszne przeżycie - ciągnęła szybko siostra Concepta. - Obecny tutaj sierżant Molloy chciałby się dowiedzieć, czy któraś z was widziała Jennifer, niech spoczywa w pokoju - przeżegnała się - wczoraj po zajęciach.



Wszystkie głowy odwróciły się natychmiast w kierunku ciemnowłosej dziewczyny siedzącej w drugim rzędzie od końca, pod oknem.

- Dobrze - dodała zakonnica. - Myślę, że Joan Armstrong - spoglądała w stronę dziewczyny wskazanej przez resztę klasy - powinna wyjść razem z nami. Zdaje się, dziecko, że byłaś bliską przyjaciółką Jennifer. - Zmusiła się do pośłania przyjaznego uśmiechu w stronę uczennicy.

Joan Armstrong miała problem z zachowaniem spokoju.

- Tak, siostrze.

Molloy dostrzegł, że jej ręce drżały lekko, gdy wstawała. Cała krew odpłynęła z twarzy dziewczyny.

- Czy chce pan dodać coś od siebie, sierżancie?

- Dziękuję, siostrze. - Głęboki głos policjanta kontrastował z cichymi dźwiękami wydawanymi przez zakonnice. Molloy podciągnął spodnie i przetoczył raz jeszcze wzrokiem po klasie. Zmarszczył brwi. - Przykro mi, że przynoszę wam tak smutne wieści, ale sytuacja jest naprawdę wyjątkowa...

- Urwał, zastanawiając się, jak im to zakomunikować. Uznał, że nie powinien owijać w bawełnę. - Jennifer Marks została zamordowana minionej nocy.

Dziewczyna siedząca w pierwszej ławce zbladła i zaczęła się osuwać z krzesła. Gerry Nolan rzucił się w jej kierunku i zdążył przytrzymać, zanim uderzyła głową o podłogę. Siostra Concepta natychmiast do niego dołączyła, połuźniła krawat i przetoczyła nieprzytomną na plecy. Pozostałe dziewczęta siedziały w milczeniu,

dochodząc do siebie. Zakonnica ponagliła Molloya skinieniem ręki, cały czas podtrzymując drugą dłonią głowę nieprzytomnej uczennicy. Joan Armstrong opadła na krzesło, oddychając szybko i głęboko.

- Jeśli wiecie - dodał szybko Molloy - co robiła Jennifer wczoraj po południu, poinformujcie o tym, proszę, waszego wychowawcę. - Spojrzał w kierunku Nolana, a ten odpowiedział mu energicznym skinieniem głowy. - On spisze wasze zeznania i przekaże mi je później.

Omdlała dziewczyna powoli wracała do przytomności. Jęknęła głośno, jakby nie rozumiała, co się z nią stało. W klasie rozległo się kilka nerwowych chichotów. Molloy uznał, że najwyższy czas wyjść. Otworzył drzwi i przytrzymał je w takiej pozycji. Siostra Concepta podążyła za nim. Wyprowadziła na korytarz młodzieńką i mocno wystraszoną uczennicę.

- Przejdźmy do mojego gabinetu - zaproponowała.

Molloy opuścił park Sandymount tuż po trzeciej, aby udać się do szkoły zakonnej. Jim Clarke zajął się już przepytывaniem okolicznych mieszkańców, chodząc od drzwi do drzwi. Miał nadzieję, że uda mu się zebrać wystarczającą ilość istotnych szczegółów, zanim zetrą się one w pamięci tych ludzi. Molloy, jadąc do Blackrock, wysłuchał najnowszych wiadomości w radiu. Informację o znalezieniu ciała Jennifer Marks podawano na samym początku, jako news dnia. Jedna z rozgłośni przerwała nawet program publicystyczny współredagowany przez słuchaczy, aby poinformować o najnowszych ustaleniach śledztwa. Dzwoniący do prowadzącego natychmiast zaczęli wyrażać niezadowolenie i niesmak z powodu takiego obrotu

sprawy.

Ta sprawa narobi szumu, pomyślał detektyw, wjeżdżając na utrzymane w nienagannym porządku tereny przyszkolne. Narobi naprawdę sporego szumu. Poczował ucisk w żołądku i natychmiast sięgnął po antacyd.

- O której godzinie rozstałaś się z Jennifer?

Siedzieli we trójkę w gabinecie dyrektorskim: Molloy, siostra Concepta i Joan Armstrong. Było to jasne, przestronne pomieszczenie wypełnione księgami o religii i grafikami zajęć nauczycieli. Zakonnica zajęła miejsce za biurkiem, a detektyw usiadł obok uczennicy. Czuł niepokój, spoglądając na nią. Była wysoka, oceniał, że mierzy nie mniej niż pięć stóp i dziewięć cali. Wyglądała przy tym znacznie doroślej, niż sugerował to jej wiek. Nawet luźny szkolny mundurek nie potrafił ukryć ponętnych krągłości. Kruczoczarne długie włosy zaczesywała do tyłu, spinając je ciasno w skromną fryzurę. Molloy jednak bez najmniejszego trudu potrafił ją sobie wyobrazić szalejącą podczas sobotniej dyskoteki w obcisłym stroju z rozpuszczonymi, sięgającymi ramion włosami. Na twarzy Joan dostrzegł niewielkie plamki kosmetyku maskującego trądzik. Dziewczyna była atrakcyjna, nie nazwałby jej jednak piękną, ale te pełne usta musiały wyglądać prowokacyjnie, gdy pokrywała je czerwona szminka.

Zanim udał się do klasy, siostra Concepta uprzedziła go, czego może się spodziewać. Joan Armstrong nie powinna nigdy poznać treści tych słów.

- Bardzo często przebywały ze sobą, były naprawdę zżyte.

Molloy od razu wyczuł, że zakonnica nie wyrażała zbyt

entuzjazmu dla tej przyjaźni.

- Są... - poprawiła się natychmiast - a raczej były bardzo podobne do siebie. Dojrzałe, nad wiek rozwinięte i jak na mój gust nieco zbyt pretensjonalne. Nawet wyglądały podobnie, prawie jak siostry. Ubierały się w tym samym stylu, czesały tak samo i wyrażały równie nieprzyzwoicie. Muszę przyznać, że nie aprobowałam większości ich zachowań.

- Na przykład jakich?

- Dowiedziałam się, że paliły, a u nas jest to surowo zabronione - wyjaśniła z wyczuwalną dezaprobatą. - No i wychodziły do pubów w każdy weekend.

Molloy nie zdołał się powstrzymać od wtrącenia:

- Dobry Boże, siostrze, to nie średniowiecze. Większość dzieciaków w ich wieku przesiaduje całe weekendy w pubach.

Siostra Concepta nie dała się zbić z pantałyku.

- Wiem o tym, sierżancie. Wiem o tym aż za dobrze. Najbardziej niepokoi mnie rodzaj lokali, do których najczęściej zaglądały. Podobnie - dodała w zamyśleniu, przygryzając dolną wargę - jak ich rodziców.

Molloy zachęcił ją gestem do rozwinięcia tego tematu.

- Ojciec Joan zajmuje się bankowością. Ma już sześćdziesiąt lat i zawsze nosi prążkowane garnitury. Idealny dyrektor banku, konserwatywny i spokojny. Joan jest jego trzecim dzieckiem, chyba niespecjalnie chcianym, jeśli rozumie pan, co chcę przez to powiedzieć.

Molloy uśmiechnął się, słysząc tę uwagę.

- Pozostała dwójka - ciągnęła zakonnica - to chłopcy, jeden ma prawie, a drugi ponad trzydzieści lat. Obaj pracują w bankowości, jak ojciec. - Siostra Concepta żywiła wyraźny szacunek dla tych ludzi. - Ale Joan jest ziarnem z zupełnie innego korca. Maltretowała oboje rodziców już od chwili narodzin. Ma buntownicze usposobienie, trudny charakter, nie słucha i kłamie jak z nut. Rzadko kiedy zgadza się z opiniami ojca.

- Jak on się nazywa? - zapytał Molloy.

- Harold, Harold Armstrong... - zakonnica poczekała, aż ta informacja trafi do notatnika Molloya. - Słyszałam, że strasznie się ucieszył, kiedy Joan zaprzyjaźniła się z Jennifer. To znaczy wszyscy uważaliśmy wtedy, że rodzina Marksów jest bardzo porządna. Wie pan, znajomości w kręgach władzy i tak dalej. - Sarkazm w głosie siostry Concepty sugerował, że państwo doktorostwo także nie przypadli jej do gustu.

- Powiadam panu, sierżancie - zniżyła konfidencjonalnie głos - ich radość z tego faktu wyparowała błyskawicznie, gdy okazało się, że obie dziewczyny są sobie warte. Szybko zyskały złą sławę.

- W jaki sposób?

- Cóż - wyjaśniła zakonnica - ojciec przyłapał Joan na pijaństwie. Któregoś wieczora wróciła z zabawy u przyjaciół, mówiąc bardzo niewyraźnie, ubranie także miała w nieładzie.

Zdaje się, że dostała po tym wydarzeniu zakaz wychodnego na cały miesiąc, ale wymknęła się z domu już w następny weekend.

Molloy z trudem powstrzymał się od uśmiechu.

- Niemniej dowiedziałam się o tym - tryumfowała siostra Concepta.

- I wzięłam sprawy w swoje ręce. Osobiście zadzwoniłam do Harolda Armstronga.

Policjant podniósł wzrok znad notatnika.

- W jakim celu?

- Miałam sporo wątpliwości. Zamierzałam podzielić się z nim dręczącymi mnie obawami.

- Jakimi znowu obawami? - naciskał Molloy.

- Joan brała narkotyki. Zapewne wydawało się jej, że poeksperymentuje sobie troszkę, że to jedynie nieszkodliwa zabawa. Ale miałyśmy już tutaj dwie uczennice uzależnione od heroiny, więc dobrze wiem, od czego się zaczyna uzależnienie.

Molloy uniósł ostrzegawczo rękę.

- Co odpowiedział?

Siostra Concepta zachmurzyła się.

- Chciał jedynie wiedzieć, skąd miała pieniądze na narkotyki.

- Wiedziała to siostra?

- Nie. Przepytałam ją na tę okoliczność, ale skłamała, jak zwykle zresztą.

- Jest siostra pewna?

Zakonnica skinęła głową.

- Zwaliła wszystko na przyjaciółkę. Twierdziła, że rodzice Jennifer Marks rozpieszczali ją, dając ogromne kieszonkowe - wymawiając nazwisko zamordowanej uczennicy, zakonnica ponownie się przeżegnała.

- Ale nie wierzyła jej siostra.

- Nigdy, sierzancie. Nigdy.

- Około siedemnastej, albo chwilę po siedemnastej. Wsiadliśmy w Blackrock do kolejki i dojechaliśmy nią do Sydney Parade Avenue.

- Czy Jennifer była w dobrym nastroju? Nie zauważyłaś u niej oznak załamania? Może wydała ci się czymś zaabsorbowana?

- Nie. Zachowywała się normalnie, wie pan, jak zazwyczaj. - Głos Joan Armstrong podniósł się o oktawę, potem spojrzała lęklonie w stronę dyrektorki. Siostra Concepta siedziała jednak ze zwieszoną głową, jakby się modliła.

- Czy ktoś szedł za wami do kolejki? A może zaczepiał was podczas jazdy?

Joan zamyśliła się.

- Nie, nie. To znaczy nie przyglądałam się specjalnie, wie pan, to był normalny dzień zajęć. Chciałam przez to powiedzieć, że nie zwracałyśmy uwagi na ludzi, więc nie pamiętam, czy ktoś nas obserwował - odpowiadała przygnębionym tonem.

Siostra Concepta wyciągnęła rękę i ujęła dłoń uczennicy. Uścisnęła ją uspokajająco.

- Zadzwoiłam już do twojej matki, Joan. Poinformowałam ją o tym, że zostaniesz przesłuchana przez sierżanta Molloya. Poprosiła mnie, żebym dopilnowała, abyś przypomniawszy sobie o każdym szczególe.

- Ale ja się staram, siostrze. Naprawdę... - Protest Joan zabrzmiał mniej niż przekonująco.

- Dobra z ciebie dziewczyna - odparła zakonnica kojącym tonem. - Dobra dziewczyna. - Cofnęła rękę.

- Zatem ostatni raz widziałaś Jennifer wczoraj po południu, około

siedemnastej, po tym, jak wysiadłyście z kolejki przy Sydney Parade Avenue? - Molloy zdecydował, że nie będzie zbyt ostry. Przesłuchiwał dziewczynę bez obecności jej rodziców, wolał więc uniknąć wszelkich problemów na wypadek, gdyby musiał spotkać się z nią raz jeszcze.

- Tak. Ona poszła w stronę Ailesbury Gardens, a ja ruszyłam w przeciwnym kierunku, przez Park Avenue. Zawsze tak robiłyśmy. - Nerwowe drżenie głowy i rąk sugerowało jednak coś zupełnie przeciwnego.

- Ale nie dotarła do Ailesbury Gardens - naciskał Molloy. - Trafiła za to do parku Sandymount. A to ponad mila w przeciwnym kierunku.

Joan wzruszyła nerwowo ramionami.

- Tak, to naprawdę dziwne, wie pan. To znaczy naprawdę nie mam pojęcia, jak się tam znalazła, skoro to tak daleko i nie w tę stronę.

- Nie domyślasz się? Nic nie przychodzi ci do głowy?

- Nie, nic.

- Ona kłamie, sierzancie. Tyle mogę panu powiedzieć. Nauczam od ponad trzydziestu lat i wiem, kiedy ktoś kłamie, może mi pan wierzyć. Widział pan kłamliwe oblicze Joan Armstrong.

Dwadzieścia minut zadawania tego samego pytania na różne sposoby nie zbiło dziewczyny z tropu i nie zmieniło opowiadanej przez nią wersji zdarzeń. Molloy pozwolił jej wrócić do klasy. Siostra Concepta obserwowała wyjście uczennicy z kamienną twarzą.

- Może po prostu boi się powiedzieć wszystkiego w naszej obecności? - rzucił sierżant.

Zakonnica spojrzała na niego dziwnie.



- Mam nadzieję, że nie chodzi o nic innego. Aczkolwiek nadal w to nie wierzę.

Pierwszy trop znaleziono po niespełna godzinie. Jeden z techników ekipy dochodzeniowej zauważył ślady krwi na elemencie ogrodzenia parku. Znajdowały się na samej górze, w miejscu, gdzie krata wystawała ponad słupek z czerwonej cegły. Roztarte ślady na podmurówce sugerowały, że ktoś szukał w tamtym miejscu oparcia dla stóp. Na dłoniach, którymi przytrzymał się kutego żelaza, miał krew.

- Tak, to musiał być spory sukinsyn. Miał z sześć stóp wzrostu, jeśli nie więcej.

Po przeciwnej stronie pobliskiej ulicy mieściły się biura korporacji taksówkarskiej Star Sign. W takich miejscach ludzie przesiadują w oknie niemal cały czas, przyglądając się życiu tętniącemu za szybą. W zagłębieniach na chodniku, pod punktem obserwacyjnym, leżało zazwyczaj sporo niedopałków.

- Szedł chodnikiem w stronę centrum miasta. - Jeden z taryfiarzy, niski łyсы mężczyzna w okularach jak denka od butelek po coca-coli, poczuł się niezwykle ważny, gdy opowiadał o człowieku, który przemaszerował przed oknami korporacji minionego wieczora około dwudziestej drugiej trzydzieści. - Taki obdartus, wiecie, pies z kulawą nogą by się za nim nie obejrzał. Miał na sobie białą koszulkę, upapraną na piersi, to akurat widziałem wyraźnie.

- Upapraną?

- Poplamioną.

- Jakiego koloru była ta plama? Zauważył pan, skąd szedł i gdzie

się udał potem?

- Nie - odpowiedź była stanowcza. - Nie. Obserwowałem go do momentu, gdy minął tę hinduską restaurację z żarciem na wynos. - Wskazał palcem w dół ulicy. - Potem zniknął mi za ciężarówką zaparkowaną przy chodniku.

Kierowca wracający do bazy około dwudziestej trzeciej widział człowieka pasującego do tego opisu.

- Ganiał jak kurczak, któremu ktoś oberznął łepiek. Chryste, najpierw kręcił się w kółko, potem pognął w dół ulicy.

Wielki, paskudny sukinsyn. Wyglądał strasznie. Wydaje mi się, że był totalnie naćpany.

Podejznanego zauważył także bramkarz z pubu przy Pearse Street, zmotoryzowany dostawca pizzy również zapamiętał go dokładnie.

- O mało nie wpadł na mnie. Pieprzony gnój był na takim haju, że hej. Całą koszulkę miał we krwi.

- Jesteś pewien, że to była krew?

- Jestem kurewsko pewien. Albo krew, albo żarł garściami ketchup.

- Dostawca pizzy był tak zde gustowany, gdy przypomniał sobie, jakim cudem uniknął kolizji, że natychmiast odchrząknął i splunął na asfalt. Był niskim, szczupłym młodzieńcem o pociągłej twarzy. Cuchnął przypalonym olejem. - Miał na głowie tatuaż.

- Na głowie? Wcześniej zeznałeś, że miał długie włosy. Jakim sposobem mogłeś więc zauważyć tatuaż na jego głowie?

- Na czole go miał, palancie - poźółkły od nikotyny paluch wskazał miejsce nad lewym okiem. - Tutaj.

- Co przedstawiał ten tatuaż? Przyjrzałeś mu się wystarczająco

uważnie?

- Jaja sobie ze mnie robisz? Pytasz, czy przyjrzałem mu się dobrze!

- Chłopak zapiszczał z niedowierzaniem. - Wielki skurwiel na haju i do tego pomazany krwią zatacza się na środku ulicy, a ty mnie pytasz, czy mu się dobrze przyjrzałem? Jechałem na motorze, głąbie!

Ale nawet te nieliczne szczegóły okazały się niezwykle pomocne - a gdy połączono je z opisami sporządzonymi podczas pozostałych zeznań, uzyskano bardzo dokładny portret pamięciowy potencjalnego zabójcy.

## 6

### Godzina 17.00

Zatopiony w myślach doktor Frank Clancy siedział za biurkiem w podziemiach szpitala Mercy. W tych piwnicach koncentrowała się działalność szpitalnych laboratoriów i patologów. Codziennie trafiały tutaj próbki ludzkich tkanek, codziennie krajano je i oglądano pod mikroskopami. Próbki krwi, moczu, śliny, kału oraz inne preparaty były dokładnie badane i opisywane. W prawej dłoni Clancy'ego spoczywała złożona na czworo kartka papieru formatu A4 zawierająca wyniki pełnej morfologii krwi pobranej od Harolda Morella, pacjenta leżącego cztery piętra wyżej, na oddziale trzecim.

Clancy, piastując stanowisko głównego konsultanta hematologii, zajmował się ocenami wyników, które spływały w ogromnej ilości ze wszystkich oddziałów szpitala Mercy, na ich podstawie stawiał też diagnozy. Był wciąż młodym człowiekiem - dopiero skończył trzydzieści osiem lat - o bujnej czarnej czuprynie. Jego dziecięce oblicze, kontrastujące z sześcioma stopami i trzema calami wzrostu, wyróżniało go w tłumie pozostałych pracowników oddziału. Zanim otrzymał lukratywną posadę konsultanta, co miało miejsce przed trzema laty, praktykował w Dublinie, Londynie i Chicago. Zmarszczył mocno brwi, gdy zobaczył szósty wynik testu zrobionego w ciągu ostatnich kilku minut, potem odwrócił się w stronę komputera, przysunął bliżej do biurka i zaczął uderzać palcami w klawiaturę.

Najpierw napisał harold, potem dodał morell oraz datę urodzenia pacjenta i jego adres. Na ekranie pojawił się napis: karta numer 276DE149. Clancy kliknął na przycisk opcje, potem wybrał zakładkę hematologia. Po kilku sekundach miał przed sobą usystematyzowane w alfabetycznym porządku wyniki badań krwi Harolda Morella. Przewiął listę, aby zacząć od najstarszej analizy, podstawowego badania morfologicznego, i porównał odczyty z tabelami ilości komórek niezbędnych do zwalczania infekcji, alergii i innych schorzeń.

Wyniki badania datowanego na dwudziestego trzeciego kwietnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego roku wyglądały całkiem normalnie. Tego dnia Morell pojawił się po raz pierwszy w izbie przyjęć szpitala Mercy. Clancy sprawdził, do jakiej kliniki się zarejestrował. Na ekranie pojawił się napis kardiologia. Zaczął przewijać długą listę kolejnych testów robionych na próbkach krwi Harolda Morella w następnych latach. Przejrzenie ich zajęło mu niemal pół godziny. One także nie odbiegały od normy. Rosnąca ilość białych krwinek świadczyła o przebytej podczas leczenia infekcji. Było to wszelako jedyne niewielkie odstępstwo od idealnych odczytów morfologii pacjenta.

Clancy westchnął głośno i usiadł wygodniej. Ponownie sięgnął po niewinnie wyglądającą kartkę spoczywającą obok komputera, wyjął okulary do czytania z bocznej kieszeni białego fartucha i umieścił je na nosie. Obraz krwi Harolda Morella uległ diametralnej zmianie, nagle i w niewytłumaczalny sposób. Niedawno, ale w sposób niosący ogromne niebezpieczeństwo dla życia pacjenta.

Clancy wstał, przeciągnął się i ziewnął. Podszedł wolnym krokiem do stołu laboratoryjnego zastawionego rzędem mikroskopów. Usiadł przed jednym z urządzeń, włączył je i wiązka niezwykle jasnego światła trafiła w rozmazaną szkarłatną plamkę umieszczoną pomiędzy dwoma cienkimi szkiełkami pod obiektywem. Clancy zdjął okulary i przyjrzał się badanej próbce. Przesuwał ją jedną dłonią, drugą poprawiając ostrość. Za każdym razem, gdy poruszał szkiełkami, uzyskiwał identyczny obraz. Z krwi Harolda Morella zniknęły wszystkie białe krwinki. Te, których zadaniem było zwalczanie najmniej nawet groźnych infekcji. Nie było ani jednego leukocytu polimorfonu-klearnego. Wyjął wymaz i umieścił pod mikroskopem inną próbkę. Tym razem był to szpik kostny.

Nieco wcześniej Clancy usiadł za plecami leżącego na boku ciężko chorego Harolda Morella. Wszystkie zasłony wokół jego łóżka zostały szczelnie zaciągnięte.

- Poczujecie pan teraz dość przykry ból w dole pleców - ostrzegł, układając pacjenta.

- Spokojnie, doktorze, niech pan robi co trzeba.

Moreli mówił cicho, w jego słowach dawało się wychwycić ton rezygnacji. Tubalny głos, którym poganiał robotników na budowach, zniknął bezpowrotnie. Wcześniej był brygadzystą i inspektorem nadzoru. Wielkim chłopem o dłoniach jak bochny chleba.

Clancy ubrał się w sterylny kombinezon, założył także gumowe rękawiczki i maskę na twarz, dopiero potem oczyścił dolną część pleców Morella antyseptycznym wacikiem. Przesunął wprawnie palcami po linii kręgosłupa, docierając aż do miednicy, aby sprawdzić

rozmieszczenie kości. W końcu znalazł odpowiedni punkt i natychmiast znieczulił pacjenta miejscowo. Dzięki długiej igle rozprowadził środek anestetyczny nie tylko pod skórą i w przylegających do niej tkankach, ale też głębiej, docierając w pobliże kości. Potem wbił ostrożnie ostry szpic stalowego trokara w wybrane miejsce, zagłębiając go powoli w ciele, dopóki nie dotarł do kości miednicy Harolda.

- Proszę się rozluźnić, panie Moreli.

Wyczuł, że pacjent zeszywniał w momencie rozpoczęcia zabiegu. Zaczął obracać trójgraniastym ostrzem trokara, wierząc nim cierpliwie dziurę w litej kości.

- Jezu Chryste - wyjęczał Harold Moreli przez zaciśnięte zęby.

W tym momencie czuł ból w całym ciele. Narzędzie chirurgiczne przewierciło się przez kość, docierając do szpiku. Lepki, melasowaty płyn zaczął sączyć się z ranki. Ten sam, który Clancy oglądał teraz pod mikroskopem. Nie znalazł w nim jednak żadnych śladów białych krwinek. Fakt, że pacjent miał bardzo małe ilości leukocytów w próbkach krwi pobranej z żył, był niepokojący, ale ich nieobecność w szpiku, tam gdzie powinny powstawać, wydawała się wprost złowieszcza.

- To bez wątpienia agranulocytoza - wymamrotał do siebie Clancy.

Tą nazwą określano jednostkę chorobową, której objawem był brak leukocytów we krwi obwodowej i szpiku kostnym. Niektórzy lekarze woleli nazywać ją neutropenią. Clancy zawsze trzymał się pierwotnej, dłuższej nazwy. Jego zdaniem brzmiała poważniej.

Podniósł dyktafon i zaczął referować wyniki przeprowadzonych

testów i badań. W miarę mówienia przewracał strony kartoteki Morela. Pacjent miał sześćdziesiąt jeden lat, leczył się na dławicę piersiową od siedmiu lat, zmiany miażdżycowe w arteriach posunęły się u niego tak daleko, że niedokrwienie zaczęło stwarzać poważne zagrożenie dla życia. Gdy dochodziło do niewydolności wieńcowej, Moreli doświadczał bólu i uczucia ucisku w klatce piersiowej. Został przyjęty do szpitala Mercy na rutynowe badania, potem przeszedł bardziej szczegółowe oględziny, w końcu zrobiono mu koronarografię. Do jego tętnic podano kontrast umożliwiający ich podświetlenie za pomocą promieniowania rentgenowskiego, dzięki czemu można było ocenić średnicę żył i wykryć każde ich zwężenie.

Clancy czytał wpisy do kartoteki, wynotowując wszystkie procedury stosowane przez Lindę Speer. Przyjrzał się też uważnie jej wnioskom:

EKG podczas próby wysiłkowej pokazało obniżenie odcinka ST w płacie dolnobocznym. Zmiany te, choć jeszcze niezdiagnozowane, mogą być przyczyną niedokrwienia.

Poniżej znajdował się opis wyników angiogramu:

Natychmiast po wstrzyknięciu kontrastu do prawej arterii pacjent poczuł ostry ból serca, czemu towarzyszyło uniesienie odcinka ST. Podano mu atropinę, nitroglicerynę i nifedipinę pod język. Ból ustąpił po upływie około sześciu minut. Zdiagnozowano krytyczne zwężenia w środkowych odcinkach obu arterii, tak lewej, jak i prawej. Zwężenie tętnicy okalającej oceniane jest na około 50%. Wentrykulografia lewej strony potwierdziła prawidłowe działanie lewej komory serca.



Na końcu dodano zalecenia:

Konieczna konsultacja z doktorem Marksem w sprawie wszczepienia pacjentowi bypassów.

Morell został odesłany do domu, by spokojnie czekał na swoją kolej, ale po tygodniu jego stan uległ pogorszeniu i ponownie trafił na ostry dyżur. Clancy przerzucił kartotekę na zapis dotyczący przeprowadzenia operacji.

Diagnoza przedoperacyjna: niestabilna choroba niedokrwienna serca, pacjent przeszedł przedsionkowy zawał serca w ciągu minionych dwunastu godzin, zastosowano terapię streptokinazową.

Główny cel operacji: usunięcie zwężeń trzech arterii okołosercowych.

Zastosowane procedury: natychmiastowe wszczepienie trzech pomostów aortowo-wieńcowych

(LIMA do LAD, VG do RCA3, VG do OM1)

Chirurg: Dan Marks Anestezjolog: W. Carter Asystowali: N. Dowling i L. Speer Perfuzjonista: L. Moloney Komplikacje: restemotomia z powodu krwawienia Informacje dodatkowe: Harold Moreli został przyjęty po lekkim zawale serca. Reakcja na streptokinazę prawidłowa. Operowany następnego dnia, około szesnastu godzin po wystąpieniu objawów zawału. Wszczepiono trzy bypassy. Stan naczyń poza podwiązkami bardzo dobry. Zaraz po operacji wystąpiło silne krwawienie, zmuszając nas do ponownego otwarcia w rejonie operowanych naczyń. Nie wykryliśmy żadnych uchybień. Krwawienie ustało po pewnym czasie. Zapewne było wynikiem terapii

trombolitycznej. Pacjent po zabiegu czuje się dobrze.

Przepisane leki: adizem 120 mg dziennie, aspiryna D/N 300 mg dziennie.

Czytając ten zapis, Clancy zauważył, że przy operacji asystowała Linda Speer. Wydało mu się to dosyć niezwykle jak na taki przypadek. Kardiochirurdzy z wielką ochotą przyjmowali obecność kolegów po fachu na sali operacyjnej, zwłaszcza gdy chodziło o lekarzy tej samej specjalności. Lindę Speer można było bez wątpienia zaliczyć do światowej sławy kardiologów. Uznawano ją za jednego z najlepszych ekspertów, jeśli chodzi o odczytywanie i interpretowanie kardiogramów czy angiogramów, ale z pewnością nie znała się na chirurgii naczyniowej. Clancy rozważył tę kwestię dokładniej, ale odrzucił przychodzące mu do głowy wnioski, traktując je jako efekt swojej zachowawczości. Widział przecież wyraźnie, że w tym przypadku chodziło tylko o nieskomplikowany zabieg kardiologiczny.

Prowadzenie pacjenta w trakcie operacji, a także w fazie przed-i pozabiegowej wydawało się bez zarzutu. Pasowało też do najwyższych międzynarodowych standardów. Harold Moreli czuł się tak dobrze, że wypisano go do domu już po sześciu dniach, wyznaczając jednocześnie kontrolny angiogram po upływie trzech miesięcy od operacji. Niestety na cztery dni przed upływem tego terminu pacjent został ponownie przewieziony do szpitala, gdy z pozoru niegroźna infekcja dróg oddechowych stworzyła poważne zagrożenie dla jego życia. Na izbie przyjęć stwierdzono, że Moreli gorączkuje, poci się obficie i ma potworne dreszcze. Choroba doprowadziła jego organizm do wycieńczenia i gdyby nie

zastosowana w ostatnim momencie dożylna terapia antybiotykowa, zmarłby w ciągu najbliższych dni. Gdy stan pacjenta wreszcie się poprawił, zajmujący się nim lekarze spróbowali dociec przyczyn tak gwałtownego przebiegu infekcji. Szybko odkryli, że Moreli cierpi na rzadkie zaburzenia krwi. Wtedy właśnie powiadomiono o sprawie jego, Clancy'ego.

Frank przewertował dokumentację, wracając do zapisków dotyczących leków podawanych w trakcie kuracji. Przygryzał wargę podczas lektury. Moreli otrzymywał jedynie standardowe specyfiki stosowane przy chorobach układu krążenia. Raz dziennie adizem i dwie dawki aspiryny D/N. Clancy wiedział, że aspirynę podawano niemal wszystkim pacjentom, którzy przeszli operację serca. Rozrzedzała krew, pomagając w jej szybszym przepływie przez zwężone arterie. Skrót D/N oznaczał, że pacjent miał brać po jednej tabletkie rano i wieczorem. Wolno rozpuszczający się lek pozwalał dzięki temu na całodobowe utrzymanie obniżonej gęstości krwi. Aspirynę D/N produkowano w Stanach Zjednoczonych. Szpital Mercy nie miał jej w wykazie swoich leków, ale nie zabraniał stosowania, ponieważ był to stary i sprawdzony farmaceutyk.

Clancy przejrzał wpisy z obchodów, poszukując informacji o podawaniu innych leków, które nie figurowały na stronie zaleceń. Niczego nie znalazł. Wciąż jednak uważał, że tak nagła i niebezpieczna zmiana składu krwi Harolda Morella mogła wynikać z podania mu jakiegoś specyfiku. Ta teoria wydawała mu się najbardziej prawdopodobna. Niemniej leki, które przepisano pacjentowi, nie mogły wywołać agranulocytozy. Clancy usiadł

wygodniej, zdjął okulary i potarł palcami nasadę nosa. Rozejrzał się uważnie po laboratorium, jakby gdzieś pomiędzy probówkami kryło się wyjaśnienie zagadkowej choroby Harolda Morella.

- Agranulocytoza... - wymamrotał pod nosem - i to już trzeci przypadek w ostatnich miesiącach. - Zakręcił się na obrotowym krześle. - O co tu może chodzić?

Spojrzał na zegarek i jęknął. Był już spóźniony o całą godzinę. Wiedział, że nie dotrze na czas do domu i jak zwykle w takiej sytuacji zastanie przypalony obiad oraz żonę spoglądającą znacząco na zegar.

Frank Clancy ożenił się z piękną brunetką. Miała na imię Anna i była od niego młodsza o sześć lat. Spotkali się na uniwersytecie, gdzie ona zgłębiała języki współczesne, a on kuł patologię. Znajomość skończyła się wzajemnym studiowaniem własnych ciał. Rok później wzięli ślub. Anna podążała za nim wszędzie, gdzie musiał praktykować po ukończeniu studiów; mieszkali w Londynie i Chicago. Pierwsze dziecko, syna imieniem Martin - teraz ośmioletniego - urodziła w Anglii, a drugie, córkę Laurę (cztery latka), w Seattle. Pojechali tam na konferencję, podczas której Annie niespodziewanie odeszły wody. Laura przyszła na świat w przerwie pomiędzy odczytem na temat białaczki i pokazem slajdów obrazującym przeszczepianie szpiku kostnego. Rodzina Clancych wróciła do Irlandii, gdy pojawiła się oferta pracy w szpitalu Mercy. Anna była zachwycona, widząc szansę na ustatkowane życie. Ale natłok pracy doprowadził szybko do pierwszych scysji. Frank Clancy był pracoholikiem. Zostawał na oddziale dłużej niż większość lekarzy, nie protestował też, gdy koledzy z zespołu dzwonili wieczorami do domu,

by skonsultować nagłe przypadki. Anna i dzieci zaczynały mu już wypominać prowadzone do późnej nocy rozmowy o podwyższonych temperaturach czy mylnie zrobionych transfuzjach. Ostatnio obiecał im solennie, że wróci do normalnego rozkładu zajęć.

I jak zwykle nie potrafił dotrzymać słowa.

Westchnął z rezygnacją, odwracając się po raz kolejny do komputera. Palce świerzbiły go, gdy wpisywał agranulocytoza, a potem szukaj. Podał daty graniczne: od 01.01.97 do 13.05.98. Odczekał chwilę, zanim oprogramowanie przeszukało zasoby twardego dysku. Na niebieskim ekranie monitora pojawiły się dwa nazwiska.

Mary Hyland.

James Murphy.

Poniżej znajdowały się adresy, wiek pacjentów, informacje o krewnych i zapisy dotyczące pierwszych wizyt w szpitalu Mercy. Clancy pamiętał oboje doskonale. Nawet to, jak wyglądali. Trafili pod jego opiekę, gdy musieli wrócić na dodatkowe leczenie. W obu przypadkach miał do czynienia z nagłym i nieoczekiwanym atakiem agranulocytozy. Oba zakończyły się śmiercią pacjentów w zaledwie kilka tygodni od wystąpienia pierwszych objawów osłabienia układu odpornościowego.

Na koniec Clancy wpisał pytanie, które w tej chwili najbardziej go nurtowało. Do której kliniki przyjęto ich za pierwszym razem.

Kardiologia.

Kardiologia.

- Tak też myślałem - mruknął do siebie.



# 7

## Godzina 18.02

- Połóżcie ją na środkowym stole. - Noel Dunne, naczelny patolog, kierował wszystkimi działaniami na swoim terenie, a za taki uważał kostnicę miejską Dublina.

Na zewnątrz ruch wciąż narastał, jak to w godzinach szczytu. Coraz częściej słyhać było trąbienie klaksonów - popołudniowa gorączka mocno dawała się ludziom we znaki. Kostnica mieściła się w niewielkim budynku zajmującym prostokąt o wymiarach sześćdziesiąt na dwieście stóp. Przylegał on do tyłów biura koronera przy Store Street, w południowej części starego miasta. Obok znajdowała się także komenda policji i koryto Liffey, największej rzeki przepływającej przez miasto, która uchodziła do morza niespełna ćwierć mili dalej na południe. Budynek ten miał już ponad sto lat i niezwykle bogatą historię. Wewnątrz wyłożonych białymi kafelkami murów ustalano przyczyny śmierci wielu pokoleń dublińczyków. Tutaj też przeprowadzono wszystkie sekcje zwłok. Ciała zatłuczonych na śmierć, wysadzonych, spalonych, utopionych, zastrzelonych, uduszonych, powieszonych i zadźganych obywateli musiały trafić na jeden z trzech stołów znajdujących się w centralnym pomieszczeniu kostnicy. Zwłoki wyłowione z Liffey albo na otwartym morzu lub też znalezione po wielu dniach składano na zapleczu, zwanym „pokojem śmierdzieli”. Drzwi pomiędzy tymi salami skrzypiały nieustannie,

poruszane przeciągiem powstającym z winy szczelin w niedokładnie spasowanych futrynach. Dach kostnicy wykonano ze szkła wzmocnionego stalowymi prętami. Dzięki temu do wnętrza wpadało sporo naturalnego światła.

Trzy stoły do sekcji z białego marmuru ustawiono na samym środku głównej sali, w odległości sześciu stóp od siebie. W kamieniu wryto głębokie rowki, aby krew nie ściekała na podłogę. U węzłowia każdego stołu podpięto gumowe węże, którymi płyny wyciekające z ciał trafiały do umieszczonych poniżej odpływów. Nad białymi katafalkami zawieszono wielkie lampy bezcieniowe, na wypadek gdyby prowadzone badania przeciągnęły się do późnej nocy. W dawnych czasach pomieszczenie to ogrzewał kominek, ale rozebrano go przed laty i zastąpiono elektrycznymi kaloryferami, których zadaniem - gdy zachodziła taka potrzeba - było usuwanie panującego tutaj wiecznego chłodu. Gdyby dublińska kostnica potrafiła mówić, jej głos musiałby brzmieć ochryple od hektolitrów przelanej w jej wnętrzu whiskey i guinnessa oraz ton wypalonego tytoniu. Ale ściany milczały jak zaklęte, dobrze chroniąc sekrety zmarłych.

Ciało Jennifer Marks spoczęło na środkowym stole, twarzą w dół. Z jej pleców wciąż wystawał trzonek noża.

- Dobra, Joe. Zrób tyle ujęć jej pleców, ile ci trzeba.

- Dunne obszedł stół wolnym krokiem, oczy lśniły mu znad sumiastych wąsów i wielkiej brody, gdy przyglądał się ofierze. Za nim podążał Joe Harrison, dyżurny fotograf ekipy dochodzeniowej.

Błysk! Pierwsze ujęcie na tej rolce dokumentowało płaski krajobraz pleców i sterczący z nich, niczym drogowskaz, trzonek noża.



W sali autopsyjnej roilo się od ludzi. Oprócz Dunne'a i Harrisona znajdowało się tam jeszcze trzech ubranych na biało techników z ekipy dochodzeniowej i specjalista od pobierania odcisków palców. Dwaj pracujący nad tą sprawą detektywi, ubrani także na biało, stali pod ścianą, przyglądając się obojętnie prowadzonym oględzinom.

Odziane w chirurgiczne rękawiczki dłonie zaczęły rozbierać zimne, sztywne ciało młodej dziewczyny. Zaczęły od zdjęcia adidasów.

- Na tylnej części podeszew obuwia widoczne żdźbła trawy - wymamrotał Dunne.

Błysk! Ujęcie adidasów.

Teraz kolej na granatowe podkolanówki, zsunięto je ostrożnie ze sztywnych nóg i ułożono na sąsiednim, pustym stole do autopsji. Obok czekały już woreczki na dowody rzeczowe.

- Na skarpetach widać ślady krwi. - Dunne zapisał coś na karcie sekcji zwłok.

Czarne majteczki zostały zsunięte i sprawdzone pod kątem obecności nasienia. Potem zdjęto krótką spódniczkę. Na niej szukano nie tylko śladów spermy, ale też krwi i trawy. Do materiału przylgnęło sporo kawałków liści, grudek ziemi, kilka ziarenek żwiru i fragmenty pajęczyn. Oddzielono je uważnie od wybroczyn.

Błysk! Obnażone lędźwie i uda zostały uwiecznione na błonie.

- Zrób zbliżenia rozartej krwi na zewnętrznej stronie ud - zakomenderował Dunne i cztery kolejne błyski rozświetliły wnętrze sali.

W rękach patologa pojawiła się para ostrych nożyczek. Przeciął nimi - z dala od rany - przesiąkniętą krwią bluzkę, która zdążyła

mocno przywrzeć do skóry. Dunne, chroniony dwiema parami rękawic chirurgicznych, podzielił T-shirt na kilka części. Błysk! Pomieszczenie rozjaśniło się raz jeszcze, gdy nikon Harrisona zrobił zdjęcie nagich pleców młodej kobiety leżącej na zimnym białym marmurze. Z wbitego w nie noża widać było jedynie trzonek. Przez dłuższą chwilę nikt się nie odezwał. Potem patolog otrząsnął się i ruszył dalej wzdłuż stołu, opisując na głos każde znalezisko i dając wskazówki fotografowi, by nie przeoczył żadnego godnego uwagi szczegółu.

Ciało Jennifer Marks leżało tak, jak je znaleziono, prawym policzkiem do dołu. Jej pozbawione życia lewe oko patrzyło prosto w ścianę. Długie czarne włosy były pozlepiane od krwi i splątane. Widać w nich było grudki ziemi, liście i kłębki pajęczyny. Lewe ucho, przekłute trzema srebrnymi ćwiekami, miała za to czyste. Patolog przeczesał jej włosy dokładnie, usuwając brud. Ziemia, liście i pajęczyny trafiły do osobnych pojemniczków, zapieczętowano je i opisano. W końcu nadeszła pora, by odwrócić ciało.

- W porządku, Joe - powiedział Dunne, gdy zaczął znów pisać, po przewróceniu kartki na drugą stronę. - Zrób zbliżenia trzonka tego noża. Z czterech stron.

W czasie gdy Harrison przymierzał się do zrobienia zdjęć, woskowate opuszki palców Jennifer Marks zostały posmarowane czarnym tuszem, aby umożliwić zdjęcie odcisków. Rączka noża sterczącego z pleców dziewczyny wyglądała dziwnie, była krótka i wąska, opleciona jutowym sznurem. Od końca do ostrza mierzyła tylko cztery cale.

- Wątpię, abym mógł zebrać z niej odciski palców - wymamrotał technik odpowiedzialny za daktyloskopię.

Błysek! Błysek! Błysek! Chwila przerwy. Błysek! Opleciona jutą rękojeść została utrwalona na błonie.

Wyciągnięciu noża z ciała ofiary towarzyszyło głośne mlaśnięcie. Strużka ciemnej krwi wysączyła się z rany.

- Paskudna rzecz - wymamrotał Dunne. Trzymał sztylet za najwęższą część rękojeści. Ostrze było wąskie i płaskie, dwustronne, mierzyło sześć cali od czubka po rękojeść. Na całej długości pokryte było krwią.

Błysek! Błysek! Harrison uwiecznił narzędzie zbrodni, zanim opisano je i zapieczętowano w cylindrycznym kartonie na dowody rzeczowe.

Cztery pary dłoni zabezpieczonych gumowymi rękawiczkami podniosły i obróciły zwłoki twarzą do góry. Steżenie pośmiertne sprawiło, że Jennifer Marks wyglądała jak atletka zrywająca się do biegu z bloków startowych. Jedno z jej kolan było zgięte, drugie całkiem wyprostowane. Obie ręce miała zgięte w łokciach. Plamy opadowe tworzące się na ciele pod działaniem siły ciężenia ozdabiały twarz, szyję i brzuch dziewczyny. W chwili gdy Dunne zaczął oględziny przedniej strony ciała, w korytarzu rozległo się miarowe stukanie laski Jima Clarke'a. Towarzyszyły mu znacznie cięższe odgłosy kroków stawianych przez noszącego okute buty Mossa Kavanagha. Obaj przybyli zatrzymali się kilka stóp od stołu, na którym przeprowadzano autopsję. Przez krótką chwilę Dunne i Clarke mierzyli się spojrzeniami, a potem człowiek o stalowosiwej brodzie i podobnego koloru włosach powrócił do dyktowania opisu badanej

ofiary.

Komisarz sięgnął do kieszeni i namacał w niej kilka paciorków różańca. To był jego osobisty rytuał. Wypracował go sobie w ciągu wielu lat pracy w wydziale. Był człowiekiem wierzącym; w czasach gdy religijność traktowano jako staromodne dziwactwo, on nadal uczęszczał co tydzień na mszę. Wciąż też wierzył w swojego Boga, mimo iż codziennie dane mu było oglądać okropieństwa zdające się przeczyć Jego istnieniu. Zawsze modlił się w intencji dusz ofiar, z którymi miał do czynienia, bez względu na to jak bardzo zdeprawowane i okrutne były za życia. Spoglądał teraz na martwe oblicze Jennifer Marks. Jej niewidzące oczy skierowane na białą ścianę. Na policzku spoczywającym przez wiele godzin w trawie wciąż było widać grudki ziemi. Clarke zaczął bezgłośnie odmawiać modlitwę różańcową. Zdrowaś Maryjo, łaski pełna...

- Zauważalne otarcia na szyi. - Dunne wpadł mu w słowo, dyktując kolejne spostrzeżenie i wskazując łokciem na ślad.

Pan z Tobą...

- Po lewej stronie szyi widać niewyraźne znaki. - Patolog wskazał trop właścicielowi nikona.

Błysk! Otarcia sfotografowano. Harrison zmienił obiektyw i zrobił większe zbliżenie.

Błogosławionaś Ty między niewiastami...

Błysk! Błysk! Błysk!

- Na dłoniach ofiary widać ślady obrony.

Spojrzenia wszystkich zwróciły się w stronę głębokich cięć, w jednym z nich widać było ścięgna.

...i błogosławiony owoc żywota Twojego, Jezus.

- Na lewej piersi dwie rany po uderzeniach nożem.

- Dunne dotknął palcami miejsc, w których nóż przebił skórę, by wymacać kości. - Pierwsze w szóstej przestrzeni międzyżebrowej na linii pachowej środkowej. Rana w kształcie litery V sugeruje, że ostrze noża po zadaniu ciosu zostało w niej przekręcone.

Święta Maryjo, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi...

Podkładka powędrowała na bok. Dunne skupił się na oględzinach drugiej rany. Clarke mógł dokończyć modlitwę w spokoju.

- Dwa cale poniżej obojczyka znajduje się następna rana, tuż pod krawędzią mostka... - Patolog zamilkł na moment, zmienił po raz kolejny okulary. - Wokół niej widać wyraźne otarcia. - Podniósł się, rozprostował plecy i jęknął głośno.

Obserwatorzy wyszczerzyli zęby, wdzięczni za tę chwilę wytchnienia. Clarke nadal przesuwiał w palcach koraliki różańca. Teraz i w godzinę śmierci naszej...

- Facet z pewnością nie miał hamulców - podsumował Dunne, rzucając tę uwagę w przestrzeń.

Amen.

- Ofiara ma trzy srebrne ćwieki w lewej małżowinie usznej oraz tatuaż motyla tuż nad prawym sutkiem. - Patolog pochylił się mocniej. - Profesjonalna robota jak na moje oko.

- Podniósł lewe ramię, na tyle, na ile pozwalało stężenie pośmiertne, i obejrzał je dokładnie. Gdy je puścił, opadało powoli, jakby zanurzało się w gęstym syropie.

Dunne podszedł do stojącej pod ścianą szafki i tak długo szurał

szufladami, aż znalazł spore szkło powiększające. Raz jeszcze obejrzał wewnętrzną stronę łokcia i sapnął głośno.

- Mam ślady po igle. - Podał lupę jednemu z techników ekipy dochodzeniowej. - Sprawdź.

Mężczyzna pochylił się, podnosząc i opuszczając lekko głowę, dopóki nie złapał najlepszej ostrości.

- Zgadza się - przyznał. - Nie ma co do tego wątpliwości.

Clarke przerwał w pół słowa modlitwę „Ojcze nasz”, aby sprawdzić osobiście to odkrycie. Obecność nakłuć zaskoczyła go, i to bardzo. Dunne zanotował coś w papierach i narysował strzałkę wskazującą łokieć. Przesunął wzrok niżej.

- W pępku znajduje się srebrny kolczyk - powiedział i dodał zaraz: - Poniżej widać bliznę po wycięciu wyrostka robaczkowego. - Wodził oczami, szukając dalszych śladów.

Ojcze nasz, któryś jest w niebie...

Nagle głośne tony „zwariowanej melodyjki” dobiegającej z telefonu komórkowego Mossa Kavanagha zakłóciły ponurą atmosferę towarzyszącą oględzinom. Wszyscy obecni odetchnęli z ulgą.

- Szefie - wyszeptał olbrzym - to jej rodzice. Czekają na zewnątrz.

Dunne zasugerował, że sam spotka się z Danem i Annie Marksami.

- Było nie było, to nasz kolega po fachu - wyjaśnił, ściągając gumowe rękawice i ubranie ochronne. - Przynajmniej tyle mogę dla niego zrobić.

Clarke od razu przystał na tę propozycję. Zbyt wiele razy musiał robić podobne rzeczy w przeszłości, więc ucieszyło go, że dzisiaj ktoś inny przekaże złe wieści rodzinie. Słyszał bowiem pogłoski o

przykutej do wózka żonie, którą doktor Marks skutecznie chronił przed mediami. Ciekawiło go, co było tego powodem.

Dan Marks siedział na stalowo-drewnianym krześle przy biurku z fornirowanej płyty w niewielkim pokoju służącym za poczekalnię. Jego żona Annie kuliła się na fotelu inwalidzkim u jego boku. Miała bladą twarz i zapadnięte, podkrążone oczy. Czarne niegdyś włosy, poprzetykane dziś siwymi pasemkami, spięto jej mocno z tyłu. Dzięki temu widać było wyraźnie obwisłe policzki i zmarszczki wokół oczu. Wyglądała znacznie starzej niż na trzydzieści dziewięć lat.

- Doktorze Marks, nazywam się Noel Dunne - wyciągnięta ze szczerą chęcią dodania otuchy dłoń zawisała w powietrzu. - Jestem naczelnym patologiem Dublina.

- Zaprowadź mnie do córki - wpadła mu w słowo Annie Marks. Ignorowała obecność ludzi, wzrok miała utkwiony w drzwiach oddzielających poczekalnię od głównego pomieszczenia kostnicy.

- Obawiam się... - zaczął Dunne, mając nadzieję, że uda mu się oszczędzić tym ludziom przerażającego widoku.

- Ja też jestem lekarzem - wycharczała Annie Marks, nie spuszczając wzroku z drzwi. - Wiem, jak wygląda śmierć. Macie tam ciało mojego jedyne dziecko. Oszczędźcie więc sobie tych gładkich gadek. - Jej głos był szorstki i twardy, mówiła z akcentem wyższych sfer, bardzo zdecydowanie.

Dunne spojrział na Dana Marksa. Ten jednak skinął tylko głową. Wyglądał na załamane. Poprowadził wózek z żoną za drzwi, po marmurowej podłodze, w kierunku środkowego stołu do autopsji. Obecni w pomieszczeniu policjanci cofnęli się, odwracając spojrzenia.

Ciało leżało twarzą do góry, przykryte od stóp po szyję grubym zielonym płótnem.

- Podnieś mnie - warknęła Annie Marks.

Jej mąż otworzył usta, jakby miał zamiar prosić ją, by przestała, ale zaraz z tego zrezygnował. Zacisnął hamulce na kołach wózka, stanął za nim i umieścił dłonie pod pachami żony. Jego masywne, atletycznie zbudowane ręce uniosły wymizerowaną kobietę bez większego wysiłku. Jeden z detektywów już ruszał, by mu pomóc, ale został na miejscu, osadzony mocnym chwytem Dunne'a. Annie Marks stanęła niepewnie na nogach. Chwyciła się krawędzi białego marmuru obiema rękami, ale wciąż nie potrafiła ustać nieruchomo. Przesuwała spojrzeniem po leżącej przed nią postaci, jakby chciała zapamiętać każdy szczegół. Lewą ręką odgarnęła zakrwawiony kosmyk z czoła martwej dziewczyny, potem opuściła głowę i załkała. Już nie panowała nad sobą.

- To ona. Mój Boże, to naprawdę ona.

- Została trzykrotnie ugodzona nożem. Dwa razy w pierś, potem w plecy. - Moss Kavanaugh, stojąc na dziedzińcu za budynkiem kostnicy, relacjonował przebieg sekcji Barry'emu Nolanowi, szefowi działu kryminalnego „Posta”. - Nóż zostawiono w jej plecach, wbity po rękoność... - Kavanaugh zamilkł na moment, oczami wyobraźni widział Nolana piszącego zawzięcie na skrawku papieru. Zrobił małe kółeczko, by rozprostować nogi.

- Macie jakiś trop?

- Jeszcze nie. I żadnych podejrzanych.

- To już wszystko?



- Wiem wystarczająco wiele, żebyś mógł zapełnić całą pierwszą stronę - rzucił policjant, rozglądając się ukradkiem, aby sprawdzić, czy ktoś nie może go usłyszeć. - Dałem ci wystarczającą ilość informacji na wyłączność, za więcej mogliby mnie powiesić za jaja.

- Rozumiem - odparł pojednawczo Nolan.

Kavanagh wiedział o narzekaniach polityków po ostatnich przeciekach do mediów.

- Mogła być pod wpływem narkotyków. Tyle tylko mogę ci powiedzieć na ten temat. Najprawdopodobniej dała sobie w żyłę nie tam gdzie trzeba i ktoś ją dopadł.

- Została zgwałcona?

- Nie mamy pewności.

- Powiesz coś jeszcze? - zapytał reporter.

- Tyle powinno ci wystarczyć, Barry. Jest jeszcze sporo do powiedzenia, ale dowiesz się o tym później.

- Daj spokój, Mossy...

Kavanagh rozłączył się. Nie wspomniał o śladach po nakłuciu. Nie miał zamiaru informować o odkryciu poczynionym przez Tony'ego Molloya.

- Czy to jej rzeczy?

Molloy pojawił się na sam koniec autopsji. Nie cierpiał wszystkiego, co wiązało się z kostnicami: widoków, zapachów, dźwięków, obcowania ze śmiercią. Zazwyczaj wynajdował sobie jakąś robotę, uczynił z tego prawdziwą sztukę uniku, dzięki której omijało go patrzenie na wycinanie, ważenie i badanie większości organów wewnętrznych. Czasami nie odrywał wzroku od wyników

dochodzenia aż do samego końca sekcji.

- Czy to jej rzeczy? - powtórzył nieco głośniejszym głosem, z bardziej niż zazwyczaj zatroskaną twarzą. Majtki, spódniczka i zakrwawiony T-shirt leżały na sąsiednim stole. Koniuszkiem długopisu popchnął pokrytego trawą adidasa. - Czy te rzeczy miała na sobie?

Noel Dunne zignorował jego pytania, nawet na moment nie przestał pisać. Jeden z techników ekipy dochodzeniowej, łysy mężczyzna o krostowatej twarzy, podszedł bliżej.

- Tak, w tym ją tutaj przynieśliśmy.

Molloy nie wyglądał na zadowolonego. Pochylił się tak mocno, że tylko cal dzielił czubek jego nosa od czarnego materiału spódniczki. Obejrzał wszystko dokładnie, potem przeniósł wzrok kolejno na koszulkę, adidasy i znów wrócił do spódnicy.

- Na pewno nie miała tych rzeczy na sobie w szkole.

- Po tych słowach zdał kolegom relację z wizyty w Blackrock. Opowiedział o tym, co tam widział, czego mu nie pokazano i czego się domyślał. Wskazał długopisem na rozłożone części garderoby i obuwie. - Mają tam bardzo ścisłe przepisy dotyczące ubioru. Nie pozwolono by jej na wejście do klasy w takich ciuchach.

Jeden z detektywów otworzył notes.

- Nie wróciła do domu po zajęciach. Musiała przebrać się gdzie indziej.

Clarke postawił kulę przy szafce i oparł się o mebel plecami.

- Mamy tutaj wszystko, co znaleźliśmy na miejscu zbrodni. Nie było tam innych ubrań - powiedział.

Molloy postukał długopisem w spódniczkę, podniósł skrawek

materiału, potem wywrócił go na lewą stronę.

- A to co takiego?

Ton, jakim zadał to pytanie, sprawił, że wszyscy zamarli. Podchodzili do niego kolejno. Na wewnętrznej stronie materiału było sporo plam po zaschniętej krwi, wszystkie miały brązowordzawą barwę, ale jedna z nich była wyraźniejsza od innych, długa i wąska.

- Dajcie mi narzędzie zbrodni - zakomenderował Clarke.

Wąski nóż z oplecioną jutą rękojeścią został natychmiast wyjęty z cylindrycznego pojemnika. Komisarz przyłożył jego ostrze do plamy. Pasowało idealnie. Na moment w kostnicy zapanowała całkowita cisza.

- Czego on tam szukał? - Noel Dunne zadał w końcu pytanie, które musiało nurtować wszystkich obecnych.

## 8

### Godzina 19.12

- Masz działkę? Daj spokój, Jimmy, jestem wykończony. Muszę wziąć.

Micko Kelly wrócił na miasto. Ból w kończynach i brzuchu narastał z każdą chwilą, a pragnienie jeszcze szybciej. Był kompletnie zdezorientowany, ale nogi same prowadziły go tam gdzie trzeba. Ulice w to upalne popołudnie pełne były klientów i pijaków.

- Czego szukasz, Micko? - Chłopak o łasicowatym pysku, ubrany w brudne dżinsy i nasuniętą mocno na czoło czapkę, kręcił się nerwowo po chodniku przed pubem na Moore Street. Pod kataną trzymał komórkę.

- Potrzebuję działki, Jimmy. Zdycham, chłopie, nie leć sobie ze mną w ciula. Masz towar? - Micko błysnął rękojeścią noża zatkniętego za pas dresu. - Potnę cię, jeśli będziesz sobie ze mną pogrywał.

Jimmy cofnął się. Na rękojeści wciąż widać było krew.

- Za ile chcesz?

Kelly wyjął z kieszeni zwitek podniszczonych dwudziestek.

- Daj mi za sto.

Jimmy wybrał numer, potem odszedł kilka kroków i wymamrotał coś do telefonu. Dziesięć minut później przed pubem pojawił się szczupły, groźnie wyglądający oprych w nowiutkim komplecie dżinsowym. W każdym uchu miał po cztery srebrne kolczyki.

Podszedł prosto do Micko Kelly'ego, pod pachą trzymał sporą papierową torbę. Narkoman podał mu pomięte banknoty tak szybko, jak potrafił.

- Wyglądasz rewelacyjnie, Micko - skłamał diler zwany Narko. - Potrzebujesz jeszcze czegoś?

- Nie - burknął Kelly i ruszył w usłaną cierniami drogę powrotną do Hillcourt Mansions.

- Co mu dałeś? - zapytał łasicowaty Jimmy, rozglądając się lękliwie na wszystkie strony, jakby obawiał się natychmiastowego pojawienia policji. Jego przekrwione oczy mrugały nieustannie, nienawykłe do jasnego światła dnia. Jimmy zdecydowanie wolał ciemność.

- Co chciał, kurwa. Szczyptę prochów i tonę sody oczyszczonej.

Kelly dostał największy koszmar narkomana - biały proszek składający się w trzech procentach z heroiny, resztę towaru stanowiła soda spożywcza.

- Widziałeś, jak ten kutas wygląda? - ciągnął Narko.

- Już po nim. Nie ma sensu marnować dobrego towaru na zdychającego śmiecia. Niech zdycha jak najszybciej.

Jimmy jęknął pod nosem.

- Zajebie mnie, jak się skapnie.

Narko wyszczerzył zepsute zęby w szerokim uśmiechu.

- Nie martw się, Jimmy. Ja zawsze dbam o swoich klientów. Ale na Micko raczej już nie zarobimy. Czas szukać nowych rynków zbytu i nowych kupujących.

Łasicowaty Jimmy uwielbiał takie konkretne gadki, dzięki nim czuł się ważniejszy, był biznesmenem. Uśmiechnął się. Niestety z takim

wyrazem twarzy wyglądał jeszcze paskudniej. Potem przypomniał sobie wygląd noża i znów zaczął się niepokoić. Uśmiech zniknął natychmiast.

- Mówię ci, że to kawał skurwysyna. Dobierze się do nas, jeśli zrozumie, co mu sprzedałeś.

Narko splunął na chodnik.

- Niech, kurwa, spróbuje.

Kelly z trudem dowlókł się do swojego pokoju. Po drodze minął ze trzech ćpunów mierzących go uważnie wzrokiem, a zwłaszcza torbę, którą trzymał pod pachą, jakby oceniali, co też za towar może w niej mieć. Ominęli go jednak, gdy zaczął się chwiać i wymiotować. Po zamknięciu drzwi natychmiast wyjął z kosza strzykawkę i opłukał ją wodą z kranu, aby pozbyć się zaschniętej krwi. Głód jednak męczył go do tego stopnia, że przestał zwracać uwagę na brud. Wyjął torbę zatknętą za pas i przygotował sobie strzał. Ręce trzęsły mu się strasznie. Kilka minut później wiedział już, że Jimmy i Narko sprzedali mu szajs.

- Jebane gnoje, jebane gnoje. Pozabijam skurwysynów.

Niestety ból zapanował nad nim niemal natychmiast. Jego głowa już ociekała potem, dlatego wysypał strzykawkę z kosza i przygotował kilka kolejnych działek. Wiedział, że w mieszance jest odrobina heroiny, nie miał już siły, żeby wyjść w poszukiwaniu lepszego towaru.

Opróżnił kolejno siedem strzykawek wypełnionych brudną zawiesiną prosto w jedyną żyłę, której jeszcze całkowicie nie rozorał. Dowlókł się do umywalki, by opryskać wodą twarz i spojrzeć w

potłuczone lustro. Włosy miał przesiąknięte potem, twarz wychudzoną, gałki oczne pozółkłe w miejscach, gdzie nie były przekrwione.

Czuł się paskudnie. Wyglądał jak wrak człowieka. Zaklął głośno z wściekłości, przysięgając, że zabije Narko i Jimmy'ego, jak tylko odzyska siły. Usiadł nawet i wybrał nóż o szerokim ostrzu, ćwicząc pchnięcia nim na materacu. Rozpruł go tak mocno, że w powietrzu zaczęły latać kawałki pianki.

\*

- Wygląda prawie jak on.

W komendzie policji stworzono portret pamięciowy domniemanego sprawcy. Dostawca pizzy nigdy jeszcze nie czuł się tak ważny jak teraz. Siedział za biurkiem, w otoczeniu siedmiu śledczych, i przyglądał się kolejnym fragmentom antropometrycznej układanki.

- Nie, aż taki chudy nie był - rzucał od czasu do czasu.

- Tak, teraz dobrze, dodajcie nieco dłuższe włosy...

- I zaraz potem: - Nie, Chryste, nie. Nie tak, zupełnie nie tak. Nie, bardziej nad lewym okiem, nie kumacie, co wam mówię? - Zabarwiony od nikotyny palec powędrował do góry, wskazując punkt nad brwią.

Przykry zapach przypalonego oleju i sposób, w jaki dostawca się wyrażał, irytowały policjantów. Stojący z tyłu detektyw zamierzył się pięścią, jakby chciał nią zakończyć to przedstawienie.

- Macie fajkę?

Bardzo niechętnie wyciągnięto w jego stronę sweet aftony, zabrał całą paczkę.

- Wydaje mi się, że dotarliśmy do celu - oznajmił, rozpierając się na krześle i puszczając kółka z dymu. - Taa, jesteśmy w domu. - Wyszczrzył się do policjantów. - Na sto procentów.

Tuż po dwudziestej trzydziści ostateczna wersja portretu pamięciowego została przesłana faksem do redakcji wiadomości telewizji państwowej mieszczącej się przy Donnybrook, w południowej części Dublina. Na drugiej stronie zamieszczono dokładny opis poszukiwanego. W chwili gdy dostawca pizzy wrócił na miasto, bogatszy o całe pięćdziesiąt funtów, redaktorka prowadząca wiadomości wieczorne skreślała z planu emisji trzyminutowy materiał o postępach w dochodzeniu, aby umieścić na jego miejscu szczegółową prezentację portretu pamięciowego.

- Jesteście tego absolutnie pewni? - sprawdziła tę informację, dzwoniąc do Jima Clarke'a.

Komisarz wyczuł w jej głosie zaniepokojenie. I nic dziwnego, zdarzało się już bowiem, że państwowa telewizja prezentowała portrety pamięciowe poszukiwanych, a potem wszystko okazywało się pomyłką.

- Mamy bardzo twarde dowody - potwierdził Clarke.

- Ośmiu niezależnych świadków widziało tego człowieka, gdy oddalał się z miejsca zbrodni. Widziano go także w towarzystwie ofiary, mniej więcej wtedy gdy mogła zostać zamordowana.

Fakt ten potwierdziło dwoje mieszkańców pobliskich bloków. Oboje słyszeli podniesione głosy, potem krzyki i przekleństwa dochodzące z



terenu parku późnym wieczorem. Mężczyznę z portretu widziano też w parku w towarzystwie Jennifer Marks, tuż przed dwudziestą drugą, czyli w czasie kiedy doszło do zabójstwa. Znano jego późniejszą trasę wiodącą z parku Sandymount, przez Ringsend, wzdłuż Pearse Street, zniknął dopiero w jednej z bocznych alejek prowadzących w stronę rzeki Liffey.

Micko Kelly leżał w tym czasie na zapchlonym materacu w swoim pokoju w Hillcourt Mansions, popijając resztkami metadonu ostatnie dwie tabletki rohypnolu. Tylko tyle znalazł, przeszukując mieszkanie. W akcie desperacji wsypał do ust całą garść innych leków, zwędzonych ćpunowi, który zapadł przy nim w śpiączkę. Momentalnie pogrążył się w halucynogennym stuporze. W krwi Kelly'ego krążyła nie tylko heroina i jej legalny odpowiednik, ale także valium, a nawet trawka. Wtarł też w dżiasta resztki kokainy z folii wyrzuconej do kosza.

Wiedział doskonale, jak się zabawić.

- Policja potwierdza, że ciało znalezione dzisiejszego ranka w parku Sandymount należy do zaginionej uczennicy nazwiskiem Jennifer Marks. - Poważnie wyglądający prezenter siedział sztywno jak kołek za szerokim biurkiem w studiu wiadomości wieczornych. - Osiemnastolatka została zaszytletowana około godziny dwudziestej drugiej. Policja poszukuje mężczyzny widzianego w tym czasie w okolicach miejsca zbrodni. - Na ekranach pojawił się portret pamięciowy. - Podajemy rysopis poszukiwanego. Wzrost około sześciu stóp i dwóch cali, szczupły, długie ciemne włosy zakrywające uszy i ramiona. Wiek około trzydziestu lat. Twarz pociągła, nad lewym

okiem tatuaż. Gdy go widziano po raz ostatni, miał na sobie biały T-shirt, czarne spodnie od dresu i białe adidas. Koszulka mogła być poplamiona krwią. Zanim stracono go z oczu, podejrzany biegł Pearse Street w kierunku północnym. Ktokolwiek rozpoznaje tego mężczyznę albo zna miejsce jego pobytu, proszony jest o kontakt z najbliższym posterunkiem policji albo oficerem dyżurnym komendy stołecznej i złożenie zeznań w sprawie.

Następnie nadano resztę materiału, przedstawiając sylwetkę Jennifer Marks, karierę zawodową jej ojca i spotkanie drużyny marzeń. Materiał kończyły komentarze kolegów z pracy nakręcone w szpitalu Mercy, podłożone pod zdjęcie, na którym doktor Marks w zielonkawym stroju rozmawia z wdzięcznym pacjentem. Tego wieczora w oczach wielu ludzi Irlandia przestała być względnie bezpiecznym krajem. Sprawił to obraz znanego kardiochirurga, którego zachęcono do opuszczenia Bostonu, oferując posadę w Fundacji Serca, za co zapłacił życiem ukochanego jedyne dziecko. Wszyscy zastanawiali się, jaka będzie odpowiedź rządu na tę sprawę.

John Regan, minister zdrowia, odpowiedział natychmiast. Zanim wiadomości dobiegły końca, on już podniósł słuchawkę w swoim rządowym gabinecie i zaczął wykrecać numer. Twarz pobieliała mu z wściekłości. Ścisnął słuchawkę z taką siłą, że mało brakowało, a rozleciałaby się na kawałki. Wolną ręką namacał pilota i wyłączył niewielki telewizor stojący w rogu gabinetu.

- Widziałeś wiadomości?

Na drugim końcu linii Paddy Dempsey, minister sprawiedliwości, przyciszył głos spikera.

- Tak. To ty, John?

- To katastrofa dla naszego rządu.

- Wiem, wiem.

- Powinniśmy zareagować bez zwłoki. Zwołam konferencję prasową, a ty zbierzesz mi wszystkie szychy z branży. Możesz uczestniczyć osobiście w tym spotkaniu?

- Oczywiście. Już się biorę do roboty, sprowadzę ci wszystkich, jak zawsze. Zaprezentujemy jednolity front.

- Świetnie, Paddy. Pojadę zaraz do Dana Marksa i przekażę mu, jak bardzo jesteśmy zaszokowani. Zapewnię go też, że ministerstwo sprawiedliwości użyje wszelkich dostępnych środków do rozwiązania tej sprawy. Ukrzyżujemy drania, który zabił tę dziewczynę.

- Nie unós się tak - poradził mu minister sprawiedliwości. - Nie obiecuj gruszek na wierzbie.

John był znany z niewyparzonego i ostrego języka. Należało go ostrzec, żeby znowu nie powiedział jednego zdania za dużo.

Regan odłożył słuchawkę i natychmiast wykręcił numer do pierwszego z pięciu zaprzyjaźnionych dziennikarzy. Nie mógł zmarnować okazji do zrobienia naprawdę dobrego zdjęcia.

# 9

## Godzina 22.05

Moss Kavanaugh odwiózł Jima Clarke'a do domu w Crumlin, na przedmieściach Dublina, zaraz po zakończeniu wiadomości wieczornych. Przy okazji tryskał humorem z okazji upublicznienia zdjęcia podejrzanego, stary komisarz chciał odpowiedzieć tym samym, ale rwanie w nodze nasiliło się za bardzo. Miał trudności z koncentracją, skończyło się więc na zażyciu czterech tabletek przeciwbólowych w niespełna pół godziny. Gdy wreszcie przekroczył próg niewielkiego parterowego domu z czerwonej cegły, powitał go zapach gotowanych potraw. Natychmiast poczuł burczenie w brzuchu. Przypomniawszy sobie w tym samym momencie, że nie jadł niczego od śniadania. Środki przeciwbólowe, które zażywał, uśmierzały także łaknienie, od chwili zamachu bombowego schudł kilkanaście funtów.

- Wyglądasz na wykończonego, Jim - stwierdziła żona, Maeve, o sześć lat młodsza od niego niska szatynka. Przyjrzała się z niepokojem jego twarzy.

- I tak też się czuję - odparł, wiedząc, że tego przed nią nie ukryje.

- Katy! - zawołała Maeve przez ramię, pomagając ściągnąć Jimowi mundur. - Tato wrócił do domu. Pomóż mi.

Szesnastoletnia ciemna blondynka o wiecznie zmierzwionych włosach potrafiła przegnać precz wszystkie troski ojca jednym tylko

uśmiechem.

- Cześć, tato - przywitała go cmoknięciem w policzek.

- Jak ci się podoba moja nowa fryzura? - Była niemal tak wysoka jak ojciec. Zakręciła piruet, chwytając w locie rzucony jej mundur. - Nie kosztowała zbyt wiele - dodała pośpiesznie, wiedząc, że drogie fryzury Jim uznawał za fanaberię. Ojciec pochodził ze wsi, gdzie wszystkich strzyżono na jedną modłę, a rolę fryzjera pełniła matka, za warsztat mając parę wielkich tępych nożyc. - Nora Mallon ostrzygła mnie po znajomości.

- Katy - wtrąciła się matka - nie zanudzaj ojca takimi głupotami.

Żarty i rytualna pomoc przy zdejmowaniu munduru pomagały Jimowi Clarke'owi wrócić po pracy na łono rodziny. Dzięki nim mógł pozostawić za sobą wszystkie tragedie, z jakimi spotykał się na służbie, i znieść lepiej ból w uszkodzonej nodze.

- Przyniosę suszarkę.

Katy pognała na górę, dając rodzicom kilka chwil intymności. Przytulili się do siebie szybko i mocno, jak ludzie, którzy o mały włos straciliby siebie. Poznali ból takiej chwili o wiele lepiej niż inni, dlatego cenili sobie każdy moment fizycznego kontaktu, drżąc z obawy, że każdy taki uścisk może być już ostatni.

- Co nowego w sprawie? Znaleźliście już tego człowieka, którego pokazywano w telewizji?

- Jeszcze nie.

Zasypując męża pytaniami, Maeve zaprowadziła go do salonu i usadziła w wygodnym fotelu. Włączony telewizor z przyciszonym głosem stał na niewielkim stoliku w kącie pokoju. Zona pomogła

Jimowi pozbyć się grubych granatowych spodni, odsłaniając kościste kolana i zdeformowaną łydkę. Podgrzana oliwka do smarowania leżała w pojemniczku na kuchence od ponad godziny.

- Katy, znalazłaś już tę suszarkę? Leży w sypialni.

Dziewczyna zbiegła ze schodów, trzymając suszarkę wysoko nad głową.

- Łatwo powiedzieć. Dlaczego nie kładziesz jej zawsze w tym samym miejscu?

Clarke uśmiechnął się szeroko do córki i puścił do niej oko. Odpowiedziała mu podobnym gestem i podłączyła suszarkę do kontaktu.

- Jak noga? - zapytała i skrzywiła się, widząc ciemne plamy zdobiące okolice szram. - Boże, strasznie ci zsiniała, tato.

Matka posłała jej spojrzenie bazyliuszka.

- Podam ojcu kolację, a ty zajmij się jego nogą.

Katy przygryzła nerwowo dolną wargę.

- Tak, mammo.

Zastanawiała się, od czego zacząć. Włączyła suszarkę i zabrała się do ogrzewania nogi od góry do samego dołu, podnosząc powoli temperaturę i sprawdzając, czy skóra przestaje być sina i przybiera zdrowszą, różową barwę.

- Nie boli?

Clarke zerkał właśnie na pierwszą stronę popołudniówki, sprawdzając najważniejsze doniesienia. Nie cierpiał widoku swojej nogi, marząc w skrytości ducha o jej amputacji, żałując, że traci przez nią tak wiele z życia, nie mówiąc już o zmianie charakteru, jaką

przeszedł z powodu nieustającego bólu.

- Nie, teraz jest o wiele lepiej. - Spojrzał na zegarek.

- Jeszcze dwie minuty i będziesz mogła wetrzeć oliwkę.

Żona położyła mu na kolanach tacę, do ręki dostał kieliszek białego wina. Rozluźnił się, gdy upił pierwszy łyk, a po jego ciele rozlało się miłe ciepło. Był głodny, ale czuł też zadowolenie. Wciąż jeszcze żyję. Wy, dranie, gryziecie już ziemię, a ja wciąż po niej chodzę. Uśmiechnął się w duszy do tej myśli. A ja wciąż po niej chodzę.

Gdy rytuał rozgrzewania uszkodzonej nogi dobiegł końca, ból zniknął. Clarke polał sosem ziemniaki, ukroił kawałek kurczaka, dodał odrobinę marchewki z groszkiem i zaczął jeść. Żuł powoli mięso i zapijał je winem. Nogi okrywał mu gruby pled. Katy usiadła u jego stóp, opierając się ręką o zdrowe kolano, a Maeve stanęła za fotelem i masowała mu kark. Oglądali razem nocne wydanie wiadomości na kanale Sky i rozmawiali o raporcie dotyczącym zabójstwa Jennifer Marks. Katy roześmiała się, gdy na jednym z ujęć pojawił się jej ojciec w towarzystwie ekipy dochodzeniowej.

- Boże, tatku, wyglądasz jak wielka szycha.

Jim uszczypnął ją w ramię, aż pisnęła, i zaczęli się radośnie przegadywać we trójkę. To też był jeden z codziennych rytuałów tego domu. Clarke i jego żona obawiali się tego dnia, gdy do ich domu przybędzie obcy mężczyzna i odbierze im jedyną córkę. Mieli tylko nadzieję, że będzie to ktoś przyjazny, kto ją prawdziwie pokocha, a nie nienawistny bandyta.

Nieco później, gdy Clarke spoczął w łóżku z nogą opartą aż na trzech poduszkach, przeklął w duchu człowieka, który zrujnował mu

życie. Stał się tak znerwicowany, że musiał spać sam, potrzebując miejsca, żeby się rzucać. Ból nie pozwalał mu zasnąć całymi godzinami. Rozmyślał wtedy, modlił się albo planował. Nierzadko trwało to całą noc, zdarzało mu się więc widzieć blask świtu przesączaający się przez grube kotary. Przekręcił się na bok i spojrzał na elektroniczny zegar. W oddali odezwało się wycie alarmu.

- Biegnij, Jimmie, biegnij. Dalej, chłopcze, biegnij co sił.

Ostatnio coraz częściej wracał we snach do dzieciństwa, na rodzinną farmę w północno-zachodniej części Irlandii. Był środkowym z pięciu braci, ale to on z nich wszystkich miał najsilniejsze i najszybsze nogi. Dawaj, Jimmie, dawaj! Już jesteś pierwszy, nie zwalniasz! Wygrał tyle biegów. Terenowych, sprintów i długodystansowych. Był też niezły w konkurencjach polegających na skakaniu. Któregoś roku reprezentował szkołę w siedmiu odmiennych dyscyplinach.

- Jedno jest pewne - podsumowała ze śmiechem jego matka, gdy wrócił z naręczem medali. - W całej parafii nie ma szybszego człowieka od ciebie.

Nadano mu nawet przydomek Struś Pędziwiatr.

Miał zaledwie czternaście lat, gdy ojciec prowadził go z dumą wiejską drogą z przystanku autobusowego na farmę. Jedną rękę opierał na ramieniu syna, w drugiej trzymał złoty medal, trofeum zdobyte na mistrzostwach kraju, w nie byle jakiej obsadzie. W snach przeżywał ponownie ten powrót do domu, okrzyki dobiegające z kuchni, łzy radości w oczach matki. A moment później ukłucie bólu budziło go, przywracając do okrutnej rzeczywistości. Za każdym



razem usiłował zasnąć jak najszybciej, pragnąc zanurzyć się z powrotem w pełnym ciepła, głębokim basenie młodości, przeżyć ponownie najszcześniejsze dni, poczuć pełnię sił w nogach. Ale ból nie chciał odejść, musiał długo masować nogę, by poczuć jakąkolwiek ulgę. Przeklinał wtedy bandziorów, którzy zaplanowali jego śmierć. W najgorszych momentach przeklinał także lekarzy, którzy go odratowali. Jeszcze w szpitalu Mercy odwracał się twarzą do ściany, marząc jedynie o zapadnięciu w wieczny sen. Zwalczył tę chęć tylko z powodu głośnego szlochu Katy.

- Masz dziecko do wychowania - powiedziała pewnego ranka Maeve. - Musimy się opiekować naszą córeczką. Nie użalaj się już nad sobą, przestań marzyć o śmierci. Walcz o nas. I dopadnij tych drani.

Nigdy wcześniej nie słyszał takiego gniewu w jej głosie.

Dopadnięcie drani okazało się świetną motywacją. Opuścił szpital wcześniej, niż radzili lekarze. Ale zemsta dokonała się z rąk innych zbirów. Winni ataku zostali zlikwidowani przez kogoś innego i Clarke chcąc nie chcąc musiał przekierować energię na pracę. Szybko zdobył reputację człowieka oddanego służbie. Szedł za każdym śladem, zaglądał w każdy mroczny zaułek, nie wahał się przed sprawdzeniem każdej meliny. Chciał wyników.

Teraz, gdy leżał w bezruchu na łóżku, by nie urazić nogi, oczami wyobraźni widział ciało Jennifer Marks leżące na zimnym białym marmurze. To było jeszcze dziecko, miała zaledwie osiemnaście lat. Katy za moment osiągnie taki sam wiek. Boże, co też jej wpadnie wtedy do głowy. Nic złego, zapewnił się w myślach. Co to, to nie. Maeve dobrze ją wychowała. To dobra dziewczyna. Tak samo jak jej

matka, a jego żona. A Katy się w nią wdała. Przypomniawszy sobie moment, w którym Noel Dunne pochylił się, by zbadać sztywne lewe ramię. Ślady igły, powiedział. Co ona sobie wstrzykiwała? Przecież dopiero wkraczała w dorosłe życie. Nie zdążyła jeszcze zasłużyć na tak okropną śmierć.

Jacyś dranie pozbawili ją życia, zanim naprawdę je poznała. Trzeba ich schwytać. Muszą za to zapłacić.

Od tego momentu Jim Clarke zaczął bardzo osobiście traktować sprawę zabójstwa Jennifer Marks. Wyciągnął rękę i przysunął telefon komórkowy, jedyne towarzysza bezsennych nocy. Wybrał numer i czekał na połączenie.

- Halo!

- Mówi komisarz Clarke.

- Słucham, sir.

- Z kim rozmawiam?

- Nazywam się posterunkowy Grimes.

- Jesteś w parku Sandymount?

- Właśnie siedzę w wozie patrolowym opodal parku.

- Czy coś się tam dzieje?

- Nie, sir. Teren nadal jest odgradzony. Nikt nie przejechał tą ulicą od południa.

- Jesteś pewien?

- Całkowicie.

Clarke wywnioskował z pospiesznej odpowiedzi, że nie było to zgodne z prawdą.

- Sprawdź jeszcze raz. Zbierz informacje od wszystkich patroli,

które pojawiły się w pobliżu.

- Rozumiem, sir.

- Zrób to teraz.

- Tak jest.

Clarke rozłączył się i czekał. Gdy zegar odmierzył pięć minut, wybrał ponownie ten sam numer. Grimes odebrał raz jeszcze.

- Zauważyłeś coś?

- Nie. - W głosie posterunkowego brzmiało zaskoczenie.

- W takim razie idź i sprawdź jeszcze raz.

- Natychmiast, sir.

Clarke ułożył się wygodniej, usiłując zasnąć. Uniósł wyprostowane ręce pod kątem dziewięćdziesięciu stopni do ciała, klasnął głośno i pozwolił im powoli opaść. Było to jedno z jego ćwiczeń relaksacyjnych. Gdy dłonie dotknęły pościeli, czubki jego palców musnęły aluminiową kulę, którą oparł wcześniej o nocny stolik. Nie patrząc w tamtą stronę, zacisnął dłoń wokół niej i uniósł tak, by uchwyt znalazł się tuż przed jego twarzą. Wyteżał wzrok, dopóki nie dostrzegł główek niewielkich bolców na linii łączenia plastiku z metalem. Trzymał kulę mocno w lewej dłoni, prawą przesuwając po uchwycie, aż wyczuł pod opuszkami maleńkie zgrubienia. Nacisnął je, przekręcając jednocześnie lewą dłoń. Uchwyt poddał się bez oporu. Palce odsunęły się od bolców zamka, dłoń zacisnęła się mocniej na uchwycie. Obrócił go o sto osiemdziesiąt stopni i pociągnął, rozdzielając obie części kuli. Jeszcze raz dotknął palcami dwóch bolców, naciskając je mocniej. Czterocalowe dwustronne ostrze wysunęło się z ukrycia z cichym szczęknięciem. Przyjrzał się z

uznaniem błyszczącej stali, obracając ostrze, chwytając odrobinę światła dobiegającego z ulicy, sprawiając, że zatańczyło na nim. Zadowolony z działania mechanizmu sprężynowego, nacisnął bolce raz jeszcze, chowając sztylet we wnętrzu uchwytu kuli. Następnie połączył ją znowu w całość, przekręcając powoli, dopóki nie usłyszał znajomego kliknięcia.

Spojrzał na kulę po raz ostatni przed zamknięciem oczu. Wyglądała jak najnormalniejszy w świecie sprzęt medyczny. Uśmiechnął się w ciemności. Człowiek, który tylko cudem uniknął śmierci, zrobi wszystko, aby nie dać przeciwnikowi drugiej szansy. Wiedział, że konieczność chodzenia o kuli stawia go na przegranej pozycji podczas otwartej konfrontacji. Dlatego kazał ją przerobić, umieszczając w środku stalowe ostrze na sprężynie.

Moja mała niespodzianka, uśmiechnął się, gdy odkładał kulę po udanej próbie. Moja własna zimna stal.

Stojący na ulicy przebiegającej obok parku Sandymount funkcjonariusz Grimes marzył o powrocie do wygodnego wozu patrolowego. Był wysokim, ale bardzo chudym mężczyzną, mundur wisiał na nim, nie dając tyle ciepła co dobrze spasowane ubrania. Policjant zaklął pod nosem, spoglądając w ciemność po drugiej stronie ogrodzenia, w kierunku taśm okalających miejsce zbrodni. Żółte pasemka łopotały cicho na lekkim wietrze. Ochłodziło się znacznie, a lampy oświetlające pobliskie domy i apartamentowce rzucały pomarańczową poświatę na okolicę. Grimes spacerował wolno wzdłuż ogrodzenia, ziewając i przeciągając się raz po raz. Co chwilę spoglądał też na zegarek, jakby chciał popędzić czas pozostały

do końca służby. Zatrzymał się, oparł plecami o ogrodzenie, omiatając zmęczonymi oczami panujące za nim ciemności. Przez moment zdawało mu się, że widzi skrytą w mroku sylwetkę przemykającą w głębi zarośli.

Uznał, że to złudzenie spowodowane grą światła.

# 10

Środa, 13 maja,  
godzina 9.30

- Siadajcie, panowie. Zaczynamy.

To była pierwsza nasiadówka tego dnia. Jim Clarke wyglądał na wyczerpanego, gdy przyglądał sterczące na wszystkie strony włosy, czekając na zapadnięcie ciszy. Miał na sobie pełen mundur. Katy wyprasowała mu dokładnie spodnie, zanim poszła do szkoły. Maeve równie uważnie wyszczotkowała bluzę. Moss Kavanagh stał obok niego, olbrzymie dłonie złożył na oparciu krzesła. Wyłączona komórka leżała przed nim. Zdjął też marynarkę, zostając w koszuli mundurowej z krótkim rękawem.

- W nocy otrzymaliśmy nowe istotne informacje. Chyba mamy kolejny trop.

Wśród zebranych rozległ się szmer zadowolenia. W niewielkim pomieszczeniu ściśnięto dwudziestu detektywów zajmujących się tą sprawą, kilku siedziało wokół stołu, reszta stała, opierając się o ściany. Panował nieznośny zaduch. Za Clarkiem siedział Tony Molloy, na kolanach trzymał trzy opasłe tomiszcza. Miejsca obok niego, choć nieco bardziej z tyłu, zajęli minister zdrowia John Regan i minister sprawiedliwości Paddy Dempsey. Przy eleganckim garniturze od Hugo Bossa tweedowa marynarka Dempseya wyglądała na starość

wyszukany w lumpeksie. Obaj politycy różnili się niemal wszystkim.

Regan był przystojny i pewny siebie, Dempsey miał grube wargi, płaski nos i ogorzałą skórę na twarzy. Komendant główny Donal Murphy przyglądał się wszystkiemu z boku. Ten wysoki mężczyzna o siwawych, krótko przystrzyżonych włosach pełnił także obowiązki dowódcy sił zbrojnych. Dzisiaj miał jednak na sobie granatowy mundur policyjny ze złotymi epoletami.

- Zaczniemy bez doktora Dunne'a - obwieścił Clarke.

Zebrani wymienili zdziwione spojrzenia. Noel Dunne, naczelny patolog, rzadko brał udział w zwykłych odprawach. Chociaż obecność tak ważnych polityków mogła sugerować, że dzisiejsze spotkanie trudno zaliczyć do tej kategorii. Na stojącej w rogu pomieszczenia tablicy widniało napisane wielkimi literami nazwisko Jennifer Marks. Poniżej przypięto zdjęcia zrobione na miejscu zbrodni. Na mapie dzielnicy zaznaczono czerwonym kolorem teren parku Sandymount, jego najbardziej zarośniętą część i miejsce znalezienia zwłok. W prawym dolnym rogu niebieską pinezką przypięto fotografię ofiary.

- Jennifer Marks zaginęła przedwczoraj wieczorem - zaczął Clarke. - Gdy nie pojawiła się w domu do dziewiętnastej trzydzieści, jej matka poprosiła o pomoc policję...

- Zamilkł, zdając sobie sprawę, że wszystkie osoby mogące pociągać za sznurki w tej sprawie znajdują się obok niego.

- Oficer dyżurny zasugerował jej, że dwie godziny spóźnienia w przypadku osiemnastoletniej dziewczyny nie powinny być powodem do rozpacz - ciągnął - i poradził, aby poczekać ze zgłoszeniem nieco dłużej. - Odpowiedziały mu pomruki wyrażające aprobatę takiej

decyzji. - Pani Marks nie była zadowolona z takiego obrotu sprawy i powiadomiła o wszystkim męża. Ten wykorzystał swoje znajomości, doprowadzając do rozpoczęcia poszukiwań jeszcze przed godziną dwudziestą drugą.

- Czy mogę coś wtrącić? - John Regan podniósł się niespodziewanie z krzesła. - Chciałbym wyjaśnić, że Dan Marks zadzwonił bezpośrednio do mnie - wypalił, nie czekając na pozwolenie - a ja niezwłocznie powiadomiłem o tym ministra sprawiedliwości. To dzięki niemu poszukiwania mogły rozpocząć się tak szybko. Była to bardzo słuszna decyzja, zważywszy na to, co odkryto nazajutrz.

Usiadł równie raptownie, z gniewem wypisanym na twarzy. Elegancki garnitur i jasny krawat zdawały się przeczyć okazywanemu smutkowi.

Drzwi w głębi sali otworzyły się przed korpulentną sylwetką naczelnego patologa.

On także skapitulował przed upałami, miał na sobie lekką lnianą marynarkę narzuconą na granatowe luźne spodnie. Skinął głową zebrany, potem rzucił okiem na zebrane za stołem osoby. W prawej ręce trzymał brązową kartonową teczkę.

Clarke wykorzystał moment zamieszania związanego z jego wejściem do odzyskania inicjatywy. Podjął temat, jakby nie zauważył wtrącenia Regana.

- Mamy relacje wielu świadków opisujących spotkanie z mężczyzną opisanym na stronie jedenastej. - Policjanci spojrzeli na siebie znacząco. - Zrobiliśmy jego portret pamięciowy. - Wszyscy odwrócili się w stronę szkicu narysowanego węglem i ołówkiem. - Jedno



nazwisko przewija się w otrzymanych informacjach zwrotnych - dodał Clarke, przeglądając faksy leżące przed nim na stole. W sali zapadła pełna cisza. - Skazany za zabójstwo narkoman Michael Leo Kelly, znany bardziej jako Micko Kelly.

Ostatnie zdjęcie Kelly'ego pojawiło się obok portretu pamięciowego domniemanego zabójcy. Podobieństwo było ogromne. Gdyby nie bardziej pociągła twarz na rysunku, pasowałby idealnie do zdjęcia.

- Dorwijmy tego drania! - Nagłe wtrącenie Johna Regana zaskoczyło wszystkich. Polityk znów zerwał się na równe nogi, ze wzburzenia zaczął wymachiwać pięściami.

- Skoro wiemy, kim jest, możemy go zgarnąć!

Dempsey starał się go uspokoić, pociągając za połę marynarki, Regan wyrwał mu się jednak.

- Na co jeszcze czekacie? Wiecie wszystko na jego temat, dlaczego nie ruszycie dup z krzeseł i nie przyskrzyncicie drania? - W jego głosie brzmiała wściekłość, nienawykli do takich sytuacji policjanci zamilkli i znieruchomieli.

- Z całym szacunkiem, panie Regan - odezwał się, nie podnosząc głosu, komendant Murphy - ale pańska władza nie rozciąga się na podległe mi departamenty.

Paddy Dempsey ukrył twarz w dłoniach i wbił wzrok w podłogę. Regan toczył wściekłym wzrokiem wokół i dopiero na widok reakcji kolegi z rządu powstrzymał się od dalszych ekscesów. Opadł ciężko na krzesło, nie kryjąc wściekłości.

- Kelly mieszka w Hillcourt Mansions - zaczął raz jeszcze niewzruszony Clarke - a to prawdziwe piekło na ziemi. Pełno tam

uzależnionych, dilerów i innych śmieci. Na widok pierwszego radiowozu możemy mieć tam zamieszki.

Noel Dunne przysłuchiwał się jego słowom z błogim uśmiechem na twarzy. Clarke domyślał się, że powodem tego zadowolenia musiało być usadzenie Regana.

- Nie wiemy niestety, które mieszkanie zajmuje Kelly. A nie możemy wywalać wszystkich drzwi po kolei. - Komisarz spojrzął w stronę Regana. - Narkomani też posiadają broń i mogą rzucić się na naszych ludzi z brudnymi strzykawkami, nożami, potłuczonymi butelkami, a nawet pistoletami. Nie jesteśmy gotowi na taką konfrontację. Gazety miałyby używanie.

Zgrzyt odsuwanego krzesła przerwał jego wywód. John Regan wymknął się z sali obrad. Clarke ponownie zignorował jego zachowanie.

- Doktorze Dunne, zechce pan poinformować nas o wynikach autopsji? - dodał, siadając.

- Oczywiście. - Patolog otworzył notatnik leżący przed nim na biurku. - Dobrze, zacznijmy od faktów - powiedział, podkreślając węża podczas czytania zapisków - zostawiając przypuszczenia na sam koniec. - Cofnął się o trzy strony, wyrównując pozostałe. - Dziewczyna była pod wpływem alkoholu. Dopóki nie przyjdą wyniki z toksykologii, nie jestem w stanie powiedzieć, ile wypła, ale po otwarciu worka na zwłoki w kostnicy poczułem dość wyraźną woń alkoholu. Miała też nakłucia wskazujące na dożylne zażywanie narkotyków. O nich także powinniśmy dowiedzieć się więcej z toksykologii. - Mówił monotonicznie, jakby referował przejeżdżność

głównych arterii w mieście. Zamilkł na moment, by odczytać dopisek na marginesie. Potem poluzował krawat i rozpiął dwa górne guziki koszuli, spróbował się też ochłodzić, wachlując dłonią. - Moim zdaniem pierwszy cios otrzymała z boku. Zadano go z dużą siłą, ostrze przebiło lewe płuco i oskrzela. W górnych drogach oddechowych znalazłem naloty z krwawej piany. - Kilku policjantów skrzywiło się na te słowa. - Drugi cios był zabójczy, przepołowił jej aortę. - Dunne uściślił zaraz tę wypowiedź. - Dziewczyna wykrwawiła się wkrótce po przecięciu głównej tętnicy. Ciśnienie opadało w szybkim tempie, krew przestała dopływać do jej mózgu, powodując zanik jego funkcji w niespełna minutę.

W sali konferencyjnej zapadła cisza. Wszystkie myśli obecnych koncentrowały się na fotografii uśmiechniętej ciemnowłosej dziewczyny, której życie zostało zakończone w tak tragiczny sposób.

- W tym momencie upadła na ziemię - ciągnął tymczasem Dunne tym samym beznamiętnym tonem. - Stąd też mamy tyle krwi na miejscu zbrodni. Zabójca obrócił ją na plecy i przeciągnął w krzaki. Jej pięty szorowały po trawie. Pod obiema pachami znalazłem krwawe odbicia dłoni.

Odłożył kartkę, z której czerpał dane, i przejrzał cztery kolejne, szukając dalszych istotnych szczegółów. Wygrzebał w końcu parę okularów z kieszeni marynarki i umieścił na samym koniuszku nosa. W tym momencie zorientował się, że są czymś wybrudzone, więc przetarł szkła końcówką krawata.

- Początkowo musiała leżeć na plecach - powiedział, tym razem nie rzucając okiem w notatki. - Na tylnej części jej ubrania znaleźliśmy

grudki ziemi, zgniecione owady i fragmenty pajęczyn.

- Jak rozumiem, doktorze Dunne - wtrącił Clarke - dziewczyna umierała w tym momencie.

- Nie, komisarzu. Nie umierała - oświadczył zdecydowanym tonem patolog. - Ona już nie żyła.

- Zatem obrażenia powstałe podczas obrony, o których wspominał pan w kostnicy, musiały powstać wcześniej.

- Powiedziałbym, że tuż przed zadaniem pierwszego ciosu - przyznał Dunne, przeglądając poprzednie strony z okularami na nosie.

- Na szyi miała otarcia wskazujące na to, że napastnik chwycił ją mocno za gardło. - Mówiąc to, wyciągnął rękę i złapał za szyję siedzącego obok detektywa. Młodzieniec uśmiechnął się krzywo i rozmasował zaczerwienioną skórę, gdy patolog cofnął dłoń. - Musiała się szarpać, gdy ją pochwycił, jednocześnie uchylając się przed ostrzem noża.

- Ręka Dunne'a wystrzeliła w powietrze, zatoczył nią parę łuków. - Pierwsze uderzenie przebiło płuco, drugie, w górną część klatki piersiowej, było śmiertelne.

- Ale dlaczego wbił jej jeszcze nóż w plecy? - zastanawiał się na głos Molloy. - Przecież była już martwa.

Dunne uśmiechnął się półgębkiem, składając okulary i chowając je w kieszeni marynarki.

- Na to pytanie pan musi odpowiedzieć, sierzancie. Ja tu jestem po to, by powiedzieć, co zrobił zabójca, a nie dlaczego.

Wymienili się kwaśnymi uśmiechami, twarz Molloya po raz pierwszy straciła ponury wygląd.

- A o co chodzi z tym iucd? - zapytał Clarke, odrywając się na moment od czytania raportu.

Dunne usiadł wygodnie i wyjaśnił:

- To wkładka antykoncepcyjna, którą umieszcza się w macicy.

Komisarz, nie chcąc pominąć żadnego istotnego szczegółu, drążył temat:

- Jakie to może mieć dla nas znaczenie?

Zmuszenie Dunne'a do dalszych wyjaśnień po złożeniu raportu należało do zadań trudnych, a nawet niewykonalnych.

- Cóż, mamy dowód na to, że dziewczyna prowadziła życie seksualne - odparł patolog. - Tego rodzaju wkładki nie umieszcza się w macicach tak młodych dziewcząt.

Clarke zanotował coś, słuchając odpowiedzi, a potem uśmiechnął się, dając znak, że z jego strony nie będzie dalszych pytań.

Komendant Murphy odkaszlnął, aby zwrócić na siebie uwagę.

- Zróbmy teraz przerwę - zaproponował.

## Godzina 10.15

- Czy mogę zamienić z panią słówko? - zapytał doktor Frank Clancy, stając w drzwiach gabinetu Lindy Speer. Sława światowej kardiologii miała urządzony wedle jej życzenia gabinet na najwyższym piętrze.

Pośród wszystkich prywatnych i zawodowych zazdrości, jakie opanowały załogę szpitala Mercy, największą zawiść budziły wysokie zarobki i dodatkowe warunki towarzyszące kontraktom drużyny marzeń. Już po miesiącu od przyjęcia ich do pracy najwyższe piętro szpitala oczyszczono i oznaczono jako „Fundację Serca”. Zainstalowano tam najnowocześniejszą aparaturę do robienia angiogramów, badania echa serca, skanowania izotopowego i innych równie nowatorskich badań. Zastąpiono nimi nawet te przyrządy, które wciąż były dobre. Nowe laboratorium specjalistyczne powstało tuż obok oddziału intensywnej terapii dla pacjentów pooperacyjnych. W tym samym korytarzu znalazło się też miejsce na nowoczesny oddział chorób wieńcowych, wyposażony we wszelki sprzęt diagnostyczny i reanimacyjny, na jaki zgłoszono zapotrzebowanie.

- Bliskość tego laboratorium i dwóch najważniejszych oddziałów kardiologicznych - obwieścił minister zdrowia John Regan, przemawiając do rozentuzjasmowanego tłumu w dniu otwarcia -

pozwoli doktorowi Colmanowi na niemal natychmiastową analizę zmian biochemicznych i komórkowych zachodzących podczas zawału serca.

Stojące tuż za Reganem trio z Bostonu wsłuchiwało się uważnie w każde słowo. Nabyta na Florydzie opalenizna Dana Marksa przybladła już w zimowym i mało słonecznym klimacie Irlandii, ale wciąż wyglądał na bardzo pewnego siebie. Stojąca obok niego, szepcząca mu od czasu do czasu na ucho Linda Speer założyła na siebie tym razem lnianą bluzkę i beżowe spodnie, na które narzuciła szary żakiet. Biochemik Stone Colman oparł się o ścianę i słuchał z uśmiechem na ustach kolejnych wypowiedzi. Nadal gustował w krótkich fryzurach i obwisłych garniturach, aczkolwiek wyglądał na o wiele mniej spiętego niż podczas pierwszej prezentacji.

- Pozwoli też - Regan omal nie mruzczał z rozkoszy - na późniejsze monitorowanie podobnych zmian u pacjentów, którzy przejdą u nas zabieg kardiochirurgiczny. - Jego rozanielona twarz ostro kontrastowała z niezadowoleniem części widowni.

Wielu z obecnych na niej lekarzy obcięto dotacje w związku z tym projektem. Zespół zajmujący się przeszczepami wątroby, ekipa badająca pediatryczne przypadki astmy, genetycy, wszyscy oni wiedzieli, skąd Regan wziął środki na Fundację Serca. Trójka lekarzy z Bostonu stała się obiektem niechęci dla całej reszty pracowników szpitala. Żadne z nich nie przejmowało się tym zbyt, od początku nie mieli zamiaru bratać się z irlandzkimi kolegami po fachu. Poza przyjęciami wydawanymi przez sfery rządowe trzymali się w swoim gronie, zajmując się głównie pracą, aby osiągnąć wyniki

usprawiedliwiający wydanie na nich aż tak wielkich pieniędzy. Jeśli mieli życie prywatne, potrafili ukryć je przed wszystkimi. Nikt nie widywał ich na mieście.

Linda Speer nie drgnęła nawet, słysząc głos Franka Clancy'ego.

- Przepraszam, ale to teraz niemożliwe. Jestem zajęta.

- Zdawała się rozdrażniona tym najściem.

Clancy rozejrzał się po jej gabinecie, podziwiając palisandrowe meble, łagodne oświetlenie, pokrytą zieloną skórą sofę i niewielki barek na kółkach tkwiący dyskretnie w kącie.

- Wolałbym, abyśmy odbyli tę rozmowę teraz, jeśli to możliwe - nalegał.

Speer rzuciła mu nienawistne spojrzenie; widząc je, poczuł się jeszcze niezręcznie. Uświadomił sobie, jak marnie musi wyglądać jego ubranie w porównaniu z wyrobami Gucciego, które miał przed oczami.

- Kim pan jest? - wypaliła, wracając wzrokiem do przeglądanych papierów.

- Nazywam się Frank Clancy. Jestem tutejszym hematologiem.

- O co chodzi?

- Chciałbym omówić z panią problem, na jaki natrafiłem.

- Mam nadzieję, że to problem medycznej natury - burknęła Speer, nadal nie odrywając oczu od pracy. - W przeciwnym razie sugerowałabym panu kontakt z pracownikami socjalnymi, jeśli jeszcze jakichś mamy.

Clancy zignorował jej tanie pogrożki.

- Chodzi o jednego z pani pacjentów.



Speer przestała pisać i odwróciła się do niego.

- A co pan - powiedziała bardzo powoli, akcentując słowa mocniej niż zazwyczaj - ma wspólnego z moimi pacjentami?

Uniosła znacząco brew. Ton tego pytania sugerował próbę podważenia jego kompetencji zawodowych i Clancy musiał odchrząknąć, by ukryć zakłopotanie. Zauważył przy tym cień uśmiechu w kącikach ust Lindy.

- Chodzi o sześćdziesięcioletniego mężczyznę nazwiskiem Harold Moreli - wyjaśnił Clancy, odczytując dane z kartoteki pacjenta, którą cały czas trzymał w dłoniach.

- Może go pani pamięta?

Speer zaprzeczyła ruchem głowy.

- Nie, nie pamiętam. Proszę przejść do rzeczy.

Zaskoczony hematolog najpierw spojrział na nią, potem dokończył:

- Cóż, pan Moreli przeszedł operację wszczepienia trzech bypassów. Miało to miejsce około czterech tygodni temu. Zabieg przebiegł bez komplikacji i...

- To nic nadzwyczajnego - ucięła ostro Speer. - Za kilka tygodni, kiedy opublikujemy wyniki pierwszych sześciu miesięcy naszej pracy w tym ośrodku, dowie się pan, jak bardzo spadła ilość powikłań.

Clancy wyjął nerwowym ruchem okulary z kieszeni na piersi. Wyczytał niedawno w prasie, że w środę, dwudziestego maja, podczas specjalnej konferencji prasowej przedstawiciel Unii Europejskiej ma wręczyć ministrowi Johnowi Reganowi obiecany czek na dwadzieścia milionów. Miał zamiar zrobić sobie wolne tego wieczora. Wiedział, że nie strawi tych wszystkich peanów.

- Tak, wiem. Aczkolwiek nie rozwiąże to problemu, z którym przychodzę.

- I chce pan, abym pomogła? - Speer zaczynała się rozpraszać. Wyczuł to. Jej wzrok nie skupiał się na jednym miejscu.

- Cóż, wydaje mi się, że mogłaby pani rzucić więcej światła na pewien szczegół. - Clancy podszedł bliżej, położył kartotekę Harolda Morella na biurku i szybko ją przewertował. Zapach drogich perfum dotarł do jego nozdrzy.

- Chodzi o jakiś problem kardiologiczny?

- Nie.

- Zatem ta sprawa nie ma nic wspólnego z kardiologią?

- Speer wbiła w niego uważne spojrzenie.

- Nie.

- W takim razie czemu mi pan zawraca głowę? - Jej głos momentalnie stwardniał. - Mam tony papierów do przejrzania. - Machnęła ręką ozdobioną złotą bransoletką w stronę góry papierzyk.

- Zaraz pani zrozumie. - Clancy spróbował raz jeszcze.

- Pacjent trafił początkowo na ten oddział...

- A gdzie teraz jest? - burknęła rozdrażniona Linda.

- Tylko proszę mi nie mówić, że na dole, na oddziale dermatologicznym. Nie mam pojęcia o chorobach skóry.

Clancy położył kartotekę na papierach, nad którymi pracowała.

- Nie - uspokoił ją - leży u mnie, na hematologii. Jest poważnie chory. Ma agranulocytozę.

Speer przeglądała jego kartę nie dłużej niż minutę.

- Chodzi o niedobory białych krwinek? - zapytała.

- Tak. W jego przypadku występują zarówno w krwi, jak i szpiku kostnym.

- Jakkolwiek by na to patrzeć, to problem w sam raz dla hematologa, nieprawdaż, doktorze Clancy? - Speer przestała okazywać zainteresowanie sprawą.

- Owszem.

- A pan jest tutaj głównym hematologiem?

- Owszem.

- Cóż. - Złożyła kartotekę i podała ją Clancy'emu.

- Powinien pan chyba wrócić do swojego pacjenta. Hematolog nie dał się jednak zbyć.

- Usiłuję zrozumieć, gdzie pan Moreli mógł się nabawić tej przypadłości - oświadczył z pełnym spokojem, nie spuszczając wzroku z twarzy doktor Speer. - Muszę też wyjaśnić, jakim cudem w ciągu zaledwie kilku miesięcy mieliśmy aż trzy podobne przypadki w tym szpitalu.

- Pan jest hematologiem, doktorze Clancy. Z całym szacunkiem, ale sam pan musi do tego dojść.

- Właśnie, doktor Speer, nikt w tym szpitalu nie zna się na tej dziedzinie tak dobrze jak ja - odpłacił Lindzie pięknym za nadobne. - Najbardziej niepokoi mnie w tych wszystkich przypadkach fakt, że pacjenci ci trafiali na kardiologię, gdzie dokonywano na nich zabiegu, a po czterech tygodniach występował u nich zanik białych krwinek. Z tego też powodu szukam powiązań. Tak właśnie powinien postępować dobry hematolog. Szukać nie tylko leków, ale i przyczyn choroby.

Speer podniosła kartotekę Harolda Morella z takim obrzydzeniem, jakby miała do czynienia z psią kupą, i przejrzała ją pobieżnie do momentu, w którym znalazła stronę z opisem , przyjęcia i wykonania zabiegu kardiologicznego. Potem odłożyła papiery i wróciła do swojej roboty.

- To była standardowa operacja. Próba wysiłkowa, potem angiogram i wszczepienie potrójnych bypassów. Faza pooperacyjna przebiegła bez powikłań. - Podniosła kolejną teczkę i zaczęła przeglądać wymięte strony. - Co dzieje się z pacjentami, którzy opuszczają nasz oddział, to już nie moja sprawa.

Clancy'ego zamurowało na dłuższą chwilę. Już sam sposób, w jaki Speer go zbywała, zasługiwał na potępienie, ale brak zainteresowania losami operowanych pacjentów zaszokował hematologa kompletnie.

- Pani nastawienie wydaje mi się naprawdę dziwne - stwierdził, z trudem hamując gniew. Słyszał pogłoski o jej legendarnej oziębłości i nastawieniu wobec pacjentów, traktowanych przez nią wyłącznie w kategorii ciekawostek medycznych, nad którymi można pracować, aby mieć się czym pochwalić. - Ale nie wyobrażałem sobie - dodał z goryczą - że stać panią na brak zainteresowania losem pacjentów, którzy opuszczają ten oddział - wskazał drżącą ze złości ręką w kierunku wyjścia.

Speer nie przestała pisać nawet przez moment.

- Może sobie pan o mnie myśleć, co pan chce. To pański problem, nie mój.

Clancy nie zamierzał się jednak poddawać.

- Cóż, to nie tylko mój problem, doktor Speer. Mamy do czynienia z

czymś znacznie poważniejszym.

Linda bardzo wolno odwróciła głowę.

- Dwoje innych pacjentów, Mary Hyland i James Murphy - odczytał nazwiska ze świstka papieru wyciągniętego z kieszeni - zapadło w równie dramatyczny i niewytłumaczalny sposób na agranulocytozę niespełna sześć tygodni po wypisaniu z tego prześwietnego oddziału kardiologicznego.

- Tym razem nie potrafił pohamować złości. - Dlatego zaczynam się zastanawiać, co wy im tu podajecie. Jakie leki, kardiologiczne czy inne, które im podano, spowodowały tak gwałtowny zanik leukocytów we krwi, a nawet w szpiku kostnym?

Linda Speer słuchała go, nie mrugnawszy ani razu.

- Co jeszcze może powodować agranulocytozę, oczywiście poza podanymi lekami? - zapytała.

- Napromieniowanie, cytotoksyny albo stosowanie antymetabolitów - wyliczał błyskawicznie Clancy - poważne infekcje, czasami powiązane z początkami białaczki.

- Czy pan aby... - zaczęła Speer, ale hematolog natychmiast wszedł jej w słowo.

- Wykluczyłem wszystkie te czynniki.

Kołysząc butem na palcach prawej stopy, Linda zmarszczyła czoło, jakby się głęboko nad czymś zastanawiała.

- Czy bywały samoistne wystąpienia tego schorzenia, takie, w których nie wykryto ich powodu? - To pytanie sugerowało coś więcej niż tylko wygodne wytłumaczenie wszystkiego.

- Owszem, bywały - przyznał Clancy - ale trzy wystąpienia

samoistnej agranulocytozy w ciągu kilku miesięcy to coś więcej niż przypadek, nie sądzi pani?

- Cóż - mruknęła Speer, wstając i przeciągając się, jakby chciała mu tym pokazać, że rozmawiają o rzeczach, które ją nudzą. - Pan jest tutaj hematologiem. To pańska działka.

Clancy podszedł do drzwi i oparł się o nie. Linda spojrzała na niego ze złością.

- Nie zamierza pan chyba przetrzymywać mnie w tym gabinecie do momentu rozwiązania pańskiego problemu?

Zignorował tę zaczepkę.

- Czy podawaliście tym pacjentom inne leki? Takie, których nie ma na wpisie?

Speer usiadła niespiesznie, miała lodowato zimne spojrzenie.

- Do czego pan zmierza? - Jej bostoński akcent zabrzmiał nie tylko wyniośle, ale i wrogo.

Clancy przewertował kartotekę Harolda Morella, dopóki nie trafił na stronę z zapisem stosowanej kuracji.

- Widzę, że podaliście aspirynę D/N zamiast leku znajdującego się na oficjalnej liście szpitala... - Zamilkł i czekał.

Nie dostał odpowiedzi, która by cokolwiek wyjaśniała. Linda Speer wpatrywała się w niego z pogardą i złością.

- Nie znam zbyt dokładnie aspiryny D/N - ciągnął hematolog - dlatego zastanawia mnie, dlaczego wybraliście ją zamiast porównywalnego i sprawdzonego farmaceutyku proponowanego przez szpitalną aptekę. - Uniósł pytająco brwi.

- Wybraliśmy ją, ponieważ - wysyczała Speer, krzywiąc się z irytacji

- stosowaliśmy ją z dużym powodzeniem w Bostonie. Wiedzieliśmy, że ten rodzaj aspiryny jest lepszy od innych leków w swojej grupie i najdłużej utrzymuje konieczne rozrzedzenie krwi. Od pięciu lat używaliśmy niemal wyłącznie jej, a jak pan sam wie, doktorze, lekarze powinni trzymać się wyłącznie znanych sobie farmaceutyków.

- Tyle tylko - wtrącił Clancy - że aspiryna D/N nie jest dostępna w Irlandii. Zdążyłem już to sprawdzić.

- Przywieźliśmy ze sobą wystarczającą ilość! - wydarła się Speer, fasada jej obojętności runęła w jednym momencie.

- Do cholery, sprowadziliśmy kilka opakowań tego leku! Jezu Chryste, Clancy, albo odpieprzy się pan ode mnie w tej chwili, albo wezwę ochronę, żeby pana stąd wyprowadziła!

- Wstała i otworzyła drzwi zdecydowanym ruchem. Ozdobiona złotą bransoletką ręka wskazała korytarz. - Wynocha!

Clancy pozbiierał niespiesznie kartotekę Harolda Morella, potem zamarł na moment ze zmarszczonymi brwiami.

- Jak właściwie przeliterowuje się pani nazwisko? - zapytał niewinnie.

Udało mu się wytrącić ją z równowagi.

- S... P... E... E... R - odpowiedziała z silnym bostońskim akcentem, potem powtórzyła raz jeszcze, celowo przedrzeźniając: - SSS... PPP... EEE... EEE... RRR. Speer. Zadowolony?

Clancy minął ją obojętnie.

- S... P... E... E... R - powtórzył wolno, w zamyśleniu, kręcąc głową, jakby nie potrafił w to uwierzyć. Potem odwrócił się w stronę Lindy i dodał z uśmiechem na ustach: - Cóż za prostackie nazwisko jak na tak

niezwykłą kobietę!

Zaniemówiła z wściekłości.

Wychodząc, Clancy wpadł na doktora Colmana. Drzwi jego gabinetu były otwarte na oścież.

- Człowieku, o co ci chodzi? O co się tak pieklisz, u licha?

Linda Speer natychmiast wypadła na korytarz.

- Nic się nie stało, Stone. Doktor Clancy doszedł właśnie do tego, że jest dupkiem, a ja przez grzeczność nie zaprzeczyłam. - Machnęła ręką lekceważąco. - Nic się nie stało. Daj spokój.

Colman łypnął na hematologa.

- Wyluzujcie - poradził. - To szpital, nie slumsy. Clancy ruszył w głąb korytarza, dopiero przy windadzi spojrzał za siebie. Colman i Speer dyskutowali o czymś zawzięcie.



## Godzina 11.07

W czasie przerwy na kawę komendant policji Donal Murphy trzymał się na uboczu, ignorując gromadki rozmawiających ludzi. We wcześniejszej dyskusji także nie był specjalnie aktywny, prócz momentu, w którym usadził Johna Regana. Miał sporo powodów do zmartwień. Pojawił się w sali narad z pełnym rozmysłem, aby poskromić apetyty polityków na wtrącanie się w prowadzenie sprawy, chciał się też przekonać, który jeszcze spośród ważniaków zechce się w to mieszać. Świadom, że to będzie bardzo ważne śledztwo, nie zdziwił się obecnością trzech ekip telewizyjnych czekających przed budynkiem, zanim jeszcze rozpoczęła się narada. Agencje prasowe z Bostonu wydzwaniały do niego od samego rana, prosząc o komentarz. Lada moment dochodzeniowcy będą mieli na karku stada reporterów śledzących każdy ich krok. Komendant podejrzewał, że Regan wykorzystuje ostatnie wydarzenia do autopromocji, mógł osiągnąć tak wiele naprawdę niewielkim kosztem. Teksty i zdjęcia dokumentujące osobiste zaangażowanie ministra zdrowia w śledztwo były marzeniem każdego szefa kampanii wyborczej. Jego zdaniem Regan zamierzał robić wszystko, co w jego mocy, aby chronić swoją reputację, a także dzieło życia, jakim bez wątpienia była drużyna marzeń. Zabójstwo Jennifer Marks mogło zatrzeć posadami Fundacji Serca, zniweczyć jego dalekosiężne plany i zdać na łaskę domorosłych

irlandzkich lekarzy. A John Regan, wytrawny polityk, socjalista od Armaniego i ulubieniec mediów, mógł polec za sprawą brutalnego mordu dokonanego przez zwykłego naćpanego nożownika. Murphy wiedział, że minister zdrowia zażąda głowy Micko Kelly'ego na tacy. I to natychmiast.

- Co jeszcze wiemy o tym Kellym? - zapytał komendant. - Jak niebezpieczny może być? Czy możemy go stamtąd wyciągnąć bez wywoływania zamieszek?

Doskonale zdawał sobie sprawę z problemów operacyjnych, jakie mogli mieć podczas tej akcji. Hillcourt Mansions to była ziemia niczyja pikietowana do niedawna przez aktywistów organizacji takich jak Rodzice przeciw Narkomanii. Okoliczni dilerzy atakowali demonstrantów, rozwścieczeni faktem, że przez takie akcje oczy wszystkich są zwrócone na miejsce, z którego czerpali ogromne dochody. Pikietujący ustąpili przed brutalną siłą i wszystko wróciło do normy. Mieszkańcy kamienicy ćpali jak dawniej, a potem rozpełzali się po mieście, aby kradzieżą i rabunkiem zdobyć środki na kolejne działki. Hillcourt posiadało także własny system wczesnego ostrzegania. Narkomani pełnili warty wokół domu, blokując jedyne wejście do niego w razie pojawienia się radiowozów albo suk. Na widok granatowego munduru zaczynali walić pokrywami od kubłów o ściany, a po chwili kolejni mieszkańcy nieśli ten alarm dalej, tłukąc w co popadnie albo drąc się wniebogłosy. Kamienie sypały się na każdego, kto wszedł na podwórze, sopluczki pracowały nieustannie - narkotyki znikwały bez śladu w kanalizacji. Hillcourt Mansions było miejscem, w którym lepiej nie wzniecać konfliktów. Nie, pomyślał

Murphy, trzeba to rozegrać bardziej finezyjnie.

- Ten człowiek jest bardzo niebezpieczny - odpowiedział Molloy, otwierając pierwszą z teczek, jakie trzymał na kolanach.

Zebrani policjanci robili, co mogli, by zyskać choć odrobinę wygody. Niektórzy przysiadali nawet parami na niewielkich krzesłach. W sali panowała straszna duchota, mimo iż otwarto wszystkie okna. Komendant wskazał ręką na najbliższe krzesło, opróżniono je dla niego natychmiast. Zanim usiadł, zdjął marynarkę i powiesił ją na oparciu.

- Kontynuujcie - rozkazał moment później.

- Kelly jest podrzędnym kryminalistą - zaczął Molloy, zerkając w notatki. - Jego rodzina mieszkała w kamienicy czynszowej, ale została z niej wysiedlona na przedmieścia ze względu na problemy, jakie stwarzała współlokatorom...

- Zamilkł na moment, szukając kolejnej informacji. - Był trzecim z siedmiorga rodzeństwa składającego się z czterech chłopców i trzech dziewczynek. Ojciec zginął, wpadł do rzeki po jednej z libacji alkoholowych. Matka z trudem wiązała koniec z końcem, ale starała się wychować dzieci na porządnym ludzi. - Ktoś z tylnych rzędów otworzył szerzej okno i do wnętrza zatłoczonej sali wdarły się odgłosy odległego ruchu ulicznego. - Kelly zyskał sobie miano nożownika po serii napadów na pracowników stacji benzynowych, podczas których posługiwał się ostrym narzędziem. Kamery ochrony zarejestrowały jego twarz, dzięki czemu został aresztowany. Wyszedł za kaucją. Gdy oczekiwał na proces, wdał się w kłótnię z niejakim... - Molloy musiał odszukać w papierach nazwisko - Dinnym Johnstone'em z Finglas, też

ćpunem. W efekcie bójk Johnstone zmarł, zanim dotarł do szpitala. Kelly zadał mu dwa ciosy nożem. Jeden trafił prosto w serce.

- Mamy na niego coś jeszcze? - zapytał Murphy, zachowując kamienną twarz, chociaż cały czas kalkulował, rozważał, decydował.

- Dostał dziesięć lat za zabójstwo, ale w więzieniu znowu zajął się narkotykami. - Molloy zamknął kartotekę. - Którejś niedzieli zrobiono kipisz w jego celi.

Komendant otarł krople potu z czoła.

- Znaleziono coś?

- To co zawsze, kilka działek heroiny, strzykawki, folię z kokainą.

- W takim razie co w tym dziwnego? - Brwi komendanta powędrowały do góry.

- Cóż, Micko wziął to sobie do serca - wyjaśnił Molloy.

- Czaił się do momentu, gdy został sam na sam z jednym ze strażników podczas pracy w więziennej drukarni. Mało brakowało, a obciąłby mu dłoń nożem własnej roboty. Dwaj inni więźniowie trzymali nieszczęśnika, gdy Micko oprawiał mu rękę. Trzeba było siedmiogodzinnej operacji, by ją przyszyć.

- Jezu - jęknął któryś z policjantów.

- Zatem mamy do czynienia z twardzielem. - Słowa komendanta odzwierciedlały myśli wszystkich zebranych.

- Tak - potwierdził Molloy - i z czasem robił się coraz groźniejszy. Specjalizuje się w brudnych strzykawkach i nożach. Jest uzależniony od heroiny i poderżnie każdemu gardło bez zastanowienia, jeśli będzie potrzebował pieniędzy na prochy.

Drzwi otworzyły się i do sali zajrzała młoda blondynka pracująca

na etacie sekretarki. Wszyscy zebrani mierzyli ją wzrokiem, zadowoleni z chwili wytchnienia od przygnębiających informacji. Dziewczyna przeszukiwała wzrokiem salę, dopóki nie dostrzegła Clarke'a. Ktoś gwizdnął, ale natychmiast został uciszony. Sekretarka podała siedzącemu najbliżej dwie kartki faksu. Powędrowały z rąk do rąk aż za stół. Komisarz przeczytał szybko zawarte w nich informacje, potem wrócił wzrokiem na pierwszą stronę. Zmarszczył brwi.

- Tak... - powiedział. - Zgodnie z zeznaniami świadków Marks i jej przyjaciółka Joan Armstrong nie wysiadły na stacji Sydney Parade. Przejechały jeszcze jeden przystanek i dopiero tam opuściły kolejkę. Widziano je nieco później w pubie Balfe's na Ringsend. - Lokal ten znany był policji jako miejsce handlu narkotykami, to tam większość drobnych dilerów dokonywała transakcji i zaopatrywała się w towar.

- Widziano też, jak Marks i Micko Kelly wychodzą razem około osiemnastej trzydzieści, udając się w kierunku parku Sandymount. O tym, że towarzyszyła im Armstrong, nie ma ani słowa... - Zamilkł na moment, by przeczytać raz jeszcze nieco rozmazaną treść drugiej strony faksu. - Marks niosła torbę. Nie miała na sobie szkolnego mundurka.

Murphy wstał ociężale i zaczął się przepychać do wyjścia. Marynarkę zarzucił na ramię. Zanim otworzył drzwi, odwrócił się w stronę stołu.

- Rób co trzeba, Jim. Daję ci wolną rękę w sprawie Kelly'ego, tylko nie rozpętaj mi, na litość boską, kolejnych zamieszek.

- Zaraz przekażę informację wszystkim patrolom.

- Clarke położył dłoń na uchwycie kuli. Obtarł twarz chusteczką i

przygładził włosy, ale wyglądał na jeszcze bardziej wykończonego niż zazwyczaj. - Dopadniemy Kelly'ego. Jeśli ktoś go zauważy, ma go natychmiast przyskrzynić. Nie zdołamy go wykurzyć z nory. Jeśli zorientuje się, że go szukamy, może się ukrywać całymi tygodniami. - Policjanci wachlowali się notesami. - Trzeba wykorzystać informatorów, niech idą między ćpunów i dowiedzą się, gdzie dokładnie mieszka i czy zajmuje cały czas ten sam pokój. Oferujcie w zamian za informację, co tylko zechcą. Jeśli będzie trzeba, możecie rozwalić parę łbów. - Zauważył, że zaczyna ciężko dyszeć. Adrenalina robiła swoje. - Do wieczora drań ma być ujęty... - Zamilkł na moment, przybierając ponurą minę.

- W przeciwnym razie będziemy musieli iść po niego jutro z rana.

Salę wypełnił gwar radosnych głosów.

- Porozmawiaj raz jeszcze z córką Armstrongów.

- Clarke odciągnął Molloya na bok. - Zadzwoń po zajęciach, kiedy przynajmniej jedno z rodziców będzie w domu.

- Detektyw pochylił się w stronę komisarza. - Powiedz, że wiesz już, gdzie Jennifer poszła po opuszczeniu kolejki. Nie wspominaj jednak słowem o pubie Balfe's ani Kellym. Poproś jedynie, żeby się dobrze zastanowiła, czy nie zapomniała o jakimś ważnym szczególe. I nie naciskaj. - Zza okna dobiegły odgłosy robienia zdjęć. - Tu chodzi o coś więcej niż tylko zabawy z narkotykami. Gdyby było inaczej, nie musiałyby kłamać. Ta dziewczyna coś przed nami ukrywa.

- Przymknął oczy przed snopem ostrego światła wpadającego przez uchylone drzwi. - I znajdź mi torbę Marks, tę, w której miała szkolne rzeczy.

Poszukiwania Micko Kelly'ego rozpoczęły się tuż po dwunastej. Na wszystkich posterunkach policyjnych w śródmieściu rozdzwoniły się telefony. Faksy przesyłano tam i z powrotem. Nieoznakowane radiowozy i funkcjonariusze w cywilu zajęli miejsca w wąskich uliczkach otaczających Hillcourt Mansions, utrzymując nieustanny kontakt ze sobą dzięki telefonom komórkowym.

Wyłuskiwano wszystkich znanych policji handlarzy, ćpunów i informatorów, wpytując szczegółowo o poszukiwanego. Spotkałeś dzisiaj Kelly'ego? Kiedy widziałeś go po raz ostatni? Gdzie się kręcił? Co teraz bierze? Gdzie chodzi, kiedy jest na głodzie? Z tego szumu odfiltrowywano zmuszenie istotne informacje i przekazywano je natychmiast Clarke'owi urzędującemu w budynku komendy głównej. Moss Kavanagh także został oddelegowany na ulicę, jemu przypadło penetrowanie środowiska prostytutek. Wiele z tych dziewczyn uprawiało najstarszy zawód świata, aby zdobyć pieniądze na kolejną działkę, więc doskonale znały zaplecze rynku narkotykowego. A kilka nowiutkich dwudziestofuntówek, zdobytych bez wielkiego wysiłku, otwierało niejedne usta. Clarke otrzymał więcej informacji, niż się spodziewał. O wszystkim, tylko nie o miejscu pobytu Micko Kelly'ego.

O tej porze, a było już chwilę po dziewiętnastej, poszukiwany narkoman pakował sobie w żyłę kolejną porcję prochów. Od piętnastej nie wychylił nosa z domu. Zaćpana matka z uzależnionym bachorem zrobiła mu tę przyjemność i poszła na miasto. Przyniosła kokainę, do tego dwie działki heroiny i szesnaście tabletek rohypnolu. Kupiła też dwa listki czegoś, co nazywało się ecstazy. Zapłacił za to wszystko siedemdziesięcioma niedawno ukradzionymi funtami,

dodając woreczek trawki. Oboje uważali, że zarobili na tej transakcji. Kelly zapomniał nawet, że niedawno groził poderżnięciem gardła drącemu się dzieciakowi. Wrócili do swoich nor, by zapaść tuż po zmierzchu w narkotykowy trans.



# 13

## Godzina 19.45

Frank Clancy siedział na trzecim oddziale, doglądając pacjentów. Dyżurna pielęgniarka zatrzymała go, zanim podszedł a do Harolda Morella.

- Nie czuje się za dobrze - ostrzegła. - Znowu skoczyła mu temperatura, owrzodziło mu usta, trzykrotnie miał dreszcze w ciągu minionej godziny.

Clarke rzucił okiem na kartę choroby i sprawdził zapisy podstawowych obserwacji z ostatnich trzydziestu minut. Funkcje życiowe Morella nie wyglądały najlepiej, miał skoki temperatury, przyspieszony rytm serca, niskie ciśnienie krwi i problemy z oddawaniem moczu. Hematolog przeszedł wolnym krokiem do izolatki znajdującej się na końcu oddziału, gdzie przenoszono najciężej chorych pacjentów. Morell leżał bezwładnie na ułożonych wysoko poduszkach, w nozdrza wetknięto mu kaniule dostarczające tlen, w oba ramiona miał wkłute kroplówki, którymi uzupełniano płyny i podawano antybiotyki. Grubym przewodem odprowadzano też mocz prosto z pęcherza. Mężczyzna leżący teraz w szpitalnej pościeli był zaledwie cieniem rosłego, barczystego budowniczego. Siedząca przy łóżku żona, wysoka, pulchna kobieta o siwych włosach, ścisnęła jego prawą dłoń. Twarz miała poszarzałą ze smutku i zmartwienia. Mięła miarowo kiedyś białą, lnianą chusteczkę.

Clancy'emu wystarczyło jedno spojrzenie na pacjenta, by wiedzieć, że nie przeżyje. Podszedł bliżej łóżka, unikając pytającego wzroku żony Morella.

- Harry! - podniósł głos, pochylając się do lewego ucha pacjenta.

Harold Moreli otworzył na moment oczy, oblizał spierzchnięte wargi i spróbował coś powiedzieć. Pokręcił głową, gdy mu się to nie udało.

- Harry! - Clancy nie ustępował, mimo tak wielkiego osłabienia pacjenta. - Muszę cię zapytać o leki, które brałeś, zanim trafiłeś ponownie do szpitala.

Moreli skinął ledwie zauważalnie głową.

- Wiem, że przepisano ci adizem i aspirynę D/N.

- Tak, doktorze - wtrąciła się pani Moreli. - Ja pilnowałam, żeby je brał na czas, on jest taki zapominalski.

Clancy odwrócił się do niej.

- Czy mógł brać większe dawki, niż mu przepisano? Wie pani, choćby przez pomyłkę, mógł być na przykład skołowany?

- Nie, doktorze - odparła zdecydowanym tonem.

Clancy wyczuł, że wiedziała, o czym mówi. Miewał do czynienia z pacjentami, którzy nie odróżniali tabletki od cukierka, albo takimi, którzy źle odczytywali dołączane ulotki. Pani Moreli z pewnością do nich nie należała. Wyglądała na osobę, która restrykcyjnie dbała o zdrowie męża.

- Trzymałam je w oddzielnym opakowaniu i wyjmowałam tylko tyle, ile miał zażyć danego dnia. Reszta stała w apteczce - mówiła z płaskim, północnodublińskim akcentem.

Clancy nagroził ją uśmiechem za tę troskliwość i zajął się regulacją kroplówki, aby zyskać czas na zastanowienie.

- Czyli dostawał tylko dwie tabletki na raz? - zapytał, gdy skończył poprawiać kaniulę.

- Tak - odparła pani Moreli, tak pewnie jak przedtem.

- Różowo-niebieską kapsułkę na serce i tę małą, niebieską.

- Nie ma ich pani przypadkiem przy sobie? - Clancy dopisał bezużyteczną uwagę do karty choroby.

- Przykro mi, doktorze, ale nie mam. Nie wiedziałam, że mogą być potrzebne. Zostały w domu.

Clancy uśmiechnął się do niej, zanim opuścił izolatkę.

- Może przyniesie je pani jutro, przy okazji następnej wizyty.

- Dobrze, doktorze. Zawiążę sobie węzełek na chusteczce, żeby nie zapomnieć. - Zrobiła to w tej samej chwili.

- Proszę - pokazała mu efekt. - Teraz na pewno nie zapomnę.

- Bardzo pani dziękuję. Chciałbym, aby pani przyniosła je wszystkie. Proszę ich nie wyrzucać.

- Nie zrobię tego, doktorze - zapewniła go solennie pani Moreli.

Clancy ujął dyżurną pielęgniarkę za łokieć i zaprowadził za róg korytarza.

- Louise - zagaił ściszym głosem, przeszukując szybko kieszenie fartucha - mogłabyś przynieść do mojego gabinetu kartoteki tych pacjentów?

Siostra rozprostowała pomięty kawałek papieru i odczytała zapisane na nim nazwiska.

- Mary Hyland... James Murphy?

Clancy skinął głową i wskazał na numery kartotek wypisane obok.

- Oboje już nie żyją - dodał, rozglądając się, aby sprawdzić, czy nikt tego nie słyszy. - Powinna je pani znaleźć w sekcji „zmarli pacjenci”. - Pielęgniarka nie odrywała oczu od nazwisk. - Gdyby udało się wyciągnąć je na jutro, byłoby świetnie. Mam jeszcze tonę papierów do przejrzenia, zanim pójdę do domu. Jutro będę miał czas, aby zająć się nimi, oczywiście jeśli zdoła siostra je odszukać. - Zmusił się do uśmiechu.

Gdy hematolog zaczynał przeglądać wyniki badań pozostałych pacjentów znajdujących się pod jego opieką, na ostatnim piętrze, w pomieszczeniach Fundacji Serca, Linda Speer podniosła słuchawkę telefonu. Drzwi gabinetu były zamknięte na klucz, a zasłony szczelnie zasunięte.

Gdy do wpół do jedenastej nie zauważono nawet śladu Michaela Leo Kelly'ego, Jim Clarke zdecydował, że szturm na Hillcourt Mansions zostanie przeprowadzony nazajutrz o świcie. Wyszedł, pozostawiając Molloyowi i Kavanaghowi dowodzenie informatorami, którzy mieli ustalić dokładne miejsce pobytu podejrzanego.

Po powrocie do domu padł od razu na łóżko, próbując zasnąć. Ale sen nie przychodził. Ból, konieczność aresztowania Kelly'ego, możliwość zakończenia sprawy jednym zdecydowanym ruchem - to wszystko wyzwoliło potężną dawkę adrenaliny. Rzucał się przez całą noc, sprawdzając co chwilę godzinę na elektronicznym wyświetlaczu i odliczając minuty dzielące go od świtu.

Dyżurujący w komendzie policji Molloy i Kavanagh także nie mogli spać. Sporządzili listę dwudziestu sześciu funkcjonariuszy, którzy

mieli wziąć udział w porannym wypadzie. Czekając na moment rozpoczęcia akcji, zasiedli w niewielkim gabinecie do partyjki pokera. Palili jak smoki i rozmawiali, zerkając co chwilę na zegar. Kavanagh urwał się tylko na kilka minut, by powiadomić o planowanej akcji Barry'ego Nolana, reportera „Posta”.

- Akcja otrzymała kryptonim „Szturm na barykady” - referował z uśmiechem na ustach.

Nolan spędził resztę nocy, kuląc się na pace vana zaparkowanego w pobliżu Hillcourt Mansions. Zabrał ze sobą trzy aparaty, w tym dwa z teleobiektywami, aby uwiecznić moment zatrzymania sprawcy i towarzyszącą mu bitwę. Wcześniej wynegocjował sporą stawkę za oddzielny raport dla „Boston Globe”.

Joan Armstrong także nie spała. Przebywała w swoim domu w dzielnicy Sandymount. Nie zdołała ukryć śladów po igłach tak dobrze, jak sądziła. Nie mogła też skorzystać z telefonu tak, by nikt jej nie słyszał. Potem Tony Molloy zadzwonił około osiemnastej trzydzieści. Jego pożegnalne słowa ociekały od zakamuflowanych gróźb.

- Nie zapomniałaś o czymś, Joan? Zadzwonię do ciebie jutro. Może przypomnisz sobie do tego czasu jakieś szczegóły.

Musiała już dwukrotnie zmieniać przepoconą piżamę, chociaż noc była taka chłodna.

Micko Kelly spał w najlepsze w zapchlonym pokoiku w Hillcourt Mansions. Jedynym powodem do niepokoju były dziwaczne sny. Wiercił się i miotał po całym materacu. W narkotycznym widzie ścigały go ziejące ogniem zwierzęta, rzucały się, by chwycić za rękę albo nogę. Wołał o pomoc. W kącie, tam gdzie je porzucił, leżały

zakrwawione adidas i biała koszulka. Kelly miał w dupie, czy Hillcourt Mansions spłonie. Smok już go dopadł i całkowicie nim zawładnął.

W Nowym Jorku, mieście, które nigdy nie zasypia, akcje Cynx Pharmaceuticals zdrożały do siedemnastu dolarów i dwudziestu dwóch centów, zyskując dolara i osiemdziesiąt dwa centy po zaskakującej wiadomości, że firma została wykupiona przez nieznanego europejskiego inwestora.

# 14

Czwartek, 14 maja,  
godzina 5.30

Akcja „Szturm na barykady”

- Rękawic nie da się przebić igłą od strzykawki. Są może trochę nieporęczne, ale bezpieczne, a to teraz najważniejsze.

Na czworokątnym dziedzińcu komendy policji Tony Molloy prowadził odprawę dwudziestosześcioosobowego oddziału szturmowego. Szarość przedświt zaczynała zdobić niebo nad pobliskimi gregoriańskimi budowlami, a na otaczających je ulicach rozwożący prasę kierowcy furgonetek bawili się w „kto częściej zdąży przed czerwonym światłem”. Zapach przypalonego słodu z pobliskiego browaru Guinnessa wisiał w\* spokojnym, chłodnym porannym powietrzu. Odgłos wyjącego w oddali alarmu samochodowego rywalizował ze szczekaniem psów i dzwonieniem budzików.

- Dostaliście też nieprzebijalne kurtki i legginsy. Skóra w nich świerzbi, ale macie je założyć tylko na chwilę.

Molloy przyjrzał się twarzom ludzi z oddziału. Wyglądali na twardych, wystarczająco twardych, uznał. Większość miała krótko obcięte włosy, masywną budowę i groźnie wyglądającą twarz. Każdy z nich mierzył ponad sześć stóp, tak jak sobie tego zażyczył Tony.

Dziesięciu oddelegowano z elitarnego dowództwa Rangersów. Byli szkoleni w operacjach antyterrorystycznych i walkach ulicznych. Miał zamiar podzielić ich na dwie grupy po pięciu ludzi. Pierwsza wejdzie do budynku w poszukiwaniu Micko Kelly'ego, druga będzie zabezpieczać wyjście z kamienicy. Reszta oddziału zajmie strategiczne punkty na klatkach schodowych, blokując wszelki ruch w obie strony. Molloy nie chciał, by jego ludzie zostali zaatakowani przy użyciu wszystkiego, co napastnikom wpadnie w ręce.

- Gdy wejdziecie na podwórze tego kompleksu, znajdziecie się na terytorium wroga, lepiej, żebyście o tym pamiętali. Nie życzę sobie żadnych akcji w stylu Rambo. Nie prowokujcie i nie przeginajcie, nie bijcie nikogo bez wyraźnego powodu. Waszym zadaniem jest wyciągnięcie stamtąd Kelly'ego i tego się trzymajcie.

Przyglądał się szeregowi spokojnych twarzy, wiedząc, że część z nich marzy o rozwaleniu łbów paru ćpunom. Byli tale nastawieni na akcję, że musieli się rozładować, uderzyliby nawet na koszary wojskowe, gdyby padł dzisiaj taki rozkaz.

- Kelly'emu nie może się nic stać. Każdy z was złapie go za jedną nogę albo rękę, a piąty przytrzyma głowę. Nie pozwólcie mu się ugryźć. Nieście go twarzą w dół. Nie wkładajcie mu nic do ust, żeby nie krzyczał. Zostanie natychmiast przewieziony na komendę celem przesłuchania.

Zimne powietrze zamieniało się w parę przy każdym wypowiedzanym przez niego słowie. Zauważył, że kilku ludzi z oddziału ma przyspieszony oddech. Im więcej mówił, tym bardziej się nakręcali. Wyczuł, że powinien im zaraz popuścić smycz.



- To bardzo ważne, żeby poszukiwany nie odniósł żadnych obrażeń. Żaden z nich nie odpowiedział.

- Zostanie pokazany mediom, nie chcę, żeby miał na ciele widoczne ślady.

Nadal słuchali w milczeniu.

- Za wami pójdzie ekipa dochodzeniowa, by zabezpieczyć wszystkie dowody. Musimy ich chronić. Potrzebujemy tych dowodów, zrozumiano?

Skinęli głowami bez jednego słowa.

- Świetnie - zakończył Molloy. - Przebierajcie się. Ruszamy dokładnie o szóstej.

Sprawdził godzinę, pokazując pozostałym, aby uczynili to samo. W blasku przedświtów dwudziestu siedmiu ludzi ustawiło wskazówki zegarków na piątą czterdzieści osiem. Dwudziestu sześciu mężczyzn weszło do hangaru szkoleniowego, by założyć ubrania ochronne. Nie padło przy tym ani jedno słowo, nikt na nikogo nie spojrzał. Cisza była przytłaczająca.

Molloy wyszeptał kilka słów do krótkofalówki i moment później usłyszał pomruk silników czterech transportowych vanów. Zatrzymały się w równym rzędzie przed hangarem, przednie i tylne szyby chroniły stalowe siatki. Były całkowicie czarne, z wyjątkiem białych napisów POLICJA na burtach i dachu. Czterej kierowcy wysiedli jednocześnie i rozsunęli boczne drzwi. Były tak doskonale nasmarowane, że uczynili to, nie powodując najmniejszego hałasu.

- Dobra, ruszamy - rozkazał Molloy i funkcjonariusze natychmiast podzielili się na grupy. Wszyscy mieli na głowach czarne hełmy z

uniesionymi przyłbicami, a pod czarnymi dresami nieprzebijalne legginsy i kamizelki. Trzymali w dłoniach grube rękawice. Te mieli założyć w ostatniej chwili.

### **Godzina 6.00**

Jim Clarke poprawiał się na tylnym siedzeniu nieoznakowanego radiowozu, gdy zatrzaśnięto drzwi i cztery vany opuściły dziedziniec komendy, wyjeżdżając na Harcourt Street. Moss Kavanaugh zajmował miejsce za kierownicą. Drzwi po jego lewej wciąż były otwarte, moment później w oddali pojawiła się sylwetka biegnącego Tony'ego. W chwili gdy zajmował miejsce, Kavanaugh ruszył raptownie, by dołączyć do mijającego ich właśnie konwoju.

- Są gotowi do akcji - oświadczył Molloy z ponurą miną - i tryskają entuzjazmem.

Clarke pochylił się, aby ułożyć wygodniej uszkodzoną nogę.

- Ostrzegłeś ich, żeby go nie poturbowali?

Tony nie odwrócił się do niego, wzrok miał utkwiony w tylnych drzwiach ostatniego czarnego vana.

- Bez obaw. Powiedziałem co trzeba. Wiedzą dokładnie, co mają robić. - Poprawił lusterko wsteczne prawą dłonią.

- Wpadną tam i wypadną - obiecał. - To nie powinno trwać dłużej niż dziesięć minut.

Konwój pędził opustoszałymi ulicami, pokonując St. Stephen Green, potem Dawson Street, w końcu minął Mansión House. Gołębie i sroki walczyły o resztki jedzenia leżącego wokół powywracanych

pojemników na śmieci. Clarke nie czuł takiej ekscytacji od wielu lat. Nawet w tym momencie zaciskał kurczowo dłoń na uchwycie drzwi samochodu. W lusterku wstecznym zauważył zaniepokojone oczy Molloya i natychmiast odwrócił wzrok w stronę okna. Gdy konwój skręcił w Nassau Street, pojawiły się za nim porozbijane witryny sklepów. Samochody przyspieszyły, kierując się prosto na kompleks Hillcourt Mansions. Na milę przed celem z bocznej uliczki wyjechał policyjny radiowóz z przyciemnionymi szybami. Ekipa dochodzeniowa zajęła miejsce na końcu konwoju.

### **Godzina 6.15**

Dotarli przed Hillcourt Mansions o czasie, tak wcześnie nie było żadnych problemów z korkami. Samochody wtoczyły się na podwórze w całkowitej ciszy, z wyłączonymi silnikami. Wokół nie było żywej duszy, wszędzie walały się za to opakowania po jedzeniu na wynos, puszki, butelki i folie po narkotykach, unoszone każdym podmuchem wiatru. Podwórze otaczały z trzech stron zrujnowane i pokryte graffiti mury kompleksu mieszkalnego. Po obu jego końcach znajdowały się klatki schodowe. Na nich też nie było nikogo. Ćpuny spały o tej porze albo leżały wciąż odurzone narkotykami.

### **Godzina 6.18**

Drzwi vanów rozsunęły się i z pojazdów wyskoczyli członkowie oddziału uderzeniowego. Clarke przyglądał się tej scenie z

bezpiecznej odległości, siedząc w zaparkowanym w bramie wjazdowej radiowozie. Niemal natychmiast musiał opuścić szybę, zaparowała bowiem od jego przyspieszonego oddechu. Dwadzieścia sześć ubranych na czarno postaci rozbiegło się po wybetonowanym podwórzu, zajmując wyznaczone wcześniej pozycje. Oddział z dowództwa Rangersów znajdował się na czele, pierwsza piątka zdażyła już wbiec na drugie piętro. Biegając galerią, funkcjonariusze omiatali wzrokiem kolejne drzwi, sprawdzając numery mieszkań. Nagle jeden z nich zatrzymał się i popędził kolegów. Rozbiegli się, ale po chwili któryś potwierdził skinieniem głowy znalezienie właściwego lokalu. Adres Micko Kelly'ego zdradzono policji minionego wieczora, za dwadzieścia funtów, co nie wystarczało nawet na jedną porządną działkę. Pierwszy kubeł uderzył o ścianę, podnosząc alarm, w tym samym momencie, w którym drzwi wypadły z zawiasów.

### **Godzina 6.23**

Kelly już nie spał. Siedział na materacu, kombinując, jak zdobyć kolejną działkę. Przez całą noc walczył z ognistymi demonami, ale przegrał. Jego mózg odmawiał współpracy, miał dreszcze, był mocno pobudzony. Ledwie widział na oczy, nie rozpoznawał nawet mebli stojących w pokoju. Czuł, że sam jest niewidzialny. Podniósł rękę i pomachał nią przed miejscem, w którym powinny znajdować się jego oczy. Nie zobaczył jej. Jestem, kurwa, niewidzialny. Do jego uszu dobiegł głośny trzask drzwi wejściowych, a po nim piskliwy głosik drącego się uzależnionego bachora z sąsiedztwa i wrzaski naćpanej

mamuśki, która usiłowała zastawić przejście wyniszczonym ciałem. Sięgnął po nóż, lecz nie potrafił go znaleźć. Demony wróciły, ale były tym razem znacznie większe. Weszły do pokoju i ruszyły w jego stronę. Zahipnotyzowany przerażeniem przyglądał się potężniejącym czarnym sylwetkom z rosnącą nieustannie fascynacją. Patrzył, jak wyciągają ku niemu odziane w gruby materiał dłonie. Ale przecież był niewidzialny. Skoro mnie nie widzą, to nie mogą mnie schwytać, pomyślał. Zaczął się uśmiechać. Krzywo, półgębkiem, jak człowiek, który nie ma pewności, co się zaraz wydarzy, albo nie wierzy, że coś takiego mogłoby się przydarzyć właśnie jemu. Wciąż miał nadzieję, że do niczego nie dojdzie. Pierwsze dotknięcie wstrząsnęło nim dogłębnie. Zawył nieludzkim głosem.

### **Godzina 6.25**

- Brać drania!

Dwaj komandosi chwycili Kelly'ego za długie włosy i pociągnęli mocno do tyłu. Dwie pary oczu przyglądały mu się czujnie przez wizjery masek.

- Otwórz ten pieprzony pysk, a będziesz srał własnymi zębami.

W chwili gdy obudzeni pierwszym rykiem Micko narkomani z sąsiednich mieszkań zaczęli wychodzić na zewnątrz, funkcjonariusze unieśli go, trzymając za ręce i nogi. Nagle jego ciało wykonało obrót i przed oczami ujrzał podłogę. Wyniesiono go z pokoju na korytarz, potem na zewnątrz, nad resztkami wyważonych drzwi. Funkcjonariusze poruszali się tak szybko, że narkomanka dzieląca z

Kellym mieszkanie nie zdążyła uskoczyć i dosłownie przeszli po niej. Jej wrzaski uciszyła mocarna dłoń, która pochwyciła kobietę za gardło i cisnęła nią w głąb łazienki, po czym natychmiast zatrzasnęła drzwi. Ekipa dochodzeniowa z workami na dowody rzeczowe przecisnęła się obok ludzi wynoszących Micko na galerię oświetloną bladym blaskiem poranka. Druga piątka komandosów otoczyła swoich kolegów, zapewniając im dodatkową osłonę. Wyglądali jak przybysze z obcej planety, wielcy, cali odziani w czerń, w dziwacznych maskach na twarzach, z ogromnymi pałkami w dłoniach.

### **Godzina 6.37**

Pierwsi narkomani, którzy wylegli na galerię, stali w bezpiecznej odległości, obserwując ten widok i nie wiedząc, jak na niego zareagować. Różnica była aż nadto widoczna. Wychudzone ciała, brudne ubrania, skonsternowane spojrzenia. A potem ktoś wydarł się na cały głos. To kipisz! Głowy wychylają się na zewnątrz, oczy dostrzegają wleczonego przez podwórze Micko Kelly'ego w asyście pięciu kolejnych gotowych na wszystko funkcjonariuszy. Grupa mieszkańców p&rteru rozbiega się, wywrzaskując wyzwiska. Zbliżają się do policjantów. Lecą pierwsze kamienie, kakofonia kubłowych alarmów zagrzewa tłum do działania. Pierwszy ćpun wyłamuje się z szeregu, szarżując z brawurą na komandosów zabezpieczających ekipę techników. Cios pałką przez głowę zostawia krwawy ślad i wywołuje lawinę kolejnych obelg. Wycie uderzonego przywołuje

kolejne chmary narkomanów, w ciągu kilku minut aż roi się od nich wokół. Zaczyna się bijatyka.

Oślaniani przez komandosów dochodzeniowcy uciekają na galerię, ściskając w rękach worki z dowodami rzeczowymi.

Funkcjonariusze przebijają się przez klatkę schodową, zadając ciosy i razy, jak oddział legionistów, uchylając się przed kamieniami i butelkami sypiącymi się z każdej strony. Gdy docierają na niższe piętro, nagle w ich kierunku wysuwa się dłoń uzbrojona w brudną strzykawkę. Igła nie przebija materiału. Mundury są cięte, dżgane, szarpane, ale żaden cios nie dochodzi prawdziwego celu. Odzież ochronna sprawdza się znakomicie. Po kilku minutach wszyscy funkcjonariusze są już na dole i biegną nisko pochyleni, wciąż w zwartej grupie, byle dalej od tego betonowego koszmaru.

- Szybciej! - nawołuje przez megafon Molloy. - Wszyscy do wozów!

Czarne sylwetki mkną w kierunku bezpiecznego schronienia, ścigani przez trzymający się na odległość pałki rozwścieczony tłum. Puszczają nerwy, krew wrze w żyłach. Ktoś nadal wybija dziki rytm na kubłach, coraz więcej butelek i kamieni szybuje w powietrzu. Na podwórzu zaczynają się zamieszki. Policjanci widzą wokół jedynie przekrwione, pełne wściekłości oczy. Uniesione noże i strzykawki. Zaciśnięte dłonie wymachują nimi groźnie. Głośny ryk policyjnych syren sprawia, że tłum nagle nieruchomieje, pozwalając członkom oddziału uderzeniowego na powrót do samochodów. Trzydzieści sześć minut od chwili, gdy rozsuwane drzwi vanów stały otworem, mogą być ponownie zatrzaśnięte i konwój rusza z piskiem opon w kierunku bramy wyjazdowej, zostawiając za sobą nienawistną horde.

## Godzina 6.54

Micko Kelly został oficjalnie pouczony i zatrzymany. Nie zrozumiał nawet słowa z tego, co do niego mówiono.

Konwój ruszył jeszcze niezatłoczonymi ulicami. Wyjące syreny zmuszały kierowców do ustąpienia z drogi, zostawiając za pędzącymi vanami rzekę chaosu. Jeden z funkcjonariuszy trzymał w ręku pełną puszkę heinekena.

- Jezusie, co to za barany - uśmiechnął się krzywo.

- Rzucali w nas piwem.

Reszta zarechotała radośnie.

W ustalonym miejscu jeden z vanów i jadący za nim radiowóz odłączyły się od kolumny i skierowały w stronę aresztu. Na pace policyjnego wozu leżał twarzą w dół wciąż zdziwiony („jak oni, do kurwy nędzy, mogli mnie dopaść, skoro jestem niewidzialny”), przestraszony, wstrząśnięty i pobudzony Micko Kelly. Jego nogi, ręce i głowa trzymane były w żelaznym uścisku wielkich dłoni. Dociskały go tak mocno, że ani razu nie uderzył głową o podłogę, mimo iż jechali poboczami nie najlepiej utrzymanych ulic. O co tu, kurwa, chodzi?

Tuż po godzinie ósmej, w czwartek, czternastego maja, gdy palące słońce wspinało się na bezchmurne niebo, Micko Kelly został bezceremonialnie wepchnięty do pojedynczej celi w drugim bloku aresztu śledczego w Bridewell. Pomieszczenie było dokładnie opróżnione, nie zostawiono w nim nawet poduszki i koca. Gdy



zatrzaśnięto drzwi, Kelly doczołgał się do kąta i usiadł tam na ziemi. Przyciągnął kolana do klatki piersiowej i oparł na nich brodę. Chwytał się mocno obiema rękami za głowę. Drżał na całym ciele z podniecenia. Pocił się tak obficie, że sam miał problem ze zniesieniem swojego zapachu. Zęby mu szczękały. Odczuwał pierwsze symptomy głodu narkotycznego. Dręczył go ból brzucha.

Gdzie jesteś, Jimmy? Potrzebuję szybkiej działki. Nie wkurwiał mnie, Jimmy. Muszę dostać działkę. Masz coś dla mnie?

Ale nie było obok niego Jimmy'ego. Otaczała go wyłącznie cisza pustej celi będąca wstępem do niewysłowionych tortur, jakie lada moment zafunduje mu przeżarty narkotykami umysł.

Micko Kelly miał problem. Po raz kolejny.

- Chciałbym się widzieć z Arnoldem Leesonem.

Jim Clarke stanął w drzwiach sekretariatu laboratorium wydziału dochodzeniowego w Phoenix Park. Podążał za zespołem techników niczym pies myśliwski, nawet na moment nie pozwolił im zniknąć z oczu.

- Wcześniej pan przychodzi.

Arnold Leeson, dyrektor laboratorium, okazał się wysokim, szczupłym mężczyzną ubranym w biały służbowy kitel. W kieszeni na piersi roilo się od długopisów i skrawków papieru. Jego rzadkie włosy miały barwę jasnego popiołu. Rzucił okiem na grupkę podenerwowanych mężczyzn i uznał, że nie ma czasu na wymianę kolejnych uprzejmości.

- O co chodzi? - Ton jego głosu zmienił się z przyjazno-powitalnego na urzędowy. - Co macie w tych workach?

Laboratorium zajmowało całe piętro w nowo wybudowanym biurowcu, wciśniętym między stateczne wiktoriańskie gmachy. Przez wielkie okna wychodzące na pobliskie boiska wpadało sporo światła. Każdy dział tej instytucji pełnił inną rolę, jeden zajmował się narkotykami, w drugim identyfikowano broń, a w następnym robiono analizy wszelkich próbek krwi, śliny i nasienia. Idąc za technikami, Clarke zauważył mnóstwo wypchanych worków na dowody rzeczowe piętrzących się w mijanych pomieszczeniach. W końcu Leeson doprowadził ich do zapieczętowanych drzwi, które natychmiast otwarto. Za nimi znajdował się niewielki, ale dobrze oświetlony pokój z kilkoma stołami laboratoryjnymi. Leżały w nim ubrania Jennifer Marks, oznaczone kodem liczbowym prowadzonego postępowania. Obok nich było wolne miejsce, przeznaczone do spisywania notatek. Na środku leżał dyktafon. Ktoś rzucił w kąt stołu otwarty pojemnik z rękawicami chirurgicznymi, sterczał z niego prowokacyjnie czubek lateksowego palca. Clarke przyjrzał się pospiesznie wszystkim częściom garderoby, potem zamknął drzwi. Dopiero w następnym pomieszczeniu znaleźli miejsce do złożenia rzeczy Micko Kelly'ego. Gdy technicy zebrali się w jego wnętrzu, natychmiast zerwali plomby i pootwierali worki.

- Chcę zobaczyć jego buty i ubranie - zakomenderował Clarke.

Na najbliższym stole wylądowała poplamiona koszulka, obok niej znalazły się chwilę potem spodnie od dresu i dwa adidasy. Na jednym z nich widać było wyraźne ślady krwi.

- Ile czasu trzeba na zrobienie badań DNA? - zapytał komisarz.

- Jakiś tydzień, może uda się urwać dzień, jeśli będę odpowiednio

mocno naciskał - odparł Leeson.

- Proszę naciskać, ile wlezie. - Jim przeniósł wzrok na trzy wciąż jeszcze zamknięte cylindryczne pojemniki.

- Otwórzcie je.

Zerwano plomby z pokryw i ułożono na stole trzy noże. Długi Bowie o szerokim ostrzu, nieco mniejszy i węższy sztylet oraz wyłożony masą perłową sprężynowiec. Na sztylcie widać było zaschnięte plamki krwi.

- Oho, mamy do czynienia z prawdziwym koneserem - mruknął Leeson. - Za co go zwinęliście?

Clarke nie odpowiedział. Przyglądał się uważnie ubraniu i adidasom, pochylając głowę. Oczami wyobraźni widział je już rozłożone na dębowym blacie w sali sądowej. Co nastąpi najprędzej za kilka miesięcy.

- Za co go zgarnęliście? - naciskał dyrektor laboratorium.

- Za morderstwo - wydusił w końcu komisarz. - To podejrzany w sprawie zasztyletowania córki Marksów.

Leeson uniósł brew ze zdziwienia.

- Córki tego kardiologa?

Clarke przytaknął.

- Zawiśnie za to - stwierdził naukowiec, ożywiając się momentalnie.

- Jeśli John Regan podejdzie do tego po mojemu, powieszę go jak nic.

Clarke ściągnął usta w zamyśleniu.

- Dlatego, drogi Arnoldzie, musimy zrobić wszystko, by zyskać pewność, że przyskrzyniliśmy właściwego człowieka.

Leeson dźgnął długopisem zakrwawioną koszulkę i adidasa.

- Mamy więcej niż trzeba. Jeśli analiza DNA będzie się zgadzała, będziesz miał dowód, że schwytaliście kogo trzeba.

Clarke spoważniał.

- Możesz zająć się tą sprawą już dzisiaj?

- Mam całe tony wcześniej zleconych robót - zaczął się tłumaczyć Leeson.

- Wiem o tym - odparł komisarz - ale żadna z nich nie wywoła takiego zamętu jak ta.

- Jak poszło, szefie? - zapytał czekający przy windach Moss Kavanagh.

- Teraz musimy tylko czekać.

- Świetnie - odparł Clarke, poczekać na wyniki badań DNA.

Odwrócił wzrok w zakłopotaniu. Nie zauważył zbyt wielu nici pajęczyny na dresie Micko Kelly'ego. Żywił nadzieję, że analitycy z dochodzeniówki będą mieli więcej szczęścia w tej materii.

## Godzina 8.33

Doktor Frank Clancy wściekał się od momentu przekroczenia progu swojego gabinetu na trzecim piętrze szpitala Mercy.

- Co to znaczy, że nie potrafi ich pani znaleźć? - zapytał sekretarkę zajmującą się archiwizowaniem kartotek po tym, jak przeczytał wiadomość pozostawioną na jego biurku.

NIE POTRAFIMY ZNALEŹĆ AKT PACJENTÓW: MARY HYLAND  
(115CD346) I JAMES MURPHY (224CD579).

- Przykro mi, doktorze Clancy. - Kobięcy głos w słuchawce brzmiał bardzo bojaźliwie. - Szukałyśmy ich wszędzie. Nie ma ich na właściwym miejscu.

Clancy zaczerpnął głęboko tchu. Spokojnie, chłopie, wrzaskiem niczego nie wskórasz.

- Sprawdziła pani w dziale „zmarli pacjenci”? - spróbował nieco łagodniej. - Wie pani, że oboje już nie żyją?

- Tak, wiem, cały ranek spędziłam w tamtym dziale - tłumaczyła się sekretarka. - Zeszłam na dół natychmiast po przyjściu do pracy.

- Zatem - zasugerował spokojnie - może nie przeniesiono ich akt do tego działu. Może są nadal w zasobach aktualnych pacjentów.

- Tam też sprawdzałam, doktorze Clancy. I tam też ich nie było. - Głos w słuchawce zabrzmiał twardziej niż poprzednio. - Według danych z bazy komputerowej akta te trafiły do kartoteki „zmarłych pacjentów”, ale fizycznie ich tam nie ma, podobnie jak w bieżących dokumentach.

Clancy trawił przez moment tę informację. ,

- Czyżby złożono je omyłkowo w innym miejscu? - zapytał w końcu z nadzieją w głosie.

- Przeszukałyśmy wszystko, doktorze Clancy, może mi pan wierzyć. Coś podobnego jeszcze nigdy nie miało u nas miejsca. - Teraz z kolei głos pełen był troski. - To naprawdę bardzo dziwne.

- A może ktoś zabrał te akta wcześniej? - Clarke strzelił w ciemno.

- Też o tym pomyślałam, ale mamy tutaj bardzo restrykcyjne przepisy dotyczące dokumentów.

- Tak - mruknął hematolog. - Wiem coś o tym.

W szpitalu Mercy, podobnie zresztą jak w wielu innych placówkach medycznych, dostęp do danych pacjentów podlegał wielu regulacjom i restrykcjom. W obawie przed możliwymi sprawami sądowymi nigdy nie niszczone ich akt; kartoteki, w których od minimum dziesięciu lat nie było żadnych nowych wpisów, oraz te dotyczące zmarłych pacjentów gromadzono w specjalnie przystosowanym do tego celu pomieszczeniu na tyłach szpitala. Trzymano je tam w stałej temperaturze i wilgotności, aby nie butwiały. Prawnicy specjalizujący się w tropieniu błędów lekarskich znani byli z tego, że uwielbiali grzebać nawet w dwudziestoletnich kwitach. A nieczytelne papiery albo rozpadające się w rękach robiły niekorzystne wrażenie na

sędziach. Dlatego tak dbano o każdy świstek papieru z archiwów. Co więcej, dostęp do akt osób zmarłych można było otrzymać wyłącznie po wypełnieniu specjalnego formularza, podpisując każdorazowo listę zabieranych dokumentów, które sprawdzano bardzo dokładnie, czasem nawet dwa razy, po ich zwróceniu. Strony były liczone, numerowane i sprawdzane wzrokowo. Czyniono tak, aby nikt nie mógł podmienić oryginalnych zapisków, poprawiając na przykład opisy przeprowadzanych zabiegów; w takich sytuacjach grożono sprawą sądową. Clancy wiedział, że po godzinach pracy tylko szefostwo archiwum posiadało klucze do tego pomieszczenia.

- W takim razie proszę szukać dalej - polecił, odkładając słuchawkę.

Chwilę później jego poranny zły humor jeszcze bardziej się pogorszył.

- Nie rozumiem tego, doktorze Clancy. Jestem pewna, że wszystkie tabletki Harry'ego były w apteczce.

Żona Harolda Morella, stojąc w progu jego gabinetu, starała się wyjaśnić, dlaczego nie może znaleźć leków męża. Słuchał jej spokojnego, aczkolwiek bardzo niepewnego głosu z bolejącym sercem.

- Wydawało mi się, że mamy wystarczającą ilość leków do następnej wizyty kontrolnej.

- Na kiedy wyznaczono jej termin? - zapytał Clancy.

Pani Moreli wyjęła maleńki notesik i zaczęła go wertować.

- Na przyszły miesiąc. Dokładnie na piątek dwunastego czerwca. O dziesiątej rano - przeczytała. - Na kardiologii, u doktor Speer. To ona dawała mężowi wszystkie leki.

Rozbiegane myśli hematologa nagle skupiły się na jednym temacie.

- Wydawała mu leki osobiście? - podniósł głos, wypowiadając te słowa. Wiedział bowiem, że jedynym sposobem na otrzymanie leku w szpitalu było pobranie go z apteki na parterze.

- Tak. To znaczy wypisywała mu recepty na te różowo-niebieskie kapsułki na serce, kupowaliśmy je potem w naszej aptece. Ale te drugie, mate niebieskie, odbieraliśmy od niej tutaj, w szpitalu. Zawsze wystarczały na całe dwa tygodnie. Musiałam przychodzić co czternaście dni po następne opakowanie.

Clancy wyprostował się na krześle, gdy tego słuchał. W gabinecie nie było nikogo, tylko on i pani Morela.

- Kto wydawał pani te leki za każdym razem? - zapytał niby obojętnym tonem.

- Osobiście doktor Speer. To taka urocza kobieta. Nie to co konsultanci, do których nas posyłano. - Pani Morell rozejrzała się konspiracyjnie, zanim dodała szeptem: - Niektórym się wydaje, że są Bogiem wszechmogącym. Ale nie doktor Speer, to prawdziwa dama.

- Tak - wymamrotał Clancy, marszcząc brwi. - Prawdziwa dama bez dwóch zdań.

- I dlatego jestem taka zaskoczona, doktorze Clancy - zaczęła narzekać pani Morell. - Byłam pewna, że mamy w domu wystarczającą ilość leków. A kiedy zajrzałam do szafki, niczego tam nie było.

- Może schowała je pani gdzie indziej? - w tym pytaniu było więcej nadziei niż rozsądku.

- Nie, to niemożliwe. Nigdy nie trzymałam ich w innym miejscu. -



Kobieta ścisnęła nerwowo torebkę w dłoniach.

Gdy opuściła gabinet, Clancy podszedł do komputera i zalogował się do sieci szpitala. Najpierw wyszukał kartotekę Mary Hyland i zauważył, że rzeczywiście zaliczono ją w poczet zmarłych pacjentów. Potem odszukał jej dane osobowe i wynotował z nich adres, numer telefonu i nazwiska najbliższych krewnych. Następnie przewiął zapisy do najstarszych i stwierdził, że była pacjentką szpitala Mercy przez trzydzieści cztery lata. Po raz pierwszy pojawiła się na izbie przyjęć, mając dwadzieścia dziewięć lat, skarżyła się wówczas na problemy ze skórą; potem, już po pięćdziesiątce, cierpiała na infekcję woreczka żółciowego, którą udało się wyleczyć antybiotykami, co jednak nie zapobiegło operacyjnemu usunięciu tego organu. Po kolejnej przerwie, tym razem trwającej dwanaście lat, zgłosiła się na izbę przyjęć, uskarżając na ucisk w piersiach, „zwłaszcza po wysiłku”. To był jej przedostatni pobyt w szpitalu Mercy. Trafiła na nowo otwarty oddział kardiologiczny, pod osobistą opiekę doktor Lindy Speer. Tego co działo się z nią potem, Clancy nie potrafił dokładnie ustalić. Do sieci trafiała tylko część z ręcznych zapisów na karcie pacjenta: diagnozy, ważniejsze zabiegi medyczne i operacje, przepisywane leki, nieprawidłowe reakcje na kurację i tym podobne. Codzienne wyniki badań, takie jak pomiary ciśnienia krwi, temperatury, rytmu serca i oddechu, pozostawały tylko na papierze. Na tym, który zaginął. Na szczęście Clancy miał wciąż dostęp do listy przepisanych leków i przeprowadzonych zabiegów. Próba wysiłkowa, angiogram, zalecenie wszczepienia bypassów. Przewiął dalej. Ostry zespół wieńcowy połączony z podwyższonym lekko poziomem

enzymów. Konieczność natychmiastowego wszczęcia bypassu. Dan Marks. Sprawdził, kto asystował przy operacji. Znow wyskoczyło nazwisko Linda Speer. Dlaczego, u diabła, ta kobieta asystowała przy takich operacjach? Raz jeszcze przejrzał zapisy dotyczące kardiologicznej strony leczenia. Kolejny pacjent z niedokrwieniem serca w okresie przedoperacyjnym trafia na przyspieszone bypassy. Clancy usiadł wygodniej na krześle, zastanawiając się nad znaczeniem - o ile było jakieś - takiego ciągu zdarzeń. Patrzył przy tym na uśmiechnięte twarze żony i dwojga dzieci spoglądające na niego z rogu zagraconego do granic biurka. Był jednak tak zamyślony, że nie posłał im nawet zwyczajowego buziaka.

Przypomniawszy sobie o czekającym go jeszcze obchodzie oddziału oraz późniejszym niż zazwyczaj spotkaniu ze studentami, odwrócił się do ekranu monitora i sprawdził leki przepisane Mary Hyland. Przewinął wcześniejsze wpisy i zatrzymał się przy ostatnim. Widniały w nim tylko dwa leki: capoten 12,5 miligrama i aspiryna D/N w dawce 300 miligramów na dobę. Capoten był jednym z podstawowych środków przepisywanych na podwyższone ciśnienie krwi. Aspiryna D/N z kolei zdaje się ulubionym specyfikiem Lindy Speer, pomyślał, zapisując datę pierwszego zażycia leku. Zauważył, że od przeprowadzenia operacji do wystąpienia symptomów agranulocytozy minęło zaledwie sześć tygodni. Zamknął akta Mary Hyland i wpisał kolejne nazwisko: james murphy oraz numer kartoteki i czekał. Sprawdził stan paznokci, wsłuchując się w warkot twardego dysku. Nagle na ekranie pojawiła się czerwona ikonka i napis: akta numer 224CD579 są aktualnie przeglądane. Clancy

posiedział przed monitorem jeszcze trzy minuty, zanim ponownie poprosił o dostęp, ale otrzymał identyczny komunikat. Popatrzył na ekran, a potem zaczął wprowadzać inne kombinacje słów, aby zyskać dostęp do kartoteki Murphy'ego. Za każdym razem kończyło się to napisem: AKTA NUMER 224CD579 SĄ AKTUALNIE PRZEGLĄDANE. Kto mógł je przeglądać dokładnie w tym samym momencie?

I dlaczego?

Opuścił głowę. Serce waliło mu jak młotem, gdy starał się poukładać wszystkie fakty w logiczny ciąg. Co tu się dzieje? Dwie kartoteki, o które poprosiłem, zniknęły w tajemniczych okolicznościach, teraz ktoś inny przegląda elektroniczną wersję jednej z nich. A chodzi o zmarłego pacjenta! Ta myśl uruchomiła dzwonki alarmowe w jego głowie. Tak szybko, jak potrafił, wystukał nazwisko Mary Hyland. Na ekranie widniał tylko napis: akta numer 115CD346 są aktualnie PRZEGLĄDANE.

- Jezu Chryste - jęknął na głos. Na czole zaczął mu się perlić pot. Właśnie podnosił rękę, by go otrzeć, gdy zadzwonił telefon.

- Doktorze Clancy, znaleźliśmy te akta.

Ta wiadomość tak nim wstrząsnęła, że nie był w stanie wykrztusić słowa.

- Halo! Halo, czy jest pan tam, doktorze Clancy? - Kobięcy głos w słuchawce odezwał się ponownie.

- Tak, tak, przepraszam. Bardzo przepraszam - mamrotał hematolog, usiłując zebrać myśli. - Właśnie kończyłem kolejną analizę - skłamał.

- Przepraszam, że panu przeszkadzam, doktorze, ale wydawało mi

się, że bardzo panu zależy na odzyskaniu tych dokumentów, więc zadzwoniłam natychmiast.

- Nie ma za co. Cieszę się, że pani to zrobiła. Gdzie je znaleźliście?

Na moment zapanowało niezręczne milczenie.

- Leżały cały czas w archiwum. Ktoś wepchnął je za inne teczki. Całe lata mogłabym ich tam szukać, a i tak bym niczego nie zauważyła. Dopiero po zdjęciu wszystkich akt z półki udało nam się je znaleźć.

- Ciekawe dlaczego - Clancy wyraził głośno dręczące go wątpliwości

- ktoś miałby chować akurat te dwie teczki.

Na to pytanie jego speszona rozmówczyni nie odpowiedziała.

- Nie mam pojęcia, doktorze Clancy - odezwała się po chwili. - Miałam jednak nadzieję, że ucieszy się pan z tego, że je w końcu znaleźliśmy.

Hematolog wyczuł w jej głosie żal, więc natychmiast wyraził skruchę:

- Przepraszam za moje zachowanie. Bardzo się cieszę ze znalezienia tych dokumentów. I dziękuję, że poświęciła pani tej sprawie tak wiele czasu.

- Czy mam je panu zanieść na górę?

Clancy spojrział na zegarek i jęknął. Miał już godzinę spóźnienia.

- Nie. Czy ma pani u siebie sejf na ważne dokumenty?

- Tak.

- Proszę je w nim trzymać, dopóki nie pojawię się na dole. Nikt inny nie może ich ruszać.

- Dobrze, doktorze - zgodziła się natychmiast.

Clancy wstał, poprawił krawat, przeglądając się w lustrze na drzwiach oddzielających gabinet od oddziału, potem zabrał z biurka stos teczek i ruszył na obchód. Gdy wychodził, czerwona ikonka zniknęła z ekranu monitora.

## Godzina 10.52

- Spójrz na mnie, Michaelu! - Głos miał syreni, błagalny tembr.

Cela, w której siedział Micko, była długa na dziesięć stóp, a szeroka na sześć. Znajdowała się w niej tylko twarda prycza, na której mógł się położyć. Nie było koca ani poduszki, nawet jedna nitka nie została na nakrapianej, marmurkowej podłodze. Za toaletę służyło wiadro. Ściany miały wysokość co najmniej dziesięciu stóp, na jednej z nich, tuż pod sufitem, znajdowało się zakratowane okienko. Szkło było grube, zbrojone. Pojedynczą żarówkę oświetlającą środek celi zamontowano w takim miejscu, że nie sposób było jej dosięgnąć. W dawnych czasach więźniowie próbowali razić się prądem, dlatego zrobiono wszystko, by uniemożliwić podobne działania ich następcom. Stalowe drzwi prowadzące na korytarz miały osiem stóp wysokości i trzy szerokości. Po wewnętrznej stronie nie zamontowano w nich klamki ani gałki, za to na wysokości oczu umieszczono sporego judasza, przez którego klawisze mogli zajrzeć do celi w każdej chwili, aby sprawdzić, czy więzień żyje i nie próbuje popełnić samobójstwa. Ściany celi pokrywały wydrapane nazwiska i daty odsiadki poprzednich lokatorów oraz niewybredne komentarze na temat strażników, więzienia i życia w ogóle. Niemal wszystkie wyrazy zapisano z błędami. Nie było świętości ani tabu. Wszystko było

pierdolone, a kurwy robiły w tych tekstach za przecinki. Pełno było peanów na cześć ecstazy, koki, kompotu i całej reszty prochów. W tym areszcie przebywało wielu handlarzy z Dublina i okolic. Sądząc z napisów, trafił się też ktoś z Jamajki, osadzony za przemyt.

Na drzwiach, mniej więcej dziesięć cali poniżej judasza, znajdował się dopracowany rysunek Jezusa. Mimo iż więźniowie byli każdorazowo przeszukiwani i odbierano im wszystko, co uznano za wystarczająco twarde, by ryć w tynku albo po nim pisać, autor tego wizerunku nie miał większych problemów z jego wykonaniem. Zrobił to w tradycyjnym stylu: Jezus miał długie, opadające na ramiona włosy, wzrok łagodny i smutny, spoglądał gdzieś w dół, na prawo. Jego twarz zdobiły wąsy i gęsta broda. Usta miał cienkie, za to brwi krzaczaste. Na głowie nosił koronę cierniową, kropelki krwi spływały z miejsc, w których kolce przebiły skórę na czaszce. Prawą rękę wyryto uniesioną w geście wybaczenia, a na lewej piersi widać było oddane z dużym pietyzmem serce ozdobione krzyżem. Na nim też spoczywała korona cierniowa, a serce krwawiło bardziej od głowy. Obrazek wyglądał idealnie, mimo lekkich zakłamań w proporcjach. To było oblicze cierpiącego, lecz wybaczącego Jezusa Chrystusa. Poniżej wydrapano napis: nasz zbawca. Całość zajmowała nie więcej niż osiemnaście cali kwadratowych. Obrazek ten miał już swoje lata, jak i pozostałe gryzmoły na ścianach, lecz choć większość napisów wytarła się i z trudem dawała odczytać, cierpiący Jezus wyglądał jak nowy.

Michaelu, spójrz na mnie. Mam dla ciebie wiadomość.

- Głos był bardziej kobiecy niż męski, łagodny, wręcz błagalny, miły

dla ucha, uwodzicielski.

- Sprawdzajcie tego sukinsyna co pięć minut - rozkazał dyżurny sierżant, ledwie stalowe drzwi zatrzasnęły się za plecami Kelly'ego. - Nic mu się nie może stać, zrozumiano?

Trzej strażnicy obsługujący drugi blok aresztu śledczego skinęli głowami. Nie mieli pojęcia, kim jest człowiek siedzący w tej celi ani co przeskrobał, ale obstawa i niezwykła uwaga, z jaką go tu sprowadzono, mówiły im, że mają do czynienia z „celebrytą”. Dlatego zgodzili się bez szemrania na kontrolę co trzy minuty. Wiedzieli, że pięć minut wystarczy do popełnienia samobójstwa nawet średnio rozgarniętym więźniom.

- Co robi osadzony? - zapytał sierżant po pierwszym zajrzeniu przez judasza.

- Nic. Siedzi skulony w kącie celi. Prawie się nie porusza.

- Ale jakiś ruch zauważyłeś? - To pytanie zaalarmowało wszystkich.

- Oczywiście, przesunął dłońmi po włosach.

Sierżant odetchnął z ulgą i wpisał treść obserwacji do wielkiego dziennika. Zrobił to ręcznie, kreśląc piórem spore zawijasy.

Minęły trzy minuty.

- Ziewa i pociąga nosem, ale wciąż nie ruszył się z kąta.

I jeszcze trzy.

- Skubie ubranie, jakby chciał oczyścić je z meszku.

- Nie ruszył się jeszcze?

- Nie, ciągle siedzi w kącie.

Po następnych trzech minutach:

- Facet chyba się zaziębił. Ciągle kicha, oczy ma załzawione.



Na sierzancie nie zrobiło to wrażenia.

- Pieprzyć gnoja.

\*

Spójrz na mnie, Michaelu. To ja, Jezus Chrystus, Syn Boży. Mam dla ciebie wiadomość.

Pierwszym objawem popadania w obłąd spowodowany głodem narkotycznym były głosy odzywające się w głowie Micko Kelly'ego. Kręcił nią mocno, starając się je uciszyć. Bał się podnieść wzrok. Zauważył obrazek wyryty na drzwiach celi tuż po tym, jak wczółgał się do kąta, ale od tamtej pory nie spojrział ani razu w jego stronę. Przyciągnął mocniej nogi do klatki piersiowej i zacisnął dłonie na uszach.

Spierdalaj! Spierdalaj!

- Wstał i kręci się teraz po celi, bełkocząc coś pod nosem.

Dyżurny sierżant zapisał także tę obserwację.

- Ale nie zostawiliście mu sznurówek przypadkiem? - zapytał podejrzliwie.

- Nie ma niczego, na czym mógłby się powiesić - zapewnił strażnik.

- I nie wygląda na kogoś, kto chciałby to zrobić. Kiedy na niego patrzyłem, uśmiechał się do siebie głupkowato.

Ta uwaga wkurzyła sierżanta niemożebnie. Wiedział już, jakie zarzuty ciążą na tym człowieku.

- Sukinsyn - wymamrotał, kończąc pisaninę.

Michaelu, nadchodzi diabeł. Jest już za tymi drzwiami. Nie możesz

pozwolić, aby cię porwał.

Teraz Kelly przyglądał się wizerunkowi Chrystusa z niekłamaną fascynacją. Widział krew, czerwoną, jasnoczerwoną, sączącą się spod koron cierniowych na głowie i sercu. Dostrzegał też ledwie zauważalny ruch ust Jezusa, także brwi podnosiły się i opadały rytmicznie. Słyszał wyraźnie syreni głos, ten słodki zaśpiew, kobiece błagalne zawodzenie. Widział też nie mniej ostro smutne oczy Jezusa cierpiącego, który podniósł wzrok i spoglądał teraz prosto na niego. Micko Kelly wkroczył w najgorszą fazę głodu narkotycznego, zaczął mieć halucynacje.

Diabeł nadchodzi, chce cię zabrać do piekła. Będziesz się tam smażył i nikt nie usłyszy twojego krzyku. Słyszę odgłosy jego kroków. Czuję jego smród. Michaelu, nie możesz pozwolić, aby cię porwał.

- Nie pozwolę, kurwa, w życiu nie pozwolę! - wrzasnął pocący się jak mysz, rozdygotany Kelly, patrząc dziko w stronę drzwi. Gęsia skórka pokrywała mu ręce, nogi, całe ciało.

Usłyszał odgłos otwierania judasza, czyjeś oko łypnęło na niego. Oko diabła! Diabeł przyszedł, aby go porwać. Diabeł obserwował go, oceniał, kombinował, jak się do niego dobrać.

- Nie dopadniesz mnie, jebany frajerze!

Wrzask przedostał się na drugą stronę grubych drzwi, wywołując zaniepokojenie strażnika. Zmusił go do złożenia natychmiastowego raportu dyżurnemu sierżantowi.

Gdy diabeł tu wejdzie, musisz go zabić - usta cierpiącego Jezusa poruszały się cholernie szybko, krople krwi padały jak deszcz, intensywne spojrzenie przenikało na wylot.

Potem wizerunek oderwał się od drzwi i zawisł pomiędzy nimi a kątem, w którym przycupnął spocony i roztrzęsiony Kelly. Ręka uniesiona do przebaczącego gestu poruszała się teraz gniewnie, groźnie. W celi zrobiło się gorąco, jakby wokół zapłonęły ognie piekielne.

Gdy diabeł tu wejdzie, musisz go zabić.

- Tak zrobię - wyszeptał Micko. Widmo nadchodzącej zagłady smagało jego ciało niczym gałąź szarpana huraganowym wiatrem. - Zabiję pojeba, zanim zdoła mnie dotknąć.

Drżał na ciele, pot rosił mu czoło, policzki i kark. Serce waliło jak szalone w klatce piersiowej. Nos miał zatkany, kichał raz za razem. Z oczu ciekły mu łzy.

- Lepiej otwórzcie drzwi i sprawdźcie, co się z nim dzieje. Idźcie we trzech. Róbcie wszystko, żeby was nie pogryzł. To ćpun.

Strażnicy wymienili zmęczone, zrezygnowane spojrzenia.

- Tego mi jeszcze brakowało - burknął jeden z nich gniewnie.

Założyli rękawice ochronne i ruszyli w głąb korytarza. Z wnętrza mijanych cel słyszeli złorzeczenia, wrzaski i płacze, ale żaden z tych odgłosów nie przypominał wycia dobiegającego zza drzwi Kelly'ego. Dźwięk ten przypominał skowyt zwierzęcia, drapieżnika miotającego się we wnykach, czekającego na dobicie przez myśliwego. Tak mogłoby skowyczeć zwierzę odgryzające sobie własną łapę, aby uwolnić się z pułapki. Strażnicy zatrzymali się i wsłuchali w te dźwięki.

- Wyje jak wściekły pies - mruknął jeden z nich.

Diabeł nadchodzi. Zabij go.

Chrobot klucza w zamku ostrzegł Kelly'ego. Przygotował się do walki. Przysiadł w najdalszym kącie celi. Oparł stopy o ścianę, gotowy do natychmiastowego wybicia. Przytrzymał się pryczy lewą ręką, by nie stracić równowagi. Diabeł nie dostanie go bez walki.

- Wstawaj, zawszony skurwielu - rozkazał pierwszy ze strażników, wchodząc do celi.

Zrobił dwa kroki, jego towarzysze szli tuż za nim. Już widział pianę na ustach więźnia, jego przekrwione oczy, rozpoznał oznaki szaleństwa. Niestety dostrzegł je o sekundę za późno.

Dla Kelly'ego był demonem o masywnych nogach zakończonych rozdwojonymi kopytami. Miał czarną twarz i wielkie rogi wyrastające z czoła. W jego oczach płonął ogień, a język był długim płomieniem. Diabeł zaśmiał się, wyciągając w kierunku Micko obleśne łapy zakończone wielkimi zakrzywionymi pazurami.

- Wstawaj, skurwielu - rozkazał strażnik. - To jest diabeł. Zabij go.

Kelly skoczył jak polująca pantera. Jego długie paznokcie rozorały twarz policjanta, zęby zatopiły się w miękkim ciele tuż nad luźnym kołnierzykiem.

- Nie! - wrzasnął zaatakowany, młócąc w akcie desperacji uwieszonego na nim więźnia. - Aaarghh! - zawył, czując, że brudne paznokcie rozszarpują mu skórę na twarzy, a zęby zagłębiają się w szyi. Czuł ciepło własnej krwi spływającej na pierś, padając na kamienną podłogę.

- Złaź z niego, skurwielu! - wrzasnął drugi ze strażników, starając się rozewrzeć szczęki Kelly'ego, ale narkoman nie puszczał.

Miał ciało diabła w ustach, czuł pomiędzy zębami gorąco bijące od

wypełniającego go ognia i ulgę, gdy pomiot piekieł zaczął tracić siły w jego uścisku. Czuł, jak drga w konwulsjach niczym wąż. Na jego głowę i ramiona posypały się ciosy pałek. Oderwał wzrok od ofiary i spojrzął na kolejnych prześladowców. Krwawa piana wokół ust, dziko błyszczące oczy, szok. Tego wyrazu żółtych, przekrwionych oczu nie można było pomylić z żadnym innym. Tak wygląda drapieżnik napawający się strachem konającej ofiary. Kelly rozluźnił zgryz na tyle, by zaśmiać się głośno. Wydał z siebie dziki, zwierzęcy skowyt, który odbił się wielokrotnym echem w korytarzu, momentalnie uciszając pozostałych więźniów.

- Słodki Jezu! - Dyżurny sierżant nie wierzył własnym oczom.

Alarm już wył, w tym momencie wszyscy strażnicy przebywający na terenie więzienia gnali tu co sił w nogach. Sierżant włączył go na widok bezwładnej zakrwawionej sylwetki w mundurze wywlekanej z wnętrza celi.

- Słodki, litościwy Jezu!

Dwaj strażnicy wciąż stali pomiędzy ofiarą a Kellym, z pałkami uniesionymi do ciosu. Więzień wycofał się do swojego kąta, siedział w nim z zakrwawioną twarzą i pianą na ustach. Krew i kawałki ciała zwisały mu spod paznokci. Śmiał się i płakał jednocześnie, wodząc dłońmi po rękach i nogach, jakby sprawdzał, czy nadal je ma. Zachichotał nerwowo, potem nagle spowaźniał, gdy dostrzegł sierżanta. Kolejny wąż wpełzał do jego celi.

Diabeł powrócił.

Tym razem zdołano w porę zatrzasnąć stalowe drzwi.

## Godzina 11.17

- No, nie wierzę.

Głos w słuchawce telefonu komórkowego był podniesiony i podekscytowany.

- Uspokój się, na litość boską - studził go Moss Kavanagh.

Radiowóz utknął w korku ulicznym na jednym z nadbrzeżnych bulwarów. Siedzący z tyłu Jim Clarke przysłuchiwał się z uwagą rozmowie. Zajmujący miejsce obok Tony Molloy wpatrywał się w tył wozu dostawczego piekarni.

- Co się dzieje? - zapytał.

Kavanagh prowadził wóz całkiem prosto, choć robił to łokciem, drugą ręką dając sygnały, aby mu teraz nie przeszkadzano. Molloy oderwał w końcu zaaferowany wzrok od vana i skupił uwagę na koledze.

- Kto? - zapytał Kavanagh.

Kolejne wrzaski dobiegły ze słuchawki.

- Nie wierzę.

Rozmówca zasugerował mu tym razem, że powinien.

- Gdzie go zabrali?

Znowu wrzaski. Moss włączył syrenę i wyłamał się z konduktu wolno sunących pojazdów. Z trudem zmieścił się obok wykopu, omal nie przewracając stojącego przy nim robotnika. Zlekceważył wymachujące w jego kierunku pięści i rzucone wyzwiska.

- Co się dzieje, Mossy? - siedzący z tyłu Jim Clarke w końcu się obudził.

Kavanagh spojrział w lusterko wsteczne.

- Nie spodoba się to panu, szefie.

Lekarz więzienny nie krył przerażenia, gdy w końcu zdołał przepchnąć się przez tłum zgromadzony pod celą Micko Kelly'ego. Dwaj strażnicy przechadzali się nerwowo pod drzwiami, co chwilę chwytając za zakrwawione pałki. Czterej inni stali wokół, nie mniej podekscytowani. Wszyscy mieli porozpinane mundury i kołnierzyki, poluzowali też krawaty w panującym tutaj zaduchu. Czekali przy otwartych drzwiach. Wewnątrz celi znajdował się dyżurny sierżant o wielkim brzuchu i obwisłym podgardlu. Bez przerwy ocierał czoło i mówił coś powoli, wyważonym tonem. Na pryczy siedział Kelly. Skuto mu kostki, zostawiając tylko dwanaście cali łańcucha. Ręce w nadgarstkach przywiązano mu do szerokiego skórzanego pasa opinającego brzuch. Wychodzący z niego łańcuch przytwierdzono do uchwytu ukrytego w ścianie. W rezultacie spętany więzień nie mógł się prawie poruszyć. Jego twarz zasłaniała skórzana maska, którą przypięto w kilku miejscach do pasa. Głowa też nie miała zbyt wielkiej swobody. Zza rzemieni, z których upleciono twarzową część maski, łypały przekrwione oczy.

- Dlaczego trafił w kajdany? - zapytał ostro lekarz.

Słyszając nowy, o wiele agresywniejszy ton Kelly zaczął się trząść. Głowa mu drżała, ręce i nogi dygotały. Spróbował wstać. Jęczał przeraźliwie. Łańcuchy dodatkowo go irytowały, wydał z siebie głośniejsze warknięcia, które zmroziło wszystkich obecnych.

Sierżant wypchnął lekarza z celi i wdał się z nim w gniewną wymianę zdań, obaj starali się jednak nie podnosić głosu. Gdy doktor

dowiedział się w końcu, co miało miejsce przed chwilą, od razu spuścił z tonu. Najpierw wyglądał na zaskoczonego, potem szybko ochłonął, a nawet zaczął współczuć. Wszedł ostrożnie do celi i poluzował nieco maskę, odsłaniając twarz i splątane, przepocone włosy Kelly'ego. Sierżant stanął tuż za nim, obserwując wszystko uważnie, gotów w każdej chwili odciągnąć mikrogo mężczyznę poza strefę zagrożenia.

- Panie Kelly, nazywam się Hamilton, jestem lekarzem więziennym - mówił pokrzepiającym tonem doktor. Starał się udowodnić, że nie stanowi żadnego zagrożenia. - Muszę z panem porozmawiać. Rozumie mnie pan? Czy mogę się zwracać do ciebie po imieniu, Michael?

Kelly spoglądał na niego niewidzącymi oczyma. Lekarz miał klasyczny dubliński akcent, ale świąty, w których się obracali, były odległe od siebie o całe lata świetlne. Kultura i edukacja starły się z deprawacją i ćpaniem.

Hamilton zauważył nieobecne spojrzenie i żółte plamki na białkach rozmówcy.

- Michael, wiesz, gdzie teraz jesteś?

Cisza. Oczy mrugnęły. Spienione usta zaczęły drżeć.

- Michael, wiesz, gdzie teraz jesteś?

Więzień przesunął wzrok bliżej twarzy doktora, ale nadal spoglądał gdzieś w bok.

To też nie uszło uwagi Hamiltona. Spojrzał w dół i po raz pierwszy zauważył plamę krwi na podłodze.

- Michael - zapytał - czy wiesz, jaki mamy dziś dzień? Wiesz, dlaczego tutaj trafiłeś? Wiesz, kim są ci ludzie, którzy za mną stoją? -



Wskazał ręką na sierżanta i strażników.

Ten człowiek został przysłany przez Szatana. Zabij go!

- Czy wiesz, jak się na... aaaj!

Wyszczerzone zęby minęły szyję Hamiltona o kilka cali. Poczł na twarzy gorący oddech Kelly'ego i lepłą spienioną ślinę. Dostrzegł szaleństwo opętanego umysłu, które popchnęło tego człowieka do ataku.

- Ten pojeb jest szalony - warknął niezbyt profesjonalnie doktor Hamilton, gdy otarł ślinę narkomana z twarzy.

- Załóżcie mu tę maskę!

Trzęsąca się głowa zniknęła pod warstwą grubej skóry.

### **Godzina 13.45**

Tego popołudnia, gdy ludzie umykali z palącego słońca, rozpinając kurtki i koszule, by pochwycić choć odrobinę ożywczej bryzy, przeniesiono spętanego i skutego Michaela Leo Kelly'ego na drugi koniec drugiego bloku aresztu Bridewell. Każdą nogę i rękę więźnia trzymał jeden ze strażników. Piąty podtrzymywał mu głowę, a szósty pilnował, by nikomu nic się nie stało. Ślina Kelly'ego skapywała na podłogę. Był ubrany w te same rzeczy, w których go aresztowano. Dżinsy, czarny T-shirt i tego samego koloru adidasy.

Wiele czasu minęło od dnia, w którym dwa razy jechał samochodem, ale w czwartek, czternastego maja, przed godziną drugą po południu zapakowano go znów do karetki i przeniesiono do Rockdale, szpitala psychiatrycznego dla przestępców, na oddział

zamknięty.

**Godzina 14.53**

- Dan, chcę, byś był pierwszym człowiekiem, który dowiaduje się o tym, że policja ujęła człowieka podejrzanego o zamordowanie twojej córki.

John Regan siedział w salonie rezydencji Marksów. Na sofie obok niego znajdował się tyczkowaty młodzieniec nazwiskiem Flanagan - jego specjalny doradca i najlepszy spin doktor ministerstwa zdrowia. Dan Marks wysłuchiwał tych słów ze spokojem i zatroskaniem, ręce miał przy tym złożone jak do modlitwy. Wbił wzrok w stojący pomiędzy nimi idealnie wypolerowany sekwojowy stolik do kawy. Był nieogolony, miał na sobie rozpiętą pod szyją koszulę i dżinsy.

- Aresztowano go dzisiaj o świcie. - Regan nie miał pojęcia o wydarzeniach tego ranka, tak samo jak nie wiedział o tym, że osoba określona przez niego mianem „człowieka podejrzanego o zamordowanie” tkwiła teraz w samym środku korka gdzieś w północnych dzielnicach Dublina, czekając na dowiezienie do szpitala psychiatrycznego. - Przed wyjściem z kancelarii premiera rozmawiałem z ministrem sprawiedliwości. Zapewnił mnie, że komendant główny jest w stałym kontakcie z ekipą dochodzeniową i wyraża zadowolenie z jej dokonań. Twierdził, że śledczy są pewni, iż zatrzymano sprawcę.

Regan opuścił siedzibę rządu czterdzieści minut wcześniej, wyjeżdżając w asyście dwóch samochodów obstawy, na syrenach. Przybrał srogą minę, gdy wsiadał na tył mercedesa z zaciemnionymi szybami. Miał nadzieję, że czatujący w pobliżu reporterzy i kamerzyści uchwycą powagę jego nastroju. Kolejna grupa dziennikarzy czekała na niego przed wiktoriańską siedzibą rodu Marksów. Przeszedł obok niej, zwyczajowo odmawiając komentarzy, prosto do drzwi domu. Ludzie ci dostali wcześniej cynk od Flanagana, zadbał on też, żeby Regan wiedział, kto pracuje dla mediów lokalnych i może się przydać, wskazał mu również znacznie ważniejszych korespondentów zagranicznych.

- Nasz rząd podchodzi do tej sprawy z wielką powagą. To wydarzenie zaskoczyło nas wszystkich. I oszołomiło...

- Zamilkł, by sprawdzić, jak mu idzie.

Dan Marks powoli podniósł głowę. Miał podkrążone, zaczerwienione oczy. Regan wyczuwał ogrom jego cierpienia ukrytego pod maską zawodowej obojętności.

- Dziękuję ci, John. Dziękuję za to, że pofatygowaleś się do mnie osobiście. - Głos kardiochirurga nie był już tak dominujący jak zazwyczaj. Dało się wyczuć w nim zmęczenie, a nawet rezygnację.

- Jak Annie znosi to wszystko? - zapytał Regan, czując się nieswojo w duchocie tego pomieszczenia i otaczającym go coraz szczelniej nastroju żałoby.

Marks pokręcił głową ze smutkiem i znów opuścił wzrok.

- Nie za dobrze, John. Była tak pobudzona, że musiałem jej podać środki uspokajające. To zaś wpłynęło na jej stan zdrowia. Ręce i nogi

trzęsły się jej dzisiaj rano znacznie mocniej. Dlatego dałem jej nieco silniejsze leki niż zazwyczaj. Teraz śpi u siebie na górze.

Regan natychmiast wykorzystał okazję do okazania się pomocnym.

- Jeśli chcesz, załatwię wam pielęgniarkę, która odciąży cię nieco przez kilka następnych dni.

Marks momentalnie się ożywił.

- Nie. Tylko nie to - zaproponował stanowczo. - To nie będzie konieczne. Lepiej będzie, jeśli poradzimy sobie z tym sami, ale dzięki za pamięć.

- Może rozsądniej byłoby załatwić gosposię, przynajmniej na kilka godzin dziennie, kogoś, kto pomógłby przy gotowaniu i sprzątaniu - zaproponował spin doktor.

Marks ponownie zaprzeczył zdecydowanym ruchem głowy.

- Nie, nie, nie. To nie będzie konieczne. Radzimy sobie świetnie bez niczyjej pomocy. Obecność obcej osoby w domu mogłaby dodatkowo deprymować Annie. Jest bardzo wybuchowa, a ta sprawa doprowadziła ją na skraj załamania nerwowego. - Głos Dana Marksa odzyskał nagle dawne zdecydowane brzmienie. - Jestem pewien, że rozsądniej będzie, jeśli zostawicie nas samym sobie.

Po wyjściu na zewnątrz, prosto w słońce, zanim wsiedli do mercedesa, Flanagan pouczył szybko swojego szefa:

- Proszę nie mówić dziennikarzom nic poza informacją, że śledztwo toczy się w ekspresowym tempie. Odwiedził pan doktora Marksa, by go poinformować o bieżących postępach. Mówi pan krótko i zwięźle, powoli, oczy ma pan zwrócone wyłącznie na osobę zadającą pytanie. - Skinął głową w stronę oczekujących reporterów. - Niech kamery

podążają za panem, a nie pan za nimi. Ale przede wszystkim proszę skupić się na odpowiedziach. Nie może się pan dekoncentrować. Amerykańskie media wykazują ogromne zainteresowanie tematem, dlatego proszę bardzo ostrożnie dobierać słowa.

Regan opuścił wzrok, jakby zafascynował go blask wypolerowanych butów Flanagana.

- Ta sprawa może być równie wielka jak proces Louise Woodward w Bostonie.

Spin doktor strzepnął pyłek z marynarki szefa.

- Proszę powiedzieć mediom, że zaoferowaliśmy rodzinie Marksów wszelką pomoc... - Nagle zamilkł. - Nie, lepiej niech pan powie: Annie i Danowi Marksom, nie: rodzinie Marksów.

Regan skinął głową.

- I niech pan nie zdradza, że odmówili... - Flanagan zamilkł, przeniósł wzrok na tłum reporterów tłoczących się za ogrodzeniem. - Dlaczego Marks tak się zapiera przed wpuszczeniem kogokolwiek do domu?

John Regan ruszył zwirową ścieżką na kolejną sesję zdjęciową.

- Nie mam pojęcia. Najwyraźniej jednak Dan nie chce widzieć w swoim domu nikogo obcego. - Przybrał wyćwiczoną surową, zatroskaną minę, zarezerwowaną na trudniejsze okazje i pogrzeby. - Witam państwa. Mam czas na kilka pytań z waszej strony.

## **Godzina 15.42**

Frank Clancy trzymał przy piersi kartoteki Mary Hyland i Jamesa

Murphy'ego. Można było odnieść wrażenie, że je tuli. Rzucił kilka nieudolnych wymówek studentom i siostrze oddziałowej, a potem zniknął w gabinecie mieszczącym się na trzecim piętrze szpitala Mercy, zamykając za sobą drzwi na klucz. Siadał za biurkiem z przyspieszonym oddechem, cały rozdygotany. Położył teczki na blacie przed sobą, potem obejrzał je uważnie z każdej strony. Wiedział, że ich zawartość może być zaskakująca, ale wciąż nie potrafił zmusić się do ich przeczytania. Jakby celebrował ten moment niepewności. Przemyślał raz jeszcze wydarzenia ostatnich kilku dni, odkrycie trzeciego przypadku agranulocytozy, konfrontację z Lindą Speer i obawy, że ktoś mógł podmienić kartoteki zmarłych pacjentów. Podejrzewał, że problemy z niedoborem leukocytów u całej trójki wystąpiły na skutek zastosowania niewłaściwego leku, ale z dotychczasowej lektury dowiedział się jedynie o standardowym przebiegu terapii. Jedynym wyjątkiem była aspiryna D/N. Ale nawet i ona była powszechnie stosowana w Stanach, tyle tylko że sposób jej przepisania pacjentom odbiegał znacznie od znanych mu metod. „Małe niebieskie tabletki”, jak je opisywała pani Morell, zostały jej wydane osobiście przez doktor Speer. A to była niespotykana praktyka, pomyślał Clancy, otwierając pierwszą teczkę. Mimo wszystko wciąż obawiał się ośmieszenia, gdyby okazało się, że podąża mylnym tropem i atakuje Boga ducha winnych członków drużyny marzeń. Drugim, równie ważnym zmartwieniem, jakie miał na głowie, była nieunikniona w takim wypadku konfrontacja z ministrem zdrowia Johnem Reganem. Wiedział doskonale, że Fundacja Serca powstała dzięki ogromnej ilości pieniędzy podatników oraz niewiele

mniejшему osobistemu zaangażowaniu tego ambitnego polityka. Jeśli Clancy chciał zniweczyć efekty jego pracy, musiał mieć stuprocentową pewność stawianych zarzutów. Widział przed sobą całe pole minowe: oskarżenie i kontratak, usunięcie z pracy, postawienie zarzutów, mobilizację w szpitalu. Nie, pomyślał, najpierw muszę zdobyć żelazne dowody, potem zasięgnąć rady prawników.

Otworzył pierwszą kartotekę, tę należącą do Mary Hyland, zarejestrowaną pod numerem 115CD346, i zaczął czytać. Segregator był bardzo gruby, oprawiony w brązowawy karton. Wpięte do niego kartki były mocno podniszczone. Na stronie tytułowej mieściło się nazwisko pacjentki, jej adres, przydzielony numer oraz uwagi o uczuleniach na leki. Na odwrocie tej samej barwy wyliczono kliniki, w których była leczona. Lista była krótka: dermatologia, chirurgia, kardiologia i oczywiście na samym końcu hematologia. Nie potrafił zwalczyć poczucia winy z powodu tego, że Mary trafiła do niego, a on nie mógł uratować jej życia. Odwracał kartki powoli, ignorując wszystkie wpisy dotyczące leczenia skóry i przeprowadzonych zabiegów chirurgicznych, zatrzymał się dopiero przy informacjach z kliniki kardiologicznej. Rozpoznał natychmiast wyrafinowany styl pisma Lindy Speer i przestudiował z niezwykłą skrupulatnością każde słowo dotyczące pobytu i leczenia Mary Hyland. Symptomy, podejrzenia, obserwacje kliniczne, wyniki, stan przedoperacyjny, nagłe pogorszenie zdrowia i spowodowane nim przyspieszenie zabiegu wszczepienia bypassów. Wszystko wyglądało prawidłowo. Dotarł do różowej karty, na której znajdowały się wszystkie przepisane pacjentce leki. Serce zamarło mu na moment, gdy sięgał



po okulary. Próbował czytać przez ich szkła, ale ręce za bardzo mu drżały. W ustach momentalnie mu zaschło. Wpis był wyraźny: capoten 12,5 miligrama. Wyłącznie. Nie było słowa o aspirynie D/N.

Przeszukał szybko kieszenie i wyjął pomietaną kartkę, na której zapisał dane uzyskane z plików elektronicznych. Miał na niej identyczny capoten 12,5 miligrama i aspirynę D/N w dawce 300 miligramów na dobę. Przeniósł wzrok na różową stronę kartoteki. Nie zgadzała się z zapisem komputerowym. Clancy przewertował szybko resztę dokumentacji, dochodząc do wniosków pooperacyjnych, te jednak były spisane inną ręką, zapewne Dana Marksa. Przebiegł oczami po liście osób asystujących i znalazł na niej nazwisko Lindy Speer. Nie namyślając się wiele, sięgnął po słuchawkę i wybrał numer bloku operacyjnego.

- Siostrzo - odezwał się niewinnie, nie chcąc budzić zbyt wczesnie podejrzeń - mówi doktor Clancy z hematologii. Czy mógłbym zadać pani kilka pytań?

Pielęgniarka odburknęła, że ma niewiele czasu.

- Za moment zaczynamy operację wymiany zastawki - oświadczyła ostrym tonem.

Clancy słyszał w tle pobrzękiwanie instrumentów na stalowych szafkach, stukanie drewniaków o kafelki podłogi i z rzadka wydawane polecenia. Bez trudu wyczuwał napiętą atmosferę zatłoczonego pomieszczenia przed zabiegiem.

- To potrwa tylko chwilę - zapewnił ją, nie chcąc przerywać rozmowy. - Mam pytanie dotyczące doktor Speer, kojarzy ją pani z pewnością, to ta znana z kardiologii...

- Tak, wiem, kogo ma pan na myśli.

- Czy ona asystuje przy wielu operacjach serca?

Przez moment w słuchawce panowała cisza.

- Nie - odparła pielęgniarka po namyśle. - Z tego co sobie przypominam, asystowała wyłącznie przy zabiegach wszczepiania bypassów.

- Nie bywa obecna przy wszczepianiu zastawek albo usuwaniu tętniaków? - spytał obojętnym tonem, jakby w ogóle go to nie interesowało.

Znów krótka przerwa.

- Nie. Na pewno nie. - Ale siostra zaraz dodała:

- Wiem o tym, że doktor Speer prosiła, abyśmy wpisywali ją na asystę za każdym razem, gdy stan pacjenta czekającego na wszczepienie bypassów pogorszy się znacznie i zajdzie potrzeba przyspieszenia zabiegu. Tylko wtedy pojawiała się na sali. Czy coś jest nie tak, doktorze Clancy? - zapytała.

- Ma pan jakieś konkretne powody do niepokoju? Obserwowałam ją podczas operacji, jest naprawdę dobra w asystowaniu.

Clancy zapewnił ją, że nie ma żadnych zastrzeżeń co do kompetencji zawodowych Amerykanki.

- Współpracowała nad tymi przypadkami z doktorem Colmanem - dodała pomocnie pielęgniarka. - Pamiętam, bo kazał nam pobierać próbki krwi przed operacją, w jej trakcie oraz po zakończeniu, a także co godzinę w czasie intensywnej opieki.

Clancy natychmiast otworzył kartotekę Mary Hyland na stronie, gdzie zapisano wyniki badań krwi. Zauważył, że Stone Colman nie

zlecał niczego podobnego.

- Nie wie siostra, co to były za analizy?

- Przykro mi, ale nie, doktorze Clancy. W tej materii nie pomogę panu. Wie pan, u nas bez przerwy prowadzi się rozmaite badania. Może chodziło o któryś z tych programów.

- W tle rozległy się jakieś krzyki i nieco bardziej nerwowe pbrzękiwania. - Muszę już iść na salę. Jeśli potrzebuje pan więcej informacji, proszę zostawić mi wiadomość. Oddzwonię, jak tylko będę miała wolną chwilę...

Odłożyła słuchawkę, a Clancy spoglądał na telefon, wiedząc tyle samo co przed rozmową. Zastanawiał się, czy nie zadzwonić do pielęgniarki z kardiologii, ale zrezygnował z tego pomysłu, obawiając się, że mogłaby donieść o tej rozmowie Lindzie Speer. Ostrożnie, powtórzył sobie w myślach, tylko ostrożnie. Spojrzał przez uchylone żaluzje w oknach gabinetu na oddział; lekarze i personel medyczny wykonywali swoje codzienne obowiązki. Badano pacjentów, konsultowano historie choroby, pobierano próbki krwi, sprawdzano wyniki. Zaczął rozważać myśl, czy nie rzucić w cholerę tej papierkowej roboty i nie zapomnieć o sprawie. Zaniedbujesz własnych pacjentów, szukając spisków tam, gdzie ich najprawdopodobniej nie ma. Wycofaj się, zanim narobisz niepotrzebnego zamieszania. Spojrzał na zegarek. Dochodziła szesnasta trzydzieści, co oznaczało, że był już półtorej godziny poza harmonogramem. Powinien napisać tekst wykładu, zbadać w laboratorium całą masę próbek krwi, zajrzeć do trzech nowych pacjentów. Uznał, że potrzebuje więcej czasu na przemyślenie tej

sprawy.

### **Godzina 16.37**

- Rockdale? - Twarz Jima Clarke'a posiniała z wściekłości. - Kiedy?
- Właśnie przyjechał do Bridewell, by spotkać się z aresztowanym.

Dyżurny sierżant opisał mu wydarzenia minionych godzin. Wciąż jeszcze nie potrafił mówić o nich bez zauważalnego roztrzęsienia.

- Około czternastej. Lekarz więzienny zarządził transfer. Zreferował wszystko w kilku zdaniach i otworzył dziennik służby, na wypadek gdyby komisarz chciał potwierdzenia jego słów. Tony Molloy przestudiował uważnie wszystkie zapiski, marszcząc przy tym brwi.

- Nie mogliście z tym poczekać, dopóki nie przyjadę? Sierżant podciągnął spodnie i przetarł dłonią spoconą szyję.

- Człowieku, ten pojeb oszalał. O mało nie zagryzł jednego z moich ludzi. Nie mogliśmy go tutaj zostawić. Nie dość, że stanowił zagrożenie dla siebie, to stwarzał je też dla wszystkich wokół! - podniósł głos do krzyku. - Zachowywał się jak wściekły pies. Lekarz nie mógł się doczekać momentu jego wywiezienia.

- Nie mógł mu dać czegoś na uspokojenie? - wtrącił gniewnie Clarke. Przez ciągły ból w nodze utracił wiele ze stoickiego spokoju.

- Niech go pan sam o to zapyta - odwarknął sierżant.

- Hamilton spieprzał stąd, aż się kurzyło.

Clarke odwrócił się na pięcie. Pokuśtykał w stronę ławki, prychając i złorzeczając.

- Pieprzony Hamilton - burknął.

Molloy i Kavanagh wymienili znaczące spojrzenia.

- Mossy - zawołał komisarz przez zaciśnięte zęby - skontaktuj się z centralą i sprawdź, czy nie ma niczego nowego w sprawie torby i ubrania tej dziewczyny.

Kavanagh przeszedł do najdalszego kąta i wybrał numer.

- Nie ma nic nowego, szefie - oznajmił po chwili.

- Tony - Clarke podniósł się niezdarnie - zadzwoń do Joan Armstrong i przyciśnij ją nieco mocniej. Musimy znaleźć tę torbę. - Ruszył w stronę schodów prowadzących do wyjścia. - Mossy - skinął na drugiego ze współpracowników - dzisiejsze popołudnie spędzimy poza miastem.

## Godzina 16.47

- Był pan tutaj kiedyś? - W głosie Mossa Kavanagha dało się wyczuć niepewność.

Jechali prostą dwumilową szosą pomiędzy sosnowymi zagajnikami, zmierzając w kierunku Rockdale, szpitala psychiatrycznego dla przestępców w hrabstwie Meath. Leżało ono na północ od Dublina, a sam szpital znajdował się godzinę jazdy od centrum miasta. Temperatura na zewnątrz przekroczyła dwadzieścia sześć stopni. W kabinie samochodu mieli ponad-trzydziestostopniowy upał. Obaj, zarówno Kavanagh, jak i Clarke, oddychali z trudem. Zdjęli marynarki, ale pod pachami mieli ogromne plamy od potu. Clarke opierał się plecami o drzwi. Włosy miał całkiem posklejane. Pootwierali wszystkie okna, żeby złapać choć odrobinę ożywczego wiatru. Komisarz przyglądał się obojętnie zielonym lasom i pokrytym łąkami pagórkom. Kwiecień był deszczowy, ale druga połowa maja obfitowała w nieznośne upały, dzięki tej kombinacji trawa i krzewy mogły rosnać do woli.

- Aresztowałem jeszcze dwóch świrów - odparł Clarke.

- Za co? - Kavanagh zadał kolejne pytanie z wyraźnym wahaniem, jakby bał się kontynuować ten temat.

Komisarz uśmiechnął się, wyczuwając jego konsternację.

- Za zabójstwa. Byli bardziej popieprzeni niż kapelusznik.

Kavanagh przyhamował mocno przed sporą wyrwą w asfalcie, potem powoli wcisnął pedał gazu, zjeżdżając na trawiaste pobocze.

- Co zrobili? - zapytał, włączając wycieraczki i spryskując szybę, by pozbyć się z niej licznych owadów.

- Co ciekawe - odparł Clarke z lekkim ożywieniem, gdy dostrzegł w oddali mury szpitala - obaj zabili kogoś z rodziny. Pierwszy poderżnął gardło własnemu ojcu. Twierdził, że głos z radia kazał mu to zrobić.

Kavanagh przełknął głośno ślinę i wykonał ostry zwrot kierownicą, by wyminąć owcę stojącą zawadiacko na samym środku drogi. Nacisnął też klakson, który zmusił zwierzę do ucieczki w głąb łąki.

- A co z tym drugim?

Przed maską samochodu wyrosły szare granitowe mury. Clarke pochylił się do przodu, kładąc otwarte dłonie na zagłówku pasażera. Oparł na nich brodę.

- Wolałbyś o niej nie wiedzieć, Mossy. Obrzydziłaby ci kontakty z kobietami do końca życia.

Kavanagh omal nie zjechał do rowu, tak gwałtownie się obejrzał.

- O niej? - zapytał z niedowierzaniem. - To była kobieta?

- W pewnym sensie. - Clarke wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Uduśliła czworo śpiących dzieci, gdy dowiedziała się, że jej mąż zabawia się z młodszą kochanką.

Kavanagh wyrzucił na luz, nie gasząc silnika.

- To nie jest przypadkiem jeden z tych pańskich chorych żartów?

Clarke pokręcił głową. Spoglądał na ostatnie jardy szosy przed maską.

- Zapewniam cię, że nie, Mossy. Gdy mąż wrócił do domu,

rozwaliła mu głowę młotkiem. Siedziała w domu otoczona trupami przez następne trzy doby.

Kavanagh wrzucił jedynekę i pozwolił, by samochód potoczył się wolno do przodu.

- Jezu - mruknął, osłaniając oczy przed palącym słońcem. - Niezły sposób na spędzenie miłego popołudnia.

- Zahamował ostrożnie przed zakratowaną bramą. - Jak się tam dostaniemy?

Szpital psychiatryczny dla przestępców w Rockdale zajmował piętnastoakrową parcelę przylegającą do rozległych łąk i żyznych pól. Otaczał ją betonowy mur, wysoki na trzydzieści stóp i gruby na sześć. Do środka można było się dostać przez jedyną bramę. Zamykała ją wysoka na dwadzieścia stóp stalowa krata, którą otwierali dwaj mężczyźni siedzący w ledwie widocznej z zewnątrz budce z kamienia.

W latach osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku postawiono w tym miejscu przytułek, którzy przemianowano następnie na „azyl dla obłąkanych”. Rząd zakupił w roku tysiąc dziewięćset szóstym wszystkie budynki i dodatkowe sto akrów ziemi w ich okolicy, aby stworzyć szpital dla psychicznie chorych sprawców zbrodni. W roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym przeprowadzono gruntowny remont całego kompleksu, a dwadzieścia siedem lat później dobudowano do niego część rekreacyjną. Niemniej Rockdale było wciąż tym samym obiektem, powstałym na przełomie minionych stuleci. Zdecydowana większość kamiennych ścian zachowała oryginalny wygląd, podobnie jak nie zmieniło się zapatrywanie na to miejsce mieszkańców najbliższej wioski, oddalonej o zaledwie pięć



mil. Dla nich Rockdale na zawsze pozostanie „domem dla mocno popieprzonych wariatów.

Kavanagh użył klaksonu i chwilę później w bramie pojawił się rosy, mocno zbudowany strażnik. Stanął tuż za kratą, przyglądając się numerom rejestracyjnym pojazdu i jego pasażerom. Zanim ponownie zniknął w budce, poprosił o dokumenty. Kavanagh i Clarke czekali na jego powrót w samochodzie, pocąc się obficie. Odgłosy wydawane przez zwierzęta z odległych farm zakłócały dziwną ciszę. Oprócz nich słychać tu było jedynie pszczoły krążące pomiędzy kwiatami. Strażnik wrócił w końcu i popchnął kratę. Mimo sporych rozmiarów otworzyła się dość łatwo, robiąc wystarczającą ilość miejsca dla samochodu osobowego. Mężczyzna w mundurze kazał im się zatrzymać i raz jeszcze sprawdził dokumenty i numery rejestracyjne.

Kavanagh obserwował uważnie każdy jego ruch, nie odrywając oczu nawet na chwilę.

- Mają tutaj solidną ochronę.

Po wewnętrznej stronie murów, tak daleko, jak mogli sięgnąć okiem, ostatnie dziesięć stóp wysokości betonowej konstrukcji pokrywały gęste sploty drutu kolczastego. Popołudniowe słońce odbijało się od stali. Jakies trzydzieści stóp od murów zewnętrznych znajdowało się ogrodzenie z siatki i stali, także wieńczone drutem kolczastym. Co sto stóp zamontowano na nim reflektory i kamery skierowane w stronę zabudowań.

- Kiedy brama otworzy się na całą szerokość, możecie wjechać - poinstruował ich strażnik. - Udajcie się pod te niebieskie drzwi, to główne wejście do szarego budynku po lewej stronie. - Pochylił się mocno, by zmierzyć wzrokiem pasażerów pojazdu. - Zadzwońm już do nich, wiedzą, że tam jedziecie.

Kavanagh wymamrotał słowa podziękowań i ruszył.

- Lepiej zaczekaj - poradził mu drugi strażnik, podchodząc do wozu. - Nie przejeżdżaj, dopóki brama nie otworzy się na całą szerokość. - Oparł dłoń na otwartym oknie od strony kierowcy, poczekał, aż oba skrzydła się zatrzymają, potem pochylił się mocniej. Wyszczерzył przy tym zęby w szerokim uśmiechu. - Gdybyś się pospieszył, włączyłbyś alarm. A tego byśmy chyba nie chcieli, prawda? - mówił z wiejskim zaśpiewem. - Na pewno nie po zabawie, jakiej dostarczył nam niedawno kolega Kuba Rozpruwacz. - Roześmiał się z własnego żartu, spoglądając w ślad za samochodem pokonującym świeżo położony asfalt.

Żar lał się z nieba. Wokół okien gromadziły się chmary muszek. Kavanagh obserwował we wstecznym lusterku, jak zamykają się obie bramy, zewnętrzna i wewnętrzna. Wrzucił dwójkę. Nowa droga ciągnęła się na przestrzeni trzystu jardów, co jakiś czas widać było odchodzące od niej węższe alejki oznaczone niewielkimi drogowskazami: dostawa TOWARÓW... KWATERY... SALA GIMNASTYCZNA... BIBLIOTEKA... SZPITAL...

- Wiedziałeś, że mają tutaj piętnastostopowy basen, w pełni wyposażoną siłownię i całkiem niezłą bibliotekę?

- Clarke sam się zdziwił, kiedy przypomniał sobie, jak wygląda ta

placówka.

- Naprawdę? - bąknął Kavanagh.

Komisarz wyczuł, że jego partner wciąż jest zaniepokojony.

- Tak, ale z tego co słyszałem, rzadko kiedy ktoś z nich korzysta - dodał. - Lekarz powiedział mi, że pacjenci wolą siedzieć całymi dniami i gapić się w telewizor. I nieważne, jaki jest program: „Simpsonowie”, „Ulica Sezamkowa”, dziennik czy mecz hokeja. Oglądają wszystko, co się rusza i wydaje dźwięki.

W polu widzenia pojawił się szary gmach szpitala. Zaparkowali samochód na jednym z miejsc dla personelu.

- Chodźmy. - Clarke wygramolił się niezdarnie z tylnego siedzenia.

Zostawili marynarki i w samych koszulach podeszli do głównych drzwi. Z daleka wyglądały jak każde wejście do budynku, może z wyjątkiem kilku wyraźnych zarysowań wokół wielkiej dziurki od klucza. Ślady te widać było w promieniu prawie osiemnastu cali. Zatrzymali się przed budynkiem, by podziwiać jego wiktoriańską świetność. Miał szare granitowe ściany, wąskie okna i wysokie spiczaste dachy wyłożone łupkowymi dachówkami.

Kavanagh wypatrzył staromodny dzwonek i natychmiast z niego skorzystał. Nic się nie wydarzyło. Otarli pot z twarzy i odpędzili rojące się wokół muszki. Kavanagh pochylił się, by raz jeszcze nacisnąć dzwonek, gdy drzwi poruszyły się i w progu szpitala stanęła młoda, radośnie wyglądająca dziewczyna.

- Jesteście policjantami?

Skinęli obaj w odpowiedzi.

- Wejdźcie, doktor Dillon dołączy do was za minutkę.

- Otworzyła ciężkie skrzydło na tyle szeroko, by mogli wejść pojedynczo, potem wyjęła wielki pęk kluczy i zamknęła drzwi. Po wewnętrznej stronie widać było równie wiele sporych zarysowań. - Siadajcie. - Wskazała im drewniane biurko stojące w holu, po czym bez słowa przeszła do przeszklonego kantorka i podniosła słuchawkę.

Clarke zauważył, że Kavanagh uśmiecha się do niego.

- To coś, o czym będziesz mógł opowiedzieć żonie - stwierdził.

\*

Kierowca komisarza zlustrował wyłożoną białymi kafelkami podłogę.

- Na pewno nie w jej stanie - odburknął. Zatrzymał wzrok na drugich drzwiach, na nich też znajdowało się sporo zarysowań. - Dziecko urodzi się już niedługo. Wolałbym, żeby nie urodziła za wcześnie ze strachu.

Półmrok panujący w holu za sprawą wąskich okien potęgował duszną atmosferę tego wnętrza. Ktoś użył klucza i drzwi w oddali stanęły otworem. Psychiatra sądowy, doktor Patrick Dillon, wszedł do holu. Miał na sobie granatowe luźne spodnie i białą, rozpiętą pod szyją, koszulę z krótkim rękawem. Z kieszeni na piersi sterczały mu okulary. Zamknął drzwi za sobą. Na klucz.

Uśmiechnął się. Dzięki temu poczucie przytłoczenia ustąpiło na moment.

- Wybaczcie, że musieliście czekać, ale zejście na dół, przez te wszystkie oddziały, z otwieraniem i zamykaniem drzwi zawsze

zabiera sporo czasu. - W lewej ręce trzymał spory pęk służbowych kluczy. Powitał gości szybkimi uściskami dłoni. - Przyjechaliście spotkać się z panem Kellym?

- Przyjechałem zabrać go stąd - odparł Clarke.

- Z tym może być problem. - Dillon powiedział to w taki sposób, jakby sugerował wystąpienie problemów natury technicznej.

- Dlaczego?

- Wyjaśnienie tej sprawy przy użyciu terminologii medycznej zajęłoby mi cały dzień - ostrzegł psychiatra. - Lepiej będzie, jeśli sami zobaczycie, o czym mówię. - Wszedł do kantorka i zaczął dyskutować z dziewczyną, potem wspólnie skupili się na wypełnianiu dokumentów. W końcu Dillon wrócił do holu. - Zanim udamy się na górę, chciałbym wyjaśnić kilka rzeczy. - Szef tego przybytku był tylko odrobinę niższy niż Kavanagh, musiał więc sporo napracować się głową podczas tej przemowy, by patrzeć obu przybyłym w oczy. - Po pierwsze - zaczął - to szpital, nie więzienie. Do moich zadań należy zazwyczaj udzielanie pacjentom pomocy w wychodzeniu ze stanu niepoczytalności albo łagodzenie cierpień, jakie on powoduje.

Kavanagh rzucił przelotne spojrzenie w stronę Clarke'a, ale ten ignorował go zupełnie.

- Miejsca, w których trzymamy naszych pensjonariuszy - ciągnął psychiatra - przypominają na pierwszy rzut oka cele, ale ich drzwi pozostają otwarte przez cały dzień, dzięki czemu mają swobodę poruszania się po korytarzach.

Mossowi opadła szczeka.

- Oczywiście w granicach rozsądku - dodał Dillon.

- Pacjenci uwielbiają wydarzenia, które przerywają monotonię ich codziennego życia, mogą więc wykazać żywe zainteresowanie waszym pojawieniem się.

Otworzył zamek pierwszych drzwi. Szli we trójkę, milcząc, długim wąskim korytarzem w kierunku widocznych w oddali drzwi z podobnymi zarysowaniami wokół sporej dziurki od klucza.

- Niemal wszyscy goście zwracają uwagę na dziwne miny strojone przez gapiących się na nich pensjonariuszy...

Kliknięcie, zgrzyt, obrót. Drugie drzwi stają otworem. Kliknięcie, zgrzyt, obrót. I znów zostają zamknięte.

- Jeśli pacjenci będą na was patrzeć, doznacie nieodpartego wrażenia, że ich wzrok błądzi w pobliżu. A kiedy się odezwą, zrozumiecie, że ich umysły utknęły całe lata świetlne od miejsca, w którym się znajdujecie. To efekt schorzeń psychiatrycznych, na które cierpią ci ludzie, albo skutek wywołany przez podawane im leki.

Zatrzymali się przed następnymi drzwiami. Kolejny wielki klucz trafił do dziurki.

- Macie jakieś pytania?

Clarke oparł się plecami o ścianę korytarza, Kavanagh pokręcił głową.

- To bardzo spokojna instytucja - dodał Dillon. - Rzadko dochodzi tutaj do użycia przemocy. Nie używamy pałek, kaftanów bezpieczeństwa ani innych środków przymusu bezpośredniego. Szkolimy personel tak, by potrafił opanować każdą sytuację przy minimalnym użyciu siły.

Kavanagh obserwował uważnie obracający się klucz.

- Dzięki Bogu - mruknął.

Dillon obdarzył go szerokim uśmiechem.

- Obawiam się jednak, że pan Kelly stanowi wyjątek od tej reguły.

Drzwi ustąpiły. Stanęli przed masywną kratą. Dillon odczekał cztery minuty na odblokowanie zamka. W tym czasie niewielka kamera przemysłowa skierowała obiektyw w ich stronę.

- To nasz oddział o zaostrzonym rygorze.

Pierwszym, co rzuciło się komisarzowi w oczy, były otarcia farby na ścianach. Korytarz, którym prowadził ich psychiatra, był czysty i jasny, sporo naturalnego światła wpadało tutaj dzięki wielkim zakratowanym oknom. Wnętrze wyglądało na świeżo wymalowane. Nie różniło się kolorystycznie od pomieszczeń, które do tej pory mijali, z wyjątkiem pojawiających się co jakiś czas śladów otarć, mniej więcej na wysokości pasa.

Dillon zauważył zaniepokojenie na twarzy Clarke'a.

- To robota Kelly'ego - wyjaśnił. - A dopiero co przeprowadziliśmy tu remont - westchnął ze smutkiem.

Na dźwięk prowadzonej rozmowy w jednych z wielu otwartych drzwi pojawiła się głowa. Za nią na korytarz wysunęło się ciało niskiego rudzielca.

- Doktor Dillon? - Głos poruszającego się kaczym chodem mężczyzny był mocny i natarczywy. - Wypuści mnie pan w końcu na świeże powietrze? Chciałbym wyjść na dwór.

- W tym momencie zauważył Clarke'a i Kavanagha. - Jesteście dziennikarzami? - Przyskoczył do komisarza. Mówił nieco bełkotliwie, przez co trudno było rozpoznać jego wiejski akcent.

Dillon natychmiast przechwycił natarczywego pacjenta i zaprowadził go do dyżurki pielęgniarzy, w której siedział ubrany na biało młody mężczyzna. Wspólnie odprowadzili rudzielca do jego celi, gdzie natychmiast padł na łóżko i wrócił do obserwowania sufitu.

- Udusił siostrę, matkę, a potem własnego psa - wyjaśnił Dillon.

Moss Kavanagh zaglądał do każdej mijanej celi. Większość ich mieszkańców siedziała albo leżała, wpatrując się niewidzącym wzrokiem w ściany bądź sufit. Niektórzy mamrotali coś pod nosem. Pomieszczenia były czyste i całkiem obszerne. W wielu wisały rozkładówki z pism albo zdjęcia wielkich gwiazd futbolu. W jednej zaś całą ścianę zasłaniał gigantyczny plakat religijny, a na parapecie ustawiono rząd świętych figurek. Nagle na końcu korytarza rozległo się przeraźliwe wycie. Dobiegało zza zamkniętych drzwi, nad którymi paliło się zielone światełko. Obok nich dyżurowało dwóch pielęgniarzy. Otarcia na ścianie znajdowały się w tym miejscu na wysokości głowy komisarza. Na podłodze widać było kilka błyszczących odłamków szkła. Zbrojonego szkła.

Dillon zamiótł je czubkiem buta pod ścianę.

- Spójrzcie, panowie, na ekran.

Na ścianie wisiał osiemnastocalowy monitor. Obraz migotał raz po raz. Clarke popatrzył, ale nie dostrzegł niczego ciekawego. Dillon za pomocą pilota zmienił ustawienie kamery. W kącie niewielkiego pomieszczenia kulił się jakiś człowiek. Po naciśnięciu kolejnego klawisza usłyszeli dźwięk. Przypominał skowyt zwierzęcia.

- Oto pański więzień, komisarzu - oświadczył Dillon.

- Tam właśnie siedzi pański podejrzan.



Nagle jęki i warczenie umilkły. Micko Kelly rozprostował nogi i wyskoczył w powietrze, rozpaczliwie machając rękami.

- Poluje na żarówkę osadzoną w suficie - wyjaśnił psychiatra. - To jedyna izolatka w całym szpitalu. Ma wymiary dziesięć na osiem stóp. Ściany mają wysokość czternastu stóp i grubość ośmiu cali. Obito je grubą warstwą miękkiego tworzywa, po którym nie sposób się wspiąć. Na suficie umieszczono pojedynczą zieloną żarówkę. Kamera znajduje się poza polem widzenia pacjenta.

Dillon nacisnął kolejny klawisz i ujrzeli inny widok. Kelly był w samej bieliźnie, widzieli jego gołe nogi i kawałek pleców. Obserwowali, jak próbuje się wspiąć i sięgnąć źródła światła. Zarówno obraz, jak i dźwięk sprawiały, że policjanci poczuli zimny dreszcz, mimo zaduchu panującego w korytarzu. Dillon nacisnął kolejny klawisz. Tym razem zobaczyli podłogę. Używając niewielkiego dżojstika umieszczonego na pilocie, psychiatra zrobił zbliżenie na materac i leżący na nim koc. Ten ostatni został zwinięty i przesunięty na sam skraj legowiska.

- Znowu się zmoczył - stwierdził lekarz. - Musimy wejść i podać mu środek uspokajający. Potem przeniesiemy go do zabezpieczonej celi.

Obaj pielęgniarze pokiwali głowami, nie kryjąc jednak niepokoju.

Dillon spojrzał na Clarke'a.

- Dominującą barwą w tym pomieszczeniu jest butelkowa zieleń. Psychologowie twierdzą, że ten kolor uspokaja. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu. - Kiedyś poprosiłem, by mnie zamknięto w tej celi, i jakoś nie ukoił moich nerwów.

Clarke odpowiedział wymuszonym uśmiechem. Dillon wskazał na

dżojstik.

- Pensjonariusze lądują w tym pomieszczeniu w dwóch przypadkach: jeśli są zagrożeniem dla innych albo siebie samych. - Znow zmienił ustawienie kamery. - Pan Kelly jest liderem na obu listach.

Spojrzeli na monitor raz jeszcze. Osadzony w bezpiecznej celi Micko Kelly znow skoczył w stronę światła. Przez ułamek sekundy obiektyw kamery rejestrował jego twarz: pianę toczoną z ust, szaleństwo bijące z oczu. Clarke przyglądał się temu z mieszaniną fascynacji i przerażenia. Potem odwrócił się na pięcie i pokuśtykał w głąb korytarza. Wolał opuścić to miejsce, zanim złość i irytacja opanują go do reszty.

- Nie zdążyłem go jeszcze zbadać - wyjaśniał Dillon, gdy powrócili do chłodnego, wyłożonego białymi kafelkami holu. Przysiedli tam we trójkę na drewnianej ławeczce. Psychiatra trzymał na kolanach kartonową teczkę oznaczoną w prawym górnym rogu nazwiskiem michael leo kelly.

- Przysłano go nam w kaftanie i masce na twarzy. Moi chłopcy myśleli, że zdołają go uspokoić. Rozkuli go, a on natychmiast wpadł w szal. Sześciu chłopca musiało go trzymać, a i tak stoczył z nimi zawziętą walkę. Moi pielęgniarze są szkoleni w technikach obezwładniania. Mam nadzieję, że to, co powiem, nie wydobędzie się na zewnątrz. Tym razem musieli użyć brutalnej siły.

Clarke słuchał, bawiąc się guzikiem koszuli.

- Ten człowiek był obłąkany - dodał Dillon tonem usprawiedliwienia.

Komisarz uniósł pytająco brew.

- To znaczy?

Psychiatra zajrzał do teczki.

- Słyszał głosy i miał wizje. Był też bardzo agresywny. Jego wycie niepokoiło pozostałych pacjentów.

Clarke oparł się plecami o ławkę.

- Co pan zamierza z nim zrobić?

- Doprowadzenie go do stanu poczytalności może chwilę potrwać - odparł natychmiast Dillon. - Nikt nie może go przesłuchać, dopóki nie nabiorę pewności, że odzyskał zmysły. - Zignorował narastającą irytację komisarza. - Będę was informował o postępach w leczeniu. - Wsunął teczkę pod ramię i wstał. - Ujawnienie niepoczytalności może być kluczowe dla postawienia go w stan oskarżenia.

- Co pan zamierza z nim zrobić?

- Doprowadzenie go do stanu poczytalności może chwilę potrwać - odparł natychmiast Dillon. - Nikt nie może go przesłuchać, dopóki nie nabiorę pewności, że odzyskał zmysły. - Zignorował narastającą irytację komisarza. - Będę was informował o postępach w leczeniu. - Wsunął teczkę pod ramię i wstał. - Ujawnienie niepoczytalności może być kluczowe dla postawienia go w stan oskarżenia.

## Godzina 17.37

- Joan, lepiej idź do gabinetu. Tatuś już na ciebie czeka.

Joan Armstrong, wracając ze szkoły, trafiła na swoją matkę, drepczącą w miejscu tuż za drzwiami frontowymi ich piętrowego domu z czerwonej cegły, stojącego na południowym przedmieściu Dublina zwanym Sandymount. Zauważyła też czarnego lexusa na podejździe. Ojciec zazwyczaj nie wracał do domu przed dwiętnastą. Wyczuwała kłopoty.

- Jest też ten pan z policji, który dzwonił do nas wczoraj. W co ty się wpakowałaś? - Pani Armstrong, niska puszysta dama o przeredzonych włosach, ścisnęła w dłoni koronkową chusteczkę do nosa. Otarła nią delikatnie kącik oka.

- W nic, mamó. Naprawdę - bąknęła Joan. - Naprawdę nie wiem, czego on ode mnie chce.

Ręce drżały jej mocno, gdy ściągała szkolny zakiet, by powiesić go na haczyku przytwierdzonym do wewnętrznej strony drzwi wejściowych. Matka przyglądała się córce z niepokojem, potem nakazała jej gestem ręki przejść do gabinetu.

Harold Armstrong wyglądał jak ideał dyrektora banku. Był wysoki, siwowłosy, a sposób, w jaki się ubierał, odpowiadał absolutnie zarówno jego temperamentowi, jak i przekonaniom: konserwatywny, łagodny i nudny jak flaki z olejem. Joan była jego trzecim dzieckiem,

jak słusznie uważała siostra Concepta, niechciany pod każdym względem. Urodziła się w najmniej odpowiednim momencie jego życia. Nie miał czasu ani ochoty na przechodzenie po raz kolejny etapu ojcostwa. Sprawiała mu nieustannie problemy. Była buntownicza, bezczelna, wyzywająca i do tego kłamała jak z nut. Jej zachowanie pogorszyło się jeszcze bardziej, gdy stała się nastolatką.

- Skąd ona bierze na to wszystko pieniądze? - zapytał Armstrong podczas jednej z licznych awantur o zachowania córki. Zaraz po tym, jak ponownie się upiła. - Jestem już na to za stary - narzekał. - Nie potrafię nawiązać kontaktu z jej pokoleniem.

Ale najbardziej niepokojącym wydarzeniem w tej historii był telefon od siostry Concepty, która pragnęła go poinformować, że Joan zażywa narkotyki.

- Dopiero skończyła osiemnaście lat, a już uważa, że pozjadała wszystkie rozumy - rzuciła pogardliwie zakonnica.

- Tymczasem nie wie nic o życiu.

Armstrong przyznał jej rację.

- Dziękuję, siostro.

Joan została uziemiona na cały miesiąc, a ojciec rozpoczął dochodzenie na własną rękę, skąd brała pieniądze na narkotyki. Niestety nie dowiedział się niczego nowego.

Niespełna dwa miesiące później w parku Sandymount odnaleziono zwłoki Jennifer Marks. Harold Armstrong był tym wstrząśnięty do głębi. Plotki o tym, jak i dlaczego zginęła, roznosiły się lotem błyskawicy. We wszystkich wspomniano o jego córce. Zaraz po telefonie od sierżanta Molloya w sprawie drugiego spotkania bankier

podjął decyzję o przekazaniu Joan w ręce policji. Liczył na to, że córka wystraszy się tego i zacznie w końcu zachowywać normalnie.

Armstrong zasiadał teraz za biurkiem we frontowym gabinecie. Po jego lewej stronie stał Molloy, ssąc antacyd. Twarz detektywa miała ten sam zatroskany wyraz co zawsze.

- Cześć, tato - przywitała się nerwowo Joan i zajęła ostatnie wolne krzesło, ustawione tak, by obaj mogli patrzeć prosto na nią.

Armstrong zignorował jej słowa i od razu przeszedł do rzeczy.

- Joan, sierżant Molloy chce porozmawiać z tobą raz jeszcze... - Przerwał na moment, by dotarło do niej znaczenie tych słów. - Masz być z nim całkowicie szczerą. Ani ja, ani twoja matka nie będziemy się temu przysłuchiwali.

- Wstał i natychmiast opuścił gabinet, zamykając za sobą drzwi.

Molloy zmierzył spojrzeniem siedzącą naprzeciw niego dziewczynę. Wbiła wzrok we własne kolana. Dłońmi trzymała się krzesła, żeby nie widział, jak drżą. Wyglądała teraz bardzo niewinnie, nie była już przedwcześnie rozwiniętą kobietką. Rozejrzał się potem po gabinecie, zauważając oprawione w srebrne ramy zdjęcia rodzinne. Jedno z nich przedstawiało Joan podczas pierwszej komunii. Mała dziewczynka w białej sukience z welonem z rączkami złożonymi do modlitwy. Wrócił wzrokiem do dorosłej wersji.

- Nie zamierzam spędzić tutaj całego dnia, rozumiesz? - mówił zdecydowanym, twardym głosem, jego badawcze spojrzenie zmusiło ją do ponownego opuszczenia wzroku.

- Wcisnęłaś mi sporo kłamstw podczas poprzedniej rozmowy, o czym oboje wiemy.

Joan Armstrong natychmiast poderwała głowę. Molloy wyczuł jej strach.

- Nie wysiadłyście z kolejki na stacji Sydney Parade, pojechałaś z Jennifer Marks jeszcze jeden przystanek, do Ringsend.

Przyznała się skinieniem głowy.

- W takim razie może powiesz mi w końcu, co naprawdę się stało? Mam zeznania wielu świadków, w tym twoich koleżanek ze szkoły, więc nie próbuj tym razem kręcić. Wiemy już wszystko, potrzebujemy wyłącznie potwierdzenia tych informacji. Rozumiesz? - Nacisnął klawisz nagrywania na dyktafonie. - Zaczynaj od momentu opuszczenia przez was kolejki na stacji Ringsend.

Trzęsącymi się dłońmi Joan Armstrong sięgnęła do tyłu głowy i rozpięła kruczoczarne włosy. Potrząsnęła głową, pozwalając im opaść swobodnie, następnie spięła je znowu.

- Wpadłyśmy do pubu Balfe's po prochy. Jenny często brała, wie pan, a ja przy niej, rozumie pan, tak dla towarzystwa - mówiła cicho, z wyczuwalną rezygnacją.

Molloy natychmiast to wykorzystał.

- Nie wciskaj mi kitu, Joan. Takie rzeczy możesz opowiadać swoim rodzicom, ale nie mnie. Wisi mi, czy dawałaś sobie w żyłę czy nie, rozumiesz? Nie mam jednak zamiaru słuchać żalosnych tłumaczeń typu „robiłam to tak dla towarzystwa”.

Rozbił tym fasadę, za którą próbowała się ukryć córka bankiera. Tym razem drżała na całym ciele, gdy mamrotała kolejne, ledwie zrozumiałe słowa.

- Poszłyśmy do pubu Balfe's. Czekałyśmy tam na dilera Jenny.

Miała chłopaka, który załatwiał jej każdy towar. Spotykali się zawsze w tym lokalu.

Charakterystyczne „wie pan” i podobne wtrącenia zniknęły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Molloy od razu to zauważył. Chciała jak najszybciej wypluć to z siebie, pomyślał.

- Był tam taki dryblas z tatuażem nad okiem. Też czekał na swoje prochy. Jenny zaczęła do niego uderzać.

- Co znaczy „uderzać”? - wtrącił sierżant.

- Upiła łyk z jego drinka, poczęstowała się jego papierosem, tego typu zagrywki.

Molloy podkreślił głośność nagrywania.

- Jak on wyglądał?

W odpowiedzi otrzymał dokładny rysopis Micko Kelly’ego.

- Wyszłam około szóstej. Byłam już spóźniona, dlatego musiałam się zbierać. Jenny została i popijała z tym facetem.

- Kupiła jakieś prochy?

- Nie. Jej diler nie pokazał się tego dnia. Ale ten facet, z którym siedziała, dał jej coś. Nie wiem, co to było. Powiedziałam jej, że się zmywam, a ona na to, że nie ma sprawy, sama wróci do domu.

- I zostawiłaś ją samą w tym pubie, w towarzystwie wielkiego faceta z tatuażem na czole?

- Tak. Słowo daję.

Pub Balfe’s, zgodnie z tym co powiedziała Joan, był popularnym miejscem spotkań młodzieży, która szukała narkotyków. Dilerzy z centrum wynieśli się na bogate przedmieścia, gdzie dostawali lepsze pieniądze za oferowany towar i mieli większą swobodę działania. Pub



był ulubioną meliną narkotykową Jennifer Marks. Podobnie jak Joan Armstrong. Obie często zaglądały tam po szkole i w weekendy.

- Gdzie chodziliście, żeby zapalić jointa albo wypić? A może dawałyście sobie w żyłę na miejscu, w pubie? - Molloy nie tylko nagrywał, ale robił też notatki.

- Nie, zazwyczaj chodziliśmy do parku.

Natychmiast podniósł głowę.

- Do jakiego parku?

- Do Sandymount.

Przestał pisać i spojrzał prosto w oczy Joan. Zauważył, że nie ma już w nich strachu, niepewność także z nich wyparowała. Dziewczyna mówiła prawdę.

- Regularnie zaglądałyście w to miejsce?

- Tak, w każdy weekend, czasami po szkole. Jest tam taka stara altana, w której przesiadywałyśmy. - Jej głos był teraz znacznie pewniejszy.

Molloy przejrzał notatki, obrócił kasetę na drugą stronę i znów włączył nagrywanie.

- Nie znaleźliśmy przy ciele Jennifer Marks torby z jej szkolnymi rzeczami... - zaczął.

Joan nie czekała, aż zada pytanie.

- Przebrała się w toalecie, w pubie. Zawsze tak robiłyśmy, żeby nie rzucać się w oczy. Wie pan, dziewczyny z dobrej klasztornej szkoły w melinie dla ćpunów.

- Co zrobiła ze szkolnymi ciuchami?

- To, co zawsze robiłyśmy, upchała je w tornistrze.

Molloy zauważył, że powiedziała „my” zamiast liczby pojedynczej.

- Nie znaleźliśmy tej torby w parku.

- Wiem.

Spojrzał na nią zaskoczony.

- Co znaczy: wiem? Gdzie jest ta torba?

- Mogę panu pokazać. Jestem pewna, że schowała ją tam gdzie zawsze.

- Pokaż.

Armstrongowie poczuli ulgę, widząc, jak córka wsiada do samochodu Molloya. Głównie dlatego, że był to nieoznakowany wóz służbowy.

- Wrócimy za pół godziny - oświadczył sierżant; na jego twarzy zamiast zwyczajowego zatroskania jaśniała radość.

- Zaczynamy się dogadywać.

W odpowiedzi Harold Armstrong posłał mu wymuszony uśmiech.

## 20

### Godzina 17.55

Doktor Frank Clancy przetarł okulary rogiem fartucha. Chuchnął na szkła, aby je zwilżyć, wytarł ponownie, potem umieścił na nosie. Bez wielkiego entuzjazmu zabrał się do wertowania podniszczonych stron leżącej przed nim kartoteki. Starał się przeanalizować wszystkie fakty najlepiej, jak potrafił, przeglądając jednocześnie próbki krwi z najostrożniejszych przypadków leukemii. Postępował jak ławnik sądowy, rozważający wszelkie argumenty za i przeciw teorii spiskowej. Aby nadgonić stracony czas, przekazał prowadzenie wykładów swojemu stażyście, drugiemu po nim najważniejszemu człowiekowi na oddziale hematologii. Niestety, bez względu na to jak bardzo chciałby znaleźć dowód winy kardiologów, jego umysł podważał taki wynik rozumowania. To go martwiło, wiedział bowiem, jakie będą konsekwencje, jeśli się pomyli. Stąpasz po polu minowym, upomniał się w myślach. Nie możesz nadepnąć na zapalnik i wyjść z tego bez szwanku. Zaczął raz jeszcze wertować kartotekę Mary Hyland. Zatrzymał się dopiero na różowej stronie. Jego palce bawiły się bezwiednie brzegiem kartki, gdy odczytywał w kółko prosty zapis: capoten 12,5 miligrama. Już miał zamknąć teczkę, gdy zauważył różnicę pomiędzy tą stroną a pozostałymi. Wyglądała na nową. Clancy szybko przeleciał pozostałe zapisy. Wszystkie kartki były mocno pozaginane na rogach, jakby je wielokrotnie przewracano.

Atrament był miejscami rozmazany, pismo było nierówne, wychodziło czasami na marginesy, znalazł nawet kilka odcisków palców. Kiedy jednak wrócił do różowej strony, jej gładkość, czystość i brak jakichkolwiek śladów użycia od razu rzuciły się w oczy. I zaniepokoiły. Bardzo ostrożnie rozłożył kartotekę i otworzył spinający ją mechanizm. Nie mylił się, znalazł resztki różowego papieru. Ktoś wyjął w pośpiechu oryginalną stronę. Ktoś zmienił kartotekę Mary Hyland.

Frank Clancy otarł pot z czoła mankietem białego fartucha. Ktoś próbował coś ukryć. Rozsunął żaluzje, sprawdzając, czy nikt nie zamierza mu teraz przeszkadzać, potem szybko wyjął resztkę różowego papieru i ukrył go w kopercie. Spisał ponownie segregator z kartoteką i wrócił do stron, na których zapisano kurację pooperacyjną. Tutaj charaktery pisma zmieniały się co chwilę, w zależności od tego, kto z zespołu kardiochirurgicznego przeprowadzał kontrolę i badania. Niektóre zapiski były równe i czyste, inne ledwie czytelne. Bez trudu odnalazł notatki robione przez Lindę Speer. Niestety nigdzie nie było tej jednej jedynej wzmianki, której szukał. Po chwili zauważył jednak miejsce oczyszczone korektorem. Notatkę zapisano na białych stronach, na których mieściły się codzienne obserwacje pacjentki. Zawierały niekończące się uwagi na temat stanu Mary Hyland od momentu przeniesienia jej z intensywnej terapii na normalny oddział. Obok ciśnienia krwi, temperatury, pulsu i częstotliwości oddechu lekarz robiący obchód zapisał: „kontynuuje zażywanie capotenu 12,5 miligrama”... w tym miejscu ktoś użył korektora. Spoglądając na kartkę pod światło, Clancy zdołał

odszyfrować zabieleny napis: „i aspiryny D/N 300 miligramów na dobę”. Nie zamykając kartoteki Mary Hyland, otworzył równie wyświechtaną okładkę drugiego segregatora zawierającego dokumentację medyczną Jamesa Murphy’ego. Przerzucił ją szybko aż do podobnej różowej strony z zapisem stosowanej kuracji. Ona także wyglądała na nową. Podważając lekko mechanizm spinający kartki, znalazł podobne fragmenty wyszarpanego papieru tej samej barwy. Zgodnie z treścią Murphy także nie otrzymywał aspiryny D/N. Ale gdy Clancy sprawdzał wcześniej dane w komputerze, znalazł dowód na to, że James, podobnie jak Mary Hyland, otrzymywał każdego dnia 300 miligramów tego leku. Ktoś zmienił treść zapisów w kartotekach pacjentów i uczynił to z pełnym rozmysłem. Robił to jednak w takim pośpiechu, że zostawił czytelne dowody swojej winy.

Clancy przysunął się do komputera i otworzył wirtualne zapisy kartotek obojga pacjentów. Tym razem nie było żadnych czerwonych ostrzeżeń o tym, że kto inny z nich korzysta. Zanim przeszedł do pliku z opisem stosowanych leków, wyczuł, że przy tej dokumentacji także majstrowano. Miał rację. W obu kartotekach nie było śladu po tym, że pacjenci otrzymywali aspirynę D/N. Clancy odchylił się mocno na krześle i zapatrzył w błękitny ekran. Serce waliło mu jak oszalałe, oddech też miał przyspieszony.

O co tu chodzi?

Spojrzał na zegarek. Dochodziła osiemnasta dziesięć, zaczynał się wczesny wieczór. Dokonał szybkiego przeliczenia. Osiemnasta dziesięć... czasu lokalnego. W Chicago minęło dopiero południe. Clancy odbywał praktykę w Stanach i pamiętał, że w jego szpitalu

funkcjonowała całodobowa komórka zajmująca się poradnictwem farmaceutycznym. Do niej mógł zwracać się każdy lekarz, jeśli potrzebował natychmiastowej informacji o stosowanych lekach. W sytuacji gdy ktoś przedawkował jakiś specyfik albo reagował alergicznie na podane mu lekarstwa, taka pomoc mogła być kwestią życia i śmierci. Wystarczył jeden telefon i wszelkie dane o legalnych i nielegalnych lekach, przepisanych przez doktora czy też znalezionych w domowej apteczce, trafiały w ręce pytającego. Clancy przejrzał książkę telefoniczną, podniósł słuchawkę i wykręcił numer.

- Informacja farmaceutyczna, słucham.

Głos mówiący z akcentem charakterystycznym dla środkowego zachodu pobudził go do działania. Clancy uśmiechnął się, jakby znów znalazł się w Chicago.

- Witam - powiedział, nie bardzo wiedząc, o co zapytać dyżurującą pielęgniarkę. Połączenie było znakomite, słyszał ją, jakby siedziała dwa domy dalej. - Nazywam się Frank Clancy, jestem lekarzem, dzwonię z Dublina w Irlandii - zdecydował, że nakarmi ją półprawdami.

- Witam, doktorze Clancy, w czym może panu pomóc Chicago? - Głos był przyjazny i życzliwy.

- O, to nie powinno przysporzyć wielkiego problemu - zaczął Clancy. - Mam u siebie pacjenta z USA, który zażywa lekarstwo nieuwzględnione na moich listach. - Zagrał niewiedzą, to było prostsze niż przyznanie się do tropienia spisku. - Chciałbym poprosić o sprawdzenie tego specyfiku, a zwłaszcza informacji o skutkach ubocznych, jakie mogą wystąpić po jego zażyciu.

- Nie ma sprawy, doktorze Clancy. Proszę podać mi nazwę leku, a sprawdzę, co mamy na jego temat.

- Aspiryna D/N. Może mi pani podać jej opis i streścić najczęściej występujące skutki uboczne?

- Chwileczkę.

Nawet przez transatlantycką linię Clancy słyszał stukanie palców w klawiaturę.

- Jest. - Pielęgniarka wróciła do słuchawki po niecałych dwóch minutach. - Aspiryna D/N, produkowana tylko w jednej dawce, 300 miligramów. Zarejestrowała ją firma Cynx Pharmaceuticals z Bostonu. Preparat jest wolno wchłaniający, podaje się go raz dziennie.

- Ma pani jego opis? - naciskał Clancy. - Chodzi mi o to, jak wygląda.

Znów rozległo się stukanie w odległą klawiaturę.

- Tak, doktorze. To owalne tabletki koloru żółtego, nieco spłaszczone pośrodku, po obu stronach. Na jednej z nich znajdują się literki CP.

Nagle w głowie Franka rozległ się głos pulchnej, ale za to niezwykle dokładnej żony Morella: „różowo-niebieskie kapsułki na serce”. Clancy wiedział, że chodziło o capoten, nie miał najmniejszego problemu z dopasowaniem go do tego opisu. Za to te drugie, niebieskie tabletki nie pasowały do niczego. Aspiryna D/N, przepisywana i wydawana osobiście przez Lindę Speer, nie przypominała w niczym specyfiku opisywanego na karcie leków Stanów Zjednoczonych.

- Przepraszam. - Clancy postarał się, aby zabrzmiało to tak, jakby

czegoś nie zrozumiał. - Może pani powtórzyć?

- Tym razem trzymane w jego rękę pióro było gotowe do pisania.

- Oczywiście. To owalne tabletki koloru żółtego, nieco spłaszczone pośrodku, po obu stronach. Na jednej z nich znajdują się literki CP.

- Jest pani tego pewna?

Przyjazny dotąd głos stał się nagle bardziej szorstki.

- Doktorze Clancy, moja praca polega na byciu pewnym. Nie po to ludzie dzwonią do mnie, żebym udzielała niepewnych odpowiedzi.

- Boże, przepraszam - wymamrotał Clancy. - Po prostu opis, który mi pani podała, nie pasuje do leku, który mam przed sobą.

- W takim razie nie jest to aspiryna D/N.

Clancy spojrział na słuchawkę ze zdumieniem. Zatkąło go.

- Jest pan tam jeszcze, doktorze?

- Tak - odparł skołowany wciąż hematolog.

- Chce pan poznać skutki uboczne tego specyfiku? Clancy spojrział na zanotowany przed momentem opis aspiryny D/N.

- Nie, to nie będzie konieczne. Bardzo pani dziękuję. Myślę, że ma pani rację. To nie aspiryna D/N.

- W takim razie życzę miłego dnia. Proszę pozdrowić ode mnie Dublin.

## **Godzina 18.10**

- Proszę skrócić tutaj, a potem w drugą ulicę po lewej.

- Joan Armstrong przycupnęła na tylnym siedzeniu, aby nikt nie mógł jej zobaczyć. Wysuwała głowę tylko wtedy, gdy musieli zmienić



kierunek jazdy. - Teraz dojedzie pan do końca ulicy i skęci na skrzyżowaniu w prawo.

Molloy minął domy z czerwonej cęły, kompleksy apartamentowców, boisko do krykieta i niewielkie skupisko sklepików, w których można było nabyć wszystko, od kaset wideo po chińszczynę na wynos. W tej okolicy mieszkali nie tylko ludzie bogaci, ale też młodzi zdolni na dorobku.

- Widzi pan tę nieużywaną skrzynkę na liczniki w połowie ulicy? - Joan wyprostowała się bardziej. Spoglądała teraz zza pleców Molloya.

Detektyw zwolnił. Samochód sunął w ślimaczym tempie, kurier na motorze wyprzedził go z niedozwolonej strony. Gdy Molloy zauważył wskazane miejsce, zjechał na drugą stronę i zaparkował przy krawężniku. Rozejrzał się. W polu widzenia nie było żywej duszy. Na pomazanej przez grafficiarzy tabliczce widniał napis mercers road. Pod nią znajdował się przepelniony pojemnik na śmieci. Bezpański pies obwąchiwał przy nim pusty karton po płatkach.

- Spokojnie tutaj - zagadnął Molloy.

- Dlatego wybrałyśmy to miejsce.

Odwrócił się i uśmiechnął.

- Gdzie jest torba? - zapytał szybko, nie chcąc, by ten przyjazny gest rozluźnił za bardzo sytuację.

- W środku.

- W tej skrzynce?

- Tak. Proszę tam zajrzeć. Założę się, że leży tam, gdzie ją zostawiła. W niej chowałyśmy zazwyczaj nasze rzeczy.

Joan obserwowała go z wnętrza samochodu. Molloy podszedł do

skrzynki i popchnął przerdzewiały zamek końcówką długopisu. Drzwi poddały się od razu. Otworzył jedno ze skrzydeł na całą szerokość. W kącie skrzynki leżał tornister. Wyglądał na nietknięty. Świadczyła o tym choćby świeża pajęczyna. Molloy założył rękawice chirurgiczne, wrócił do bagażnika samochodu i wyjął z niego spory worek na dowody rzeczowe. Wsunął tornister do środka, potem sprawdził dokładnie całą skrzynkę, od wewnątrz i z zewnątrz. Nie znalazł niczego. Raz jeszcze rozejrzał się po okolicy. Nie zauważył nikogo na ulicy ani w oknach pobliskich domów. Ten drobny epizod wielkiego dramatu przemknął bez echa. Nikt nie był świadkiem wydarzeń rozgrywających się w promieniach zachodzącego słońca gdzieś w bocznej uliczce w Sandymount. Może jedynie pajęczek, któremu potargano sieć.

- Dlaczego tutaj? Gdzie jest park Sandymount?

To miejsce znajdowało się z dala od utartych szlaków sierżanta. Nie wiedział więc dokładnie, gdzie się teraz znajduje. Usiadł za kierownicą, ale nie zamknął drzwi, aby mieć więcej świeżego powietrza. Joan znowu kulila się na tylnym siedzeniu. Jakiś van minął ich, jadąc o wiele za szybko jak na taką uliczkę, ale Molloy zignorował go zupełnie.

- Na końcu parku jest niewielki wyłom w murze, korzystają z niego narkomani. To tylko kilka kroków stąd. - Palec wskazał gdzieś za lewe ucho Molloya. - Trzeba dojść do końca tej uliczki, a potem skręcić w lewo. Zobaczy pan trzy granitowe głazy, na których jest tabliczka z nazwą apartamentowca. Jeśli się pan za nie precyzyjnie, trafi pan na ścieżkę prowadzącą do wyłomu. Stąd to tylko kilka minut spacerkiem.

Przesunęła palec, a Molloy podążył za nim wzrokiem. Nadal nie był pewien swojego położenia, włączył więc silnik i podjechał powoli do wylotu uliczki. W ślepych zaułku po prawej zauważył nowo wybudowany dwupiętrowy apartamentowiec. Asfalt kończył się sto jardów od miejsca, w którym stał. Granitowe głazy wyglądały jak meteoryty. Na jednym z nich umieszczono napis the palms. Molloy obrzucił wzrokiem budynek i pomyślał, że to chyba najmniej odpowiednia nazwa dla tego miejsca. Wysiadł z samochodu, wszedł za kamienie i znalazł się na wąskiej ścieżce. Wrócił, otrzepując ubranie z pyłu i kurzu.

- Skąd Jennifer miała pieniądze na prochy?

- Od rodziców. - Głos Joan znów przeszedł metamorfozę. Nie był już taki pewny jak przed chwilą. - Są obrzydliwie bogaci - dodała na wszelki wypadek. - Wie pan, mnie też wydawało się dziwne, że dają jej pieniądze na wszystko, o czym tylko wspomni.

Molloy był zbyt zajęty myśleniem o zawartości torby Jenny, by polemizować z tą opinią. Spojrzał jedynie w lusterko wsteczne. Dziewczyna znowu spuściła okoloną kruczoczarnymi włosami głowę, przygryzała prowokujące czerwienią usta. Makijaż nie był w stanie ukryć strachu. Detektyw uznał, że miała już dość wrażeń jak na jeden dzień.

- To dobra dziewczyna - oświadczył radośnie, gdy odstawił ją do domu. - Bardzo mi dzisiaj pomogła.

Odbierając córkę, Armstrongowie uśmiechali się blado.

**Godzina 19.35**

## CZY TO NAĆPANY PSYCHOPATA ZAMORDOWAŁ JENNY?

Jim Clarke przejrzał pobieżnie artykuł podpisany przez Barry'ego Nolana. Znajdował się w nim czterostronicowy opis porannego rajdu na Hillcourt Mansions („najbardziej znaną melinę narkotykową Dubliną, w której koczują hordy ćpunów”) i aresztowania niezidentyfikowanego „dobrze znanego policji trzydziestoletniego mężczyzny”. Nolan relacjonował także przewiezienie „podejrzanego” do aresztu śledczego w Bridewell i późniejsze jego przeniesienie do szpitala psychiatrycznego w Rockdale. W gazecie znalazło się również kilka zdjęć z Hillcourt Mansions, w tym tłum narkomanów wylewającego się z kamienicy oraz fotografia archiwalna domu wariatów. Pod nią widniała lista najgroźniejszych przestępców przebywających za jego murami oraz zbrodni, których się dopuścili. Clarke złożył gazetę i schował ją do bocznej kieszeni marynarki. Przeniósł wzrok na O'Connell Street, główną arterię Dubliną, i leniwie poruszające się po niej samochody.

- Zawieź mnie do domu, Mossy, zanim ta noga mnie zabije.

Moss Kavanaugh spojrział w lusterko wsteczne, na udręczoną bólem twarz szefa, i nacisnął mocniej pedał gazu.

- Ojciec jest wściekły jak osa, uważaj, na litość boską, żeby mu

niczym nie podpaść - ostrzegła córkę Maeve, żona Jima, usiłując podgrzać mięso zapiekane w cieście. Nalała kieliszek białego wina. - Masz, zanieś ojcu i zajmij go przez chwilę rozmową, zanim podam kolację.

Katy upiła ukradkiem łyżeczek, zanim opuściła kuchnię. Ojciec leżał na kanapie, zerkając od czasu do czasu na wiadomości w telewizji, całą uwagę poświęcał jednak opuchliznie, która pojawiła się na okaleczonej nodze. Wieczorny dziennik zaczynał się od informacji o aresztowaniu wciąż anonimowego mężczyzny podejrzanego o zamordowanie Jennifer Marks. Kilka kliknięć pilotem upewniło komisarza, że wiadomość tej treści zdominowała wszystkie serwisy informacyjne. Clarke przyjął kieliszek bez słowa podziękowania i opróżnił go jednym łykiem. Katy skrzywiła się i zawróciła do kuchni, aby go ponownie napełnić.

- Noga wygląda dzisiaj wyjątkowo paskudnie, mamó - wyszeptła, zaglądając do lodówki w poszukiwaniu butelki.

Maeve natychmiast ją uciszyła.

- Wiem. Ale nie wspominaj o tym w jego obecności. Wkurzy się jeszcze bardziej.

Katy nalała wina do pełna i upiła kolejny łyżeczek za plecami matki. Maeve, nie odwracając się, rzuciła za siebie:

- Nie tkniesz już ani kropli. To ostatnia butelka, a w takim nastroju jak dzisiaj ojciec może wypić sporo.

Katy uśmiechnęła się, pociągnęła kolejny łyżeczek, a potem dołała wina do kieliszka i zaniósła do salonu. Nie potrafiła znieść napięcia panującego w domu, udała się więc na piętro i sięgnęła po książkę.

Clarke zjadł kolację w milczeniu, wypił do niej niemal trzy czwarte butelki wina, a potem, jęcząc głośno, powlókł się do sypialni. Nie odezwał się nawet słowem do żony i córki, jakby nie zauważał ich obecności. Leżąc na łóżku, raz jeszcze przyjrzał się opuchliznie. Wciąż się powiększała, miała co najmniej o cal średnicy więcej niż przed kolacją i nabiegła ciemną krwią. Noga bolała przy tym straszliwie, musiał wziąć dwie dodatkowe tabletki przeciwbólowe, mimo iż nie wolno ich było zażywać z alkoholem. Padł na poduszkę i zasnął w okamgnieniu.

### **Godzina 21.45**

- Sądzę, że powinieneś już wyjść.

Doktor Patrick Dillon, naczelny psychiatra, stał przed drzwiami jedynej bezpiecznej celi szpitala dla obłąkanych kryminalistów w Rockdale. Oprócz niego na korytarzu znajdowało się trzech pielęgniarzy i dwie studentki medycyny. Dillon przekręcił powoli klucz w zamku i otworzył ostrożnie drzwi. Stało się to o wiele później, niż planował, ale nie mógł trzymać się planu przez rosnące wciąż ożywienie Micko Kelly'ego. W końcu udało się je opanować dzięki podanej domięśniowo dawce clopixonu.

- To szybko działający środek uspokajający - wyjaśnił studentkom. - Zacznie skutkować za jakieś dwadzieścia minut. Dam mu więc godzinę, może nieco więcej, zanim ponownie otworzę drzwi. Powinien być wtedy o wiele spokojniejszy.

Dziewczyny słuchały go uważnie, robiąc przy tym notatki.

- Siedział w kącie celi przez ostatnie czterdzieści minut - ciągnął Dillon. - Myślę, że wyjdzie teraz po dobroci.

Celowo przemawiał spokojnym, ściszym głosem. Kelly był najgorszym pacjentem, z jakim miał do czynienia od wielu lat. Plotki o ataku w areszcie dotarły już do szpitala. Nikt tutaj nie był gotowy do podejmowania podobnego ryzyka. Dla Kelly'ego przygotowano nawet specjalną celę.

- Sądzę, że powinieneś już wyjść. Tam jest za zimno.

Kelly uniósł głowę, szukając źródła dochodzących dźwięków. Nie poruszył się przez ponad pięć minut, ale nikt do niego nie podszedł. Wzrok miał lekko zamglony, mrugał bardzo rzadko, powoli opuszczając powieki, jakby przecierał nimi gałki oczne. Obserwujących go ludzi ostrzeżono, by nie wydawali głośnych dźwięków ani nie poruszali się zbyt raptownie, dlatego stali teraz nieruchomo, wstrzymując oddech.

- Idę do ciebie - wymamrotał Dillon, wsuwając się do wnętrza celi. Pielęgniarze ruszyli jego śladem.

Studentki przyglądały się tej scenie w skupieniu, notatniki wróciły pod ich pachy. Nastawiły się wyłącznie na obserwację. Miały przed oczami ludzki dramat w najostrzejszej formie. Czegoś takiego nie da się nauczyć z podręcznika.

Włosy Kelly'ego były lepkie od potu. Uniósł dłoń, jakby chciał powstrzymać nadchodzące postacie.

- Spokojnie, Michael. Jesteś już bezpieczny.

Dłoń uniosła się raz jeszcze, jakby Kelly chciał odgonić muchy. Jego wzrok utkwiał w końcu w Dillonie. Otepiiony mózg spowalniał

każdą reakcję organizmu, także ruch oczu. Psychiatra przyklęknął. Kelly cofnął się.

- Spierdalaj... - przekleństwo zostało rzucone bez przekonania.

Dillon ujął go za dłoń i uścisnął ją mocno.

- Spróbuj wstać. Przeziębisz się.

Mimo letnich upałów grube mury szpitala nie dopuszczały do wnętrza cel zbyt wiele ciepła. Do tej, w której siedział Kelly, nie docierało ono zupełnie. Dillon chwycił pensjonariusza za łokieć i nadgarstek. Pociągnął go, pomagając wstać. Micko chwiał się na nogach, przewracał oczami, otwierał i zamykał usta, jakby coś przeżuwał. Psychiatra wyprowadził go na korytarz. Kelly zadrżał, osłonił oczy przed oślepiającą jasnością. Oparł się dłonią o ścianę. Niewielka grupa obserwatorów cofnęła się o krok.

Pacjent wyglądał na bardzo niedożywionego. Widać było wszystkie żebra, na biodrach także nie miał za wiele ciała. Patykowate nogi dopełniały tego obrazu. Nasiąknięte potem włosy wisiały splątanymi strąkami. Wzrok miał nieobecny, poruszał się jak mucha w smole. Dillon przytrzymał go za łokieć i poprowadził w głąb korytarza, zatrzymując się razem z nim, pozwalając zapoznać się z otoczeniem. W oczach pacjenta widać było zaskoczenie, zdziwienie i niezrozumienie. Dwukrotnie próbował wyrwać się z mocnego uścisku.

- Chciałbym, abyś wszedł do tego pokoju. - Lekarz nakierował wychudzoną postać na otwartą celę.

Kelly zatrzymał się w progu i obrzucił wzrokiem stojącą na środku podłogi pryczę. Obok niej znajdowały się niewielka umywaleczka i sedes. Ściany były czyste, tylko zakratowane okno przypominało o



statusie więziennym mieszkańców tego miejsca. Pozwolił się wprowadzić do celi i położyć na pościeli. Leżąc na plecach, spoglądał na sufit. Niewielkie pomieszczenie zapełniło się ludźmi. Kelly nie przestawał żuć półgębkiem, od czasu do czasu ziewał. Gdy otwierał szerzej usta, prezentował mocno zaniedbane uzębienie.

- Angela - Dillon zwrócił się do jednej ze studentek, ślicznej blondynki z kucykiem - mam zamiar go zbadać. Musimy ustalić wszystkie fizyczne przyczyny jego psychozy. Zechcesz notować moje obserwacje?

Kartoteka Micko Kelly'ego trafiła w jej ręce. Kliknęła długopisem, przygotowując go do pisania. Dillon nałożył dwie pary rękawic chirurgicznych, jedne na drugie.

- Widzę oznaki zaawansowanej wszawicy, nawet w brodzie... - Zamilkł na moment. - Będziemy musieli cię ostrzyć i ogolić.

Kelly przewrócił oczami i wybełkotał coś, czego nikt z obecnych nie był w stanie zrozumieć. Jeden z pielęgniarzy stanął u wezłowania łóżka i wyjął z kieszeni nożyczki. Kilka minut później przepoczone włosy i zmierzwiona broda wylądowały w niewielkim kartonie.

- Spal je - nakazał Dillon. - Widzę ślady zapalenia błony śluzowej w nosie połączone z przekrwieniem i zmianami żółtaczkowymi. - Wskazał na charakterystyczne zażółcenie białek ocznych. - Otwórz usta.

Kelly posłuchał, przewracał tylko oczami, by lepiej widzieć. Dillon upewnił się, że trzyma dłonie poza polem jego widzenia.

- Stan uzębienia tragiczny. - Przesunął wyćwiczonym ruchem po szyi Kelly'ego. - Nie ma powiększonych gruczołów. - Sprawdził

następnie ramiona i ręce badanego.

- Ślady nakłuć igłami w zgięciach obu łokci. Zakrzepica żył. Paznokcie bardzo długie. - Klik, klik. Zostały skrócone.

- Posadźcie go. - Przyłożył stetoskop do klatki piersiowej.

- Płuca czyste, rytm serca normalny. Możecie go już położyć.

- Sprawdził ciśnienie krwi. - Wyraźna ginekomastia - stwierdził i natychmiast wyjaśnił: - Pacjent ma niemalże kobiecy przerost tkanki tłuszczowej w piersiach... - pochylił się, by je uważniej obejrzeć - co sugeruje przewlekłe schorzenie wątroby. - Palce lekarza obmacały brzuch Kelly'ego.

- Wątroba powiększona, wyczuwalna na pięć palców poniżej dolnej linii żeber. Obrys twardy i nieregularny. Na skórze brzucha naczyniaki gwiazdziste. - Obmacał pachwiny i wsunął dłoń w majtki pacjenta. - Atrofia jąder. - Sprawdził jeszcze raz. - I to zaawansowana.

Na korytarzu przed celą pacjenta numer 1142, Michaela Leo Kelly'ego, dyskutowano wyniki badania.

- Wykazuje oznaki agresywnej psychozy maniakalnej - zaczął Dillon, kątem oka obserwując pielęgniarzy wchodzących i wychodzących z celi. - Jest też uzależniony od narkotyków, co sugeruje, że jego stan ma wiele wspólnego ze środkami farmakologicznymi. Zauważyłem także objawy chronicznej niewydolności wątroby. Zgodnie z aktami szpitala więziennego ma wirusa żółtaczkę typu B i C.

- Czy to może tłumaczyć jego psychozę? - zapytała Angela. - Może jest to reakcja na zatrucie spowodowane niewydolnością wątroby?

Dillon zastanowił się nad jej uwagą.

- To możliwe. Zrobimy mu pełną analizę krwi, próby wątrobowe i badanie nerek. Do tego możemy zrobić testy na obecność alkoholu i narkotyków. No i musimy zająć się na poważnie jego żółtaczką.

Przerwał, by zajrzeć do celi. Kelly leżał tak, jak go zostawił, gapiąc się w sufit niewidzącymi oczyma. Ziewał mocno i wciąż przeżuwał coś półgębkiem. Dillon powrócił do studentek.

- Jest teraz znacznie spokojniejszy i łatwiejszy do opanowania. Musimy podchodzić do niego z wielką ostrożnością, dokarmić go i przywrócić do zdrowia, zarówno pod względem fizycznym, jak i psychicznym. - Przypomnił sobie wcześniejszą rozmowę z Jimem Clarkiem. - Aby mogli go ukrzyżować.

### **Godzina 23.17**

- Jak pan się miewa, doktorze Clancy? - Mężczyzna stojący w progu domu w Blanchardstown, podmiejskiej dzielnicy Dublina, spoglądał z zaciekawieniem na wyłaniającą się z półmroku sylwetkę Franka. - Boże, wygląda pan na kompletnie wykończonego. Mam nadzieję, że da się pan zaprosić na filiżankę herbaty. Jest już tak późno, że musi pan o niej marzyć.

Clancy odmówił. Spieszyło mu się. Po odkryciu ukradkiem wprowadzonych zmian w kartotekach Mary Hyland i Jamesa Murphy'ego, obojga zmarłych pacjentów - zarówno w dokumentacji papierowej, jak i komputerowej - zyskał całkowitą pewność, że w szpitalu Mercy dzieje się coś podejrzanego. Nie wiedział jedynie co i dlaczego. Rozmowa z pielęgniarką dyżurującą w Chicago wytrąciła go

całkowicie z równowagi. Miał powody sądzić, że pacjentom nie podawano wcale aspiryny D/N. W takim razie co to było? Czym były owe „niebieskie tabletki” podawane całej trójce, które najprawdopodobniej spowodowały wystąpienie objawów agranulocytozy. Istniał tylko jeden sposób na rozwikłanie tej sprawy. Musiał zdobyć jedną z takich tabletek. Dlatego pojawił się w progu niewielkiego domu Neda Hylanda w Blanchardstown. Zadzwoił wcześniej, aby się zapowiedzieć, przypuszczał bowiem, że były mąż Mary może go już nie pamiętać.

- Tak, doktorze Clancy. - Ned Hyland rozpoznał jego głos w słuchawce. - Cieszę się, że pana znowu słyszę. Nie potrafię wyrazić, jak wdzięczny jestem za wszystko, co pan robił dla Mary, niech spoczywa w pokoju.

Clancy wysłuchał go, potem pociągnął rozmowę w niezobowiązującym kierunku. Na końcu zadał kilka pytań dotyczących kuracji Mary Hyland, zwłaszcza z okresu, gdy po raz ostatni przebywała w szpitalu Mercy.

- A te małe niebieskie tabletki, pamiętasz je, Ned?

- Oczywiście, że pamiętam. Doktor Speer wydawała je nam osobiście co czwartek. Musiałem po nie przyjeżdżać do szpitala.

To właśnie Clancy chciał usłyszeć.

- Czy nie została ci przypadkiem choć jedna z nich? - zapytał niby od niechcienia. - Może się już ich pozbyłeś, większość ludzi wyrzuca niepotrzebne lekarstwa. Ale zastanawiałem się, czy nie zostawiłeś ich przez przypadek.

- Tych małych niebieskich?

- Tak, tych małych niebieskich.

- A niech mnie, jeśli je wyrzuciłem, doktorze Clancy.

- Ned Hyland miał dar wygłaszania najprostszych zdań, jakby to były niezwykle ważne oświadczenia. - Nigdy niczego nie wyrzucam. Lekarstwa są zbyt drogie, żeby pozbywać się ich w ten sposób. Zamierzałem zwrócić je szpitalowi, aby ulżyły w potrzebie i oszczędziły pieniędzy kolejnemu nieszczęśnikowi. Tyle że do tej pory jakoś nie po drodze mi było.

- Zatem masz je nadal w domu? - upewnił się hematolog.

- Na górze, w rupieciarni.

- Mogę wpaść do ciebie i je odebrać?

- Po co się pan będzie fatygował? Na pewno ma pan ze sto ważniejszych rzeczy na głowie. Przywiozę je jutro do szpitala.

- To nic wielkiego - skłamał Clancy. - I tak miałem pojawić się dzisiaj wieczorem w okolicy twojego domu.

- Jak pan chce, doktorze Clancy. Spotkam się z panem z najwyższą przyjemnością.

Ned nie kłamał. Pojemniczek zawierający małe niebieskie tabletki stał na szafce, tuż przy drzwiach wejściowych. Hyland otworzył jego wieczko teatralnym gestem.

- Oto one. Przykro mi, ale zostało tylko pięć.

Clancy ujął jedną z nich między palce i obejrzał ze wszystkich stron. W tak słabym oświetleniu, na dodatek bez okularów, z trudem mógł odczytać napisy wytłoczone na leku. Z jednej strony były to literki CYN, a z drugiej XP.

- Znakomicie - mruknął, serce waliło mu z emocji. Oczami

wyobraźni ujrzał tryumfującą twarz Lindy Speer. - Bardzo ci dziękuję.

Ned Hyland uśmiechnął się. Cieszył się, że może służyć pomocą tak ważnemu człowiekowi.

- To musi być niebagatelnie drogi lek.

Clancy odwracał się właśnie, by odejść, ale te słowa osadziły go w miejscu. Spojrzał za siebie.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Niespełna godzinę temu ktoś inny dzwonił do mnie w sprawie tych samych tabletek.

- Co mu powiedziałaś? - Clancy nie zdołał ukryć strachu w głosie.

- Tylko tyle, że przyjedzie pan po nie osobiście. Dodałem, że może wygospodaruje pan dla niego jedną... - Hyland zamilkł. Clancy wyglądał na bardzo poruszonego. - Czy zrobiłem coś nie tak, doktorze? Nie powinienem był tego mówić?

Hematolog zmusił się do uśmiechu i uściśnął silnie dłoń rozmówcy.

- Ależ skąd, Ned. Nic się nie stało. Najprawdopodobniej któryś z kolegów próbuje mnie prześcignąć w badaniach.

Hyland odetchnął z ulgą.

- Pan jest od nich lepszy, doktorze. Wyprzedził pan konkurentów. Niech pan im dokopie, zanim zdołają się pozbierać.

Clancy śmiał się pod nosem, gdy zniknął w mroku, aby wrócić do samochodu. W dłoni ścisnął mocno plastikowy pojemniczek.

- Tak zrobię, Ned! - odkrzyknął. - Zgarnę całą pulę, zanim oni zdążą obejrzeć karty.

Hyland zamknął drzwi, zadowolony z żartobliwego zakończenia rozmowy. Trzy minuty później usłyszał odgłos zapalanego silnika i

pisk opon ruszającego raptownie samochodu.

- Gówniarze - mruknął pod nosem. - Cholerni piraci drogowi.

Wrócił do oglądania nocnych wiadomości w telewizji.

**Piątek, 15 maja,  
godzina 7.46**

W nocy nastąpiło załamanie pogody. Pogłębiający się front niżowy nadciągnął nad wzgórza i doliny Kerry i zachodniego Corku. Gniewne, nabrzmiące deszczem chmury kłębiły się na niebie, gnała je w głąb kraju wichura osiągająca w porywach nawet osiem stopni w skali Beauforta. Tak nagła zmiana temperatury rozpętała też gwałtowne burze, pioruny biły bez przerwy, wstrząsając oknami domostw i płosząc bydło w zagrodach. Błyskawice rozświetlały niebo i ziemię, ostrzegając przed nadchodzącym potopem. Moment później na pogrążone w ciemnościach zielone pola, na kręte drogi i mroczne torfowiska spadły kaskady wody. Wielkie krople wbijały się w grunt, zmywały kurz pokrywający setki tysięcy nagrobków rozsianych po tej ziemi. Nawałnica dotarła do Dublina około piątej nad ranem. Silne porywy wiatru wywoływały miniaturowe tornada pomiędzy wieżowcami w centrum, mieszały śmieci wyrzucone przez bogatych i biednych mieszkańców miasta. Deszczówka wypełniła kanały i studzienki ściekowe, zmyła też plamy krwi z trawy w parku Sandymount. Zanim wybiła szósta, po zabójstwie Jennifer Marks nie pozostał nawet ślad.

W chwili gdy załamanie pogody docierało do Dublina, Jim Clarke



poczuł gwałtowne rwanie w opuchliźnie na nodze.

- Obudź się, Jim, krwawisz - powitały go słowa żony i lekkie szarpnięcie za ramię.

Spał jak zabity, po raz pierwszy od wielu tygodni, cały czas leżąc na plecach. Moment później poczuł obok siebie ciepło bijące od ciała córki. Widząc minionego wieczora, jak ojciec cierpi, przyszła, by go ucałować na noc, i zobaczyła, że już zasnął. Położyła się przy nim na moment, objęła go ręką i tak przespali całą noc. Maeve zauważyła to, gdy idąc spać, zajrzała do Jima, ale postanowiła im nie przeszkadzać.

- Jim, obudź się.

Clarke podniósł ociężale głowę i spojrzał w dół łóżka. Wciąż był zaspany. Spróbował unieść nogę i ku swojemu zdumieniu poruszył nią, nie czując bólu, ale plamy krwi mówiły same za siebie.

- O Jezu - jęknął.

- Nie ruszaj się - poprosiła Maeve, pochylając się, by wyciągnąć koc spod krwawiącej nogi.

Katy spała nadal, trzymając rękę na klatce piersiowej ojca. Clarke pochylił się ostrożnie i pocałował ją w czoło.

- Dzwoniłam już do szpitala, przyjmą cię przed dziewiątą. Doktor Kelleher powiedział, że obejrzy cię osobiście.

Clarke wziął prysznic z plastikowym workiem na chorej nodze, potem zjadł śniadanie w milczeniu, czekając na pojawienie się Mossa Kavanagha.

W poczekalni szpitala nie minęło nawet pięć minut, gdy dostrzegł w korytarzu zmierzwione siwe włosy prowadzącego go lekarza.

- Znowu przesadziłeś? - zapytał Kelleher.

- Mam robotę do wykonania, Declan. Naciskają nas strasznie w sprawie zabójstwa córki Marksa.

Lekarz podniósł nogę komisarza na wysokość pasa i przyjrzał się jej dokładnie.

- Tak, to naprawdę paskudna robota. - Odczekał moment, by sprawdzić, czy wysięk ustąpi. Tak też się stało.

- Dajesz odpocząć nodze?

Clarke zignorował to pytanie.

- Musisz odpuścić, Jim, robią ci się już wrzody.

Milczenie komisarza zaczynało być denerwujące. Kelleher wezwał pielęgniarkę i wydał jej kilka poleceń dotyczących opatrunku. Zanim opuścił izbę przyjęć, pochylił się i wyszeptał do ucha Jima:

- John Regan wkroczył na wojenną ścieżkę. Wezwał wszystkich pracowników najwyższego piętra na konferencję prasową. - Uśmiechnął się makiawelicznie. - Boże, miej w opiece tych, którzy doznają dzisiaj zawału serca.

## **Godzina 10.00**

- Dzień dobry państwu. Dziękuję za przybycie w tak krótkim czasie.

Minister zdrowia stał w tej samej sali, w której przed ośmioma miesiącami odbyła się konferencja prasowa będąca jego tryumfem. Na podium obok Regana siedział Dan Marks wraz z Lindą Speer i Stone'em Colmanem - każde z nich ubrane było na czarno. Powaga malująca się na ich twarzach w niczym nie przypominała podniecenia i szumu towarzyszącego pierwszemu spotkaniu. Zabrakło też tła w

postaci sloganów rządowych. Regan włożył stosowny do okazji strój: stonowany, ciemny jednorzędowy garnitur, do którego dobrał mniej jaskrawy niż zwykle, wąski krawat.

- Nie będę się rozwodził nad tragicznym wtorkowym zdarzeniem. - Odwrócił się, by spojrzeć na Dana Marksa.

- Powiem tylko tyle, że rząd dołoży wszelkich starań, aby sprawiedliwości stało się zadość i człowiek, który zamordował Jennifer Marks, stanął przed sądem. Już aresztowano podejrzanego i odizolowano go od społeczeństwa. Spotka go zasłużona kara. - Głos ministra był donośny i rozkazujący, jego zachowanie świadczyło o z trudem kontrolowanym gniewie.

- Pragniemy złożyć wyrazy głębokiego współczucia Danowi i Annie Marksom, których dotknęła ta ogromna strata.

Dan Marks podniósł wzrok, przyjmując kondolencje.

- Jesteśmy świadomi - mówił Regan - ciężaru krzywdy, jaka ich spotkała, i wszyscy tutaj oraz w całym kraju łączymy się z nimi w bólu...

Obrzucił spojrzeniem zebranych. Sala była wypełniona po brzegi - głównie przez dziennikarzy prasowych i reporterów stacji telewizyjnych. Nie można było nie zauważyć obecności Amerykanów ze Wschodniego Wybrzeża. Poza tym krzesła zajmowali kardiologowie ze szpitala Mercy i zwolennicy ekipy rządzącej, powyciągani zza biurka w celu robienia tłumy.

- Rząd nie zaprzestanie prac przy Fundacji Serca.

- Umilkł i zacisnął dłonie na krawędzi mównicy, nie zważając, że krew odpływa mu z palców. - Zapewniam, że obecni tu specjaliści nie

zrezygnują z wysiłków i dokończą dzieła.

W sali rozległy się niepohamowane brawa - pierwszy zaczął klaskać entuzjastycznie nastawiony doradca Regana, Flanagan. Kamerzysta zrobił zbliżenie na członków drużyny marzeń, filmując poważne i bystre twarze.

- Będziemy działać dalej. - Regan musiał nieomal krzyknąć, by jego głos przebił się przez żywiołowy aplauz. - Nie pozwolimy się powstrzymać.

Doktor Frank Clancy przysłuchiwał się przemówieniu z tyłu sali. Wcisnął się do pomieszczenia już po tym, jak zaczęła się konferencja, i znalazł sobie miejsce w kącie, za plecami kłębiących się reporterów. Przez cały czas trzymał pochyloną głowę, przyciskając brodę do piersi. Wymknął się, kiedy zaczęto bić brawa.

„Rząd nie zaprzestanie prac przy Fundacji Serca”. Zdeterminowane słowa Johna Regana zaniepokoiły go. Nie ulegało wątpliwości, że rząd poczuwa się do obowiązku utrzymania projektu przy życiu. Śmierć Jennifer Marks najwyraźniej umocniła Regana w jego przekonaniu.

Stojąc na mokrym chodniku i usiłując złapać taksówkę, Clancy ponownie zaczął się zastanawiać, czy nie przesadził ze swoją teorią spiskową. Ostrożnie, Frank, przestrzegł się w duchu. Nie igraj z ogniem. Potrzebujesz więcej dowodów. Nadszedł czas, abyś przemyślał taktykę.

W chwili gdy do krawężnika podjechała wolna taksówka, kątem oka dostrzegł czającą się niewyraźną sylwetkę.

## Godzina 11.17

- Uporaliśmy się z większością tego, co od ciebie otrzymaliśmy. - Arnold Leeson, dyrektor laboratorium wydziału dochodzeniowego, domyślił się zniecierpliwienia Jima Clarke'a, jak tylko zobaczył go w sekretariacie. - Ale wciąż jesteśmy zawałeni robotą - dodał, postanowiwszy się odgryźć. Na dowód podpisał podetknięty mu pod nos formularz, trzymany obleczoną w lateksową rękawiczkę dłonią jednego z asystentów.

- Nie przyszedłem tu, aby was popędzać - skłamał Clarke.

Leeson machnął jeszcze parę podpisów, ostatni kończąc ozdobnym zawijasem.

- Bogu niech będą dzięki. Minister sprawiedliwości i zdrowia uwzięli się na nas od samego rana, telefonicznie wypytyjąc o postępy i domagając się wstępnego raportu na temat Kelly'ego... - dostrzegłszy zaalarmowane spojrzenie Clarke, dodał natychmiast: - Ale bez obaw, nie puściłem pary z ust. Zresztą i tak będziemy coś mieli dopiero po weekendzie. Nie mógłbyś do wtedy poczekać?

Stojący tuż za Clarkiem Moss Kavanaugh pokręcił głową.

- A co z torbą, którą dostarczono wczoraj? Możemy rzucić na nią okiem?

Leeson otworzył ciężkie drzwi oddzielające sekretariat od laboratoriów. Clarke ponaglił Kavanaugha dźgnięciem kuli w łydkę.

- Molloy czeka na was od dziewiątej - oznajmił Leeson, pozwalając, by drzwi zamknęły się za nimi.

Weszli do niewielkiego pokoju, w którym zgromadzono materiał pobrany od Jennifer Marks. Było tam tak ciasno, że Kavanagh musiał zostać w korytarzyku. Zaglądał do środka ponad głowami zebranych. Tony Molloy siedział na jedynym taborecie, marszcząc czoło i zaciskając szczęki. Arnold Leeson przecisnął się do rogu i ująwszy w dwa palce końcówkę mikrofonu, przypiął urządzenie do wypchanej długopisami kieszeni białego fartucha. Kabelek biegł do drugiej kieszeni, gdzie tkwił dyktafon z czekającą w pogotowiu mikrokasetą. Następnie podniósł z blatu podkładkę i umieścił na niej czystą kartkę formatu A4. Molloy zaoferował Clarke'owi miejsce siedzące, więc przez chwilę panowało zamieszanie.

- No dobra, łapy przy sobie, póki nie włożycie rękawiczek - ostrzegł ich Leeson.

Dwie pary rękawiczek trafiły na dwie pary dłoni.

- W porządku, można otwierać.

Złamano pieczęć na plastikowym worku z materiałem dowodowym i szkolna torba Jennifer Marks wysunęła się na blat. Oczy wszystkich obecnych skupiły się na wypchanym nieznaną jeszcze zawartością plecaczku z zielonego płótna, zamkniętym na klapkę. Od płótna odcinały się litery nasmarowane czarnym mazakiem: jennifer marks U6A. Krawędzie każdej litery zostały pociągnięte od zewnątrz czerwonym pisakiem. Na klapce bocznej kieszeni wypisano: radiohead, tylko nieco mniejszymi literami. Zarówno ta kieszeń, jak i jej sąsiadka po przeciwnej stronie były zamknięte. Do pasków na

ramiona i zielonego płótna poprzyczepiały się pajęczyny.

Clarke uniósł torbę wysoko i poddał oględzinom jej spód, boki i tył.

- Jest bardzo lekka - zauważył. Spojrzał na Leesona.

- Zobaczymy, co jest w środku.

Klamerki zabrzęczały podczas otwierania. Klapka ustąpiła. Na jej wewnętrznej stronie czarne pismo potwierdzało lojalność wobec Bon Joviego. Kolejno ujawniły swoją zawartość dwie boczne kieszenie. Ta po lewej stronie kryła napoczęte pudełko z niewykorzystanymi tampaksami normalnej wielkości. Były w niej także dwa długopisy i ołówek. Tusz jednego z długopisów przeciekał - stąd plama na dolnej stronie opakowania tampaksów. W prawej kieszeni znajdowało się trochę drobnych monet, otwarta paczka papierosów marki Benson and Hedges, szminka, kredka do powiek i puderniczka. Clarke pstryknął wieczkiem paczki papierosów - była pełna tylko w połowie.

Leeson skrzętnie notował na swojej podkładce.

- No dobra - zaproponował - zacznijmy od tego, co już jest otwarte.

Włączam nagrywanie. Lewa kieszeń.

Dłonie w gumowych rękawiczkach obróciły pudełko z tampaksami na wszystkie strony. Z zewnątrz nic się nie rzucało w oczy, jeśli nie liczyć plamy z tuszu.

- W opakowaniu, fabrycznie zawierającym dziesięć sztuk tampaksów, jest pięć tamponów, w tym cztery nadal w ochronnym papierku - zaczął Clarke. - Wszystkie wyglądają na czyste.

Przechylił pudełko i na blat wysypały się cztery zamknięte tampony i jeden włożony do aplikatora. Ten ostatni miał kształt cylindra, długiego na cztery cale i o średnicy pół cala, wyzierał z niego

sznureczek ułatwiający wyjmowanie tamponu po użyciu. Clarke zmrużył powieki, próbując zajrzeć do środka.

- Na moje oko wygląda jak trzeba.

Leeson wydał usta.

- Odkręć.

Clarke usłuchał i po chwili w każdej ręce trzymał jedną część aplikatora. Stało się jasne, że ktoś wepchnął do środka małą paczuszkę białego proszku ciasno owiniętą plastikową folią. Tampon został starannie przycięty, aby zrobić na nią miejsce, i włożony tak, by całość nie budziła podejrzeń.

- Wiecie już, co miałem na myśli? - wtrącił Leeson.

- Gdybyście znali inne przemyślane sposoby na ukrywanie narkotyków, stosowane przez dzisiejszą młodzież...

Mars na czole Molloya jeszcze się pogłębił. Szturchnął paczuszkę czubkiem długopisu.

- To mi wygląda na heroinę.

Leeson pochylił się nad blatem i przyjrzał foliowemu opakowaniu uważnie.

- Każę to sprawdzić. Wyniki powinny być po weekendzie.

Kavanagh wyciągnął szyję i poskarżył się:

- Po weekendzie? Nie przemęczacie się tutaj, chłopaki. Czy ktoś nie mógłby zostać dłużej w pracy?

Leeson spojrzał na niego spode łba, po czym ponaglił Clarke'a:

- Zajrzyj do paczki z papierosami.

Palce chronione lateksem wyjęły na blat dwanaście sztuk papierosów. Na oko wszystkie wyglądały zwyczajnie. Jednakże trzy z



nich były skrętami: miały charakterystycznie skreconą końcówkę, a w środku tytoń wymieszany z haszyszem.

- Włóż je tutaj. - Leeson podał kopertę.

- To ci dopiero - zdziwił się Molloy.

Leeson przybrał neutralny wyraz twarzy. Podrapał się po skrzydełku nosa kantem podkładki.

- Gdybyśmy mieli do czynienia z siostrą zakonną, też byłbym zaskoczony. Ale gdy w grę wchodzi ćpająca osiemnastolatka, spodziewam się raczej znaleźć coś więcej. Pozostaje pytanie: co i gdzie? Te dzieciaki są mistrzami w sztuce wodzenia za nos nas, dorosłych. Gdyby wykorzystywały swoje zdolności w inny sposób, powodziłoby się im o wiele lepiej.

Molloy pokazał zęby w uśmiechu.

- Tylko że wtedy ty nie miałbyś pracy, co, Arnold?

Leeson całkowicie go zignorował.

- Sprawdźmy, co jeszcze kryje ten szkolny plecak.

Wypchane zielone płótno było u góry ściągnięte rzemykiem przewleczonym przez dziurki. Końce rzemyka ktoś zawiązał na supeł, który łatwo ustąpił pod zręcznymi palcami. Pierwszy ujrzał światło dzienne granatowy zakiet. Pod nim znajdowały się biała bluzka, niebieskie džinsy i - prawie na samym dnie - para eleganckich czarnych pantofli. Każdą ze sztuk garderoby poddano starannym oględzinom, nim odłożono ją na skraj blatu: wywrócono na wierzch kieszenie, macano podszewkę, bez skutku jednak. Obleczona w lateksową rękawiczkę dłoń Clarke'a sięgnęła głębiej i wyciągnęła granatowy krawat, granatową spódniczkę oraz samotny szkolny

zeszyt.

- Prawdziwy był z niej kujon, co? - odezwał się Kavanagh ze swojego posterunku w progu.

Uwagę zebranych przykuła spódniczka. Molloy dotknął jej czubkiem zabezpieczonego lateksem palca.

- Chwila prawdy.

Leeson aż się przesunął do przodu, umożliwiając Kavanaghowi przestąpienie przez próg. W ciasnym pomieszczeniu zrobiło się nieprzyjemnie ciepło, mężczyźni zaczęli poluzowywać krawaty. Clarke przesunął spódnicę na blacie.

- Ty pierwszy.

Molloy zlustrował baczny wzrokiem materiał. Wydawał się czysty i gładki. Pasek był trzykrotnie podwinięty - zapewne tak zostawiła go właścicielka, chcąc pokazać więcej nóg. Guzik musiał się urwać jakiś czas temu, bo dwa końce wywiniętego paska spinała agrafka. Policjant przewrócił spódniczkę na nice i zaczął opuszkami sprawdzać podszyty dolny brzeg.

- Coś tu jest - podniósł głos z podniecenia. - Coś tutaj jest!

Brzeg spódnicy został rozpruty na długości jakichś dziewięciu cali i podszyty ponownie. Amatorski ścieg rzucał się w oczy, inna była też barwa nitki, której niezaciągnięty koniec dyndał luźno.

- Dajcie mi coś do cięcia.

Leeson wyjął z kieszeni nożyczki o wąskich ostrzach. Wystarczyły dwa ruchy i podszyty niefachowo brzeg spódnicy puścił. Molloy włożył w powstałą szparę mały palec i zręcznie oswobodził kolejną foliową paczuszkę.

- Co w niej jest? - Leeson usiłował dojrzeć coś ponad ramieniem Clarke'a.

Molloy właśnie szukał otwarcia.

- Jeszcze nie wiem.

W końcu udało mu się wyczuć palcami małe zgrubienie folii, oderwać je i naciskając na zawartość, opróżnić paczuszkę. Cztery niewielkie kwadratowe niebieskie tabletki jedna po drugiej upadły na blat. Dwie z nich leżały, pokazując awers, na którym widniały symbole: D117C. Dwie następne zaraz odwrócono. Na tych widać było inny symbol: CYN.

- Co to za symbole, Arnold? - zapytał Clarke.

Leeson podniósł jedną z tabletek i przyglądał jej się uważnie gołym okiem, a potem także przez okulary do czytania.

- W życiu takich nie widziałem. Wezmę po jednej i przekażę do analizy. Ale nie ma szans, żeby wyniki były jeszcze...

- Przed weekendem - dokończył za niego Kavanagh.

- Najwcześniej w poniedziałek.

Leeson odwrócił się do swego dręczyciela.

- Wiesz co? Gdybyś nie był takim wielkim skurwielem, kopnąłbym cię prosto w jaja.

Molloy podniósł wzrok znad blatu.

- Nie krępuj się, Arnold. Im też należy się coś od życia.

Ta wymiana zdań rozluźniła atmosferę i zgodnie postanowiono zrobić sobie przerwę. Właśnie mieli opuścić duszne pomieszczenie, kiedy Molloy potrząsnął plecaczkiem trzymanym do góry nogami w obu dłoniach. Na blacie pojawiła się bibułka do robienia skrętów. Na

arkusiku było napisane: eenie-meenie-miney-mo. Wokół literek mo czyjaś ręka wyrysowała serduszko. I przebijającą je strzałę. Strzała odlegle przypominała męski członek w erekcji.

- To też niech trafi do koperty na dowody rzeczowe - zakomenderował Leeson. - Choć może to tylko przejaw młodzieńczego poczucia humoru i nic nie znaczy.

Clarke wertował zeszyt. Był to najwyraźniej zeszyt do francuskiego. Jennifer Marks chyba nie była orłem z tego przedmiotu. Niebieski tekst gęsto pstrzyły poprawki naniesione czerwonym cienkopisem. Mniej więcej co drugą stronę znajdowało się pokreślone zadanie domowe. Tu i ówdzie można było trafić na: do zobaczenia po szkole, napisane tym samym czerwonym kolorem.

Mężczyźni opuścili w końcu pokoik, zamknęli starannie drzwi na klucz, po czym ruszyli korytarzem, rozmawiając o różnych sprawach. Clarke poklepał dłonią kieszeń, w której spoczywały dwie z czterech niebieskich tabletek.

- Pracujemy nad niektórymi sztukami jej odzieży - poinformował Leeson, przystając przed jakimiś drzwiami. Przejechał kartą przez szczelinę czytnika i powiedział: - Proszę za mną.

Dział mikrobiologii mieścił się w czterech pokojach zachodniego skrzydła budynku, skąd roztaczał się widok na boiska. Wszystkie blaty zastawione były mikroskopami, erlenmajerkami i odczynnikami, a także zasłane formularzami w różnych stadiach wypełnienia. W jednym rogu stał wyciąg, w drugim znajdowała się spora kadź, kształtem z grubsza przypominająca lejek, nad którą wisiał zrobiony również z nierdzewnej stali wieszak. Na tym wieszaku wisiała teraz

sukienka pokryta plamami z krwi. Zajmował się nią odziany w biały fartuch technik, mozolnie przeczesujący materiał i strzepujący kurz i włókienka do przygotowanych szalek.

- Tutaj - pokierował głosem Leeson i Clarke posłusznie dokuśtykał do szerokiego stanowiska roboczego, przy którym stała młoda i bardzo ładna ciemnowłosa dziewczyna w białym fartuchu. - Sprawdzamy tę czarną spódnicę - wyjaśnił i skinął na dziewczynę, by nie przerywała pracy.

Na blacie leżała spódnica Jennifer Marks, wierzchnią stroną na zewnątrz. Jeden ze szwów został starannie rozpruty, tak by oględzinom można było poddać całość materiału naraz. Odziana na biało czarnulka przyłożyła wielką płachtę bibuły do materiału spódnicy, po czym zrosiła ją płynem z rozpylacza, uważając na oczy. Następnie przykładła obie dłonie miejsce koło miejsca - najpierw od góry do dołu, a potem od lewej do prawej - naciskając całym ciężarem ciała, by obie warstwy: tkanina i papier zaczęły do siebie przylegać.

- W porządku - powiedziała, grzbietem dłoni odsuwając niesforny kosmyk z twarzy. - Teraz wystarczy zaczekać pół minuty.

Bibuła została umieszczona pod wyciągiem i potraktowana odczynnikami brentaminy, później wyciąg zamknięto i włączono. Dziewczyna cierpliwie czekała, opierając się dłonią o szybę.

- Coś się pokazuje.

Otworzyła wyciąg i wyjęła płachtę białego papieru. Na powierzchni około sześciu cali kwadratowych widniała nieregularna plama w kolorze purpury.

- Widzicie te plamy? - spytała, wskazując palcem.

- Tutaj wyżej też jest jedna. - Przesunęła opuszkę. - To plamy męskiego nasienia.

Clarke zwrócił się do Leesona.

- Co teraz?

Twarz Leesona wyglądała na bardziej pobrużdżoną niż przed chwilą.

- Wykonamy barwienie hematoksyliną i eozyną, aby wyekstrahować komórki i nasienie. Następnie prześlemy próbki do porównania DNA. Zastosujemy raczej metodę łańcuchowej reakcji polimerazy niż tradycyjnego sekwencjonowania. Tym sposobem znacznie przyspieszymy otrzymanie wyników. Odłożymy wszystkie zlecenia i zajmiemy się tylko tym jednym. W poniedziałek dam wam znać, co uzyskaliśmy.

## Godzina 16.58

Kiedy Frank Clancy studiował medycynę, przygotowywał się do egzaminów w ten sposób, że zadawał sobie najtrudniejsze pytania i udzielał na nie głośno odpowiedzi. Później, gdy już zaczął wygłaszać referaty na konferencjach, uciekał się do tej samej metody, przewidując podchwytliwe pytania z sali zadawane przez kolegów badaczy. Clancy lubił mieć wszystko pod kontrolą, nie znosił za to sytuacji, kiedy coś wymykało mu się z rąk. Szczycił się wysoce analitycznym umysłem i całe godziny spędzał u siebie w domu na strychu, rozmyślając nad procesami chorobotwórczymi. Miał w zwyczaju wszystko wklepywać w komputer, drukować notatki i przeglądać je ponownie w nocy. Odwoływał się do wiedzy zaprzyjaźnionych lekarzy różnych specjalności, zachęcając ich do wyrażania uwag na temat leczenia pacjentów i prognozowania rozwoju choroby. Chociaż cierpliwie wysłuchiwał zdania innych, decyzje zawsze podejmował sam. Frank Clancy sam był sobie szefem.

W piątkowe popołudnie piętnastego maja Clancy odczuwał niepokój, po raz pierwszy od wielu lat nie będąc pewnym swego. Siedział przy biurku na trzecim piętrze szpitala Mercy, a jego ciemne kręcone włosy odbijały się w niedawno umyтым oknie gabinetu. Głowę miał pochyloną, najwyraźniej był zatopiony w myślach. Palce śmigały po klawiaturze komputera ustawionego na blacie. Jakiś czas

temu założył specjalny plik, który ochrzcił granny, i w nim wpisywał przypadki agranulocytozy. Dotąd odnotował w nim dwa przypadki śmiertelne: Jamesa Murphy'ego i Mary Hyland, z podejrzeniem związku pomiędzy zgonami tych osób a działalnością oddziału kardiologii na ostatnim piętrze. Właśnie dopisał najnowsze informacje dotyczące jego pacjenta na oddziale, Harolda Morella, po czym wziął się do telefonowania.

- Cześć, Gerry - przywitał się z Geraldem Hansonem, ordynatorem oddziału hematologii w szpitalu Bartona w północnym Dublinie. - Zajmuję się ostatnio agranulocytozą i pomyślałem, że może mógłbyś mi pomóc...

- Nie ma sprawy.

- Zauważyłeś może zwiększenie liczby przypadków? No wiesz, nagły wzrost pacjentów z tym schorzeniem pojawiających się na twoim oddziale?

Hanson nie potrzebował zaglądać do kart chorobowych. Odpowiedział natychmiast.

- Nie. W ciągu dwunastu miesięcy nie miałem ani jednego takiego przypadku.

Takie same informacje spłynęły ze szpitali na południu (Cork), na zachodzie (Galway) oraz z Belfastu w Irlandii Północnej. Dla spokoju sumienia Clancy obdzwonił też szpitale w Londynie i Edynburgu. Nigdzie nie odnotowano zwiększonej liczby przypadków tej rzadkiej choroby krwi.

Stuk, stuk, stuk. Fakt ten został zapisany w pliku granny.

Przed piątą trzydzieści Clancy zdołał udobruchać siostrę



oddziałową, która dłużej niż zwykle musiała czekać na szczegółowe dyspozycje odnośnie do terapii hospitalizowanych pacjentów, wydawane przez niego zawsze przed weekendem; scedował większość pacjentów z przychodni na swego stażystę i zatelefonował do żony z informacją, że będzie w domu trochę później. Tę ostatnią rozmowę zakończył tak szybko, jak to było możliwe, gdyż nie chciał słuchać wyrzutów. Wreszcie podniósł słuchawkę raz jeszcze i wybrał numer poprzedzony prefiksem międzynarodowym.

- Informacja farmaceutyczna, słucham. - Usłyszał ten sam nosowy amerykański akcent, a więc dodzwonił się bezpośrednio do pielęgniarki w Chicago pracującej na infolinii służącej danymi na temat leków.

- Witam - odparł Clancy. - To znowu ja. Frank Clancy z Dublina w Irlandii - przedstawił się lekko zawstydzony.

- Dzień dobry, doktorze. Zdaje się, że został pan naszym stałym klientem. Co mogę dla pana zrobić tym razem?

- Głos pielęgniarki miał to samo przyjemne brzmienie co poprzednio, więc Clancy odprężył się nieco. Jego prywatne śledztwo sprawiło, że stał się ostatnimi czasy nerwowy.

- Nie uwierzy pani - zaczął - ale ten pacjent, o którym pani opowiadałem, znów dostał lek, którego nie jestem w stanie zidentyfikować. Pomyślałem więc sobie, że skorzystam z pani pomocy.

- Oczywiście, doktorze. Proszę tylko podzielić się ze mną wszystkimi szczegółami.

- Nie ma tego wiele - zmartwił się Clancy.

- Tyle, ile jest, będzie musiało wystarczyć. Każdy z nas robi, co w jego mocy.

- Racja. - Clancy zaczerpnął głęboko tchu. - Niewielkie, kwadratowe niebieskie tabletki. Po obu stronach widnieją symbole.

- Jedną chwileczkę - przerwała mu pielęgniarka - muszę to wszystko wpisać...

- Na jednej stronie litery: C, Y i N. Na drugiej, też wersalikami, tylko że mniejszymi... - mówiąc, Clancy przyglądał się jednej z tabletek, którą dostał minionego wieczoru od Neda Hylanda.

- Tak? Jakie tam są litery? - zapytał głos z Chicago.

- XiP.

- Coś jeszcze?

- Nie, to wszystko, czym dysponuję.

- Proszę się nie rozłączać. - W słuchawce rozległo się znowu stukanie w klawisze. Potem na chwilę zapadła cisza.

- Niestety nic, jeśli chodzi o opis. Spróbuję teraz z tymi literami.

- Dziękuję - bąknął Clancy, obgryzając paznokieć na kciuku. Zwykł to robić jako nastolatek, kiedy się denerwował.

- Z literami też kłapa - poinformowała go pielęgniarka. - Hej, naprawdę mnie pan tym zainteresował, doktorze. Postaram się sprawdzić to na jeszcze jeden sposób. - Stuk, stuk, stuk na klawiaturze. I kolejna chwila ciszy. - Nie uwierzy pan, ale wciąż nic mi nie wyskakuje. Ma pan pewność, że to lek produkowany w Stanach?

- Ostatnimi czasy niczego nie jestem pewien.

- Cóż. Z całą odpowiedzialnością mogę panu powiedzieć, że nie jest

to lek dopuszczony do stosowania w USA.

Uniesiona nad notatnikiem dłoń Clancy'ego zamarła.

- Jest tam pan jeszcze, doktorze?

- Jestem. Zastanawiam się...

Przedłużająca się chwila milczenia.

- To ja w tym czasie zerknę na listę firm farmaceutycznych i ich znaków - zaofiarowała się pielęgniarka z Chicago.

- Może to lek w fazie badań przedklinicznych, niezatwierdzony do użytku.

W umyśle Clancy'ego jakby zaskoczyła zapadka.

- Otóż to! - wykrzyknął podniecony. - To musi być to. Bardzo proszę to sprawdzić, jeśli pani może - niemal błagał.

- Dobrze - zaśmiała się mieszkanka Chicago. - Proszę dać mi chwilę... - Cisza. Stuk, stuk, stuk. - Chyba coś mam.

Długopis kurczowo trzymany przez Clancy'ego dotknął czubkiem notatnika.

- Nic na temat samego leku, za to garść informacji o firmie, która go produkuje.

- Proszę mi wszystko opowiedzieć.

- Wersaliki CYN na niebieskiej tabletkie są charakterystyczne dla tylko jednej firmy. To jej znak handlowy. Nie wytwarza pigułek w innym kolorze.

- Jak się ta firma nazywa?

- Cynx Pharmaceuticals.

- Ma pani coś jeszcze oprócz nazwy?

- Tylko adres centrali i numer telefonu i faksu oraz adres mailowy.

Jest też linia podobna do tej, udzielająca informacji wyłącznie o produktach Cynx Pharmaceuticals.

- Gdzie ta firma ma główną siedzibę?

- W Bostonie. Życzy pan sobie dokładnego adresu?

Boston. Clancy odchylił się na oparcie krzesła tak gwałtownie, że niemal się wykopyrtnął. Zaraz odzyskał równowagę i rzucił się do robienia notatek. Informacje spływały z drutu telefonicznego z zastraszającą prędkością.

- Chciałby pan, żebym to ja skontaktowała się z Cynx Pharmaceuticals i popytała o ten lek? - zaproponowała pielęgniarka.

Clancy prawie dostał zawału serca.

- Nie, nie, nie. Absolutnie nie. - Ledwie mu się udawało okiełznać niepokój. - Sam tam zadzwonię - skłamał.

- Ogromnie dziękuję pani za pomoc, jest pani nieoceniona.

- Staramy się pomagać, doktorze. Po to tutaj jesteśmy.

Połączenie pomiędzy Dublinem i Chicago zostało przerwane, pozostawiając Clancy'ego ze słuchawką w ręku. Gapił się na nią przez chwilę, nim odłożył ją na widełki. Wciąż był oszołomiony.

Stuk, stuk, stuk. Uzyskane wiadomości zostały wprowadzone do pliku pod nazwą granny. Clancy włożył płytkę i zrobił kopię pliku. Następnie wydrukował z ekranu to, co przed chwilą czytał, i złożywszy na czworo dwie kartki formatu A4, schował je do kieszeni. Na koniec usunął z twardego dysku plik granny. Ani myślał ryzykować.

Zerknął na zegarek. Było już po szóstej. Pora zajrzeć do kilku pacjentów przed udaniem się do domu. Zabrał karty choroby i udał

się na oddział. Badając młodego mężczyznę na środkowym łóżku, usłyszał przytłumiony głos Johna Regana. Obrócił się gwałtownie i westchnął z ulgą, przekonawszy się, że głos dobiega z przyciszonego telewizora. Podeszedł doń bliżej. Właśnie transmitowano powtórkę relacji z wcześniejszej konferencji prasowej. Widok Regana wytrącił Clancy'ego z równowagi, więc czym prędzej wrócił do pacjenta, aby zająć czymś myśli.

Natomiast Jim Clarke był pod wielkim wrażeniem. Siedział w domu na fotelu, sącząc wino i opychając się wielkimi kęsami lazanii, przenoszonymi do ust na widelcu. Skakał po kanałach za pomocą pilota i też natrafił na Regana - zarówno na kanale BBC, jak i na Sky News. Obie stacje telewizyjne podkreślały, że opinia międzynarodowa wykazała zainteresowanie wypadkami w Dublinie. Oderwał oczy od ekranu tylko na chwilę, kiedy Maeve wyszła z kuchni, żeby dolać mu wina.

- Nasz doktor wygląda na niezwykle zdecydowanego tego wieczora - zauważyła zgryźliwie. Nie należała do fanów obecnego rządu.

- Moim zdaniem wygląda super. - Katy zagwizdała przez zęby. Siedziała na podłodze, przy ojcu. - Wszystkie dziewczyny w klasie uważają, że niezły z niego adonis.

Clarke przypatrzył się Reganowi nieco baczniej, nagle postrzegając go w całkiem innym świetle.

- A ty co o tym sądzisz, Maeve? Też masz go za adonisa? Maeve zatrzymała się w pół drogi do kuchni i wytarła ręce w ścierkę. Raz jeszcze rzuciła okiem na ekran telewizora. Akurat kończył się materiał

z konferencji prasowej.

- Sądzę, że tacy jak on wciągają takich jak ty nosem.

I jadają młode dziewczyny na śniadanie.

Clarke puścił oko do Katy, widząc, że niezadowolona zmarszczyła brwi.

- W zupełności się z tobą zgadzam. To nie żaden adonis, tylko zwykły łobuz.

Katy wstała.

- Przemawia przez ciebie zazdrość. On nadal ma włosy, a ty jesteś prawie łysy. Ciuś, ciuś, ciuś.

Z trudem zdołała umknąć przed końcówką kuli, którą chciał ją pogonić.

**Sobota, 16 maja,  
godzina 10.26**

- Coś wyskoczyło. Może być istotne dla sprawy, może być bez znaczenia. - Tony'ego Molloya dręczyła niestrawność po obfitym śniadaniu. Ssał pastylkę mającą obniżyć kwasowość soku żołądkowego.

On, Clarke i Kavanagh znajdowali się na posterunku w Sandymount. Na ścianach pomieszczenia wisiały błyszczące fotografie formatu A4. Ułożono je w trzech rzędach po dziesięć fotografii. Wszystkie przedstawiały ujęcia gapiów stojących przy rozstawionych barierkach w poranek, gdy znaleziono ciało Jennifer Marks. Clarke sunął wolno wzdłuż ścian, przyglądając się każdemu zdjęciu z osobna.

- Jeden z tych podał fałszywe nazwisko i nieprawdziwy adres - odezwał się nagle Molloy. Wpatrywał się w fotografię trzymaną na biurku.

- Czy ktoś się tym zajął? - zapytał Clarke.

- Tak. Wygoniłem na ulice każdego, kto mi się nawinął. Dostali po komplecie trzech zdjęć i mają przypasować nazwiska do twarzy.

Clarke nareszcie usiadł.

- A co z Kellym? - spytał, nie tając nadziei w głosie.

- Nic. - Molloy skrzywił się, kiedy zakłuło go w boku. Nadkwasota

albo zbierające się gazy. – Rozmawiałem wcześniej z Dillonem i jego zdaniem Kelly wciąż gada z ptaszkami.

- Użył właśnie tych słów? - zdziwił się Clarke.

- Może nie zacytowałem go dosłownie - przyznał Molloy - ale taki był sens tego, co powiedział.

Moss Kavanaugh wyszczerzył się. Podpierał ścianę w tylnej części pomieszczenia.

- Ktoś z rodziny Marksów kontaktował się z nami?

- Nie. - Molloy wrzucił do ust kolejną pastylkę, mającą przynieść mu ulgę. - Wydzwaniałem do domu i do szpitala przez całe rano. Nikt nie odbiera ani nie oddzwania. Dan Marks ma dzień operacyjny. Pielęgniarka poinformowała mnie, że nadrabiają stracony czas... odkąd umarła Jennifer, nie wykonał ani jednej operacji. Musi się uporać z zaległościami przed konferencją prasową.

- Przed jaką znowu konferencją prasową? - zainteresował się Clarke.

- Z okazji przekazaniu grantu Unii Europejskiej w najbliższą środę - wyjaśnił Molloy. - Dwadzieścia milionów przejdzie w ręce Johna Regana, jeśli wyniki Fundacji Serca będą dobrze wyglądały.

Clarke podniósł się z krzesła.

- Trzeba im złożyć wizytę. - Podniósł dwa fakсы z laboratorium toksykologicznego. Były to wyniki najnowszych badań próbek Jennifer Marks. - Idziemy.

Jazda do szpitala Mercy zabrała prawie godzinę z powodu korków nie omijających także nabrzeża. Przez większość czasu Moss Kavanaugh sarkał na kłęby spalin wydobywające się z rury



wydechowej ogromnej ciężarówce przewożącej części komputerowe z dublińskiego portu do miasta. Czkający stary diesel spowodował małe zaćmienie słońca. Jednakże tuż przed południem Clarke i Molloy stawiali kroki na kamiennych schodach prowadzących do wejścia. Kavanagh za ich przyzwoleniem został w samochodzie i mógł podziwiać wchodzące i wychodzące pielęgniarki. Wszędzie wokół panowało zamieszanie charakterystyczne dla placówek medycznych. Karetki pogotowia podjeżdżały pod boczne wejście, a ich syreny milkły dopiero wtedy, gdy z budynku wybiegali sanitariusze z noszami odziani w zielone uniformy. Wewnątrz kręciły się laborantki noszące śnieżnobiałe wykrochmalone fartuchy oraz pielęgniarki w bladoniebieskich dwuczęściowych mundurkach - jedne i drugie przemykały śmiało po jasno oświetlonych i wyszorowanych korytarzach, trzymając probówki lub formularze. Wzdłuż tych samych korytarzy pod ścianami siedzieli krewni, znajomi i najbliżsi pacjentów, w grupkach lub pojedynczo, czekając na znak od lekarza, że stan drogiej im osoby polepszył się, pozostał bez zmian lub - to była najgorsza z możliwości - uległ nagłemu załamaniu. Ostry zapach środków dezynfekcyjnych wgryzał się w każdy kąt. Obleczeni w piżamy pacjenci czasem wystawiali nos za drzwi swoich sal, rozglądali się po korytarzu, po czym wracali do łóżek, zrezygnowani albo nawet zniechęceni. Z rzadka śmiech albo płacz dziecka, znudzonego przedłużającym się czekaniem, przerywał męczącą ciszę.

W miarę jak Clarke kuśtykał w stronę wind, dopadało go coraz więcej wspomnień sprzed dwóch lat, kiedy sam przebywał w tym samym miejscu jako pacjent. Doskonale pamiętał zatroskane

spojrzenia rzucające w jego stronę.

- Nienawidzę szpitali - mruknął.

Molloy parsknął i wcisnął guzik windy. Światelko nad jej drzwiami wskazywało, że kabina opuszcza się na parter. Wszedłszy do środka, Clarke od razu zauważył, że Fundacja Serca wyróżnia się na tle innych nazw wypisanych przy numerach pięter: litery były duże, wypukłe i złożone. W windzie znalazł się też szurający nogami staruszek, który zdążył w ostatniej chwili. Miał na sobie szlafrok, którego najlepsze dni już dawno przeminęły, jego twarz była blada i zapadnięta, dosłownie skóra rozpięta na kościach policzkowych. W dodatku mówił sam do siebie.

Clarke sądził, że poznał szpital Mercy aż za dobrze. Mimo to poczuł ogromne zdziwienie, kiedy drzwi windy otworzyły się na ostatnim piętrze. Powiało luksusem. Zupełnie jakby przeniosło ich do pięciogwiazdkowego hotelu. Korytarze były tu szersze i przyjemniej oświetlone, a grube linoleum na podłodze miało ładny wielobarwny wzór. Ściany pomalowano na miły dla oka nagietkowy kolor i ozdobiono konwenującym granatowym pasem. Nawet pielęgniarki wyglądały tu inaczej niż na niższych piętrach. Zamiast wyblakłych niebieskich mundurków i nakrochmalonych czepków nosiły dopasowane białe sukienki zapinane z przodu na czerwone guziki. Clarke dość szybko doszedł do wniosku, że przy ich wyborze musiały liczyć się na równi ich umiejętności pielęgniarskie, jak i prezencja. W końcu dobre wrażenie to podstawa.

Spytali o drogę w recepcji i zostali skierowani w długi korytarz, na którego końcu swoje gabinety mieli specjaliści z Bostonu. Minęli kilka

trzy-i czterołożkowych oddziałów. W każdej sali leżeli pacjenci popodłączani do aparatów EKG, których monitory pracownicy wyświetlały zielone zygzaki i wydawały piszczące dźwięki. Niektórzy ludzie mieli wenflony w łokciach i na grzbiecie dłoni, z których prowadziły giętkie rurki, innym znowu przewody od cewników wystawały spod pościeli. Clarke wzdrygnął się na widok woreczka z odprowadzonym moczem i przyspieszył kroku.

Wkrótce znaleźli się w pobliżu nowego laboratorium, sąsiadującego bezpośrednio z salami operacyjnymi i oddziałem intensywnej terapii. Tutaj ściany zostały zastąpione przez grube szyby zaopatrzone w żaluzje dla wrażenia prywatności. Zaglądając pomiędzy paskami żaluzji, Clarke wypatrzył parę mikroskopów, szalek Petriego, stojaki z probówkami zawierającymi pobraną krew, mocz i inne płyny fizjologiczne. Dokumenty zaścielały niemal cały blat, a tuż obok szumiała drukarka, rytmicznie wyrzucając z siebie kolejne wydruki z wynikami badań. Doliczył się siedmiu pracowników laboratorium. Sporej wielkości tabliczka przypominała, aby zachować ciszę, jako że dalej znajdują się sale opieki pooperacyjnej.

Molloy przegryzł na pół ostatnią pastylkę antycydu. Podobnie jak kolega był zdziwiony panującym tu hałasem. Na cały głos wykrzykiwano polecenia, usiłując zagłuszyć donośne pikanie monitorów EKG. Tuż za łagodnym zakrętem korytarza natknęli się na czterołożkowy oddział intensywnej terapii. Wszystkie łóżka były zajęte; każdego pacjenta oplatała sieć wyspecjalizowanych urządzeń. Jakieś rurki znikwały w piersiach leżących osób, odciągając krew zbieraną w małych buteleczkach. Cienkie druciki łączyły ludzi z

maszynami. Maski tlenowe z sykiem poruszały się w rytm oddechu. Skomplikowane różnokolorowe wykresy pokazywały bieżące wartości tętna, saturacji i częstości oddechów pacjentów. Na oddziale intensywnej terapii królowała nowoczesna technologia.

Każdego pacjenta doglądała przydzielona pielęgniarka. Dwie podniosły głowy niemal równocześnie, wyczuwając obecność policjantów. Jedna z kobiet machnęła w ich stronę trzymanym w dłoni długopisem, dając do zrozumienia, że powinni przestać się gapić i ruszyć dalej. Clarke i Molloy przyspieszyli kroku w poczuciu winy i w końcu znaleźli się w wydzielonym rejonie piętra przeznaczonym na cele drużyny marzeń. Tutaj również pomieszczenia od korytarza oddzielała gruba szklana ściana przesłonięta od wewnątrz poziomymi żaluzjami. Do środka prowadziło troje drzwi - zdaje się, że wykonanych z litego buku - z których każde zaopatrzone w błyszczącą miedzianą tabliczkę,

dr stone colman. dr linda speer.

DR DAN MARKS.

Clarke zapuścił żurawia przez niedomknięte żaluzje i zobaczył, że trzy gabinety są przechodnie, położone w amfiladzie. Tymczasem Molloy już pukał do jednych z trojga drzwi.

- Proszę wejść. - Głos miał wyraźny akcent z hrabstwa Nowej Anglii.

Pierwsze wrażenie Clarke'a było następujące: na żywo Dan Marks jest wyższy niż na ekranie telewizora. Amerykanin miał szerokie

ramiona i duże dłonie o zadziwiająco smukłych palcach. Kiedy mu przeszkodzili, wciąż był ubrany w strój chirurga, nie wyłączając czapeczki i maseczki - tę ostatnią zdążył jednak ściągnąć z twarzy, tak że teraz wisiała mu luźno na troczkach zawiązanych wokół szyi. Akurat coś pisał, gdy weszli, więc wstał na ich powitanie dopiero po chwili.

- Tak? W czym mogę panom pomóc?

- Dan Marks? - zaczął obcesowo Clarke.

- Kim panowie są?

- Komisarz Jim Clarke i sierżant Tony Molloy. Prowadzimy dochodzenie w sprawie śmierci pańskiej córki.

Marks opadł na krzesło; język ciała świadczył, że nie jest zachwycony wizytą.

- Czego chcecie?

Clarke przysunął sobie krzesło do biurka i usiadł. Molloy z własnej woli pozostał w pozycji stojącej, opierając się barkiem o ścianę.

- Próbowaliśmy się z państwem skontaktować - wyjaśnił Clarke - lecz pomimo zostawianych wiadomości ani pan, ani pańska żona nie oddzwonili do nas.

Dan Marks zerwał z szyi dyndającą maskę chirurgiczną i pochylił się ciężko nad biurkiem. Zsunął z głowy czapczkę i przejechał dłonią po falistych siwiejących włosach.

- Czemu nas dręczycie? - mówił spokojnym, opanowanym głosem. - Dość się wycierpieliśmy. Słyszałem, że aresztowano już mordercę, że był cały utyłany krwią - podniósł lekko głos. - Że to recydywista, jeden z tych naprawdę niebezpiecznych. - Popatrzył wprost na

Clarke'a. - Do czego możemy być wam potrzebni, ja i Annie? Nam potrzebny jest czas, czas na żałobę, czas, żeby się wyciszyć po tym, co się stało. - Niemal zawisł nad blatem, strącając trzy karty choroby. Nikt się nie ruszył, żeby je podnieść z ziemi.

- Doktorze - odezwał się Clarke - badanie toksykologiczne wykazało, że pańska córka zażywała heroinę i paliła haszysz. - Wyciągnął w stronę lekarza wydruk z wynikami.

- Umie nam pan powiedzieć, skąd Jennifer brała te narkotyki? - Umilkł, nie doczekał się jednak odpowiedzi. - Umie pan wyjaśnić, skąd brała na nie pieniądze?

Nawet jeżeli Dana Marksa zaskoczyły ostatnie pytania, nie dał tego po sobie poznać. Podparł brodę na złożonych dłoniach i wodził wzrokiem od Clarke'a do Molloya i z powrotem.

- Przykro mi, ale nie wiem. Wprawdzie nie myślę jasno, odkąd dowiedziałem się o śmierci Jennifer, ale nie mam pojęcia, skąd moja córka brała narkotyki.

Clarke otworzył notes i go przekartkował.

- Ktoś, z kim rozmawialiśmy - oznajmił - zapewnił nas, że Jennifer dostawała pieniądze od rodziców. Czyli od pana i od pani Marks. Pytanie brzmiało następująco: „Skąd Jennifer miała pieniądze na prochy?”, odpowiedź zaś była taka: „Od rodziców. Są obrzydliwie bogaci. Wie pan, mnie też wydawało się dziwne, że dają jej pieniądze na wszystko, o czym tylko wspomni”. To był cytat - podkreślił.

- Kim był ten człowiek? - zainteresował się Marks.

- Obawiam się, że nie mogę podać panu żadnych nazwisk.

Wyraz twarzy Dana Marksa zmienił się w jednej chwili - zniknął

gdzieś smutek, za to w jego miejsce pojawił się gniew. Położył obie dłonie na blacie biurka i przyszpilił wzrokiem Clarke'a.

- Pan pozwoli, że coś mu wyjaśnię. Jennifer nie należała do łatwych dzieci, nie będę tego ukrywał. Jak większość młodzieży w jej wieku eksperymentowała z narkotykami, oczywiście tylko miękkimi. Wiedziałem o tym już w Bostonie.

- Obrócił się lekko na krześle, by móc równocześnie patrzeć na Molloya. - Mam żonę przykutą do wózka inwalidzkiego z powodu stwardnienia rozsianego. Od dnia narodzin Jennifer jej stan zdrowia się pogarsza. Nigdy nie była stuprocentową matką. To ja musiałem o wszystko zadbać. Zmieniłem swojej córce każdą mokną i zafajdaną pieluchę. Nosilem ją na rękach i kołysałem całymi godzinami, dzień i noc, kiedy miała kolkę albo ból ucha. Kupowałem dla niej ubranka i buty, przycinałem jej włosy. Kupiłem pierwsze opakowanie tamponów, kiedy osiągnęła dojrzałość. Dlatego nie ma rzeczy, jakiej bym nie wiedział o swojej córce. - Urwał, jakby emocje wzięły nad nim górę, a jednak kiedy znowu się odezwał, mówił głosem ostrym jak brzytwa. - Jennifer nie dysponowała gotówką ponad te sumy, które otrzymywała ode mnie i od Annie.

Molloy postanowił zadać pytanie.

- Czy zatem umie pan określić, skąd brała pieniądze w razie potrzeby? - Słysząc było, że nie uwierzył w zapewnienia lekarza.

- Nie, nie umiem. Ale podejrzewam, że spotkała kogoś, kto sprowadził ją na manowce. - Marks znowu mówił tylko do Clarke'a. - Była taka jedna dziewczyna, z którą Jennifer blisko się przyjaźniła. Jane albo June, albo podobnie. Armstrong, tak miała na nazwisko.

Nie lubiłem ani jej, ani jej głupkowatej rodziny, typowych przedstawicieli klasy średniej. Może powinniście raczej porozmawiać z nią?

Clarke przerzucił parę stron w notesie.

- Już rozmawialiśmy z Joan Armstrong.

- No i?

- Bardzo nam pomogła. Mało prawdopodobne jednak, by było ją stać na heroinę i haszysz. To nietanie używki nawet w Dublinie.

Nagle otwarły się drzwi i do środka wkroczyła pielęgniarka. Natychmiast się zreflektowała i przeprosiła za najście, ale Dan Marks nie pozwolił jej skończyć.

- Nic się nie stało, siostrze. Panowie właśnie się pożegnali. Z czym pani do mnie przychodzi?

Kobieta uśmiechnęła się nerwowo, wyczuwając ciężką atmosferę.

- Dwójka jest gotowa. Otworzono klatkę piersiową i pobrano żyły. Można zakładać bypassy.

- Już idę. - Marks odzyskał spokój. Wstał, nałożył czapeczkę chirurgiczną i upchnął pod nią niepoddające się ciasnemu materiałowi faliste włosy. - Jak panowie widzą, wzywają mnie obowiązki. Nawet w czas żałoby muszę kontynuować swoją pracę. Nie było mnie w szpitalu przez trzy dni i jeden z pacjentów na liście oczekujących na zabieg zdążył umrzeć. Nie mogę robić sobie więcej wolnego.

Clarke nie potrafił zrozumieć, jakim cudem ten mężczyzna zdołał się nie rozsypać w zaistniałych okolicznościach.

- Trzyma się pan jakoś? - spytał, żeby coś powiedzieć.



Dan Marks poprawił na głowie czapkę i zaczął manipulować przy troczkach maski chirurgicznej.

- Już przed laty nauczyłem się dzielić moje życie na osobne moduły. I na ogół zajmuję się wyłącznie tym, na co mam wpływ. To, czego nie mogę zmienić, mnie nie interesuje. Nie zamierzam szukać pocieszenia w alkoholu ani mazgać się, ilekroć usłyszę smutną piosenkę. Nigdy bym nie osiągnął tyle w medycynie, gdybym był słaby. Odejście Jennifer uczyniło wielką wyrwę w moim życiu. Ale proszę nie oczekiwać, że będę się obnosił ze swoją żałobą.

Kiedy Clarke i Molloy szli w stronę wind, drzwi pomiędzy gabinetami Dana Marksa i Lindy Speer zamknęły się cicho. W zaciszu swego gabinetu Linda Speer drżała niekontrolowanie. Zapaliła mentolowego papierosa z filtrem i nałała sobie na palec Southern comfort, aby zaraz wypić połowę jednym haustem. Potem przechadzała się niespokojnie, skubiąc zębami skórki przy paznokciach. Znalazszy się przy szklanej ścianie, zamknęła szczelnie żaluzje. Sprawdziła, która jest godzina, upewniła się, że oboje drzwi ma zamknięte zamki, i dopiero wtedy sięgnęła po telefon.

## 26

### Godzina 15.17

Włamanie do domu Franka Clancy'ego miało miejsce pomiędzy wpół do pierwszej i trzecią tego popołudnia. Tuż po dwunastej wyszedł do parku z żoną i dwojgiem dzieci, postanowiwszy spędzać więcej czasu z rodziną. Grał z dziećmi w piłkę i ganianego, huśtał czteroletnią córeczkę Laurę na huśtawce, sadzał ją sobie na kolanach i zjeżdżał ze zjeżdżalni - dopóki nie rozdarł sobie tylnej kieszeni spodni. Wychodził z siebie, by jego rozmowa z żoną Anną na temat codziennego życia nie brzmiała sztucznie. Pytał o postępy dzieci w szkole i przedszkolu, koszt leczenia ortodontycznego, wyprawy do miasta na zakupy nowych strojów do wuefu. Odprężył się i nawet zaczął dobrze bawić. Udało mu się też zapomnieć o teoriach spiskowych.

Lunch zjedli w McDonalddie, gdzie Clancy zmusił się do wtłoczenia w siebie dania o nazwie Chicken McNuggets. Po przełknięciu ostatniego kęsa solennie sobie obiecał, że nie tknie tego ohydztwa ponownie. W drodze powrotnej dyskutowali z podnieceniem, dokąd pojedą we czwórkę w sierpniu, kiedy to wypadał jego dwutygodniowy urlop.

- Do Disneylandu! - zapiszczała Laura z tylnego siedzenia.
- Tak, tato, do Disneylandu - z zapalem poparł siostrę ośmioletni Martin. Siedział wciśnięty między drzwi i fotelik Laury, przeglądając

magazyn o drużynie Manchester United.

- Nie - zaproponowała stanowczo Anna. Zawsze siedziała z dziećmi z tyłu, aby mieć pewność, że żadne nie odepnie samowolnie pasów. - Na Florydzie jest za gorąco. Pojedziemy tam, jak będziecie trochę starsi.

Dzieciaki zaczęły pociągać nosami. Wciąż się nie rozchmurzyły, kiedy Clancy wjeżdżał w Greenlea Road na północnych przedmieściach Dublina, w Clontarf, gdzie mieszkali. Przed ich posesją stał wóz policyjny i zebrało się parunastu sąsiadów w kilku grupkach. Alarm wył jak szalony.

- Zostańcie w samochodzie - polecił Clancy. W ustach czuł suchość, żołądek wywracał mu się na drugą stronę.

Martin i Laura zaczęli płakać na całego, gdy dostrzegli za szybą niebieskie mundury policjantów. Anna nachyliła się i objęła oboje, usiłując odwrócić czymś ich uwagę.

- Słuchajcie - zachęcała łagodnym tonem. - Zaśpiewajmy sobie...

Zaczęli od „Rudolfa z czerwonym nosem”. Już podczas pierwszej zwrotki Clancy został wprowadzony do wnętrza domu przez postawnego funkcjonariusza z wąsem, który nosił czapkę odchyloną daleko do tyłu.

- Próbowali przeciąć druty od systemu alarmowego, ale im się nie udało - powiedział funkcjonariusz. - Mimo to wyłamali okno w pomieszczeniu gospodarczym od tyłu. Nie ukradli za wiele, tak przynajmniej mi się wydaje na oko. Coś ich musiało przestraszyć.

Clancy przechodził szybko od pokoju do pokoju. W kuchni nie było żadnych śladów włamania. Główny pokój gościnny od frontu, gdzie

trzymali większość wartościowych przedmiotów na pokaz, również wyglądał normalnie. Kryształowe karafki i zyrandol, komplet srebrnych sztuców - ślubny prezent od kolegów z poprzedniego miejsca pracy, wart małą fortunę - wszystko zdawało się nienaruszone. Także trzy obrazy, w tym dwie akwarele i jeden naprawdę cenny olej na płótnie przedstawiający scenkę rodzajową, nadal wisały na ścianach. Zauważył za to, że brakuje zdjęć ślubnych i jego fotografii z dnia rozdania dyplomów, jak również oprawionych w ramki zdjęć dzieci. Wbiegł na górę, sprawdzając kolejno sypialnie, ale tam wszystko było w porządku. Z walącym sercem wdrapał się po ostatnich dziesięciu schodkach wiodących na poddasze do jego pracowni. Pomieszczenie zostało wywrócone do góry nogami. Ekran komputera leżał w kącie roztrzaskany. Małe szafki na akta miały powyrywane szuflady, papiery zostały rozrzucone wszędzie wokół. Obudowa twardego dysku spoczywała w licznych fragmentach na podłodze, a serce komputera wyrwano i nieodwracalnie zniszczono, uniemożliwiając dostęp do zapisanych informacji. Biurko dosłownie wybebeszono, powodując niemiłosierny bałagan. Frank zaczął się przedzierać przez niechlujne sterty dokumentów, stopami przesuwając porozpadane foldery, na kolanach szperał w książkach strąconych z półek. Nigdzie nie było jego teczki, granny zniknęła. A wraz z granny - także dwie niebieskie tabletki, które dostał od Neda Hylanda.

- Czy coś zginęło? - zapytał go policjant. Od dłuższej chwili stał za plecami Franka, drapiąc się po głowie. - Pokój wygląda tak, jakby przeszło przezeń tornado. Trzymał pan tutaj jakieś cenne przedmioty albo gotówkę?

Clancy wciąż klęczał, układając papiery i książki na dwie kupki, i próbował rozeznaczyć się w stratach.

- Nie. Miałem tu tylko dane szpitalne i notatki z badań. Nikomu na nic by się nie przydały.

Funkcjonariusz przesunął czubkiem buta jedną z niepozbieranych książek.

- Czyli nie zginęło nic cennego?

Clancy podniósł się. I zauważył fotografie. Stały w kącie na ziemi, oparte o listwę przypodłogową, częściowo zakryte przez segregator. Szkło w ramkach było potłuczone, a zdjęcia - wyjęte czyjąś ręką - zostały przecięte na połowy. Nie podarte - Frank miał co do tego całkowitą pewność - tylko równiutko przecięte czymś ostrym jak brzytwa.

- Nie - odpowiedział po dłuższej chwili. - Nie zginęło nic cennego. W ogóle nic nie zginęło.

Policjant ruszył w dół po schodach.

- Dziwna sprawa moim zdaniem. Zakradli się od tyłu, żeby zneutralizować alarm, ale potem wyszli przez drzwi frontowe i sami uruchomili wycie.

Clancy nie słuchał. Gorączkowo się zastanawiał. Nadal miał w szpitalu wydruk pliku pod nazwą granny w postaci dwu złożonych we czworo kartek oraz trzy niebieskie tabletki. W ciągu minionej doby nie raz odniósł wrażenie, że jest śledzony. Teraz zyskał pewność, że nie był to wytwór jego pobudzonej wyobraźni. I że oni - kimkolwiek byli - postanowili go zastraszyć. W dodatku zyskując potwierdzenie swoich podejrzeń. Co będzie, jeśli nie ustąpię? - pytał się w duchu.

Czy odważą się na coś więcej niż splądrowanie domu? Jak daleko się posuną, by mnie powstrzymać?

### **Godzina 16.33**

- To ogromne ryzyko.

Tony Molloy siedział bokiem na przednim fotelu nieoznakowanego wozu policyjnego i mówił do Clarke'a. Zaparkowali naprzeciwko wiktoriańskiej posesji Marksów w modnej dzielnicy Dublina. Kavanagh bębnił nerwowo palcami po kierownicy.

- Dan Marks ma układy w rządzie. Może zatruć ci życie.

Clarke nie odrywał wzroku od starannie utrzymanych trawników i zadbanych drzew w ogrodzie od ulicy. Nie dawała mu spokoju odpowiedź, którą usłyszał od Dana Marksa. Nie czuło się w niej żalu osieroconego ojca. Rodzice w podobnej sytuacji na ogół zarzucali policję informacjami, zarówno przydatnymi, jak i kompletnie bezużytecznymi. W odróżnieniu od nich doktor Marks nie dał im prawie nic. A to, czym się z nimi podzielił, w żaden sposób nie składało się na spójny obraz Jennifer.

- Idę - oznajmił Clarke i wysiadł. Przytrzymał ręką otwierające się drzwi od strony pasażera. Molloy spojrzał na niego ze zdziwieniem. - Sam.

Kiedy Clarke kuśtykał w stronę wejścia, Molloy dostrzegł, że zasłona w oknie na parterze lekko drgnęła.

Annie Marks otworzyła drzwi frontowe za pomocą zdalnego pilota przymocowanego do podłokietnika jej wózka inwalidzkiego.

- Czemu tak długo?

Clarke zmieszał się. Wykorzystał to, że stoi do kobiety plecami, zamykając za sobą drzwi, i spróbował wziąć się w garść i odzyskać pewność siebie.

- Przepraszam, nie dosłyszałem - rzekł, obracając się do gospodyni.

- Pan jest tym policjantem, którego spotkałam w kostnicy?

- Tak.

Zdaniem Clarke'a Annie Marks prezentowała się znacznie gorzej niż podczas ich pierwszego spotkania. Włosy miała całkiem siwe i nastroszone, zupełnie jakby przestała o nie dbać. Twarz jej napuchła, zaczerwienione oczy zapadły się w głąb czaszki. Była ubrana w czarną sukienkę z dekoltem w łódkę, na nogach nosiła czarne matowe pończochy i czarne czółenka. Palcami jednej ręki nieustannie gładziła pilota na podłokietniku. Dolatywała od niej woń whisky. Pstryknięciem obróciła fotel o sto osiemdziesiąt stopni, po czym z pyrkaniem elektrycznego motoraka ruszyła przed siebie, bez słowa prowadząc gościa do reprezentacyjnego salonu. Clarke podążył za nią mimo braku zaproszenia.

Pomieszczenie okazało się nader oszczędnie umeblowane. Były w nim dwa fotele, jedna trzyosobowa sofa i niewielki fornirowany stolik z orzecha włoskiego, stojący centralnie i niemal uginający się pod ciężarem starych wydań czasopism medycznych. Na ścianach zabrakło obrazów, a pod nimi komód i pomocników z wystawką porcelany, sreber i fotografii rodzinnych. Właściwie nie było tam nic, dzięki czemu można by się poczuć jak w domu. Zasłony odciągnięto tylko częściowo i promienie słoneczne wciskały się do środka z

najwyższym trudem. Ciężka atmosfera zdawała się przytłaczać. Być może była to gra wyobraźni, ale Clarke poczuł w powietrzu woń pleśni i stęchlizny. Ostrożnie przysiadł na brzegu sofy.

- Pani Marks - zaczął. - Dlaczego przywitała mnie pani słowami: „Czemu tak długo?”. Wydzwaniamy do państwa od wielu dni, ale nikt nie odpowiada ani nie oddzwania.

- Rozmawiał pan z nim?

- Ma pani na myśli swojego męża?

- Tak.

- Rozmawiałem z nim dzisiaj rano w szpitalu.

- Co panu powiedział? - Jej akcent, niezaprzeczalnie rodem z Nowej Anglii, miał niewiele wspólnego z wyższymi sferami. Clarke dodatkowo wyczuwał w nim mieszaninę alkoholu i gniewu.

- Niewiele. Właściwie nic, czego byśmy już nie wiedzieli.

Palce przebiegły po panelu pilota i wózek inwalidzki odjechał w przeciwny kąt pomieszczenia. Clarke patrzył na plecy Annie Marks, nic nie rozumiejąc. Nagle wózek inwalidzki obrócił się do niego i wrócił niemal po swoich śladach, zatrzymując się tuż przy nim. Oczy gospodyni przewiercały go na wylot.

- Wszystko próbuje ukrywać - oświadczyła głosem czarownicy, do której w tym czarnym stroju niewiele jej brakowało; Clarke nieomal się spodziewał, że zaraz usłyszy obłąkańczy rechot. - Robi to od lat, zaprzecza wszystkiemu, udaje ślepcę, kiedy mu wygodnie. Ale mnie nic nie umknie. - Ponownie pstryknęła palcami i wózek cofnął nieco. - To - Annie Marks klepnęła otwartą dłońią w podłokietnik - jest moim grobowcem od osiemnastu lat. Od dnia, kiedy wydałam na świat



dziecko. Jestem żyjącym trupem! - Urwała, ciężko oddychając od tego wybuchu.

Clarke z wolna zaczynał rozumieć, dlaczego doktor Marks zdecydował się trzymać żonę na uboczu. Najwyraźniej była nie zrównoważona psychicznie.

- Pozwoli pan, że zapoznam go z paroma faktami - ciągnęła gniewnie kobieta. - Ze wyjawię parę spraw, o jakich nigdy pan nie usłyszy od mego utalentowanego i przystojnego męża. - Kiedy na chwilę przestała mówić, na jej ustach zatańczył uśmiezek. - Bo jest utalentowany i przystojny, nieprawdaż?

Clarke potaknął z niewesołą miną.

- Bardzo przystojny? - Czysty jad.

Clarke wzruszył ramionami.

- Mój mąż nie miał pojęcia o życiu swej cudownej córki. Nie miał pojęcia, co kombinuje. Nigdy go nie było w domu. Zbyt absorbowało go ratowanie życia pacjentom i rżnięcie ładniutkich stażystek! - Tym razem nieoczekiwany wybuch zakończył się atakiem kaszlu. - Ledwie zdawał sobie sprawę z tego, że ma córkę, o żonie nie wspominając. My dwie byłyśmy dodatkami, parafernalią. On miał cel: znaleźć się na samym szczycie. Jest bardzo ambitny i skłonny do poświęceń.

Ale mnie porzucił z chwilą, kiedy stałam się dla niego ciężarem. - Teraz oddychała krótko, urywanie. - Nie dosłownie, co to, to nie - podniosła głos o oktawę. - To by mu się nie przysłużyło w bostońskim świecie medycznym. Jednakowoż przestałam dla niego istnieć z emocjonalnego punktu widzenia. - Znowu zamilkła, wyraźnie

pobudzona. Clarke dostrzegł mimowolne drżenie lewej dłoni. Jedna strona jej twarzy jakby spłynęła w dół, tracąc przyczepność do mięśni pod skórą.

- Zanieczywał swoją córkę. Wymagała zbyt wiele uwagi. Chadzał na prozono herbatki i przyjęcia, pozostawiając wychowanie swego dziecka na mojej głowie.

Clarke nie wiedział, co ma myśleć o tym, co przed chwilą usłyszał. Wersje pana i pani Marks znacznie się różniły.

- Pani Marks - wtrącił - Jennifer była uzależniona od heroiny i haszyszu. Czy może mi pani powiedzieć, skąd brała pieniądze na zaspokojenie swojego nałogu?

Rechot, którego Clarke tak bardzo się obawiał, stał się faktem. Najpierw jako gardłowe prychnięcia, tylko na poły zatuszowane kaszlem, potem jako otwarty, chrapliwy śmiech.

- Każdego dolara zarobiła w pozycji leżącej. - Kaszel przybrał na sile i Clarke wstał, aby jakoś pomóc, lecz gospodyni machnęła lekceważąco ręką. - Od dawna wiedziałam, że prędzej czy później skończy martwa w rowie - zapięła zachwycona, że nareszcie sekret wyszedł na jaw. - Tam ją zaprowadziły nadzieje na łatwy zarobek.

Ostatnie słowa długo odbijały się echem w umyśle Jima Clarke'a.

**Godzina 19.58**

Bujną fryzurę Joan Armstrong utrzymywała w ryzach jaskrawoczerwona opaska z materiału. Dziewczyna stała właśnie przed lustrem w swojej sypialni, podziwiając własną figurę. Włożyła obcisłe dzinsy i czerwoną bluzkę z długim rękawem. Brwi miała przyciemnione, a wargi pociągnięte szminką. Słyszała odgłosy krzątania rodziców dobiegające ją z dołu. Wybierali się na jakieś przyjęcie. Przewidywała, że nie wrócą przed północą. Harold Armstrong jasno wyraził, jakie zasady obowiązują w tym domu, i Joan ich nie zapomniała. Jeżeli nie zdecydował inaczej, Joan przysługiwały dwa wyjścia wieczorem tygodniowo: w sobotę i w niedzielę. Ale nigdy nie mogła iść nigdzie sama.

- Czekają cię ważne egzaminy - poinformował jej naburmuszoną twarz tego ranka. - Musisz się uczyć.

Joan zdobyła się na uśmiech, który miał go nastawić przychylniej.

- Tak, tato.

Nie odniosła jednak sukcesu.

- Ty mi tutaj nie tak-tatuj - warknął ojciec. - W twoich ustach to nic nie znaczy, młoda damo, i ja o tym doskonale wiem.

W odpowiedzi padło kolejne „tak, tato”, tym razem bez fałszywego uśmiechu.

- Matka i ja wychodzimy dzisiejszego wieczora. - W tle pani

Armstrong przykładała nerwowo rożek chusteczki do kącika ust. - Poprosiłem Andrew, żeby cię przypilnował.

- Andrew zaliczał się do ukochanych synów. Joan go nie znosiła. - Posiedzi z tobą, dopóki nie wrócimy. Jeżeli będziesz chciała gdzieś wyjść, Andrew pójdzie z tobą.

Naburmuszona mina przedzierzgnęła się w grymas wściekłości.

- Tak będzie, młoda damo, aż odzyskasz zdrowy rozsądek.

Joan niezwłocznie zaprotestowała. Harold Armstrong uciszył ją skinieniem ręki. - Takie są zasady.

Andrew pojawił się w chwili, gdy rodzice wychodzili. W rękę trzymał podręcznik ekonomii, na którego widok ojciec pokiwał głową z aprobatą. Andrew był wysokim, szczupłym mężczyzną tuż po trzydziestce. Za dwa tygodnie miał zdawać jakiś egzamin dla bankierów. Nie miał nic przeciwko pilnowaniu siostry, gdyż to dawało mu szansę na ucieczkę od rutyny własnego małżeństwa, jak również możliwość kilkugodzinnego wkuwania bez przeszkód. Nie był więc ani trochę zachwycony, kiedy Joan o dziewiątej oznajmiła, że chce wyjść.

- O tej porze? - jęknął.

Joan przewróciła oczami.

- A dokąd?

- Tu niedaleko, do pubu. Mam się tam spotkać z przyjaciółmi.

Andrew zaznaczył miejsce, w którym skończył czytać.

- No dobrze. Ale nie na długo.

- Jasne.

Joan zaprowadziła go do pubu Czarny Ptak na nabrzeżu w

dzielnicy Sandymount. W środku panował nieopisany gwar i było gęsto od dymu papierosowego. Na niewielkim podium grał jakiś zespół. Andrew nie wytrzymał tam długo. Hałas był ogłuszający, dym drażnił mu spojówki i wzmaczał astmę.

- Nie moglibyśmy przenieść się gdzie indziej? - wyrzucił z siebie. Nawet nie tknął piwa.

- Nie, tu jest świetnie.

Zmrużył powieki, żeby coś dostrzec w mrocznym i zadymionym pomieszczeniu.

- A gdzie ci przyjaciele, z którymi się umówiłaś?

- Dorośnij, Andrew! - parsknęła Joan i dokończyła swoje piwo. - Nikt nie zjawi się wcześniej niż o jedenastej.

Andrew zerknął na zegarek i zaklął.

- Nie ma mowy, żebym został w tej spelunie jeszcze przez godzinę.

Joan spojrzała na niego z udawanym niesmakiem.

- No co ty, bracie. Nie bądź dziwak. Nigdzie się nie ruszamy. Jest sobota, no nie?

- Jak ci tak zależy, możesz sobie tu zostać sama - wybuchnął. - Ja się stąd zbieram. Masz być w domu za godzinę, słyszysz?

- Za godzinę? - skrzywiła się.

- Półtorej godziny i ani minuty dłużej. Jak nie wrócisz do jedenastej trzydzieści, napytasz sobie biedy. - Andrew pochylił się i ryknął, przekrzykując tło muzyczne: - A jak dobrze wiesz, dodatkowa bieda oznacza dla ciebie prawdziwe kłopoty! - I wyszedł, w drzwiach pubu wskazując jeszcze na zegarek.

Joan odczekała pięć minut. O dziesiątej trzydzieści siedem była z

powrotem na ulicy. Biegła. Zatrzymywała się od czasu do czasu i udawała, że poprawia sznurowadła, równocześnie sprawdzając, czy ktoś jej nie śledzi. W końcu zauważyła, że jedzie za nią Goon. Popatrzyła na zegarek. Była dokładnie za piętnaście jedenasta. Zgodnie z planem. Goon podjechał do krawężnika i przepuścił auta podążające dotąd za nim. Niebo zaciągnęło się chmurami nadpływającymi znak zatoki i było naprawdę ciemno. Goon błysnął raz światłami reflektorów. Joan zdjęła z włosów czerwoną opaskę, poprawiła fryzurę obiema dłońmi, po czym upchnęła opaskę za talie dzinsów. Reflektory znowu rozbłysły. Hasło i odzew zostały wymienione jak należy.

- Mo mówi, że masz do niego więcej nie dzwonić.

Goon siedział na fotelu kierowcy, Joan Armstrong kuliła się na tylnym siedzeniu, starając się być niewidoczna. Goon był jej dostawcą. Wysoki, pękaty mężczyzna po pięćdziesiątce o ospowatej twarzy i siwawym wąsie pożółkłym od nikotyny. Dzisiejszej nocy miał na sobie czarny T-shirt, czarne skórzane spodnie i czarną kurtkę. Na lewym nadgarstku dyndała mu srebrna bransoleta z wygrawerowaną grupą krwi. Joan wpatrywała się w nią, kiedy oparł ramię na zagłówek i obrócił się do niej, wodząc spojrzeniem aż do dwóch złączonych palców, pomiędzy którymi coś szeleściło. Nagle upuścił małą zafoliowaną paczuszkę zawierającą biały proszek. Joan zanurkowała między siedzenia, by ją podnieść. Goon uśmiechnął się.

- Głodzik?

- Odpierdol się.

- Mo chce wiedzieć, co stało się z torbą Jenny.

Joan go nie słuchała. Zdążyła już sobie owinać opaską ramię i właśnie poklepywała zgięcie łokcia w poszukiwaniu dobrych żył.

- Pieprzyć Mo - burknęła. Teraz priorytetem dla niej była kolejna działka.

- Mo nie będzie zadowolony, jeśli tylko tyle mu powiem.

- Goon ponownie się odwrócił, tym razem trzymał w ręku jednorazową igłę i strzykawkę.

- Daj mi chwilkę, dobrze? - W głosie słychać było desperację.

Mała ampułka jałowej wody zmieniła właściciela i w ciągu paru minut igła znalazła się w żyłę.

- Powoli, Joan - przestrzegł ją Goon. - Nie masz się do czego spieszyć. - Wyciągnął rękę i rozluźnił prowizoryczny krępulec. Przyglądał się, jak oczy dziewczyny zachodzą mgłą. - Gdzie torba, Joan? - Głos miał łagodny, niemal kojący.

- Daj mi chwilkę, dobrze? - powtórzyła. Połowa heroiny zniknęła już w żyłę.

- Gdzie ta pierdolona torba? - Goon w mgnieniu oka uklęknął na siedzeniu i teraz przeszkadzał jej naciskać tłoczek strzykawki. - Co stało się z tą torbą?

- Policja ją ma! - wrzasnęła Joan, zaczynając płakać.

- Nie chcieli się ode mnie odczepić. Musiałam im coś dać.

- Kurwa! - ryknął Goon.

Trzęsące się palce Joan popchnęły tłoczek i reszta narkotyku wdarła się do jej krwiobiegu. Goon włączył silnik samochodu.

- Mo nie będzie tym zachwycony, Joan, nie będzie zachwycony ani trochę... - Zerknął w lusterko wsteczne i zobaczył, że dziewczyna

opada na siedzenie jak szmaciana lalka. Sięgnął do kieszeni i po chwili opróżnił małą butelkę wódki nad jej bluzką i džinsami.

Joan Armstrong wróciła do domu przed jedenastą trzydzieści. Wślizgnęła się na górę, krótkim okrzykiem dając bratu znać, że już jest. Kręciło jej się w głowie i musiała się przytrzymać balustrady, wdrapując się po schodach. W sypialni zrzuciła z siebie ubranie i nago położyła się spać. Był to stary sposób na powstrzymanie rodziny przed wściubianiem nosa do jej pokoju, kiedy sobie tego nie życzyła.

Parę kropli krwi było nie do odróżnienia na rękawie czerwonej bluzki. Wyciągając igłę, przytknęła do zgięcia łokcia jaskrawoczerwoną opaskę. Właśnie z powodu koloru wybrała jedną i drugą część stroju, szykując się na wieczór. Już zaczyna przenosić się do innego świata, niezwykle zachęcającego i ciepłego, ekstatycznie wręcz szczęśliwego. Położyła się na wznak i poddała ogarniającym ją uczuciom. Całkiem zapomniała o groźbach Goona.

### **Niedziela, 17 maja**

Padał silny deszcz. Ciemnoszare chmury wisiały nisko nad centrum Dublina, mgła zasnuwała wyżej położone dzielnice i okoliczne wzgórza. Temperatura znacznie spadła i umieszczony na zewnątrz termometr przy eleganckiej Grafton Street pokazywał zaledwie dwanaście stopni Celsjusza. Nietypowa jak na tę porę roku pogoda zwarzyła humory i ci, którzy zaplanowali już urlop, zastanawiali się, czy na pewno podjęli dobrą decyzję, postanawiając pozostać w Irlandii. Z szaf wyciągano zimowe swetry i otulano się nimi w obronie



przed zimmem, nawet w domach. Policja uwijała się w związku z kolejną falą wypadków powiązanych ze światkiem narkotykowym. Narkomani, których nie było stać na działkę, napadali na Bogu ducha winnych przechodniów. Dilerzy kontrolujący rynek tłukli tych, którzy zalegali z płatnościami, i grozili tym, nad którymi zawisło widmo niewypłacalności. Na ulicach targowano się i dobijano targów. W zapyziałych zaułkach zanieczyszczona heroina trafiała do żył mężczyzn i kobiet, młodych mężczyzn i młodych kobiet, nawet dzieci. A narkotykowi baroni jadali w najlepszych restauracjach, przestępując nad kupkami ludzkiego nieszczęścia leżącymi na chodnikach i marzącymi o następnej działce. Biznes to biznes, wszędzie tak samo obowiązuje zasada podaży i popytu. Jeśli jakaś szumowina łaknęła narkotyku, oni jej go dostarczali. Gdyby tego nie zrobili, ich rolę przejąłby kto inny, a po co ustępować pola i tracić rynek na korzyść jakiegoś outsidera?

W szpitalu Rockdale Micko Kelly powoli wychodził z psychozy spowodowanej nadużywaniem narkotyków. Zastosowane leki uspokajające i neuroleptyki zaczynały działać i Kelly już tak nie szalał. Głosy w jego głowie wciąż mówiły, lecz nie były już tak natrętne i przenikliwe - mniej od niego żądały i okazywały mu mniejszą złość. Kelly nadal jednak pozostał nieufny w stosunku do każdego, kto się do niego zbliżał, i większość czasu spędzał, leżąc na wznak i gapiąc się w sufit. Nie miał pojęcia, że poza zabezpieczonymi drutem kolczastym murami szpitala jego imię i nazwisko nie schodzi z ust ludzi, wściekły pies kelly - taki napis pojawił się nawet na ścianie kamienicy Hillcourt Mansions. Gazety rozpisywały się o jego

zatrzymaniu i pobycie w zakładzie zamkniętym i potwierdzały informację, iż jest jedynym podejrzanym w sprawie morderstwa Jennifer Marks. Tam gdzie nie padało wprost jego nazwisko, mówiło się o nim „narkoman morderca” i podawało ze szczegółami jego przeszłe dokonania, wywlekając wszystko na światło dzienne. Naród wiedział, przeciwko komu się zwrócić; rząd wiedział, kogo winić. Tak odbywało się wrabianie Micko Kelly’ego. Już siedział za kratkami, mimo że teoretycznie przebywał w szpitalu. Był szaleńcem, który nie miał możliwości obrony. Narkomanem z kryminalną przeszłością. Najgorszą szumowiną dla wielu Irlandczyków. Nikogo nie obchodziło, że się go zamknie i wyrzuci klucz.

Dziennikarze i reporterzy telewizyjni podążali za orszakiem żałobnym, który wyruszył z posesji Marksów w dzielnicy dyplomatycznej, przeciął gorsze dzielnice i w końcu dotarł do domu pogrzebowego w Glasnevin na północy miasta. Tam, punktualnie o godzinie piętnastej, ciało Jennifer Marks zniknęło w piecu krematorium, by obrócić się w popiół. Ceremonia była skromna, tylko dla rodziny i najbliższych przyjaciół. Na zewnątrz małego budynku, stojąc w ulewnym deszczu, kamerzyści i fotoreporterzy licznych stacji telewizyjnych raz po raz przecierali obiektywy, aby nie przegapić okazji na zdjęcie dnia. Migawki aparatów opadały na widok każdej postaci w czerni, podczas gdy dziennikarze usiłowali przekupić kierowców limuzyn w nadziei na okrawki plotek. W tłumie - moknąc jak wszyscy bez parasola i nie zważając na strumyki ściekające po twarzy - znalazł się także Joe Harrison, fotograf wydziału dochodzeniowego. Jim Clarke nie odpuścił podwładnym nawet w

niedziele, zmuszając ich do przyjścia i domagając się między innymi fotografii żałobników. W chwili gdy pierwsze błyskawice przecinały zachmurzone niebo, Joe Harrison przewinął film w nikonie. W kieszeni płaszczka miał już trzy rolki zdjęć. Popatrzył w dół, na przemakające buty, i uznał, że to musi szefowi wystarczyć.

### **Godzina 17.17**

Frank Clancy musiał zdecydować, jakie kłamstwa ma powiedzieć.

Lekarze nierzadko kłamią. Czasem kłamią pacjentom na temat rokowania. Kłamią prawnikom, żeby się bronić, kiedy jakaś operacja pójdzie nie tak, jak teoretycznie powinna. Bywa też, że okłamują kolegów, gdy idzie o wyniki leczenia, pazerność, rezultaty ostatniego meczu golfowego, stan zadłużenia. Najczęściej jednak lekarze oszukują swoich partnerów, którym ślubowali wierność na dobre i na złe. I w tej dziedzinie mają niezwykle szeroki wachlarz dostępnych kłamstw i kłamstewek. Nagły nocny zabieg równie dobrze może być naprawdę złotowłosą studentką, która chce zapewnić sobie miejsce stażystki i nie ma nic przeciwko leżeniu na plecach. Seminarium, które byłoby zbyt nudne i za daleko dla dzieci i żony, może być w sam raz dla tejże blondynki. Bo okazała się w łóżku lepsza, niż przewiduje norma.

Za kłamstwami, które wypowiedział tego popołudnia Clancy, nie kryły się jednak podobne motywy. Skłamał, ponieważ w pierwszym odruchu chciał ochronić żonę i dzieci. Poprosił więc, by cała trójka przeniosła się do matki Anny, mieszkającej około dwudziestu mil od

Dublina przy spokojnej wiejskiej drodze. Clancy miał nadzieję, że nikt ich tam nie znajdzie.

- Słuchaj - kłamał więc - to tylko na parę dni. We wtorek muszę wygłosić ten odczyt na konferencji i może ci być ze mną trudno wytrzymać do tego czasu. Zabierz dzieciaki do babci, a ja was stamtąd odbiorę w środę. Drugą połowę tygodnia zrobię sobie wolną i pojedziemy gdzieś razem.

Podobne propozycje padały z jego ust nieraz w przeszłości, więc Anna niczego się nie domyśliła. Spakowała bez słowa walizki i wraz z Martinem i Laurą wsiadła do samochodu, którym Clancy podjechał jeszcze pod szpital Mercy, gdzie zatrzymał się na najbardziej zacisznym parkingu w okolicy. Po drodze zerkał w lusterko wsteczne, aby sprawdzić, czy ktoś podejrzany nie jedzie jego śladem. Zauważył, że blisko niego trzyma się duże czarne auto. Nie był w stanie określić modelu. Wymyślając więcej kłamstw, przekonał Annę i dzieci, by wsiadły do taksówki, którą zamówił pod boczne, mało uczęszczane wyjście. Następnie stał w drzwiach i obserwował, czy za taksówką nie podąża ten sam albo jakiś inny samochód. Wbiegł na trzecie piętro i z okien swego gabinetu odprowadzał wzrokiem malejącą kropkę taksówki, dopóki nie stracił jej z oczu za wąskim mostem nad rzeką. Jako że nic nie wzbudziło jego niepokoju, odetchnął z ulgą. Udał się do laboratorium w piwnicy i tam odzyskał schowane w szafie na akta trzy niebieskie tabletki, jak również dwie zadrukowane kartki z pliku pod nazwą granny. Zrobił po dwie fotokopie każdej kartki i wsunął wszystkie kopie do trzech brązowych bąbelkowych kopert, po czym do każdej wrzucił po jednej tabletkce. Zakleił samoprzylepne koperty i

dla pewności zabezpieczył je jeszcze taśmą klejącą. Pierwszą zaadresował do administratora szpitala, drugą do swego prawnika. Na koniec umieścił wszystkie trzy koperty pod swetrem.

Spojrzał na zegarek. Dochodziło wpół do ósmej. Sprawdził kieszenie. Karty kredytowe, gotówka, kluczyki do samochodu. Te ostatnie postanowił zostawić w laboratoryjnej szafce na akta. Na podłodze stała torba zawierająca zmianę odzieży. Zadowolony z siebie przemknął się przez oddziały do pomieszczeń przewidzianych dla lekarzy mających nocny dyżur. Jako że była niedziela, co najmniej jeden pokój powinien być wolny, i rzeczywiście - wkrótce taki znalazł. Pomieszczenie nie było duże: mieściło tylko jedno łóżko i umywalkę. Toaleta i prysznic znajdowały się na końcu korytarza i były przeznaczone do użytku przez większą liczbę osób.

Clancy zatelefonował, żeby upewnić się, że żona z dziećmi dotarła bezpiecznie na miejsce.

- Nie dzwoń do mnie przed wtorkiem - poprosił.

- Zamierzam na okrągło pracować nad tym referatem, a jak wiesz, tutaj, w szpitalu, nie lubią, kiedy przyjmuje się rozmowy prywatne. - Kłamstwa spływały mu gładko z języka, ale serce go bolało.

Kiedy będę miał więcej informacji, będę mógł powiedzieć całą prawdę, pocieszył się w duchu. Brakuje mi tylko paru klocków z tej układanki. Zostały dwa dni. Dwa dni do konferencji prasowej, która ma się odbyć w środę.

**Godzina 20.30**

Jim Clarke był sfrustrowany i rozgniewany. Wściekły. Siedział w salonie z włączonym telewizorem, lecz przy wyciszonym dźwięku. Maeve prawidłowo odczytała wysyłane przez niego sygnały i starała się mu schodzić z drogi. Katy zmyła się z domu i miała nocować u koleżanki. Clarke wisiał jej nad głową, kiedy się przygotowywała do wyjścia, i zasypywał ją pytaniami. Dokąd idziesz? Czemu nie zostaniesz w domu? Jak się nazywa ta koleżanka? Czy matka ją zna? Jacy są jej rodzice? Może jednak powinnaś wrócić na noc do domu? Katy, wychodząc, miała łzy w oczach i bardzo się cieszyła, że udało jej się opuścić tę przyciężką atmosferę. Podczas obiadu i potem, kiedy pił jeden po drugim sześć kieliszków wina w ciągu półtorej godziny, jego gniew narastał. Było coś niezwykłego w śmierci Jennifer Marks, tyle że on nie umiał tego nazwać. Bez względu na to jak bardzo starał się rozluźnić i wyrzucić pracę z myśli, powracało wspomnienie rozmów z Danem i Annie Marksami. Co z nich za rodzina, na czym polega jej dysfunkcyjność?

- Telefon do ciebie. - Maeve stała w drzwiach. Zrobiła minę, aby wyrazić swoje niezadowolenie. - To komendant.

Brwi Clarke'a podjechały w górę.

- Jim, przepraszam, że cię niepokoję.

Odpowiedział, że w żadnym razie nie czuje się niepokojony.

- Musimy porozmawiać.

Z tonu Donała Murphy'ego Clarke zorientował się, że niedziela właśnie się skończyła. Oparł się o ścianę kuchni, nie wypuszczając słuchawki z dłoni. Maeve posłała mu grymaśne spojrzenie, lecz on machnął ręką, prosząc, by zostawiła go samego.

- Sprawa tej Marks zaczyna żyć własnym życiem.

Clarke zeszywniał.

- To znaczy?

- Minister zdrowia John Regan i jego garbus Dempsey spotykają się na boku z dziennikarzami. - Niechęć Murphy'ego do ministra sprawiedliwości była szeroko znana.

- Mówią przy tym tyle, że wystarczy, aby nadzieć Kelly'ego jak indyka na święta.

- To znaczy co?

- Że był cały utyłany krwią dziewczyny. Że znaleziono go w pomieszczeniu, w którym było pełno noży, też lepiących się od krwi. Że jest szalony i sam nie wie, co robił tamtej nocy.

Clarke skorzystał z chwili przerwy.

- Tu akurat nie mijają się wiele z prawdą.

- Nie obchodzi mnie to. Jeśli zwiedzą się o tych pogadankach ludzie od obrony praw człowieka, będziemy mieli przechlapane.

Clarke uważał Murphy'ego za niezwykle opanowanego i odważnego człowieka, takiego, co nie boi się postawić wierzuszce, gdy zaczynają się polityczne naciski.

- Sytuacja nie przedstawia się różowo, jeśli chodzi o Kelly'ego - odezwał się po chwili milczenia. - Jego T-shirt był przesiąknięty krwią, w pokoju, w którym go znaleźliśmy, były noże i z całą pewnością jest wariatem. Słyszałeś o tym, że napadł na strażnika?

- Słyszałem.

- Cóż, idę o zakład, że zostanie oskarżony i skazany.

- Ja również, ale wolałbym mieć pewność, że materiał dowodowy

jest taki, że mucha nie siada.

- Racja - westchnął Clarke. Wyciągnął rękę i włączył czajnik elektryczny.

- Jak sądzisz, kiedy ci się uda zebrać wyniki od analityków?

- Leeson wspomniał, że powinien coś mieć jutro.

- Wspomniał? Tylko wspomniał? - Murphy lekko podniósł głos.

- Są zawaleni robotą. Wierzę, że się stara... - Clarke oczekiwał określonej reakcji. I dostał ją.

- Każę im nad tym pracować przez noc.

- Byłoby super.

- Chcę się temu przyjrzeć jutro o dziesiątej. Ze wszystkimi.

- W porządku.

- Musimy złapać grunt pod nogami. Nawet Stany śledzą tę historię. W dzisiejszych wiadomościach puścili wywiad z właścicielem biura podróży, który się skarżył, że ludzie z Ameryki Północnej odwołują przyjazdy do kraju z powodu tej sprawy. Chcę ją zamknąć jak najszybciej.

Clarke został z głuchą słuchawką w rękę. Nalał whisky do grubej szklanki i dodał wrzątku. Potem dorzucił parę ząbków czosnku i zamieszał drugą stroną widelca. Sącył trunek powoli, przepatrując wzrokiem ciemność za oknem. Krople deszczu uparcie biły w szyby. Nie męcz się, powiedział sobie. Kelly to zrobił. Niech tak zostanie.



**Poniedziałek, 18 maja**

Frank Clancy obudził się o szóstej trzydzieści. Wziął szybki prysznic, ale nie ogolił się. Stojąc pod strugami gorącej wody, nożyczkami chirurgicznymi ściął sobie kręcone czarne włosy. Kiedy zobaczył efekt, aż jęknął. Z przodu włosy wyglądały jak wygrzyzione, natomiast z tyłu i na ciemieniu sterczały na sztorc. Nie było jednak czasu na poprawki. Zresztą nie przejmował się swoim wyglądem. Chodziło mu o to, by się zmienić, stać się mniej rozpoznawalnym. Zmylić nieodłączny ostatnio cień. Tuż przed siódmą był już u siebie w gabinecie na trzecim piętrze, przez nikogo nierozpoznany ani niepokojony. Miał na sobie dżinsy, biały T-shirt pod robionym na drutach swetrem w serek i białe buty sportowe. Na wierzch narzucił jeszcze luźną marynarkę. Przypominał raczej gwiazdę rocka aniżeli hematologa. Szczególnie jeśli chodziło o fryzurę. Przygotował do wysłania faks, krótki i bezpośredni.

MUSIMY SIĘ SPOTKAĆ JAK NAJSZYBCIEJ W CELU OMÓWIENIA PEWNEGO ZAGADNIENIA MEDYCZNEGO POZOSTAJĄCEGO W POLU WSPÓLNYCH ZAINTERESOWAŃ. PROSZĘ NIE ODPOWIADAĆ - POWTARZAM: NIE ODPOWIADAĆ - NA TEN FAKS.

Dwukrotnie sprawdził, czy wybrał dobry numer zaczerpnięty z

branżowej książki telefonicznej, po czym wysłał wiadomość. Następnie podniósł słuchawkę aparatu i zadzwonił na dublińskie lotnisko. Po pięciu minutach wyklócania się i dopasowywania lotów zdecydował się na połączenie Dublin - Boston liniami Delta o godzinie czternastej. Rozłączył się i natychmiast zatelefonował do siostry oddziałowej, palcami jednej ręki przesłaniając mikrofon, drugiej zaś - zaciskając lekko nozdrza.

- Louise, tu doktor Clancy.

Louise sprawiała wrażenie zaspanej, a Frank Clancy przeziębionego.

- Przykro mi, że cię obudziłem tak wcześnie, ale muszę ci coś przekazać.

Głos miał przytłumiony i niewyraźny na tyle, na ile trzeba, i Louise otrząsnęła się z resztek snu.

- Złapałem paskudnego wirusa - pociągnął nosem i kaszlnął teatralnie - i muszę zostać w domu przez parę dni.

Zapewniła, że bardzo mu współczuje.

- Dziękuję. Głowa mi pęka, więc powyłączam telefony i położę się, tak że powiedz, proszę, reszcie zespołu, że przez jakiś czas nie będzie można się ze mną skontaktować.

Obiecała, że to zrobi.

- W dolnej szufladzie twojego biurka zostawiłem dwie brązowe koperty. Jeśli nie odezwę się do środy rano, bądź tak miła i wyślij je, dobrze?

Powtórzyła instrukcje, żeby niczego nie pokręcić.

- Jedną puść kurierem, drugą naszą wewnętrzną pocztą.

Przerwał połączenie i wyjrzał za okno gabinetu. O tej porze na

oddziale podawano śniadanie, budząc po kolei pacjentów. Odbывała się zmiana średniego personelu medycznego: pielęgniarki o świeżych, wyspanych twarzach zastępowały zmęczone po nocnym dyżurze koleżanki. Co ja wyprawiam? Tutaj aż roi się od chorych ludzi, a ja bawię się w prywatnego detektywa. Jestem lekarzem, nie policjantem. Mam obowiązki tu, na tym oddziale. Nagle poczuł się bezradny i bardzo samotny.

Stoję sam jeden przeciwko potędze rządu. Podejrzliwy doktor kontra system. To głupota, czysta głupota.

Zgarbił ramiona, czując fizyczne i psychiczne wyczerpanie. Wtedy dostrzegł samoprzylepną karteczkę przyklejoną do monitora, harold morell zmarł w nocy. Przed oczami stanęła mu uśmiechnięta, arogancka twarz Lindy Speer. Muszę dokończyć to, co zacząłem, to zbyt ważne.

Podniósł z ziemi torbę i wyjrzał na korytarz. Nabrawszy pewności, że nikt go nie zobaczy, pchnął drzwi czubkiem buta i wyślizgnął się na zewnątrz. Skorzystał ze schodów technicznych, aby uniknąć kontaktu z kolegami, przemknął przez poziom kuchenny i wyszedł z budynku bocznym wyjściem w zatoczce dla ambulansów. Postarał się o podwiezienie do centrum miasta. Kierowca karetki przez całą drogę podśmiewał się z jego nowej fryzury. Na O'Connell Street, korzystając z tego, że światło zmieniło się na czerwone, Clancy wyskoczył i zaraz złapał taksówkę.

- Poproszę na lotnisko.

Taksówkarz zerkał na niego podejrzliwie, zawracając.

- Co pan zrobił z włosami?

Clancy popatrzył w lusterko i wybuchnął śmiechem. Wyglądał idiotycznie.

### **Godzina 10.00**

Spotkanie zorganizowano w pokoju numer dwadzieścia trzy na czwartym piętrze komendy policji na Harcourt Street dwie mile od centrum. Deszcz lał z ołowianego nieba, podczas gdy w budynku sześciu mężczyzn siadało do okrągłego stołu, wpierw otrząsnąwszy krople wody z włosów i ramion. Komendant Murphy miał na sobie wyjściowy mundur: białą koszulę i granatowy krawat, granatowe spodnie i taką samą marynarkę ze złotymi epoletami. Na mankietach widniała przepisowa liczba pasków. Zajął miejsce w centralnej części stołu, plecami do okna. W kącie pomieszczenia stała tablica, na której w tej chwili widniał opis sceny morderstwa Jennifer Marks z dołączonymi diagramami i fotografiami. Naprzeciwko niego siedział Arnold Leeson, dyrektor laboratorium, ubrany w spodnie i sweter. Po jego prawej tkwił doktor Patrick Dillon, psychiatra sądowy z Rockdale. Prezentował się niezwykle elegancko w grafitowym garniturze w prążki, spod którego wyzierały biała wykrochmalona koszula i krawat uniwersytecki. Z kieszonki na piersi wyglądał rożek białej chusteczki. Jim Clarke zasiadł obok komendanta, mając po prawej ręce wiecznie zatroskanego Tony'ego Molloya. Moss Kavanaugh jak zwykle podpierał ścianę. Powitania nie trwały długo - większość obecnych znała się, jeśli nie osobiście, to ze słyszenia, i darzyła wzajemnym szacunkiem.

- To śledztwo dobrze się zaczęło - powiedział pewnym głosem Murphy. - W krótkim czasie aresztowano głównego podejrzanego w sprawie. Gdybyśmy zawsze mieli podobne wyniki, byłbym zachwycony. - Zebrani nie zareagowali.

- Niestety, chcąc postawić tamę złemu marketingowi, ministrowie tego rządu pozwalają sobie na stwierdzenia, że sprawę można uznać za zamkniętą. Do opinii publicznej przedostała się informacja, że wina Kelly'ego jest bezsporna, podobnie jak jego szaleństwo i fakt, że został odizolowany od społeczeństwa w zakładzie zamkniętym przeznaczonym dla niebezpiecznych przestępców. - Urwał na chwilę.  
- Teoretycznie powinniśmy sobie pogratulować i rozejść się do domów na herbatkę.

Ten ostatni komentarz wywołał na paru twarzach przelotny uśmiech. Murphy rozprostował palce i położył obie ręce na wypolerowanym blacie. Następnie przyjrzał się jakiemuś pyłkowi na rękawie munduru i strzepnął go kantem dłoni.

- Cóż, nie wydaje mi się, abyśmy mieli to zrobić w najbliższym czasie. To, co dobre dla polityków, nie zawsze jest dość dobre dla policji. Jeśli plotki nie ucichną, czeka nas w sądzie horror. Kelly'ego nie można uznać za winnego dopóty, dopóki nie zrozumie, że uczynił coś złego.

Rozległ się szmer aprobaty.

- Tymczasem znalazł się w centrum zainteresowania mediów z całego świata. Od tego wypadku ze strażnikiem okrzyknięto go skrzyżowaniem Hannibala Lectera i Huna Attyli.

Teraz uśmiechali się już wszyscy.

- Obecny tu doktor Dillon powiedział mi zeszłego wieczoru - ciągnął Murphy - że jego szpital jest osaczony przez ekipy telewizyjne.

Dillon przejął pałeczkę.

- Tylko wczoraj krążyły nad nami trzy helikoptery z reporterami celującymi w nas obiektywami kamer. Pomijając kwestie bezpieczeństwa, hałas niezwykle pobudził niektórych z moich pacjentów.

Murphy spoważniał.

- Najmniej ze wszystkiego chcielibyśmy, żeby w Rockdale wybuchł bunt.

Dillon poprawił się niespokojnie na krześle i dodał:

- Dwie osoby z personelu przyszły do mnie ze skargą, że są nagabywane przez dziennikarzy brukowców. Jednej z tych osób zaoferowano pięć tysięcy za zrobienie zdjęcia Kelly'ego w jego celi.

Podniosły się szepty. Murphy szarpnął głową, by je uciszyć.

- Aby to wszystko nie wymknęło się spod kontroli - oznajmił stanowczo - muszę wiedzieć, z czym dokładnie mamy do czynienia. Wolałbym spać spokojnie, nie kłopotząc się przyszłymi problemami w trakcie rozprawy. - Popatrzył kolejno na każdego z zebranych i dostrzegłszy w ich oczach pełną zgodę, przeszedł do następnego punktu. - Wszyscy zapoznali się z wynikiem badań toksykologicznych?

Cała piątka zgodnie potwierdziła.

- Podsumowując, ofiara miała we krwi heroinę, haszysz i alkohol. Wymazy z pochwy, anusa i ust dały wynik negatywny. - Murphy

odkładał na bok faksy, z których odczytał informacje. - Ślady na szyi były stare i nie mają znaczenia dla sprawy. - Podniósł wzrok na podwładnych. - To na razie wszystko. - Odchylił się na krześle i przyłożywszy pięść do czoła, zaczął je masować kostkami. - No dobra. Arnold, co tam jeszcze masz?

Leeson przesunął parę kartek, wśród których znajdowały się wyniki badań i faksy.

- A więc - rozpoczął - najpierw może to, co chcielibyście usłyszeć. Krew na T-shircie Kelly'ego, jego spodniach od dresu i butach należała do Jennifer Marks. Badanie łańcuchową reakcją polimerazy wykazało to ponad wszelką wątpliwość.

Komendant odetchnął z ulgą.

- To dobra wiadomość.

Leeson uniósł dłoń, prosząc o uwagę.

- Reszta wciąż jest niepełna... - urwał, porządkując papiery - w paru wypadkach czekamy na ostateczny wynik. To, czym dysponujemy na razie, raczej zaciemnia obraz, niż go rozjaśnia.

Murphy usiadł prosto, mrużąc powieki, a niezrażony tym Leeson ciągnął:

- Ślady ziemi zeszkrobane z podeszew Kelly'ego nie zgadzają się z próbkami ziemi z miejsca znalezienia zwłok. W krzaczastej okolicy przeważała glina wymieszana z torfem - dodał, żeby być precyzyjnym. - Nie pasuje też ubłocenie butów. Zacierając ślady, robi się określone ruchy... - Wstał, żeby to zademonstrować, i odszedł parę kroków od stołu, by jego stopy były widoczne. Pięć par oczu podążyło za nim.

- Kiedy chce się napędce zatrzeć własne ślady, przejeżdża się wnętrzem buta po wgłębieniu w ziemi - Leeson przejechał prawą stopą po wykładzinie - a wówczas ziemia zbiera się także z wierzchu buta. Tymczasem buty Kelly'ego są na wierzchu czyste. - Usiadł i przebiegł wzrokiem po następnej kartce przed sobą. - Miejsce porzucenia zwłok było zarośnięte pajęczynami. Gałązki, które do nas trafiły, miały poprzyczepiane pajęczyny oraz nadal niezidentyfikowane włókna. Ubranie Kelly'ego było całkowicie pozbawione pajęczyn, a znalezione włókna z pewnością nie pochodzą z jego T-shirtu ani spodni od dresu.

Molloy nachylił się w krześle i ściągnął marynarkę, na moment rozpraszając uwagę zebranych.

- Nie udało nam się zdjąć żadnych odcisków palców z noża - mówił dalej Leeson - a ślady rąk na ciele były zbyt rozmazane, żeby się na coś przydały. Na czarnej spódnicy, którą ofiara miała na sobie, były plamy męskiego nasienia, jednakże na razie nie mam więcej informacji na ten temat. Spodziewam się czegoś konkretnego jeszcze dziś rano.

Murphy ponownie ułożył dłonie na blacie.

- Sprzeczne informacje? - spytał.

- Otóż to - potaknął Leeson.

Zapadła cisza, którą przerywało tylko skrobanie długopisów po papierze.

- Może pan, doktorze Dillon, zdoła rzucić trochę światła na tę tajemnicę? - Murphy zmienił lekko ustawienie krzesła i oparł się wygodnie. - Czy Kelly mógł zamordować tę dziewczynę?



W ostatnich minutach Patrick Dillon trzymał głowę pochyloną, bawiąc się długopisem na pustej kartce, i tylko od czasu do czasu robił skrótowe notatki. Zapytany błyskawicznie ponumerował informacje według ważności.

- Po pierwsze, panie komendancie, jestem lekarzem, a nie kryminalistyką czy policjantem. Moim zadaniem jest pomóc Kelly'emu odzyskać równowagę psychiczną.

- Wszyscy bardzo doceni... - chciał wtrącić Murphy, lecz Dillon nie dał mu dojść do słowa.

- To, co teraz powiem, powiem prywatnie - ciągnął - prawdopodobnie łamiąc etykę zawodową, jako że Kelly nie wyraził zgody na ujawnienie informacji o swym stanie zdrowia.

Zebrani wymienili rozbawione uśmiechy.

- Jednakże wyjawię to, co moim zdaniem jest istotne. Kelly to notoryczny narkoman. Wyniki jego badania toksykologicznego stanowią fascynującą i niepokojącą lekturę. Próbkę krwi, którą zbadaliśmy w Rockdale, zawierała: alkohol, haszysz, heroinę, metadon, flunitrazepam, diazepam, kokainę i LSD. Co jeszcze bardziej wstrząsające, znaleźliśmy w niej także wysoki poziom ketaminy, anestetyka stosowanego w weterynarii, na ulicach zwanego Specjalnym Ka oraz LA Colą. - Dillon nie robił przerw, by sprawdzić, czy zebrani nadążają za nim. - Ketaminę na ogół miesza się z efedryną i sprzedaje jako ecstasy. Zażyta może wpłynąć na pracę serca i płuc.

Pięć par oczu rozszerzyło się z zainteresowania.

- Skutki uboczne stosowania ketaminy, nawet niewymieszanej z innymi lekami, obejmują uczucie odrealnienia, halucynacje i

zaburzenia zachowania. - Dillon odhaczał poszczególne punkty, w miarę jak kontynuował. - Kelly ma też uszkodzoną wątrobę, na co wskazują wyraźnie podwyższone poziomy enzymów ALT i AST. Praktycznie cierpi na żółtaczkę.

Moss Kavanagh postanowił w tym momencie usiąść.

- Jeśli chodzi o stan jego psychiki, jest jeszcze większym wrakiem - oznajmił Dillon. - Tuż po przyjęciu zachowywał się jak schizofrenik, słyszał głosy i miał omamy. Zauważyłem u niego również objawy paranoi: nieufność i podejrzliwość w stosunku do otoczenia, przekonanie, że coś mu zagraża. W dodatku był przekonany, że widzi i słyszy diabła.

- Jezu - mruknął poblady Kavanagh.

- Czy te... eee... - Donal Murphy starał się znaleźć fachowe określenie - zaburzenia są związane z zażywaniem narkotyków?

- Jestem o tym przekonany.

- Czy mogło być tak, że te dziwne myśli popchnęły go do morderstwa?

- Owszem.

- Czy jego stan może wywoływać jeszcze jakieś zaburzenia? - Murphy podpierał teraz brodę splecionymi dłońmi.

- Każde, jakie przyjdzie panu do głowy - udzielił odpowiedzi Dillon.

- Ostatnio brałem udział w konferencji, na której przedstawiono dwa przypadki metamorfozy.

- Metamorfozy?

- Tak - potwierdził Dillon i wytłumaczył: - To rzadkie urojenie polegające na tym, że pacjentowi wydaje się, iż zamienia się w

zwierzę. Te przypadki, o których mowa, wystąpiły u dwóch młodych mężczyzn cierpiących na schizofrenię. Jednemu wydawało się, że zamienia się w świnie, a drugi myślał, że przeistacza się w wilkołaka.

- Jezu - powtórzył szeptem Kavanagh.

- Gdy chodzi o procesy zachodzące w mózgu, wszystko jest możliwe  
- zakończył Dillon. Zmarszczył czoło i zaczął nucić.

Murphy rzucił mu zdumione spojrzenie.

- Przepraszam - bąknął psychiatra. - Zamyśliłem się.

- Na jaki temat? - zaciekawiał się Murphy. - Zechce pan podzielić się tym z nami?

- Tak, zechcę. Ten przypadek wzbudza mój niepokój.

- Tym razem zaczął rysować kółeczka wokół cyfr, które postawił na kartce. Wszyscy przyglądali mu się z napięciem. Dillon poprawił się na krześle, nie podnosząc spojrzenia. Twarz mu posmutniała. Wreszcie podparł brodę lewą ręką i powiedział: - To się po prostu nie trzyma kupy.

- Co się nie trzyma kupy? - Murphy pochylał się do przodu, gmerając dłonią przy opinającym mu szyję kołnierzyku koszuli. Rozpiął guzik i pogładził się po skórze, wkładając palec za poluzowany materiał. W pomieszczeniu rzeczywiście zrobiło się cieplej i wszyscy sięgnęli do supełów krawatów.

Dillon raczył wreszcie odpowiedzieć.

- Sposób, w jaki popełniono to morderstwo, wskazuje na pewien poziom samokontroli, racjonalnego myślenia. Dziewczyne pchnięto nożem, a potem przeciągnięto w krzaki.

- Prawa ręka zmieniła lewą. - Morderca z całą pewnością sprawdzał

dolny brzeg spódnicy w poszukiwaniu czegoś, a kiedy tego tam nie znalazł, odwrócił ciało i przeciął tylny szew. Liczy się to, że aktywnie czegoś szukał i czynił kolejne kroki, aby to znaleźć.

Milczenie się przeciągało, gdy zebrani przetrawiali hipotezę postawioną przez Dillona.

- A te niebieskie tabletki? - Clarke przerwał ciszę, wyrывая pozostałych z zamyślenia. - Udało ci się je rozpracować, Arnold?

Leeson poszurał papierami.

- Nie. I niewykluczone, że zajmie nam to jeszcze parę dni.

- Ale czy Kelly mógł to zrobić? - naciskał Murphy, sięgając dłońmi do klap marynarki. - Wiemy na pewno, że miał na sobie krew dziewczyny. Co z motywem seksualnym?

Dillon pospieszył z odpowiedzią.

- Mógł ją dźgnąć nożem. - Patrzył prosto przed siebie, mówił zdecydowanie, nie unikając kontaktu wzrokowego.

- Lecz brak mu jaj, i to dosłownie, więc motyw seksualny odpada. Wątpię, by doznał jednego wzwodu w ciągu minionego roku, nie wspominając o podnieceniu wystarczająco silnym, aby przeprowadzić coś takiego od początku do końca.

- W pomieszczeniu panowała irytująca cisza, zanim dodał:

- Poza tym przeciągnięcie ciała w krzaki i próba jego ukrycia świadczą, że zaangażowany był sprawny mózg.

- A Kelly go nie posiada? - zastanowił się na głos Murphy.

- Mózg Kelly'ego to sieczka. Facet jest typowym ćpunem, pozbawionym zdolności do racjonalnego myślenia, powodowanym emocjami, z których najsilniejszą jest pragnienie znalezienia kolejnej

działki. Byłby w stanie zadać dwa pierwsze ciosy, ale na pewno nie zrobił nic więcej. Stąd wniosek, że sprawcą był ktoś inny.

Rozległy się szmery, zanim odezwał się Molloy, marszcząc brwi tak, że zdawały się dwiema górami skali Mount Rushmore.

- Zatem mówimy o psychopacie?

Dillon poprawił mankiety, pokazując nieco więcej bieli koszuli. Upchnął krawat za wciąż zapiętą marynarką.

- Psychopatia to prawdziwy fenomen - zauważył. - Większość psychopatów nigdy nie wpada w ręce policji, wiodąc z pozoru normalne życie. Co więcej, spora część tych ludzi wykorzystuje swój spryt i podłość, dochrapując się znacznej pozycji w społeczeństwie. - Rozejrzał się po zebranych i spostrzegł, że słuchają go z wielką uwagą. - Psychopata ma na ogół poczucie własnej wielkiej wartości i jest przy tym ogromnym czarusem. To patologiczny kłamca, pozbawiony jakichkolwiek wyrzutów sumienia. Cechuje go też niezdolność do głębszego zastanowienia i nauki na błędach.

- Ktoś taki faktycznie może daleko zajść, zwłaszcza w polityce - wtrącił Arnold Leeson i wszyscy głośno się roześmieli.

Dillon włożył kartkę z notatkami do kieszeni marynarki. Potem podniósł się do wyjścia.

- W moim odczuciu tylko jeden człowiek może nam pomóc.

Murphy przyszpilił psychiatrę spojrzeniem.

- Kto taki?

- Kelly. Tylko on wie, co stało się tamtej nocy.

**Godzina 11.37**

Na najpilniej strzeżonym oddziale szpitala Rockdale Micko Kelly siedział na podłodze na zewnątrz swojej celi. Przyglądał się z wielkim zainteresowaniem wszystkiemu, co się poruszało. Miał na sobie przydługą, białą szpitalną piżamę. Strój był pozbawiony guzików i gumki: górę wkładało się przez głowę, a spodnie miały w pasku rozciągliwy materiał. Dzięki temu obniżono liczbę prób samobójczych wśród pacjentów. Kelly był już mniej nerwowy i trochę silniejszy, odkąd zaczął jeść i pić. Był także bardziej przytomny za sprawą neuroleptyków i leków zastępujących mu narkotyki. Jego umysł powoli zaczynał znów działać. No, może przynajmniej jakaś jego część.

Patrz na świnkę, patrz na świnkę. Chrum, chrum, mała świnko...

Wciąż jednak słyszał głosy i sporadycznie miał omamy.

- Co robisz na tej podłodze?

Drobny rudy pacjent zakwaterowany trzy cele dalej próbował nawiązać z nim kontakt, jednakże Kelly nie reagował. Zresztą wcale nie widział drobnego rudego pacjenta, tylko małą świnkę. Ilekroć mężczyzna się do niego zbliżał, Kelly czuł świnię, słyszał świnię. Raz, kiedy świnka podeszła za blisko, Kelly zwinął się w kulkę, a mimo to dostrzegł, jak świński ryj zamienia się na jego oczach w łeb diabła - z rogami na szczycie i kłębami dymu dobywającymi się spomiędzy warg. Kelly ciaśniej objął się rękami za kolana i zaskowyczał.

- Co robisz na tej podłodze? - naciskał rudzielec.

- Czemu nie wstajesz?

Nie odpowiadaj mu, Michaelu. Nie odzywaj się do grubej rudej

świnki.

Kelly już naprawdę wyglądał jak kulka i w tej pozycji odtoczył się w tył do celi. Przestał się turlać, dopiero gdy uderzył o ścianę.

- Jesteś, kurwa, popierdolony! - zawył drobny rudy mężczyzna od progu. Zabrał się stamtąd i poszedł do własnej celi, kręcąc głową i mamrocząc coś do siebie.

Kelly rozwinął się, odzyskując ludzkie kształty, i oparł się plecami o ścianę. Poczł coś ciepłego między nogami i kiedy spojrzał w dół, zobaczył strumyk moczu ciekący po płytkach posadzki. Gapił się na niego zafascynowany. Na parę sekund strumyk zmienił barwę na czerwoną i wtedy Kelly przestraszył się nie na żarty. Zaraz jednak zrobił się znów miodowo-żółty.

Nektar pszczoł, Michaelu, nektar pszczoł. Bzz, bzz, bzz. Nektar pszczoł. Bzzzz...

Wyprostował palec i dotknął strumyka, nabierając nieco płynu. Później polizał opuszkę, smakując słodycz miodu, podczas gdy mózg podpowiadał mu, czego kosztuje.

Pszczoły bzz, bzz, bzyczą. Bzzz...

- Chryste, znowu się zlałeś! - Jeden ze strażników spostrzegł, że Kelly siedzi w kałuży sików. - Nie pij tego, na miłość Boga, nie wkładaj tego do ust. Już jesteś dość chory.

- Mężczyzna, pełniący również funkcję opiekuna, ściągnął Kelly'emu przemoczone spodnie i ułożył lekkie ciało pacjenta na łóżku. - Nie ruszaj się - polecił. - Zaraz wrócę i cię umyję.

Umyj też tę grubą rudą świnkę. Umyj brzydki czarny ryj tej pieprzonej świni!

Znalazłszy się z powrotem przy swoim biurku, strażnik wybrał numer na tarczy telefonu i czekał. Ktoś odebrał dopiero po sześciu sygnałach.

- Czy to sekretariat doktora Dillona?

- Tak.

- Dzwonię z Rockdale. Chodzi o wiadomość, którą zostawił wcześniej.

- Słucham!

- Proszę mu przekazać, że Michael Leo Kelly nadal pozostaje w stanie uniemożliwiającym przesłuchanie go przez policję.

- Oczywiście. Czy to wszystko?

Strażnik westchnął, rozłączając się.

- Taa, to wszystko.

## **Godzina 14.45**

- Napije się pan czegoś?

Frank Clancy zapatrzył się na odległe chmury przez okno boeinga 747 linii Delta. Potrząsnął głową na głos koło ucha i rozejrzał się wokół. Uśmiechnięta stewardesa stała w przejściu obok wózka z napojami.

- Nie, dziękuję. Zaczekam raczej na posiłek.

- Naturalnie.

Wrócił spojrzeniem do chmur poniżej.

- Pokłócił się pan z fryzjerem?

Clancy udał, że nurkuje pod własne ramię. Ponownie odwrócił



głowę, czując, że twarz mu czerwienieje ze wstydu.

- Sam to sobie zrobiłem, da pani wiarę?

Stewardesa przyjrzała mu się uważnie.

- Jestem w stanie w to uwierzyć - odparła i popchnęła wózek w górę przejścia.

Clancy zaczął przerzucać strony darmowego egzemplarza „Irish Timesa”. Zatrzymał się na stronie piątej i zagłębił w lekturę. Następnie wydarł stronę z gazety i upchnął zmaltretowany egzemplarz pod siedzeniem. Przeczytał artykuł raz jeszcze. Tekst zajmował bite dwie kolumny, upstrzone zdjęciami.

## TRYUMF REGANA

Nim zegar wybije osiemnastą w najbliższą środę, minister zdrowia John Regan poczuje się jak krezus. Czek na dwadzieścia milionów będzie tkwił w wewnętrznej kieszeni jego marynarki dzięki wspaniałomyślności Unii Europejskiej. Pieniądze przejdą z rąk do rąk w trakcie konferencji prasowej w budynku ministerstwa, a zostaną przekazane osobiście przez niemieckiego ministra doktora Hansa Ottona Mayera. Doktor Mayer, przewodniczący Europejskiego Funduszu Medycznego, będzie miał przyjemność wręczenia najwyższego jak dotąd grantu. Tym samym John Regan przeżyje chwilę tryumfu, wieńczącą jego dwuletnie starania. Chociaż przyznanie grantu jest uzależnione od sprawozdania za pierwsze pół roku działalności Fundacji Serca przy szpitalu Mercy, źródła rządowe zapewniają, że Irlandia ma te pieniądze w kieszeni. Bostońscy

specjaliści ściągnięci przez Regana sprawili się dobrze. „Przełom w medycynie” - takie hasło towarzyszy całemu przedsięwzięciu. Mimo że były dni, gdy Regan obawiał się porażki, mimo nieprzychylności świata lekarskiego w kraju, mimo przepychanek na poziomie ciał europejskich i braku współpracy ze strony niektórych pracowników szpitala Mercy, owładniętych zazdrością. Wszystko to mogło zaważyć na końcowym wyniku, aczkolwiek nic nie było równie straszne jak niespodziewana tragiczna śmierć córki kardiochirurga Dana Marksa, Jennifer. Nasi zaufani informatorzy donoszą, iż tragedia ta wywarła wielki wpływ na Regana. Jeszcze bardziej skoncentrował się na swoim celu, działał z jeszcze większą determinacją. Stał się też znacznie bardziej nerwowy, reagując przesadnie na każdą, najmniejszą nawet trudność. Nieoficjalni komentatorzy mający powiązania z policją twierdzą, że Regonowi zależy również na jak najszybszym zamknięciu śledztwa w sprawie morderstwa uczennicy. Jak ujął to nasz anonimowy współpracownik: „Regan życzy sobie dostać swoje dwadzieścia milionów i głowę Micko Kelly’ego na talerzu przed szóstą wieczorem w środę”. Dan Marks konsekwentnie odmawia komentarzy na temat prowadzonego dochodzenia w sprawie śmierci jego córki. „Po zakończonej konferencji” - oświadczył personelowi szpitala Mercy - „zamierzamy z kolegami wyjechać z Dublina na zasłużony odpoczynek. Wszyscy chcemy zapomnieć o tym strasznym wypadku”. Nikt nie zdradza, dokąd udadzą się członkowie drużyny marzeń.

Clancy złożył wyrwaną kartkę w mały kwadrat i wepchnął do kieszeni spodni. Na pewno jesteś gotowy zburzyć ten domek z kart? -

zapytał sam siebie. Potem skinął na stewardesę i jednak zamówił dżin z tonikiem.

### **Godzina 17.17**

Goon czekał.

Kiedy Joan Armstrong opuściła stację kolejową, dostrzegła go natychmiast. Ubrany w dżinsowe spodnie i kurtkę opierał się o drugą latarnię uliczną przy Ailesbury Gardens, ich zwyczajowym miejscu spotkań. Uliczka biegła równolegle do torów i zazwyczaj była niezwykle cicha. Oglądając się za siebie, by sprawdzić, czy nikt za nią nie idzie, Joan przebiegła przez metalową kładkę na drugą stronę torów.

Goon zdawał się bardziej nerwowy niż zwykle, strzelał brązowymi oczami na wszystkie strony i co rusz oblizywał wąsy. Mijając go, upuściła torbę i zaczęła niezgrabnie zbierać z chodnika podręczniki.

- Nie mogę teraz iść. Czekają na mnie w domu.

Goon bezceremonialnie złapał ją za ramię i zaczął ciągnąć.

- Puszczaj, skurwielu, słyszysz? Puszczaj mnie!

Goon nie puszczał.

- Mo też czeka - ostrzegł. - Chce tylko porozmawiać.

Nagłym szarpnięciem Joan oswobodziła się z uścisku i aż zatoczyła na pochyły płot. Odgłos czyichś kroków otrzeźwił ich, lecz tylko Goon przybrał obojętny wyraz twarzy. Przeszedł koło nich starszy pan, otwarcie gapiąc się na oboje. Zatrzymał się przy dziewczynie o spłoszonym wzroku i w szkolnym stroju w nieładzie.

- Wszystko w porządku? - spytał.

Goon posłał jej ostrzegawcze spojrzenie. Joan podniosła z ziemi torbę i oddaliła się szybko.

- Dziękuję, nic mi nie jest. Spieszę się do domu - rzuciła przez ramię.

Starszy pan zaczekał, aż znajdzie się na metalowej kładce nad torami, popatrzył groźnie na Goona i szurając, poszedł w swoją stronę. Joan Armstrong, będąc już po przeciwnej stronie, usłyszała, jak Goon krzyczy do niej:

- Spotkamy się jeszcze! Mo musi z tobą pomówić!

Pędem ruszyła ku domowi.

## Godzina 18.10

Jim Clarke zebrał członków ekipy dochodzeniowej w sali narad posterunku w Sandymount. Ciężkie, burzowe chmury przeniosły się nad Morze Irlandzkie, nad wciąż mokrym Dublinem zaświeciło słońce.

- Istnieje prawdopodobieństwo, że w zabójstwo Jennifer Marks jest zamieszany ktoś jeszcze. - Twarz miał spiętą, wyglądał na mocno zdenerwowanego. - Nasi technicy uważają, że Kelly mógł być z kimś w zмовie. Dlatego musicie wrócić na ulice. Ktoś może mieć niezły ubaw, obserwując, jak zwalamy wszystko na tego czubka. - Wskazał końcem laski na nierówno zapisaną tablicę. - Przeczytajcie uważnie wszystkie punkty. Większość tego rodzaju przestępstw popełniają osoby, które się wcześniej znały... - Zamilkł na moment.

- Przyjrzyjcie się stylowi życia tej dziewczyny i zadajcie sobie te same pytania co w pierwszej fazie śledztwa. Ale tym razem zróbcie to dobitniej. - Pokuśtykał na drugą stronę tablicy.

- Co zdarzyło się tamtej nocy? Kto mógł popełnić tę zbrodnię? Czy miała coś na tyle cennego, by warto było dla tego zabić? Czy psychopata, który musiał się wyżyć, zabił ją tylko dlatego, że znalazła się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie? - Clarke przyglądał się długopisom śmigającym po kartkach notesów. - Technicy uważają, że Kelly nie posiada wystarczającej ilości szarych

komórek, aby zrozumieć, iż należy ukryć ciało po dokonaniu zabójstwa. Zatarcie za sobą wszystkich śladów przekracza jego zdolność pojmowania.

Ktoś roześmiał się, ale zaraz umilkł.

- Przesłuchajcie raz jeszcze gapiów zza ogrodzenia - ciągnął komisarz - dzieciaki ze szkoły, które zgłosiły się same, i barmanów w pubie Balfe's. Zapytajcie, czy nie widzieli kogoś oprócz Kelly'ego. Potrząśnijcie nimi, jeśli trzeba.

Gdy policjanci wychodzili prosto w blade światło dnia, Clarke wydał ostatnie polecenia. Wysłał Molloya do Joan Armstrong.

- Dowiedz się, kto jeszcze był w tym pubie. Kim był ten jej diler? Zapytaj o niebieskie tabletki. Sprawdź, skąd miała pieniądze na narkotyki. Wgryź się w to głębiej.

Molloy ruszył w stronę drzwi z marsową miną, ssąc kolejną pastylkę antycydu. Komisarz odwrócił się do swojego ochroniarza.

- Zmiana planów, Mossy. Wracamy do parku.

W bocznych uliczkach dzielnicy Sandymount ruch uliczny był wyjątkowo słaby, nawet jak na wczesny wieczór. Koty rozgrzebywały worki ze śmieciami, a psy obwąchiwały latarnie i słupy telegraficzne. Rosnąca temperatura sprawiła, że ziemia zaczęła parować, wokół kałuż pojawiły się setki owadów. Okolice parku obfitowały w stylowe drogie domy zamieszkałe przez porządną obywateli. Pojawienie się sporych sił policji zburzyło spokój tego miejsca. Mieszkańcy okolicy obserwowali z nieukrywaną niechęcią ponowną ewakuację parku, z którego mundurowi usuwali joggerów i spacerowiczów. Clarke ignorował ich spojrzenia, siedząc na tylnej kanapie nieoznakowanego

radiowozu. Gdy wyprowadzono ostatniego protestującego bywalca parku, ruszył z wolna w stronę miejsca zbrodni. Kavanagh szedł kilka kroków za nim. Policjanci zajęli wyznaczone pozycje wokół parku, tkwili na nich z wielce znudzonymi minami. Komisarz zatrzymał się przy fragmencie trawnika, na którym siedem dni wcześniej odebrano komuś życie. Wkręcił końcówkę kuli w rozmiękłą ziemię, potem oparł się mocno na jej uchwycie, marszcząc brwi.

Łagodny wietrzyk unosił mu splątane włosy, gdy usiłował odgadnąć, jak wyglądały ostatnie chwile życia tej dziewczyny. Czy krzyczała? A jeśli tak, jak głośno? Czy ktoś to słyszał? Jakim cudem ubranie Kelly'ego było upaprane jej krwią? Zmienił pozycję, odwracając się w stronę odległej o trzydzieści jardów altany. Czy ktoś ukrył się w niej i stamtąd zaatakował? Nie! Gdzie udał się domniemany napastnik po dokonaniu zabójstwa? Nikt nie widział drugiej osoby wychodzącej z parku. Clarke przypomniał sobie słowa Molloya mówiące o ukrytym przejściu po drugiej stronie drzew i gęstych zarośli. Gdy wiatr poruszył listowiem, komisarz dostrzegł za nim ceglana ścianę budynku stojącego przy sąsiedniej ulicy. Wiatr przycichł niemal natychmiast, a gałęzie na powrót zakryły ceglasty mur. Tylko na moment. Kolejny podmuch znów go odsłonił.

- Móssy.

Kavanagh spojrzał na niego.

- Sprawdź tamtą stronę.

Komisarz wyszarpnął kulę z ziemi i ruszył w kierunku zarośli, w których złożono tamtej nocy ciało Jennifer Marks. Niekoszona trawa zostawiała mokre ślady na jego butach. Przyklęknął, by przyjrzeć się

lepiej gałązkom. Powęszył w powietrzu, potem rozdrobnił w dłoni grudkę mokrej ziemi. Pająki zdążyły rozpiąć świeże sieci. Krople deszczu znów tańczyły na cieniutkich niciach.

Obrócił się szybko, gdy kątem oka zauważył jakiś ruch. Gałęzie drzew pochyliły się po kolejnym podmuchu wiatru, odsłaniając ceglany mur. Ulewa zmieniła pylistą ziemię w gęste błocko, ciężkie krople spadały z liści prosto na ramiona Clarke'a, gdy przedzierał się z trudem przez zarośniętą ścieżkę prowadzącą na uliczkę za parkiem. Kilka minut później komisarz stał już przed wejściem do apartamentowca i wielkimi granitowymi głazami.

Kavanagh dołączył do niego po chwili, udając spore zainteresowanie.

- Widzi pan coś, szefie?

Clarke pokręcił głową. Pokuśtykał wzdłuż drogi, za skrzynkę, w której znaleziono plecak Jennifer Marks. Spoglądał w okna i na drzwi, zastanawiając się, który budynek widział z terenu parku. Wszystkie były bardzo podobne do siebie, uznał, zatrzymując się pięć minut później.

- Sprawdźcie każdy krzew i gałęzie wzdłuż tego szlaku.

Kavanagh zaczął wybierać numer na komórce.

- Nie powiedziała mi niczego nowego, a jej stary zagroził, że jeśli mnie tam jeszcze raz zobaczy, wezwie prawnika.

- Tony Molloy zasiadł na tylnej kanapie nieoznakowanego radiowozu, obok Jima Clarke'a.

Kavanagh wkurzał się za kierownicą. Irytowało go, że znów spóźni się do ciężarnej żony. Dochodziła dwudziesta druga trzydzieści,



zapadła noc. Samochód stał jednak wciąż obok parku Sandymount z zapalonym silnikiem, ale zgaszonymi światłami. Reflektory przejeżdżających uliczką wozów budziły cienie za głowami policjantów.

- Zarzeka się, że nie wie nic na temat innego mężczyzny. Jest pewna, że Jennifer Marks rozmawiała wyłącznie z Kellym. - Molloy streszczał ostatnią rozmowę z Joan Armstrong.

- Miała zdrowego pietra - dodał, spoglądając w stronę tylnej szyby. W brzuchu mu zbulgotało, potarł się po bolącym miejscu.

- Czego się bała? - zapytał Clarke.

- Nie wiem. Może zamieszania w śledztwo albo tego, że rodzice dowiedzą się o jej zabawach z narkotykami. Chyba że... - przerwał na moment, aby opuścić szybę i zaczerpnąć świeżego powietrza - wie coś jeszcze, ale boi się powiedzieć.

- Dowiedziałeś się czegoś o tym dilerze z pubu Balfe's?

- Nie - burknął Molloy. - Twierdziła, że go nie zna.

- A co z pieniędzmi na narkotyki?

- Kasę miały od rodziców Jennifer. Od początku twierdziła, że dawali im pieniądze na wszystko.

- Musieli jej dawać góry forsy - wtrącił Kavanagh, odwracając się do tyłu - skoro wystarczało jej na regularne zażywanie heroiny.

- Komu ta mowa - odparł Molloy z nienagannym brooklyńskim akcentem.

- Dowiedz się wszystkiego na temat jej chłopaków - naciskał Clarke.

- Tych byłych i takich, z którymi mogła dopiero kręcić.

Molloy wzruszył ramionami.

- Nie wie nic na ten temat.
- A czego dowiedziałeś się o tych tabletkach?
- O nich też nic nie wie. Wyglądała na naprawdę zaskoczoną, gdy ją o nie zapytałem.

Clarke uchylił drzwi po swojej stronie.

- Zatem nie mamy nic nowego. - Pozwolił, by lekka bryza owiała mu twarz.

- Nasienie znalezione na jej spódnicy nie pasuje do DNA Kelly'ego. Po południu dostaliśmy wyniki. Pytanie w takim razie, kto ją posuwał?

- Na pewno nie ja - mruknął z nieukrywaną zazdrością Kavanagh.

Ruszyli w ciemność po mokrej trawie. Clarke obserwował po drodze drzewa oddzielające park Sandymount od biegnącej obok uliczki. Wiatr nie był zbyt mocny, przynosił orzeźwiający chłód. Światła domów z czerwonej cegły połyskiwały zza listowia. Komisarz dotarł do zarośli i zatrzymał się na ich skraju. Czuł, jak porywy wiatru mierzwią mu włosy. Wsłuchał się w szelest liści.

- Tak, do cholery, tak...

Molloy i Kavanagh spojrzeli na niego zdziwieni.

- Czekaście - wyszeptał Clarke, jakby obawiał się złamać czar tego miejsca. - Nie ruszajcie się. - Wiatr raz jeszcze zawiął mocniej, odślaniając lśniące okna. - Sprawdziłem raporty meteorologiczne z tamtej nocy. Wiał wtedy taki sam lekki wietrzyk jak dzisiaj. Ludzie mieszkający w tamtym budynku mogli coś słyszeć. Było gorąco, więc powinni mieć otwarte okna. - Podniecenie w jego głosie było coraz bardziej wyczuwalne. - Sprawdźmy to.

- Jezu, szefie, dochodzi dwudziesta trzecia - jęknął Kavanagh.

# 30

**Godzina 17.17  
czasu lokalnego Boston,  
stan Massachusetts**

Boeing 747 linii Delta wylądował w Bostonie z godzinnym opóźnieniem, spowodowanym w głównej mierze strajkiem włoskim obsługi lotniska Logana. Frank Clancy zerkał w okno, starając się dostrzec panoramę pobliskiej metropolii, ale oślepił go blask słońca odbijającego się od wieży kontroli lotów. Jeszcze z terminalu zadzwonił do szpitala Springton, ale nie zastał swojej informatorki. Umówił się na spotkanie z nią na nazajutrz przed południem. Następnie zajął się załatwianiem noclegu w pobliskiej agencji hotelarskiej. Zrezygnował z Ritz-Carltona na rzecz o nieco tańszego Johna Jeffriesa.

- To budynek z przełomu dziewiętnastego i dwudziestego wieku ulokowany w samym sercu zamożnej dzielnicy zwanej Beacon Hills - wyjaśniła mu sekretarka. - Odnowiono go niedawno, dostosowując do obecnych standardów, nie naruszając przy tym oryginalnej bryły architektonicznej.

Clancy'emu było jednak obojętne, czy trafi do potworka ze szkła i stali. Potrzebował jedynie miejsca, w którym może wygodnie przenocować, nie narażając się przy okazji na bankructwo.

Lotnisko opuścił metrem, wysiadł na stacji Government Center i natychmiast złapał taksówkę. Dzień był parny i ciepły, pot na czole pojawiał się niemal natychmiast po opuszczeniu klimatyzowanego wnętrza. John Jeffries okazał się bardziej komfortowy, niż można było przypuszczać. Chełpił się podwójnym wytwornym salonem w nowoangielskim stylu.

- Jak długo zamierza pan u nas gościć, doktorze Clancy? - zapytała ciemnowłosa recepcjonistka.

- Tylko jedną noc.

- Strasznie krótko jak na tak daleką podróż - zauważyła, wpisując dane do księgi meldunkowej.

Clancy uśmiechnął się do niej.

- To dla mnie typowe. Całe moje życie to nieustanne pasmo pośpiechu. Ciągle jestem spóźniony, zawsze w biegu.

Recepcjonistka wyszczerzyła zęby, oddając mu paszport.

- W takim razie życzę przyjemnego pobytu.

Zauważył, że spogląda ukradkiem na jego włosy.

- Próbuję poprawić swój wygląd - usprawiedliwił się pospiesznie.

Dziewczyna pochyliła się nad kontuarem, obejrzała go od stóp po czubek głowy i wyszeptała:

- Chyba się to panu nie udało.

Clancy oblał się purpurą.

Zdziwił się, gdy w pokoju z widokiem na rzekę Charles zastał francuskie meble ręcznej roboty. Przez dłuższą chwilę przyglądał się ich niezwykłym zdobieniom. Zmęczenie lotem zmogło go jednak i opadł w końcu ciężko na miękki głęboki fotel, skąd mógł obserwować

gorączkowy ruch w korycie rzeki. Muskularne ramiona młodych mężczyzn poruszały długimi wąskimi wiosłami, wyrывая je co rusz z mętnej wody w otoczeniu delikatnej tęczowej mgiełki. Jachty o śnieżnobiałych żaglach sunęły wolno i majestatycznie, pchane lekkimi porywami wiatru, niepokojone jedynie wyższymi falami z kilwaterów przemykających obok nich motorówek. Po drugiej stronie rzeki wyrastały z wody zabudowania Massachusetts Institute of Technology. Clancy czuł coraz większe znużenie. Przeniósł się na wielkie łożo i niemal natychmiast zasnął.

Obudził go głośny brzęczyk telefonu. Pokojówka pytała, czy może już przyjść, by zaścielić łóżko na noc. Zdezorientowany rzucił okiem na budzik, zauważając przy okazji, że zrobiło się dziwnie ciemno. Okazało się, że dochodzi już dwudziesta. Mruknął coś w odpowiedzi, pospieszył pod prysznic, aby się odświeżyć, potem zmienił ubranie. Godzinę później siedział już w niewielkiej włoskiej restauracji przy Commonwealth Avenue, popijając rubinowe barolo. Czuł spory głód; pogryzając świeże pieczywo, szybko przeglądał kartę. Zamówił na przystawkę rybę, a na główne danie pastę, po czym rozsiadł się wygodnie, przyglądając się widokowi za oknem.

Przy stolikach wokół niego siedzieli studenci i nienagannie, aczkolwiek dość skromnie ubrani młodzi biznesmeni, szepczący coś w komórki pomiędzy kolejnymi porcjami parującego spaghetti. Kobiety były o wiele lepiej ubrane od mężczyzn, zauważył, i o wiele bardziej wyzywająco. Poczł nagle, że nie pasuje do tego miejsca.

- Poproszę drugą połowę tej butelki - zdecydował.
- Raz się żyje.

Kelner wyszczerzył się w uśmiechu.

- Dlaczego nie, ta noc z pewnością będzie długa.

Jakbyś zgadł, pomyślał Clancy, gdy korek wyskoczył z szyjki z cichym pyknięciem i rubinowy napój polał się do kieliszka. Był odprężony, wino zrobiło swoje. Ech, gdyby Anna i dzieciaki mogły tu być ze mną! Gdyby żona miała choć blade pojęcie, co teraz robił, na pewno spakowałyby się w jednej chwili i odeszła. Nie mógłby jej za to winić. Ileż można trwać w niepewności? Wciąż jeszcze miał czas, by to przerwać. Gdyby załapał się na pierwszy lot z rana, zdążyłby na popołudniowy dyżur. I nikt by się o tym nie dowiedział. Nagle zdał sobie sprawę, że jest jedynym samotnym gościem w tym lokalu, i to odkrycie mocno go zabolalo. Gdyby tak miał przy sobie zdjęcie dzieciaków. Wylatywał w takim pośpiechu, że zapomniał nawet o nim. Jego wzrok spoczął na zostawionym przez kogoś egzemplarzu „Boston Globe”. Mimowolnie zaczął przeglądać kolejne strony, byle tylko przestać myśleć o domu. Jedząc główne danie, podczytywał nic nieznaczące teksty o życiu w Massachusetts, dopóki nie trafił na artykuł:

## DOBRA PASSA BOSTOŃSKIEJ FIRMY FARMACEUTYCZNEJ

Bieżący rok, podobnie zresztą jak poprzedni, sektor farmaceutyczny może uznać za udany, jego udziały w giełdzie nowojorskiej wciąż rosną. Pod względem inwestycji finansowych zajmuje obecnie drugie miejsce, tuż za bankowością.

Indeks Dow Jones wzrósł od stycznia o czternaście punktów

procentowych, podczas gdy średnie ceny akcji firm farmaceutycznych zanotowały imponujący skok o dwadzieścia osiem procent. Lepszym warunkom politycznym oraz rosnącemu wciąż zapotrzebowaniu na leki i wprowadzaniu na rynki bardzo atrakcyjnych produktów towarzyszyła konsolidacja przemysłu farmaceutycznego przeprowadzana w skali światowej. Klienci posiadają obecnie o wiele większe rozeznanie w tym sektorze rynku, opanowanym przez kluczowe spółki, takie jak Smith-Kline Beecham, Glaxo, Zeneca oraz pochodząca z Bostonu firma Cynx Pharmaceuticals. Ostatnio do prasy przeciekła wiadomość, że Cynx Pharmaceuticals kończy już testy kliniczne i ma niedługo wprowadzić na rynek cudowny lek kardiologiczny. To wystarczyło, by akcje spółki poszybowały na niebotyczny poziom 19,59 \$. Analitycy z Wall Street odrzucają możliwość przejęcia Cynx Pharmaceuticals przez któregoś z gigantów farmaceutycznych.

Clancy odłożył widelec i raz jeszcze przeczytał cały artykuł. Nagle zupełnie stracił apetyt. Zniknęła także niepewność. Ostatni fragment łamigłówek trafił właśnie na miejsce. Wydarł stronę z tekstem, złożył ją i schował do kieszeni.

Po powrocie do hotelu przejrzał książkę telefoniczną Bostonu, szukając w niej działu ze szpitalami. Z mapą w ręku prześledził drogę do Springton, położonego pomiędzy alejami Brookline i Huntington, gdzie mieściło się wiele znanych placówek medycznych. Były tam szpitale Beth Israel, Brigham and Women's, Klinika Dziecięca, a nawet Centrum Zdrowia Psychicznego stanu Massachusetts i Szkoła Medyczna Harvarda. Clancy zauważył, że szpital Springton znajduje



się zaledwie dwie przecznice od instytutu Wentworth na Ruggles Street.

Położył się do łóżka, ale nie potrafił zasnąć. Wiercił się i rzucał. Kilka razy ucinął sobie drzemkę, ale niemal natychmiast budziło go walenie serca.

Jestem już tak blisko...

### **Godzina 23.37 Dublin**

- Kto tam?

Clarke, Molloy i Kavanagh stali na Mercers Road przed wejściem domu oznaczonego numerem 17. Pięć podobnych budynków dzieliło ich od końca ślepej uliczki i apartamentowca The Palms. Dwa piętra nad nimi w salonie paliło się światło.

- Kim jesteście?

Drzwi uchylły się, ale starszy mężczyzna, gdy tylko zobaczył, kto za nimi stoi, natychmiast je zatrzasnął. Molloy nacisnął raz jeszcze dzwonek, a potem podniósł kłapkę skrzynki pocztowej i zawołał:

- Proszę się nie obawiać, jesteśmy z policji!

Usłyszeli przekręcany zamek i drzwi uchylły się ponownie, tym razem tylko na cal. Nad trzymającym je łańcuchem pojawiło się podejrzliwe oko.

- Każdy może tak powiedzieć. Gdzie są wasze odznaki?

W głosie dało się wyczuć napięcie i strach. Wylegitymowali się wszyscy, a właściciel domu obejrzał dokładnie każdy dokument. Jego spojrzenie stało się jednak jeszcze bardziej podejrzliwe.

- Czego chcecie o tak późnej porze?

Molloy westchnął.

- Pracujemy nad sprawą dziewczyny zamordowanej w zeszłym tygodniu na terenie tego parku. Słyszał pan chyba o tym? To była Jennifer Marks. Córka tego znanego kardiochirurga.

Podejrzliwe oko nawet nie mrugnęło.

- Byliśmy w parku i zauważyliśmy, że u pana pali się światło. - Policjant spojrział w górę, oko zza drzwi zrobiło to samo. - Zastanawiamy się, czy ktoś mógł być tamtego wieczora w tym samym pokoju. Może usłyszał coś ciekawego? Nie musi pan nas wpuszczać do środka. Chcemy tylko usłyszeć odpowiedź.

Łańcuch zagrzechotał i drzwi stanęły otworem.

- Wybaczcie, panowie - powiedział podejrzliwy właściciel domu - ale od czasu tego morderstwa nikt w okolicy nie czuje się bezpiecznie.

Niski, lekko przygarbiony, łysy mężczyzna uspokoił się nieco. Miał na sobie szlafrok w szkocką kratę i wyłożone futrem kapcie. Z bocznej kieszeni sterczała mu dymiąca wciąż fajka, wokół niej na materiale widać było odbarwienia od tytoniu. Od momentu otwarcia drzwi mężczyzna ten zaczął zachowywać się pewniej.

- Zostawiam tam światło każdej nocy. To taki środek zapobiegawczy przeciw włamywaczom. Nikt nie korzysta z tego pokoju. Jest pusty.

Molloy uśmiechał się jak przed chwilą, ale stojący za nim komisarz zaklął szpetnie pod nosem.

- Mieszkam tutaj sam, tamtej nocy niczego nie słyszałem. Nie miałem pojęcia, co wydarzyło się w parku, dopóki nie przeczytałem o

tym w gazetach.

- W takim razie przepraszamy za najście - odparł Molloy, wciąż uśmiechnięty. - Gdyby coś się panu jednak przypomniało, proszę nas powiadomić.

Drzwi zatrzasnęły mu się przed nosem.

Klnąc w żywe kamienie, policjanci dotarli do końca ślepej uliczki. Tam usłyszeli za sobą wołania staruszka. Stał w drzwiach, jedną ręką przytrzymując szlafrok pod szyją, drugą machając, aby zwrócić na siebie uwagę.

- W tym apartamentowcu mieszka młodzieniec, który mógłby panom pomóc. Jest trochę upośledzony, ale prowadzi coś w rodzaju dzienniczka, w którym zapisuje wszystko, co dzieje się w okolicy. Może on coś zauważył?

- Pod którym numerem go znajdziemy? - odkrzyknął Clarke.

- Chyba pod siódemką. Tak, jestem pewien, że pod siódemką. To mieszkanie od frontu, tam gdzie widać zapalone światła. Spróbujcie numer siedem.

- Wiem, że nie powinniśmy niepokoić go o tej porze.

Molloy przedstawił całą trójkę, potem przeprosił za tak późną wizytę, a na koniec spróbował szczęścia, pytając o młodzieńca, który spędza większość dnia, przesiadując w oknie. Mówił do domofonu umieszczonego obok zamkniętych drzwi frontowych apartamentowca. Kobieta, z którą rozmawiał, wypytywała go jeszcze przez całe pięć minut, zanim poleciła policjantom cofnąć się na środek ulicy, aby ich dokładniej obejrzeć z okna na piętrze. Siwowłosa damulka w granatowym dresie kazała im się nawet odwrócić. W końcu ustąpiła i

poprosiła do środka Clarke'a. Molloy i Kavanagh przyglądali się z zewnątrz, jak gnębiła komisarza na spótkę z mniej więcej sześćdziesięcioletnim sąsiadem z parteru. Mężczyzna ten najpierw bacznie przyglądał się stojącemu na zewnątrz, potem nalegał, by Clarke zadzwonił na komendę (sam wykręcił numer), a po wysłuchaniu jego rozmowy z oficerem dyżurnym zaczął zadawać masę podchwytliwych pytań. Usatysfakcjonowany, zaprosił Molloya i Kavanagha i zaprowadził ich pod siódmką.

- On nie sypia nocami - obwieściła podenerwowana kobiecina. Jej dres śmierdział dymem papierosowym.

- Nigdy? - zagaił komisarz, pragnąc nawiązać rozmowę.

- Z rzadka. Przez ten wypadek całkiem mu się popieprzyło ze spaniem. Potrafi drzemać całe dni, a w nocy nie zmruży oka.

- To musi być bardzo kłopotliwe.

- To koszmar - jęknęła kobieta, wpuszczając całą trójkę do pokoju.

Znajdowały się tam sofa, dwa fotele z wysokimi oparciami i wielki szerokoekranowy telewizor w kącie. Niewielki stoliczek do kawy pokrywał stos czasopism. Na błękitnym dywanie widać było wiele punktów wypalonych żarem z papierosów. Mdlący zapach dymu dało się wyczuć nawet teraz.

- Macie ochotę na fajkę?

Żaden z nich nie miał.

- Ale nie będzie wam przeszkadzało, jeśli sama zapalę? Nazywam się Annie, Annie Carton.

Nie przeszkadzało im, więc zapaliła.

- Syn ma dwadzieścia pięć lat, ale w szpitalu mówią, że przez ten

wypadek zatrzymał się w rozwoju psychicznym na poziomie przeciętnego dwunastolatka.

Kobiecina zaciągnęła się mocno papierosem bez filtra i zakaszła lekko, zanim opadła na jeden z głębokich foteli, wypuszczając z płuc chmurę dymu. Goście spojrzeli w tym czasie na sofę i natychmiast pożałowali, że pokój jest tak mały. Kavanagh popatrzył znacząco na Molloya, za plecami szefa.

- Ma problemy z mówieniem i poruszaniem. Ale nie ma kłopotów ze zrozumieniem, gdy się do niego mówi - dodała Annie z nieszczęśliwą miną. - Nic nie umknie jego uwadze.

- Rzuciła wypalonego w połowie papierosa.

- Co się stało? - zapytał Clarke.

- Koszmar każdego rodzica. Wraciał do domu ze szkoły na motorze i skręcił tuż przed jadącym z przeciwka samochodem. Miał tak poranioną głowę, że przez pewien czas byliśmy pewni, że musi umrzeć. Ale doktorzy nie poddali się i wyciągnęli go z tego... - Zamilkła na moment, jakby przypominała sobie tamte chwile, a potem szybko zapaliła kolejnego papierosa i zaciągnęła się nim mocno. - Rehabilitacja trwała wiele miesięcy, stracił przy tym całkowicie pamięć - podniosła głos. - Nie pamiętał nawet własnych rodziców. W takim stanie nam go oddali. Czasami myślę, że lepiej byłoby, gdyby wtedy umarł. - Oparła czoło na odwróconej dłoni i wpatrzyła się z rezygnacją w podłogę.

- Rozumiem, że chłopak spędza większość nocy, wyglądając przez okno? - wtrącił natychmiast Clarke.

Annie spojrzała na niego.

- Tak. I zapisuje wszystko w swoim dzienniczku. Robi tak, odkąd przywieziono go do domu. W tym pokoju znajdzie pan dokładny czas przejazdu każdego pociągu i autobusu, nie wspominając o przelatujących samolotach.

- Czy możemy porozmawiać z nim przez chwilę?

- Wydaje mi się, że taka nagła odmiana może mu się dobrze przysłużyć. Śmiało, tylko mi go za bardzo nie maglujcie.

Clarke przyrzekł, że tego nie zrobią. Annie Carton zaczęła odpalać kolejnego papierosa, ale zrezygnowała zaraz i rzuciła paczkę na stoliczek do kawy.

- Mówcie do niego Danny.

Danny Carton siedział wyprostowany jak struna, opierając się na stosie poduszek podłożonych pod plecy. Łóżko ustawiono tak, by jego bok przylegał do jedyne go okna w tym pokoju. Clarke zauważył to od razu. Pomieszczenie było niewielkie, miało zaledwie dziesięć stóp kwadratowych, ale umeblowano je tak, by wykorzystać tę małą przestrzeń w maksymalnym stopniu. Na ścianie wisiały półki, na których stały przenośny telewizorek, odtwarzacz CD i komputer. Na regale po lewej ustawiono książki, zajmowały każdy cal, od podłogi po sufit. Sporo było tam podręczników komputerowych i roczników piłkarskich. W przeciwległym rogu pokoju leżał równy stosik rozkładów jazdy. Z plakatu na ścianie spoglądała drużyna Liverpoolu.

Danny uśmiechnął się, kiedy do pokoju weszła jego matka, ale zaraz zmarszczył czoło, dostrzegłszy postępujących za nią niepewnie trzech mężczyzn.

- Spokojnie, Danny - odezwała się matka. - Panowie policjanci chcą

tylko z tobą porozmawiać o twoim hobby.

Przez twarz chłopca przebiegło zdziwienie.

- No wiesz, o tym prowadzeniu statystyk wiążących się z okolicą. - Annie Carton mrugnęła konspiracyjnie do Molloya. - Danny nazywa to, co robi, statystyką analityczną.

- Odwróciła się do syna i pokazała w uśmiechu zęby, na co chłopiec wyraźnie się rozluźnił.

Clarke podkuśtykał do łóżka i opadł w jego nogach, zapadając się w materac i wywołując skrzypienie sprężyn.

- Ostrożnie - przestrzegł go Danny. - Pielęgniarka raz usiadła na tamtym końcu i trachnęła nogą.

Mówił powoli i z wysiłkiem, jak gdyby przez nos. Ten chłopiec, a może już mężczyzna, miał krótkie rude włosy, przystrzyżone tak, jakby ktoś przyłożył mu do głowy miskę na budyń i ciachnął nożyczkami wokół jej brzegu, i nalaną piegowatą twarz, w której wyróżniały się bystre i czujne oczy. Clarke, patrząc w nie, poczuł, że w tym ciele tkwi inteligentny młody mężczyzna, i serce ścisnęło mu się z bólu. Jedna strony twarzy była wyraźnie słabsza i ślina zbierała się w kąciку ust. Clarke odwrócił wzrok od kłębu zużytych chusteczek higienicznych wrzuconych do plastikowego kubeczka. Danny był ubrany w dżinsy wodomierze - kończyły się sporo nad kostką - i czarny T-shirt. W lewej dłoni trzymał długopis. Na szydełkowej narzucie leżał otwarty zeszyt w grube linie. Clarke wypatrzył bieżącą datę. Była wypisana dziecięcym charakterem pisma u góry prawej kartki. Poniżej ciągnęła się kolumna zapisków. Wskazał brodą na zeszyt.

- Też tam trafiliśmy?

Danny spojrzał w dół i szturchnął zeszyt długopisem, przesuwając go po narzucie. Następnie podniósł go i przyłożył do oczu, bardzo blisko, najwyżej na cal od twarzy.

- Ma słaby wzrok - wyjaśniła Annie, włączając lampkę. W pokoju zrobiło się tylko nieco jaśniej; ożywiły go groteskowe cienie rzucane na ściany.

- Taa - odparł Danny, ocierając świeżą strużkę śliny.

- Zapisalem was tuż przed północą.

Stojący w progu Kavanagh zaklął cicho.

- Gdyby mama wpuściła was trochę później, musiałbym zacząć nową stronę - wybuchnął wysokim, nerwowym śmiechem.

- Wszystko tam zapisujesz? - dopytywał Clarke.

- Wszystko, co sam zobaczę. Mama czasami opowiada mi, co widziała, ale to się nie liczy.

- Mógłbym zerknąć na ten zeszyt, Danny?

- Nie - odparł chłopiec stanowczym tonem.

- Och, Danny - wtrąciła się jego matka - pokaż panu zeszyt, skoro prosi. Jest policjantem. Pamiętasz, że zawsze chciałeś, bym pokazywała policji twoje zeszyty z zapisanymi numerami rejestracyjnymi samochodów? Wtedy jak jeszcze mieszkaliśmy w Rathmines?

Wyjaśniła gościom, że syn godzinami spisywał numery rejestracyjne aut stojących na czerwonym świetle przy starym kinie w Rathmines, innej dzielnicy Dublina. Mieszkali tam kiedyś w małym mieszkanku.

- Tuż potem zmarł mój mąż - dodała, chcąc być pomocna. - To, co



zostawił, plus pieniądze z ubezpieczenia pozwoliły nam przenieść się tutaj.

Molloy powstrzymał ziewnięcie i pokiwał głową ze współczuciem.

- Spojrzałbym tylko na jeden dzień - zapewnił chłopca Clarke, widząc jego niepokój.

Danny podniósł na niego spojrzenie.

- Czy chodzi o ten dzień, kiedy zginęła młoda Amerykanka?

Wszyscy zeszywnieli. Annie Carton chciała coś powiedzieć, ale zrezygnowała na widok groźnej miny Molloya. Clarke robił, co mógł, żeby nie okazać podniecenia - jedyne, co mu przyszło do głowy, to zbierać kłaczki z narzuty.

- Cóż, nie będę ukrywał, że bardzo byś nam pomógł, gdybyś coś wiedział o tamtym dniu - przyznał wreszcie.

- Na przykład o facecie wybiegającym z parku przez boczną furtkę?  
- Danny starł ręką kolejną strużkę śliny i odłożył zeszyt. Następnie wolnymi, niepewnymi ruchami dłoni zaczął przewracać kartki. Nikt się nie odzywał. Na zewnątrz przejechał samochód, wychwytyjąc światłami reflektorów grupę ludzi zamarłych w bezruchu jak relief. Danny znów uniósł głowę i przyglądał się autu, póki nie zniknęło. - To była toyota corolla - powiedział z pewnością w głosie i powrócił do dnia dzisiejszego. Zaczął pracowicie notować informacje na czystej lewej kartce zeszytu.

Annie zbliżyła się do łóżka i zaczęła wygładzać narzutę.

- Danny - poprosiła - po prostu pokaż panom tę stronę, którą chcą zobaczyć.

Chłopiec przewertował kartki wstecz.

- Poniedziałek, osiemnastego maja - mówił - niedziela, siedemnastego, sobota, szesnastego... Tamtego dnia widziałem trzy różne datsuny. - Nie przestawał przewracać kartek. - Czwartek, czternastego maja. O osiemnastej trzynaście potężny mężczyzna i młoda dziewczyna stali przy skrzynce na liczniki na Mercers Road.

Molloy nie wytrzymał.

- Zgadza się, Danny. To byłem ja i moja koleżanka. Szukaliśmy czegoś.

Danny ponownie dotknął kącika ust chusteczką higieniczną.

- To tam uczennice chowają swoje szkolne torby.

Clarke rzucił Molloyowi spojrzenie. Wyraźnie widział podniecenie malujące się na twarzy partnera. Dziennik Danny'ego Cartona okazał się nie tylko rzetelny, ale i niezwykle szczegółowy. W końcu usłyszeli:

- Poniedziałek, jedenastego maja. - Danny urwał i przytknął zeszyt do oczu. Wodząc spojrzeniem po zapisanych liniijkach, odcyfrowywał własne pismo. - Dwudziesta pierwsza czterdzieści siedem, krzyki z parku Sandymount. Dwudziesta druga jedenaście, dziewczęcy krzyk.

Serce Clarke'a zaczęło tłuc mu się o zębra.

- Dwudziesta druga dwadzieścia trzy, mężczyzna wybiega z parku przez boczną furtkę na Mercers Road.

Molloy raz jeszcze przerwał chłopcu:

- Jesteś tego pewien, Danny? Widziałeś mężczyznę wybiegającego z parku w tę stronę i pędzącego po Mercers Road?

Danny przyłożył palce do kącika ust, potem zmrużył powieki, by lepiej widzieć. Położył zeszyt na narzucie i powiedział:

- To właśnie zapisałem. - Wydawał się wyczerpany.

Clarke przesunął się na łóżku i ujął chłopca za rękę.

- Bardzo nam pomogłeś, Danny. Ale spróbuj sobie jeszcze przypomnieć, czy dziewczyna wciąż krzyczała, kiedy ten mężczyzna wybiegł. Słyszałeś wtedy coś?

Danny nawet nie zerknął na notatki.

- Nie. Wszystko nagle ucichło. Pamiętam to doskonale.

- Popatrzył na swoje pismo. - Mężczyzna odjechał w wielkim pośpiechu. Z piskiem opon.

Molloy położył dłonie na ramionach Annie Carton i ścisnął lekko.

- Znasz się na markach samochodów, Danny - powiedział. - Umiesz je wszystkie rozpoznać. Zapisalesz sobie, jakiej marki był samochód tamtego mężczyzny?

Zeszyt ponownie powędrował w górę, oczy się wyteżyły.

- Nie rozpoznałem, co to była za marka. Wyglądał na amerykana. Był kobyłasty i ciężki. I miał wielką moc silnika.

Molloy zmarszczył brwi z niedowierzaniem.

- Ale czemu amerykan?

Danny Wrzucił przemoczoną chusteczkę do kubelka i popatrzył tryumfalnie na policjanta.

- Przyjrzałem mu się dokładnie. Kierownica znajdowała się po lewej stronie.

Wtorek, 19 maja,  
godzina 8.37

Goon znowu czekał.

Joan Armstrong usiadła na metalowej ławce na stacji Sydney Parade w Sandymount. Poranne słońce przesączało się przez gęste korony drzew, ale wciąż było chłodno. Z powodu pory ruch uliczny nawet tutaj przybrał na sile i w powietrzu unosił się duszący zapach spalin. Kolejka przyjechała punktualnie, wysadzając niewielką grupę pracowników biurowych i biznesmenów. Młode kobiety nosiły letnie bluzki, mężczyźni garnitury w prążki - wszyscy starali się wyglądać niezwykle poważnie, rozmawiając przez telefony komórkowe.

Joan wsiadła do kolejki z trzema przyjaciółkami. Paplały o chłopakach, egzaminach, chłopakach, wakacjach i chłopakach. Kiedy jedna z dziewcząt zaczęła się skarżyć na trądzik, pozostałe poddały ją inspekcji, udzielając rad. Zachowywały się jak zwykle nastolatki. Nawet Joan Armstrong. Dopóki nie zobaczyła Goona. Nagle pojawił się w tym samym wagonie i zaczął się na nią gapić, kołyszając lekko w rytm turkotu kół. Czubkiem języka dotykał koniuszka wąsów. Joan starała się nie patrzeć w jego stronę. Przesiadła się na fotel naprzeciwko, żeby mieć go za plecami. Ku zaskoczeniu koleżanek wdała się w dyskusję na temat hokeja - gry, której nie cierpiała. Goon

przeszedł środkiem wagonu i zatrzymał się, kiedy znów ją widział. Uśmiechał się kącikiem ust, czego Joan także nie znosiła.

Kolejka wjechała na stację Blackrock, gdzie dziewczęta ze szkoły Bractwa Różańca Świętego codziennie wysiadały. Joan zaczęła przepychać się do wyjścia, lecz naraz ktoś złapał ją mocno za nadgarstek. Usiłowała się wyrwać, lecz uścisk nie zelżał. Znalazłszy się na peronie, Goon odciągnął ją na bok.

- Mo chce porozmawiać, Joan. Przysłał mnie po ciebie.

Zauważył, że pozostałe dziewczęta mu się przypatrują, i puścił rękę Joan. Kiedy to zrobił, odbiegła od niego, głośnym śmiechem tuszując paralizujący ją strach.

- Co za złamas! - krzyknęła, dobiegłszy do koleżanek ze szkoły. - Jeszcze jeden pismak, który chce zrobić karierę na śmierci Jennifer.

Dziewczyny pokazywały go sobie palcami, szydząc. Odszedł w przeciwnym kierunku, zaciskając z gniewu pięści. Żadna z nich tego nie widziała.

## **Godzina 10.12**

- Nie jest jeszcze gotowy.

- Musimy z nim pomówić.

- Możecie sobie do niego mówić, ile chcecie, ale nie gwarantuję, że odpowie coś z sensem.

Jim Clarke rozmawiał przez telefon z Patrickiem Dillonem.

- Mamy zeznanie, z którego niezbitie wynika, że w grę wchodzi drugi mężczyzna. - Clarke starał się tłumić podniecenie przebijające z

jego głosu. - Ktoś wybiegł z parku i odjechał samochodem o potężnym silniku. Pańska teoria znajduje potwierdzenie w faktach.

- Miło mi to słyszeć.

- Jak na razie pański pacjent jest jedynym zatrzymanym podejrzanym. Jeśli to się nie zmieni, nie wyjdzie z więzienia do końca życia.

- Nie wyjdzie ze szpitala do końca życia - odruchowo poprawił go Dillon.

- No więc możemy z nim porozmawiać czy nie? - Desperacja Jima Clarke'a rosła z minuty na minutę.

- Tylko w mojej obecności - zaczął ustalać zasady psychiatra - i tylko jeden z was.

- Zgoda.

- Żadnych długopisów ani kołnotatników. Jeżeli chcecie mieć zanotowane, co powiedział, użyjcie dyktafonu.

- Nie ma sprawy.

- Albo jeszcze lepiej - poprawił się Dillon po namyśle - użyjcie tych nierzucających się w oczy mikrofonów. Jak was tu zobaczy ze sprzętem, za sprawą swojej paranoi może uznać, że chcecie nagrywać jego myśli.

Clarke pospiesznie notował instrukcje na kartce.

- Coś jeszcze?

- Będziemy musieli improwizować. Wciąż jest niespokojny i nerwowy. Być może coś sobie przypomni, być może nie.

- Rozumiem.

Ruch uliczny w północnych dzielnicach Dublina był wolniejszy niż

zazwyczaj z powodu wykopów pod nowe rury z gazem ziemnym. Tuż przed zjazdem na autostradę prowadzącą ze stolicy na wieś ogromna kopara przesypywała piach z jednej dziury do drugiej, zajmując trzy czwarte jezdni. Siedzący na tylnej kanapie wozu Clarke i Molloy przyglądali się temu z rosnącą niecierpliwością.

- Można by pomyśleć, że wyczekali z tym aż do dzisiaj, żeby zrobić nam na złość - poskarżył się Molloy.

- Dobrze, że przynajmniej jest sucho - odezwał się z fotela kierowcy Kavanagh, usiłując przekrzyczeć warkot koparki.

Ranek rzeczywiście wstał jasny i słoneczny. Przyjemne ciepło dość szybko przegoniło nocny chłód. Zapowiadała się naprawdę piękna pogoda.

W celi szpitala Rockdale Micko Kelly klęczał na końcu pryczy i wpatrywał się pomiędzy gęstymi kratami w widok za oknem. Prawą ręką badał jeża na głowie i drapiący zarost na brodzie. Czuł głód i pragnienie - pierwsze oznaki powrotu do normalności. Miał na sobie szpitalną piżamę, czystą i tylko trochę na niego za dużą. Stał nogami na pryczy, żeby zobaczyć więcej, i westchnął głęboko. Tak bardzo chciał się znaleźć z dala od tej ciasnej celi. Kiedy zachciało mu się sikać, starym zwyczajem skierował się do umywalki, mimo że w kącie stała muszla klozetowa. Przyglądał się swemu odbiciu w lustrze nad umywalką, nie umiejąc uwierzyć w przemianę, która się w nim dokonała. Prawie się nie poznawał. Jego długie tłuste włosy zniknęły, podobnie zarost, jeśli nie liczyć krótkich włosków na brodzie, które zdążyły urosnąć przez noc. Oczy miał pożółkłe i zapadłe. Przypatrzył się swoim dłoniom i zauważył, że paznokcie ma czyste i krótkie.

Zadziwiająco krótkie i czyste. Na moment zrobiło mu się miło, później jednak poczuł zmieszanie, a wreszcie podejrzliwość. Gdzie się podziały jego włosy i paznokcie? Kto mu je zabrał? I dlaczego? Szurając, zaczął przemierzać krótki odcinek między drzwiami i ścianą - musiał robić ostry w tył zwrot, ilekroć stanął pod murem. Nagle w zamku zachrobotał klucz i Kelly usiadł raptownie na pryczy.

- Twoje śniadanie. - Dobrze zbudowany strażnik wepchnął do środka wózek na kółkach i przeniósł plastikową tacę na pryczę. - Teraz zostawię drzwi otwarte, żebyś mógł wchodzić i wychodzić wedle woli. Tylko bez narkomańskich wygłupów, takich jak wczoraj - dodał.

Kelly nawet na niego nie spojrzał. Strażnik wzruszył ramionami i zabrał wózek do następnej celi. Wtedy Micko przyjrzał się tacy. Śniadanie było takie samo jak w większość dni tutaj. Płatki kukurydziane w plastikowej misce, które należało zjeść plastikową łyżką. Plastikowy dzbanuszek z mlekiem. Posmarowany masłem tost na plastikowym talerzu. Plastikowy pojemniczek z marmoladą, którą trzeba było nałożyć na tost za pomocą plastikowego noża.

Głód popychał Kelly'ego do działania, ale powstrzymywał go strach. Dzień wcześniej przeżył prawdziwe piekło. Kiedy zajrzał do miski z płatkami kukurydzianymi, zobaczył twarz. W dodatku nie jedną, tylko wiele twarzy. Ale każda z nich wyglądała identycznie. Na każdym płatku widniało oblicze młodej dziewczyny. Jej usta były otwarte, jakby do krzyku. Miała ciemne włosy. Nie był to nikt, kogo by znał, ale zarazem nie był to też ktoś zupełnie obcy. To go jeszcze bardziej zaniepokoiło. Ignorował miskę z płatkami kukurydzianymi,



dopóki głód nie owładnął nim całkowicie. Unikając patrzenia na zawartość miski, przelał do niej mleko z dzbanuszka. Tylko że z dzióbka pociekła krew. Ciepła, pieniaca się, gęsta, lepka krew. Chciał wrzeszczeć, ale nie mógł, bo głos uwiązł mu w gardle. Krew zalała twarzą w misce z plastiku, zawirowała nimi. Twarze z ustami otwartymi jak do krzyku, należące do ciemnowłosej dziewczyny, zostały pokryte równo krwią. Mimo to Kelly podniósł miskę do ust i nabrał zawartości na łyżkę.

Skosztuj jej krwi.

Wrzasnął i oblał się mlekiem z płatkami.

- Jestem cały w niej! - Wybiegł na korytarz, szarpiąc za pizamę i otrząsając się z poprzyczepianych farfocli. - Jestem cały w jej krwi!

Zdarł z siebie pizamę i usiadł nagi w kącie, niemal od razu zwijając się w kulkę. Uspokojenie go zabrało strażnikom czterdzieści minut.

Dlatego teraz Kelly nader ostrożnie podchodził do przyniesionego śniadania. Zerkał do miski z płatkami, spodziewając się, że zaraz ujrzy w niej twarze. Tymczasem w plastikowej misce były tylko płatki kukurydziane, nic więcej. Zmusił się, żeby zajrzeć do dzbanuszka, i z ulgą stwierdził, że zawiera bielutkie mleko. Pochłonął śniadanie, zachwycony jego normalnością. Nawet głosy w jego głowie jakby przycichły, stały się mniej natarczywe i przerażające. Omamy zanikały, chociaż paranoja nie dawała za wygraną. Opuszczając celę, nie przestawał oglądać się przez ramię.

Rozmów unikał jak ognia i tylko kiedy musiał, odpowiadał „tak”, „nie” albo „odpierdol się”. Pacjenci postawili na nim krzyżyk i wrócili do rozprawiania o swoich szalonych pomysłach między sobą.

Strażnicy powoli zaczęli zauważać poprawę, a Kelly bez protestów przyjmował neuroleptyki i leki zastępujące mu narkotyki. Jego stan się stabilizował. Z chwili na chwilę wyglądał coraz lepiej.

- Musimy porozmawiać - oznajmi! Patrick Dillon, przysiadając na brzegu jego pryczy i starając się nawiązać kontakt wzrokowy.

Oczy Kelly'ego latały w górę i w dół, i na boki - wszędzie, byle tylko nie skupić się na mężczyźnie naprzeciwko niego.

To nie jest twój przyjaciel, Michaelu. Ten człowiek chce skraść ci umysł.

Kiedy Dillon nachylił się ku niemu, Kelly odskoczył jak oparzony. Spełzył z łóżka i skulił się w kącie, zakrywając ramionami kolana. Bardzo chciał się zwinąć w kulkę.

- Odpiardol się - wymamrotał.

Dillon odczekał parę chwil.

- Michael, musimy porozmawiać. Stało się coś strasznego i niewykluczone, że byłeś w to zamieszany.

- Odpiardol się.

Dillon dał sobie kolejne pięć minut. Dochodziło południe. zaproponował, żeby spotkanie odbyło się o dwunastej w ogrodzie, gdzie jak sądził, Kelly poczuje się mniej spięty. Od strażników usłyszał, że nie ma co liczyć na cud w postaci współpracy pacjenta. Nie byli zachwyceni tym ponaglaniem. Do celi zajrzał promień słońca. Tego dnia na przemian świeciło słońce i niebo zasnuwały grube chmury. Było jednak ciepło.

- Chciałbyś odetchnąć świeżym powietrzem? Pochodzić po słońcu, rozruszać się trochę?...

Kelly po raz pierwszy spojrział na niego. W jego oczach czaiła się mieszanina podejrzliwości i nadziei. Nic jednak nie powiedział. Psychiatra wstał, przeciągnął się i ziewnął. Podeszedł do zakratowanego okna i wyjrzał przez nie.

- Tam jest wspaniały ogród. Chodźmy na spacer. Rozprostujemy nogi, poopalamy się. Posiedzimy na ławce.

- Opuścił celę i przyciszonym głosem zaczął konferować ze strażnikiem.

Kelly upewnił się, że nikt na niego nie patrzy, po czym zakradł się do okna. Zezując, spoglądał w dół na trawnik. Budynki szpitala zostały wzniesione wokół centralnego ogrodu. Oddziały rozmieszczono w czterech skrzydłach: północnym, południowym, wschodnim i zachodnim. Separatki miały okna wychodzące na ogród, a korytarze biegły od strony otaczającego placówkę muru. Ogród był całkiem spory - prawie trzysta jardów kwadratowych trawy i krzewów z fontannami, wodospadami i strumykami płynącymi w obiegu zamkniętym. Nad jednym z szerszych strumieni przerzucono jaskrawoczerwony mostek. Otoczenie zaaranżowano tak, by wzbudzało w osadzonych spokój i nakłaniało do porządku. Trawnikami opiekowali się ci spośród pacjentów, którym można było powierzyć narzędzia i kosiarki. Raz, jeszcze w latach pięćdziesiątych, popełniono w tej materii błąd i jeden z pacjentów uznany za zrównoważonego wbił widły w szyję innego pacjenta. Od tamtej pory dokładano starań, by wszystkie narzędzia były bezpieczne i pozbawione ostrych krawędzi.

Gdy Kelly przyglądał się trawnikowi, woła walki w nim słabła.

Pragnął znaleźć się na zewnątrz, poza ścianami ciasnej klitki i oddziału, z dala od znienawidzonych pacjentów z sąsiednich cel. Przyciągnął się bliżej krat, żeby zobaczyć jeszcze więcej, i nagle oślepiło go słońce. Zmieszał się i rozzłościł, nie pamiętał, czemu tutaj w ogóle trafił, i nie umiał odpowiedzieć sobie na pytanie, kiedy stąd wyjdzie. Wiele czasu poświęcił na próby przypomnienia sobie, co się wydarzyło, i rozeznania się w swojej sytuacji. Mimo że zdarzały się sporadyczne promyczki rozjaśniające mroki pamięci, głównie czuł frustrację z powodu wielkich ciemnych plam. Po prostu nic nie pamiętał. Krew zdawała się tłumić jego umysł. Gęsta, lepka, pieniąca się, tryskająca jasnoczerwona krew. Kelly nieomal czuł jej zapach.

- Idziesz? - Dillon stanął w drzwiach.

To on ukradł twoje włosy i paznokcie. A teraz chce skraść ci umysł.

Kelly spoglądał spode łba.

- Niewielu pacjentom proponuję opuszczenie oddziału - oświadczył Dillon. - Być może to twoja jedyna szansa.

- Przeszedł paręnaście kroków korytarzem i przekręcił klucz w zamku drzwi z metalowych rurek.

Podejrzliwy i wściekły Micko Kelly wyjrzał ostrożnie ze swojej celi.

- Czekaaj, skurwielu! - krzyknął. - Już idę!

Strażnik ruszył za nim, utrzymując dystans około dziesięciu kroków. Trzej mężczyźni przeszli klaustrofobicznymi korytarzami, minęli niezliczone zamykane na klucz drzwi, przeszli w pobliżu izolatek i sal do zabiegów. Wszędzie czuli na sobie spojrzenia wlepionych w nich zdumionych oczu. W końcu znaleźli się na parterze. Kiedy Dillon przestępował przez próg drzwi wyjściowych i

stawiał pierwsze kroki na trawie, Kelly zamarł, nagle bojąc się choćby drgnąć. Nieufnie przyglądał się światu za drzwiami. Strażnik czekał cierpliwie. Stawiając kroki niezwykle ostrożnie, Kelly w końcu przekroczył próg i wyszedł do ogrodu. Rozgrzane wiejskie powietrze oszołomiło go momentalnie; pociągnął nosem, próbując rozpoznać bukiet zapachów. Gdzieś z tyłu głowy dudniły głosy, ale on czuł takie uniesienie, że stłumił i okiełznał ich gniew.

Dillon przechadzał się niespiesznie w stronę kwadratowego placu wysypanego żwirem, gdzie stały dwie drewniane ławki. Usiadł na jednej teatralnym gestem mającym pokazywać, jak wielką ulgę dzięki temu poczuł. Towarzyszył mu nieodłączny cień. Psychiatra założył obie ręce za głowę i splótł palce. Wzdychając głośno, przymknął oczy i rozkoszował się ciepłem słońca. Każdemu jego ruchowi przypatrywał się z uwagą owładnięty paranoją Kelly.

- Podejdź tu do mnie. Na słońcu jest naprawdę przyjemnie.

Dillon miał wyostrzone wszystkie zmysły. Jego instynkt samoobrony nigdy nie był bardziej czujny. Ostrzegano go, aby nie ryzykował niepotrzebnie z Kellym, który wciąż był uznawany za pacjenta nieprzewidywalnego i niebezpiecznego.

Kelly już przecinał trawnik, zachwycając się śladami, które jego stopy zostawiały w zroszonej trawie. Był tylko w piżamie i znoszonych trampkach, o parę numerów na niego za dużych. Co trzy lub cztery kroki zatrzymywał się i przybierał pozycję, jakby nasłuchiwał odległego dźwięku. Później przejeżdżał dłońmi po kolącej szczecinie czaszce i brodzie i ruszał dalej.

Ta jego wyprawa odbywała się w szalenię wolnym, irytującym

tempie i nie było w niej za grosz sensu. W pewnej chwili stanął jak wryty z przekrzywioną głową i nadstawionym uchem. Kopnął ziemię jak byk szykujący się do szarży. Po czym ruszył z kopyta, dopadł do ławki naprzeciwko Dillona i zajął na niej miejsce. Obłąkańczy balet zaskoczył psychiatrę, który poderwał się lekko, lecz zaraz rozluźnił, widząc, że Kelly wystawia twarz do słońca i przymyka powieki.

Usłyszeli, że Jim Clarke nadchodzi, na długo przed tym, zanim go ujrzeli. Przestrzegło ich szuranie jednej nogi i zgrzytanie kuli na żwirze. Kelly otworzył oczy i rozejrzał się nerwowo. Natomiast Clarke przysiadł na jego ławce i wyprostował nogę na całą długość.

Uważaj na tego skurwiela, Michaelu. To nie jest jeden z pacjentów.

Paranoja powróciła ze zdwojoną siłą. Głos w głowie Kelly'ego przemówił donośniej, domagając się uwagi. Micko wstał i zaczął obchodzić ławkę dokoła, raz po raz przystając i nasłuchując. Pocierał języka obiema dłońmi. Dziwaczny pokaz trwał prawie pięć minut.

- Michael... - odezwał się Dillon.

Kelly wrócił na ławkę.

- Tak jak mówiłem, musimy porozmawiać. Ten człowiek - gestem wskazał Clarke'a - przyszedł, żeby ci pomóc.

Kelly gapił się w żwir pod stopami.

- Zanim tutaj się pojawiłeś, stało się coś strasznego. Jesteś o to obwiniany. - Dillon pochylił się do przodu, kładąc łokcie na kolanach i podpierając brodę na złączonych dłoniach. Usilnie starał się nawiązać kontakt wzrokowy z pacjentem. - Nie mamy jednak pewności, że zrobiłeś coś złego. Nie mamy pewności, czy w ogóle coś zrobiłeś. Ale byłeś na miejscu zdarzenia, to nie ulega wątpliwości.

Musisz nam powiedzieć, co tam się naprawdę stało.

Kelly nie przestawał wpatrywać się w kamyki. Znienacka zerwał się na równe nogi, potykając się, obiegł ławkę dokoła i znowu usiadł. Popatrzył wprost na Dillona.

- Odpierdol się. - Nie było w tym siły ani przekonania. Głos Kelly'ego brzmiał bardzo niepewnie.

Dillon skrzyżował nogi i odchylił się na oparcie ławki. W oddali zaterkotał silnik traktora, przestraszone kruki zerwały się do lotu. Z okien na górze spoglądali na nich szaleni mężczyźni i szalone kobiety.

- Pamiętasz coś z tego, co miało miejsce, zanim tu trafiłeś? - naciskał go Dillon. - Zamordowano młodą dziewczynę. Osiemnastolatka została pchnięta nożem w parku.

Kelly zaczął się trząść.

- Byłeś wtedy w tym parku. Dlatego wszyscy cię winią. Musisz nam pomóc. Musisz nam pomóc zrozumieć, co naprawdę się wydarzyło. - Dillon przesunął się na ławce.

- Co stało się tamtej nocy? - Przesunął się jeszcze trochę. - Co przydarzyło się Jennifer Marks?

Jennifer. Jennifer... To ta krzykaczka.

Pot zaczął się perlić na czole Kelly'ego, ręce i nogi nie przestawały się trząść. Przyłożył dłonie do ud, żeby powstrzymać niekontrolowane drżenie.

- Kto zadał cios? Kto jeszcze tam był? Na pewno to pamiętasz. Musisz sobie przypomnieć, jeśli chcesz stąd wyjść.

- Dillon rozejrzał się wokół. - W przeciwnym razie zostaniesz tu na zawsze. Nigdy stąd nie wyjdiesz.

Kelly ponownie obszedł drewnianą ławkę. Zaczął do siebie mówić - choć raczej była to mieszanina nerwowego śmiechu i wściekłego gulgotu. Oczy biegały mu na wszystkie strony. Dillon kazał mu siadać.

- Co stało się tamtej nocy? - Przytrzymał go mocno za ramiona. - Kto był tam z tobą? Kto zamordował Jennifer Marks?

Kelly spojrzął na swoje ręce. Były pokryte krwią. Czerwone krople kapały ze wszystkich palców, więc potarł nimi ubranie, próbując je wytrzeć. Nie zaznał jednak ulgi.

- Kto zamordował Jennifer Marks? - ryczał Clarke.

Umysł Kelly'ego znowu rozpadł się na tysiąc kawałków, jego ciało dygotało.

- Kto zabił Jennifer? - Ryki odbijały się echem od granitowych murów, gromadząc jeszcze więcej zaciekawionych pacjentów przy zakratowanych oknach. - Kto z tobą był?

Daj mi ten pieprzony nóż, śmieciu! Przez ułamek sekundy Micky Kelly pamiętał wszystko. Widział twarz, słyszał krzyki młodej dziewczyny. A także męskie sapanie. „Daj mi ten pieprzony nóż, śmieciu!” Zobaczył błysnięcie ostrza na tle nocnego nieba. I zaczął biec. Biegał od jednego końca ogrodu do drugiego; na krańcu trawnika, gdzie roślinność przechodziła w lity granitowy mur, próbował wspiąć się i znaleźć kryjówkę. Strażnicy uganiali się za nim przez pół godziny, nim go złapali i obezwładnili.

Clarke potrzebował znacznie mniej czasu, by zrozumieć, że ma problem. Poważny problem.



## **Godzina 12.27**

Piętnaście mil od tamtego miejsca, w swoim mieszkaniu położonym w pobliżu szpitala Mercy, Linda Speer miała walizki spakowane i ustawione w jednym kącie pokoju. Sprawdziła już bilet wystawiony na fałszywe nazwisko, mający ją zabrać z Dublina do Amsterdamu. Transakcja została dokonana, gdy walory spółki osiągnęły wartość dwudziestu dwóch dolarów i pięćdziesięciu centów. Sprzedawać. Sprzedawać. Sprzedawać. Akcje Cynx Pharmaceuticals rozejdą się jak świeże bułeczki. Wszystko miała rozpracowane do najdrobniejszego szczegółu. Wszystko z wyjątkiem Franka Clancy'ego. Nie mogła go namierzyć. To ją martwiło. Clancy wiedział zbyt dużo. Ale już nad tym pracowali, wpadli na trop. Speer sprawdziła, która godzina, potem zapaliła szóstego papierosa z kolei. Jutro o siódmej wieczorem. Wtedy będzie po wszystkim. Żegnaj, Dublinie. I pieprz się. A ty, Franku Clancy, wkrótce będziesz zimnym trupem.

## **Godzina 14.32**

- Zawężiliśmy krąg podejrzanych do tego człowieka.

Na posterunku w Sandymount Tony Molloy przedstawiał zarys sytuacji. Kavanagh i Molloy siedzieli na krzesłach. Mieli to pomieszczenie do swej wyłącznej dyspozycji i właśnie studiowali powiększenia fotografii przyklejone pinezkami do ściany. Interesujące ich zdjęcie przedstawiało grupkę gapiów wiszących na policyjnej barierze w dniu, gdy znaleziono ciało Jennifer Marks.

- Dla pewności sprawdziliśmy tożsamość tych ludzi dwukrotnie. Ten facet - czubek cienkopisu wycelował w rozmazaną sylwetkę - jest jedynym, którego tożsamości nie udało nam się ustalić. - Molloy wziął do ręki wydruk formatu A4 i przejrzał go szybko. - Obok niego stało wtedy dwoje ludzi: trzydziestotrzyletni nauczyciel szkolny i osiemnastoletnia pracownica biurowa. Są przekonani, że na głowie miał czarną perukę i nosił ciemne okulary. Nikt inny nie włożył okularów przeciwsłonecznych, nie było na tyle jasno.

- Trzeba go znaleźć - obwieścił Clarke. Stuknął kulą o brzeg krzesła.  
- Rozpuść wici. Wydrukuj jeszcze z pięćdziesiąt tych fotek i każ je rozdawać. Koniecznie musimy go namierzyć. - Puknął Kavanagha w ramię. - Jak się nazywa ten twój kumpel, reporter od spraw kryminalnych z „Posta”?

- Barry Nolan.

- Zadzwoń do niego. Powiedz, że szukamy drugiego podejrzanego. Daj mu do zrozumienia, że Kelly może się z tego wywinąć.

- Jezu, szefie - zaprotestował Kavanagh. - To jak wetknięcie kija w mrowisko. Dziennikarze oszaleją.

Clarke zbył jego obawy wzruszeniem ramion. Kuśtykając, zbliżył się do ściany i przez chwilę z nateżeniem wpatrywał się w niewyraźne powiększenia, na których widniał niezidentyfikowany mężczyzna. Zdjęcie zrobiło się ziarniste, ale jednak coś było widać. Wziął do ręki szkło powiększające i przyłożył je do oka, poddając inspekcji każdą fotografię z osobna, przyglądając się uwiecznionej grupce ludzi pod różnymi kątami. Molloy obserwował go z wyrazem rozbawienia na twarzy. Clarke przywołał go gestem.

- Widzisz, jaki jest wysoki w porównaniu z pozostałymi?

Molloy zmrużył oczy.

- Faktycznie.

- Widzisz, jak patrzy prosto przed siebie? - Palcem wskazującym przejechał od zdjęcia do zdjęcia. - Spójrz na innych. Poruszają się, rozglądają.

Molloy przyjrzał się zdjęciom, jakby patrzył na nie po raz pierwszy. Fotografie były robione klatka po klatce, więc ukazywały ruch postaci: zmianę w postawie, obrócenie głowy, uniesienie ręki do twarzy. Wszystkich z wyjątkiem jednej. Na każdym zdjęciu niezidentyfikowany mężczyzna w czarnej peruce i ciemnych okularach trwał w bezruchu. Patrzył prosto przed siebie i najprawdopodobniej nawet nie mrugnął.

- Wypłoszmy gnoja.

**Godzina 10.00  
czasu lokalnego Boston,  
stan Massachusetts**

Frank Clancy czekał na doktora Harry'ego Waltersa na piątym piętrze szpitala Springton. Cała kondygnacja przeznaczona była dla cierpiących na schorzenia krwi i Clancy natychmiast rozpoznał znany sobie układ. Jednakże tutaj duże laboratorium przylegało bezpośrednio do oddziałów, na których leczono pacjentów. Chorzy mężczyźni i kobiety rozmawiali między sobą przyciszonymi głosami; niektórzy snuli się bez celu po korytarzu, inni tkwili przykuci do stojaków z woreczkami krwi przeznaczonej do transfuzji. Clancy pozazdrościł kolegom laboratorium na tym samym piętrze - on musiał kilka razy dziennie biegać tam i z powrotem po schodach, jeśli chciał skorzystać z pomocy techników laboratoryjnych pracujących w piwnicy szpitala Mercy.

- Doktor Walters zaraz pana przyjmie. - Filigranowa czarnowłosa sekretarka wskazała mu miejsce w poczekalni.

- Napije się pan kawy?

- Nie, dziękuję. Dopiero co jadłem śniadanie. Jeśli można, poproszę szklanek zimnej wody. - Clancy nagle poczuł się źle w swoich dżinsach, T-shircie i adidasach.

Springton okazał się szokiem dla człowieka, który myślał, że wie o szpitalach wszystko. Placówka bardzo się różniła od tych, które miał okazję zobaczyć w Chicago. Kompleks medyczny był olbrzymi: składał się z trzech dziesięciopiętrowych budynków ze stali i szkła wzniesionych na niewielkiej, dwuakrowej działce. Entuzjazm i werwa personelu także wprawiały w zdumienie. Nikt tutaj nie chodził - wszyscy albo dokądś spieszyli, albo wręcz biegli. Ambulansy parkowały przed wejściem z piskiem opon. Zarówno męski, jak i żeński personel medyczny każdego szczebla nosił spodnie oraz coś w rodzaju białej tuniki. Wszyscy mieli zawieszane na szyi laminowane identyfikatory. Na twarzach większości malowały się smutek i powaga, jak gdyby właśnie ogłoszono wyjątkowe złe wieści. Po korytarzach kręcili się ochroniarze i Clancy w ciągu zaledwie pięciu minut był świadkiem wyrywkowej kontroli przez nich przeprowadzonej. Pracownicy agencji ochroniarskiej byli dla odmiany ubrani w grafitowe mundury i czarne graniaste czapki. Tylko ci z czerwonymi paskami na mankietach mieli przy sobie broń. Co dziwne, elementem stroju każdego ochroniarza była para ciemnych okularów.

Jego próby zatrzymania kogoś w tym mrowisku i pytania o drogę do gabinetu Waltersa kończyły się zaskoczonymi spojrzeniami i pospieszonymi wskazówkami. Być może dlatego zgubił się aż dwukrotnie i zjawił na oddziale hematologii trzy minuty przed dziesiątą, dysząc i pocąc się obficie. W dłoniach trzymał dużą brązową kopertę. Czekał na możliwość podania swojego nazwiska, wysłuchał, jak czarnowłosa sekretarka informuje kogoś przez telefon,

że doktor Walters jest zajęty i nie ma ani jednego wolnego okienka w kalendarzu aż do końca przyszłego tygodnia. Clancy zaczął się obawiać, że jego decyzja, by tutaj przyjechać, była jednak zbyt pochopna.

- Dzień dobry, doktorze Clancy. Miło mi pana poznać.

Harry Walters, ordynator oddziału hematologii w szpitalu Springton, robił wrażenie. Wysoki i zadbany, przypominający raczej biznesmena niż lekarza, miał stalowoszare włosy i imponujące ruchome brwi tego samego koloru, ochraniające zaskakująco jasne niebieskie oczy. Wzrok przykuwał jego wydatny pożył kowany nos, który stanowił jedyny mankament poza tym interesującej fizjonomii. Walters miał na sobie lekki granatowy garnitur i białą koszulę w czerwone paseczki, a do tego nosił szarogranatową muszkę. Z kieszonki na piersi wyzierała nieskazitelnie biała chusteczka. Jak wszyscy w tym miejscu na szyi miał zawieszony zalaminowany identyfikator z nazwiskiem. Clancy ocenił go na sześćdziesiąt parę lat, chociaż zdjęcie na identyfikatorze usiłowało przekonać patrzących, że doktor Harry Walters jest młodszy. Witając się, pokazywał zęby w uśmiechu, ale jego oczy nie przestały biegać ani na moment, nawet kiedy wymieniał uścisk dłoni z gościem.

- Otrzymał pan mój faks? - zapytał Clancy bez wstępów.

- Owszem. Chociaż muszę przyznać, że niewiele z niego zrozumiałem.

Akcent Waltersa przypomniał Clancy'emu o Danie Marksie. Głęboki, nosowy głos rodem z Nowej Anglii. Charakterystyczny sposób mówienia, polegający na przeciąganiu samogłosek. Walters

zasiadł na fotelu z wysokim oparciem ustawionym za szerokim biurkiem. Jego gabinet został umeblowany ze smakiem, spokojnie i elegancko; dominowały blade zielenie i stonowane żółcie. Niewielki bukiet ciemnoczerwonych róż umieszczonych w wysokim wazonie stanowił miły dla oka kontrast. Clancy usiadł naprzeciwko biurka, na skromniejszym krześle obitym kasztanową tkaniną.

- Spodziewałem się tego - rzekł. Położył na blacie kopertę i zaczął z niej wyjmować papiery.

Walters przyglądał się temu bez uśmiechu, marszcząc czoło.

- Na początek - podjął Clancy - proszę mi pozwolić udokumentować swoją tożsamość.

Mars na czole Waltersa jeszcze się pogłębił.

- Oto moja legitymacja wydana przez Irlandzką Izbę Lekarską. - Zdobiony tłoczeniami dokument został przesunięty po blacie w stronę gospodarza.

Walters rzucił nań jednym okiem.

- To moje prawo wykonywania zawodu wraz z potwierdzeniem, że jestem ubezpieczony na wypadek błędu w sztuce.

- Do legitymacji dołączyła zalaminowana kolorowa płytką wielkości karty kredytowej. - To mój kontrakt ze szpitalem Mercy w Dublinie, potwierdzający zatrudnienie w pełnym wymiarze godzin na etacie lekarza specjalisty hematologa.

- Na blacie znalazły się dwie kartki formatu A4 z nagłówkiem szpitala Mercy, opatrzone stosownymi pieczęciami.

- A to mój paszport.

Walters przypatrywał się wszystkiemu po kolei. Kiedy doszedł do

strony ze zdjęciem w paszporcie, obrzucił Clancy'ego szybkim spojrzeniem, zatrzymując się moment dłużej na jego fryzurze, po czym przejrzał paszport raz jeszcze, uważniej.

- Na koniec - dodał Clancy, wreszcie dostrzegając rosnące zdziwienie Waltersa - zostawiłem sobie członkostwo w Amerykańskim Towarzystwie Hematologicznym i Onkologicznym. - Urwał dla zwiększenia efektu i powiedział dobitnie: - Zostałem pasowany na lekarza w Chicago.

Walters uniósł dłoń. Poprawił się na fotelu, który zamortyzował jego ruchy.

- Doktorze Clancy, jestem niemal pewien, że nie szuka pan posady. Co sprowadziło pana do nas w takim pośpiechu?

Frank Clancy przygotowywał się do odpowiedzi na to pytanie przez cały ranek. Nie chciał zdradzić zbyt dużo od razu, a zarazem zależało mu, żeby jak najszybciej przejść do sedna. Przede wszystkim jednak musiał najpierw wybadać reakcje Waltersa, zanim rzuci się na głęboką wodę.

- Mógłby mi pan powiedzieć, czy w paru ostatnich latach na tym oddziale zauważono wzrost liczby chorych na agranulocytozę?

Walters odchylił się na oparcie fotela i przyjrzał siedzącemu naprzeciwko niego młodszemu mężczyźnie.

- Przeleciał pan Atlantyk, żeby zadać mi to pytanie?

- To i kilka innych.

- A nie można było tego zrobić w standardowy sposób? Przez telefon, faks czy pocztę elektroniczną? Lub też czytając fachową literaturę? - Walters ponownie poprawił się na fotelu. - Czy sądzi pan,



że gdybym ja chciał poznać sytuację na pańskim oddziale w Dublinie, wsiadłbym w samolot i pojawił się u pana w gabinecie w dzień roboczy, domagając się zaglądnania do archiwów?

- Nie - przyznał Clancy. - Tyle że moja prośba jest niezwykajna.

- Co do tego całkowicie się z panem zgadzam - wtrącił Walters.

- Nie mogłem ryzykować, żeby dowiedział się o niej ktokolwiek inny... - Clancy zaczął się tłumaczyć, lecz natychmiast zdał sobie sprawę, jak idiotycznie brzmią jego wyjaśnienia. - Poza tym muszę wrócić z tymi informacjami do Dublina jutro przed szóstą wieczorem.

Zadzwonił telefon na biurku Waltersa. Ordynator odebrał i przez chwilę się przysłuchiwał.

- Proszę powiedzieć doktorowi Goldsteinowi, że już kończę. I poczęstować go kawą. To wszystko, Marlene. - Odłożył słuchawkę na widełki i uśmiechnął się z przymusem.

- Ma pan pięć minut, żeby mnie przekonać.

- Dobrze. - Clancy przymknął powieki. Cienka skóra na nich drgała, kiedy się koncentrował. Boże, błagam, niech się nie okaże, że nie mam racji. Nie pozwól, żebym zrobił z siebie kompletnego durnia. - Na moim oddziale pojawia się góra jeden przypadek agranulocytozy rocznie. Zawsze udawało mi się ustalić przyczynę. Zna pan czynniki wyzwalające to schorzenie, nie muszę ich wymieniać.

- Dziękuję, że przynajmniej tego mi pan oszczędzi - bąknął Walters. Jego palce zawisły nad przyciskiem interkomu.

- W ostatnich paru miesiącach spotkałem się z trzema przypadkami agranulocytozy. Wszyscy trzej pacjenci zmarli. Nie umiem powiedzieć dlaczego. Z tego powodu rozmawiam z panem.

Walters spojrział na niego ostro.

- Przyleciał pan do Bostonu, żeby uciąć sobie pogawędkę na temat agranulocytozy, jej przyczyn i sposobów leczenia?

- Nie - odpowiedział Clancy cicho. - Przyleciałem do Bostonu, żeby się przekonać, czy tutaj także wystąpiło podobne niespotykane nagromadzenie przypadków tej rzadkiej choroby. - Pochylił się nad biurkiem i przyszpilił starszego mężczyznę spojrzeniem. - Chcę także wiedzieć, czy wszyscy chorzy umarli.

Walters splótł palce obu dłoni i potarł nimi brodę. Poprawił muszkę pod szyją i wdusił przycisk interkomu.

- Marlene, proszę mi dać jeszcze pięć minut. Przykro mi.

- Zwrócił się znów do Clancy'ego. - Doktorze – zaczął - nie wiem, jakie obyczaje panują w Irlandii, nigdy tam nie byłem. Pan jednak, szkoląc się w Stanach, musiał poznać procedury obowiązujące przy udzielaniu zastrzeżonych informacji.

Clancy nie tracił ani chwili.

- Tak, poznałem je. I zamierzam je złamać. Jestem gotów postąpić wbrew tradycji i prawu, aby uzyskać te informacje. Muszę wiedzieć, czy w tym szpitalu pojawiła się niespodziewanie duża liczba przypadków agranulocytozy i czy równie tajemniczo sytuacja wróciła do normy.

- Ale dlaczego akurat tu, w Bostonie? - dopytywał Walters. Ton wyższości zniknął z jego głosu. Ordynator wyprostował się na fotelu, jakby gość nareszcie go zaciekał. - Dlaczego nie w Chicago, skoro tam pan kiedyś pracował? Dlaczego nie w Nowym Jorku, Los Angeles czy choćby Denver?

- Ponownie sięgnął dłonią do muszki. - Czemu właśnie Boston?

Stało się, pomyślał Clancy. Czas rzucić się głową w dół. Oby dno okazało się leżeć głęboko.

- Próbuję ustalić, czy jest związek między tymi przypadkami agranulocytozy a pojawieniem się w moim szpitalu Dana Marksa, Lindy Speer i Stone'a Colmana.

Twarz Waltersa stężała.

- Pozwala pan sobie na zbyt wiele, doktorze Clancy. Zdecydowanie na zbyt wiele. - Nacisnął guzik interkomu. - Już wychodzę, Marlene. Przepróż w moim imieniu doktora Goldsteina za to, że kazałem mu czekać. Potem możesz poczęstować doktora Clancy'ego filiżanką kawy i zamówić mu taksówkę do... - urwał. - Gdzie się pan zatrzymał? A może woli pan skorzystać z transportu publicznego?

Frank Clancy nachylił się nad biurkiem i pstryknął w przycisk interkomu. Walters patrzył na to z niedowierzaniem. Twarz mu poczerwieniała z oburzenia. Chciał ponownie połączyć się sekretariatem, jednakże Clancy nie zdjął dłoni z aparatu.

- Doktorze Clancy... - rzucił z wściekłością - proszę natychmiast puść...

Clancy popchnął go lekko na fotel. Obrotowe siedzisko przekreśliło się o parędziesiąt stopni.

- Jeżeli nie uzyskam od pana tych informacji, pójdę do mediów. Samolot mam dopiero po południu, to zostawia mnóstwo czasu na udzielenie paru wywiadów dziennikarzom.

Walters gromił go wzrokiem.

- O czym pan, u diabła, mówi? Mogę pana zaskarżyć za to, co pan

przed chwilą zrobił.

- Mam to gdzieś. - Clancy wciąż spoczywał na biurku i robił, co mógł, żeby nie stracić nad sobą kontroli. - Nie po to przejechałem taki szmat drogi, żeby wrócić do domu z niczym. Potrzebuję odpowiedzi na swoje pytania.

Oczy Waltersa sypały błyskawicami.

- Nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

- Może to odświeży panu pamięć. - Clancy odwrócił kopertę do góry nogami i na blat wypadła mała niebieska tabletkę. - Poznaje pan? - zapytał.

Walters poprawił muszkę, wygładził marynarkę i wziął w dwa palce tabletkę, by jej się lepiej przyjrzeć. Dostrzegł literki CYN po jednej stronie i XP po drugiej. Odłożył pigułkę na blat i odparł:

- Nie. A teraz albo pan stąd wyjdzie po dobroci, albo wezwę ochronę.

Clancy sporo czasu poświęcił na obmyślenie wszelkich możliwych scenariuszy tego spotkania. Przewidział i to. Scenariusz numer trzy: Walters wszystkiemu zaprzecza. A zatem przyszła pora, żeby wyłożyć karty na stół.

- Doktorze Walters - rzekł, również prostując się w krześle - proszę mnie nie traktować jak pierwszego lepszego głupca. Chyba nie sądzi pan, że przyleciałem tutaj z Dublina pod wpływem impulsu? Doskonale zdaję sobie sprawę z implikacji stawianych zarzutów. Dysponuję informacjami, niezbitymi dowodami, których jeszcze panu nie wyjawilem.

- Oczywiście niczym takim nie dysponowałem. Dlatego był teraz w

Bostonie. Nadszedł czas, by zablefować. - W dodatku ktoś mnie śledził, przetrząsnął mój dom, skradł istotne dokumenty. Boję się o swoją rodzinę, o swoje życie. I nie mówię tutaj o ryzyku błędu w sztuce lekarskiej, źle postawionej diagnozy czy niedotrzymania standardów klinicznych. Mówię o zabójstwie. - Urwał, uświadomiwszy sobie, że krzyczy.

Walters podparł brodę na dłoniach. Poruszył ustami, lecz nic nie powiedział. Sięgnął ręką do interkomu, ale zrezygnował w połowie ruchu.

- O której ma pan lot powrotny? - zapytał znienacka. Clancy uniósł brwi, niepewien, do czego tamten zmierza.

Zerknął na zegarek. Była jedenasta trzydzieści.

- Lecę Deltą bezpośrednio do Dublina punktualnie o piętnastej.

- Niech pan przesunie lot - poradził Walters. Podniósł słuchawkę i wybrał numer. - Skoro chce pan tych odpowiedzi, będzie pan musiał tu wrócić po południu. - Po drugiej stronie linii ktoś odebrał telefon. - Proszę mnie połączyć z Kenem Fossem. Mówi doktor Harry Walters ze szpitala Springton. To pilne. - Objął dłonią mikrofon, czekając na połączenie. - Kenneth? Jak się miewasz? Miło mi to słyszeć. Posłuchaj, Ken, wypłynęło coś interesującego w ważnej dla nas obu sprawie... tak, tej samej, o której rozmawialiśmy wczoraj... dokładnie. - Rzucił spojrzenie ponad blatem. - Jest u mnie pewien dżentelmen, z którym powinienś zamienić parę słów. - Chwila przerwy. - Piąta po południu, dobrze?

- Walters odłożył słuchawkę i od razu skontaktował się z sekretarką. - Marlene, doktor Clancy ma zabukowany lot liniami Delta

z lotniska Logana bezpośrednio do Dublina dziś o godzinie piętnastej.

- Popatrzył na Clancy'ego, a ten potwierdził. - Przebukuj go na późniejszy, najlepiej wieczorny lot, zgoda? Powiedzmy, nie wcześniej niż o ósmej.

- Z głośniczka dały się słyszeć gniewne pomruki. Walters całkowicie je zignorował. - A, i odwołaj też wszystkie moje spotkania dzisiejszego popołudnia. Tak, wszystkie. I jeszcze jak najszybciej połącz mnie z Samem Bawdenem. Dziękuję, Marlene. - Pstryknął przycisk, przerywając połączenie, i wstał.

- Mam wiele pracy, a nasza rozmowa zajęła sporo czasu.

- Nacisnął kławkę, ale zamarł przed otwarciem drzwi.

- Pańskie groźby mnie zaniepokoiły, doktorze Clancy. Przed naszym następnym spotkaniem zasięgnę porady swojego prawnika. - Drzwi się otwarły. - Radziłbym panu zrobić to samo.

## Godzina 19.10 Dublin

Materiał Barry’ego Nolana opublikowany w „Evening Post” wywołał kryzys dochodzenia w sprawie śmierci Jennifer Marks. Główny artykuł na pierwszej stronie zdobyły liczne fotografie i wypowiedzi policjantów i pracowników szpitala, a tekst drobnym drukiem odsyłał do „dalszych rewelacji” na stronach piątej, szóstej i siódmej. Znalazło się tam kilka „nieoficjalnych komentarzy”. Tłusty nagłówek gwarantował skok sprzedaży gazety.

### JENNY: CZY BYŁ DRUGI MĘŻCZYŻNA?

Nolan opisał, jak policyjne dochodzenie w sprawie morderstwa uczennicy nagle nabrało tempa. W tekście nie zabrakło sprawozdania na temat stanu zdrowia Michaela Leo Kelly’ego, wciąż nie zrównoważonego psychicznie, ani jego fotografii zrobionych przy okazji innych aresztowań. Anonimowi strażnicy z Rockdale potwierdzali, że Micko był przesłuchiwany na okoliczność udziału drugiego mężczyzny. Inne źródło dołało oliwy do ognia, z całą stanowczością informując, że w tym samym czasie co Kelly’ego widziano też kogoś innego wybiegającego z parku Sandymount. Brukowiec pozostawiał swoich czytelników z otwartym pytaniem:

„Czy Kelly jest niewinny?”.

Nolan nie omieszkał dodać, że agencje prasowe z całego świata pilnie śledzą wypadki w Dublinie. Ekipy telewizyjne stacji Sky, CNN i dwóch innych kanałów amerykańskich rozbiły obozowisko w stolicy Irlandii, przekazując widzom na bieżąco najświeższe wiadomości. „Boston Globe” przysłał do Dublina trójkę dziennikarzy, którzy przemierzali ulice miasta, starając się rzucić na sprawę nowe światło. „Ameryka łaknie soczystych szczegółów” - tak ujął to na antenie jeden z reporterów kablówki.

Jim Clarke został wezwany na pilnie zwołane spotkanie u komendanta.

Uwięziony w samochodzie poruszającym się w ślimaczym tempie w korku niedaleko centrum miasta, wyglądał z nachmurzoną miną przez tylne okno, obserwując innych zapuszkowanych obywateli. Kierowcy i pasażerowie jedli hamburgery, kobiety poprawiały makijaż albo próbowały okiełznać rozbrykane dzieci. Jeżdżąc na tylnym siedzeniu, mógł obserwować do woli, ale im więcej patrzył, tym mniej mu się podobało. Już jakiś czas temu zdał sobie sprawę, że nieustanny ból w uszkodzonej nodze czyni go zgorzkniałym i wybuchowym. Zawsze powtarzał, że nie przejdzie na wcześniejszą emeryturę z powodu stanu zdrowia, gdyż to byłoby tryumfem półświatka. Ostatnio jednak coraz częściej się zastanawiał, czy nie powinien mimo wszystko zrezygnować. Kiedy zakończę tę sprawę, obiecał sobie, gdy samochód wjeżdżał pomiędzy ustawione na planie czworokąta budynki komendy policji, odejdę z pracy. Zaczęę spędzać więcej czasu z rodziną, zwłaszcza z Katy. Teraz ledwie ją widuję. Dorasta beze mnie.



Tak, tak właśnie zrobię; powiem im, że odchodzę po rozwiązaniu tej sprawy, jeszcze dzisiaj wieczorem.

Komendant Murphy nie był w nastroju do dyskusji.

- Siadaj, Jim. Chciałbym wreszcie zacząć.

Wskazano mu miejsce za okazałym, pociemniałym ze starości okrągłym drewnianym stołem w sali numer jedenaście. Już obecni byli: minister zdrowia John Regan i jego kolega z rządu Paddy Dempsey, minister sprawiedliwości. Komendant Donal Murphy miał na sobie granatowe spodnie i koszulę z krótkim rękawem, rozpiętą pod szyją, ale temu swobodnemu strojowi przeczyło jego zachowanie: zdawał się czymś zaabsorbowany i jakby unikał kontaktu wzrokowego z zebranymi. Dempsey był ubrany w źle dopasowany garnitur z tweedu, jego byczy kark rozsadał o numer za mały kołnierzyk koszuli. Za to John Regan prezentował się zaskakująco dobrze w luźnych spodniach i żółtym kardiganie narzuconym na ciemnoniebieską koszulę.

- Dotarły do mnie skargi na sposób prowadzenia śledztwa w sprawie morderstwa Jennifer Marks - zaczął Murphy. Równocześnie ostrzegawczo uniósł palec wskazujący, uciszając ewentualne protesty.

- Najwyraźniej przesłuchanie bardzo wzburzyło Annie Marks, do tego stopnia, że jej mąż musiał opuścić salę operacyjną i wrócić do domu. Obecnie kobieta zażywa silne leki uspokajające.

Clarke zorientował się, że z tego mogą być kłopoty.

- Dan Marks był tak rozeźlony, że złożył oficjalną skargę w ministerstwie. - Murphy po raz pierwszy od początku spotkania spojrzął na kogoś bezpośrednio. - Minister Dempsey skontaktował się

ze mną dziś rano i nie szczędził słów krytyki.

Clarke dostrzegł po drugiej stronie stołu przelotny, pełen zadowolenia uśmiech i zauważył, że John Regan patrzy wprost na niego.

- Zwołałem to spotkanie, abyśmy mogli raz jeszcze przyjrzeć się sytuacji - ciągnął Murphy, ignorując wyraz pogardy na twarzy Clarke'a. Poruszył papierami leżącymi przed nim na blacie. - Zapewniłem już obu obecnych ministrów, że dochodzenie nabiera tempa - dodał. - Michael Leo Kelly pozostaje naszym głównym podejrzanym, którego zamierzamy postawić w stan oskarżenia, jak tylko uzyskamy zgodę od naszych medyków ze szpitala Rockdale.

Clarke przysłuchiwał się słowom przełożonego z narastającą furią. Złapał obiema dłońmi za krawędzie stołu i zacisnął tak mocno, że paznokcie niemal weszły w drewno. Chciał zacząć krzyczeć, byle słowa komendanta przestały płynąć.

- W związku z tym, że dochodzenie jest już właściwie na ukończeniu, sugeruję, Jim, abyś zrobił sobie wolne. - Murphy wbił weń oczy. - Wyjaśniłem, ile miałeś kłopotów od tamtego zamachu bombowego, i minister Dempsey zgodził się udzielić ci miesięcznego dodatkowego urlopu.

W tym momencie postanowił się odezwać Paddy Dempsey. Oparł się pięściami o stół i pochyliwszy głowę, by nie patrzeć na nikogo w szczególności, wymamrotał:

- Coś mi się wydaje, że to śledztwo wymknęło się wam spod kontroli. Artykuł w dzisiejszym „Evening Post” jest tego dowodem. Ciekawe, kto był źródłem przecieku... Ta teoria o drugim mężczyźnie

to nic więcej jak tylko gadka upośledzonego umysłowo szczeniaka. My już mamy sprawcę. - Opadł z powrotem na krzesło. Drewniane nogi przesunęły się po śliskim linoleum pod wpływem nagłego impetu. - W Dublinie roi się od dziennikarzy stojących obok anten satelitarnych z niedomkniętymi jadaczkami. Jeśli to się rychło nie skończy, wyjdziemy na głupców. Widziano, jak Kelly ucieka z miejsca zbrodni. Stwierdzono, że Kelly miał na sobie krew dziewczyny. Czy trzeba czegoś jeszcze?

John Regan także zabrał głos.

- Nie podoba mi się to bębnienie o niepoczytalności podejrzanego. Podczas procesu nie będzie mowy nawet o ograniczonej poczytalności, póki ja jestem ministrem. - Obrzucił Clarke'a nieprzychylnym spojrzeniem. - Ani o miękkim psychiatrze, robiącym za obrońcę. - Urwał i nachylił się lekko, przybierając pozę zafrasowanej niewinności. - Stosujesz regularnie środki przeciwbólowe? Może leki cię oślepiają i pozbawiają zdolności trzeźwego myślenia?

Clarke nieomal eksplodował, lecz w ostatniej chwili powstrzymało go włączenie się do rozmowy Murphy'ego.

- Dziękuję, panowie. Tyle wystarczy. Komisarz Clarke nie musi znosić podobnych uwag.

Regan pokazał zęby, bynajmniej nie w uśmiechu.

- Komisarz Clarke prawie zaprzepaścił szanse Fundacji Serca. Uwziął się, żeby złożyć na ołtarzu jej personel. - Mierzył Jima wściekłym spojrzeniem. - Jutro wieczorem ma się odbyć ważna konferencja. Dwudziestomilionowy grant ma zostać przekazany na

cele szpitala Mercy. Na oczach kamer z całego świata. To będzie mój sukces i żaden naćpany nożownik nie pokrzyżuje mi szyków. Zamierzam ogłosić, że wkrótce zostaną mu przedstawione konkretne zarzuty. - Wstał.

- To dochodzenie dobiegło końca, sprawa jest zamknięta.

Wypadł z sali, zatraskując za sobą drzwi. Mamroczący pod nosem Dempsey poszedł w jego ślady. Komendant Donal Murphy zaczął zbierać papiery i pakować je do aktówki. Clarke wybuchnął. Powstrzymał się wystarczająco długo i w końcu gniew wziął nad nim górę.

- Panie komendancie, chciałbym złożyć rezygnację ze skutkiem natychmiastowym. Przedstawię ją na piśmie i dostarczę na pańskie biurko w ciągu półgodziny.

Twarz miał pobielaną z emocji. Został upokorzony bez dania racji. Czuł się zmieszany z błotem, zdradzony. To, że szef wziął go w obronę pod sam koniec, nie miało większego znaczenia. Marzył, by opuścić tę salę, znaleźć się gdzieś daleko.

Murphy postawił aktówkę na podłodze.

- Nie przyjmuję twojej rezygnacji. Zależy mi na złapaniu mordercy tej dziewczyny. Jeżeli uważasz, że w zbrodni maczał palce ktoś inny, udowodnij to przed konferencją Regana.

- Podniósł się do wyjścia. - Tylko Kelly ma pojęcie, co się wtedy wydarzyło w parku. Jesteś oficjalnie zwolniony z prowadzenia sprawy, więc bierz dupę w troki i zapierdalaj do tego mózgożrzeba Dillona. Najwyższa pora, żeby miał jakieś rezultaty.

## Godzina 20.12

W szpitalu Rockdale Patrick Dillon usilnie starał się o rezultaty. Odebrał telefon z komendy policji i został uprzedzony, co John Regan zamierza ogłosić na swojej konferencji prasowej. To wyprowadziło go z równowagi.

- Niczemu się to nie przysłuży - zauważył pod nosem.

Był świadom zainteresowania dziennikarzy. Sprawa morderstwa Jennifer Marks nadal utrzymywała się na pierwszych stronach gazet i zajmowała czołówki programów informacyjnych. Nawet akredytowani zagraniczni reporterzy coraz gorliwiej koło niej węszyli. Doszło już do tego, że jego zaangażowanie w sprawę było komentowane na falach radiowych przez tak zwanych papuciowych psychiatrów szermujących opiniami, mimo że dawno utracili kontakt z zawodem. „Psychoanalitik porąbanego ćpuna” - ochrzcił go jeden z amerykańskich brukowców. Roześmiał się, kiedy to przeczytał. Nie było mu wszakże do śmiechu, gdy jeden z prawników zaproszonych do studia telewizyjnego powiedział, iż jego zdaniem Patrick Dillon ma przykazane uwolnić Michaela Leo Kelly’ego od zarzutu morderstwa pod pretekstem ograniczonej poczytalności. A to wcale jeszcze nie było najgorsze. Jakiś amerykański ekspert od psychiatrii, który pomógł rozwikłać głośną na cały świat sprawę brutalnego morderstwa, ogłosił w czasie największej oglądalności, że Dillon przetrzymuje Kelly’ego na oddziale zamkniętym, ponieważ ma zamiar napisać o nim książkę w przyszłości. „Zupełnie jak ja” - dodał bezwstydnie. To zabolalo Patricka najbardziej. Z miejsca znienawidził

ten program informacyjny i odtąd nie mógł patrzeć na specjalistów wymądrzających się na ekranie i przypisujących mu swoje przywary. Zrozumiałe, że postanowił pracować nad przypadkiem Kelly'ego intensywniej.

Spoglądał właśnie na niego ponad kwadratowym dębowym stolikiem o powierzchni pięciu stóp kwadratowych ustawionym pośrodku sali rekreacyjnej szpitala Rockdale. Na korytarzu najpilniej strzeżonej części zakładu płonęły jasne jarzeniowe światła. Sala rekreacyjna - wbrew swojej nazwie - była zarezerwowana na rozmowy z trudnymi pacjentami. Bezpośrednio do niej przylegał pokój bez klamek, do którego trafiali wyjątkowo agresywni i niechętni do współpracy „rozmówcy”. Sala rekreacyjna była niewielkim pomieszczeniem, długim na dziesięć stóp i szerokim na dwanaście, kiepsko oświetlonym w porównaniu z holem. U sufitu wisiała słaba, czterdziestowatowa żarówka, a dodatkowo na stoliku kiwała się lampka dająca niewiele więcej światła. Dillon starannie rozłożył na blacie wycinki z gazet. Każdy z nich traktował o morderstwie Jennifer Marks, na niektórych widniały fotografie. Przesunął jeden wycinek w stronę pacjenta.

- To park Sandymount. Pamiętasz, że tam byłeś?

Kelly przyjrzał się wycinkowi. Przejechał wytatuowaną dłońią po odrastającym jeżu na głowie, potem także po kłującej brodzie.

- Y-y - zaprzeczył.

Dillon przepatrzył resztę wycinków i wybrał kolejny. Była to prawie cała pierwsza strona brukowca „Daily Post” przedstawiająca zbliżenie Jennifer Marks. Nagłówek został starannie ucięty. Kelly zerknął na

zdjęcie z pozorną obojętnością, po czym nagle zmrużył powieki. Daj mi ten pieprzony nóż, śmieciu! Głos pojawił się w jego głowie i zaraz zniknął. W Kelly'ego jakby piorun strzelił. Podniósł wycinek i zbliżył go do oczu, badając szczegóły.

- Wiesz, kim jest ta dziewczyna? - zapytał Dillon.

Micko upuścił wycinek na blat stołu.

- Y-y - powtórzył.

Dillon jednak zauważył pierwszą reakcję pacjenta.

- Zastanów się. To dla ciebie bardzo ważne. Postaraj się sobie przypomnieć. Była z tobą w parku tamtej nocy. Przydarzyło jej się coś strasznego.

Kelly potrząsnął gwałtownie głową z lewa na prawo.

- Nie. Nic nie pamiętam. Mówię przecież, że nie pamiętam niczego. Przestańcie się nade mną znęcać. Nie pamiętam.

- Odsunął się z krzesłem od stołu, zerwał z miejsca i zaczął nerwowo przechadzać po niewielkim pomieszczeniu.

Dillon bacznie mu się przyglądał.

- Wszyscy myślicie, że mam nie po kolei w głowie! - krzyknął nagle Kelly. - No to coś ci powiem. Wszystko ze mną w porządku. - Wycelował poślódką od nikotyny palcem wskazującym w prawą skroń. - Wszystko było ze mną w porządku - poprawił się - zanim tu trafiłem. Teraz otaczają mnie sami wariaci. - Ruchy miał nieskoordynowane, gałki oczne mu latały. Wargi drżały niekontrolowanie, choć nie zawsze jego usta opuszczały jakieś słowa. Rzucił się na krzesło; mebel zachybotał się w rytmie staccato. - Wyciągnij mnie z tego kurewskiego wariatkova - zażądał.

Dillon odchylił się na oparcie i zaczął nucić cicho.

- Wypuściłbym cię jeszcze dziś, gdybym nie był przekonany, że stanowisz zagrożenie.

- Nic, kurwa, nie zrobiłem! - Kelly skulił się w mroku pomieszczenia. - Słyszysz? Nie powinno mnie tu w ogóle być! To miejsce dla czubków!

Później Dillon odnotował swoje uwagi w karcie choroby:

U pacjenta następuje wolna poprawa. Omamy ustępują, stan fizyczny uległ polepszeniu ze względu na przyjmowanie pokarmów i odstawienie narkotyków. O ile pamięć długotrwała zdaje się działać bez zarzutu, o tyle wspomnienia o niedawnych wydarzeniach nadal pozostają zatarte. Pacjent odczuwa z tego powodu niepokój. Jest skłonny do nagłych wybuchów gniewu. W dalszym ciągu są u niego dostrzegalne symptomy paranoi i schizofrenii. Wnioski: poprawa nie dość ustabilizowana, by przenieść pacjenta na oddział otwarty.

Skończywszy pisać, Dillon długo siedział przy biurku i rozmyślał. Obawiał się, że chaotyczny bieg myśli będzie utrzymywał się u Kelly'ego tygodniami. Utrata pamięci krótkotrwałej była najpoważniejszym problemem -jemu także przysparzała najwięcej zmartwienia. Jeżeli ją w jakiś sposób pobudzić, przekonywał się w duchu Dillon, być może uda się dokopać do prawdy. Wtedy okazałoby się, czy Micko Kelly jest groźnym psychopatą i mordercą czy tylko szaleńcem, którego ktoś chce zrobić w morderstwo. Istnieje tylko jedna metoda, aby się o tym przekonać. Ryzykowna metoda. Źle zastosowana mogłaby zniweczyć moją dotychczasową karierę... Przeszkodził mu donośny krzyk. To Kelly protestował przeciwko



zamykaniu go na noc w celi.

Zrobię to, postanowił Dillon. Jutro. Wystarczająco wcześnie, by zdążyć przed konferencją prasową.

# 34

**Godzina 15.07  
czasu lokalnego Boston,  
stan Massachusetts**

Franka Clancy'ego zżerał niepokój. Siedział na metalowym krześle w kafeterii zachodniego skrzydła muzeum sztuk pięknych przy Huntington Avenue, przeżuwając kanapkę z ciemnego chleba z tuńczykiem. Nie miał wcale apetytu. Równie dobrze mógłby jeść papę.

Dwadzieścia minut wcześniej zadzwonił do swojej żony Anny z budki telefonicznej w gwarnym holu muzealnym.

- Gdzie jesteś, Frank? - krzyczała na niego. - Wszyscy cię szukają!

- Jak to?

- Dyrektor administracyjny szpitala pytał mnie, gdzie się podziewasz. Jest wściekły, że wzięłaś tyle dni wolnego.

- Skąd wytrzasnął twój numer telefonu?

- To ja zadzwoniłam do szpitala. Tam usłyszałam, że jesteś w domu.

Clancy wrzasnął:

- Mówiłem ci, żebyś nie próbowała się ze mną kontaktować!

- Musiałam. Dzieci chcą wracać do domu. Ja zresztą też. Wszyscy chcemy wrócić do naszego domu.

- Chryste - jęknął Clancy. Płasnął się dłonią w czoło.

- Gdzie jesteś, Frank? Co się dzieje? Strasznie się martwię, dzieciaki podobnie...

Clancy poczuł, że z uszu zaczyna mu iść para - tak intensywnie myślał.

- Jesteście w domu?

- Nie. Wciąż mieszkamy u mamy.

Ogarnęła go niewysłowiona ulga.

- Anno, posłuchaj. Na razie nie mogę ci nic powiedzieć. Ale nie ruszaj się od mamy, rozumiesz? Zostań tam, gdzie jesteś, i nie wracaj do domu.

Odpowiedziało mu milczenie. Dopiero po dłuższej chwili rozległo się niepewne pytanie:

- Frank, co się dzieje? Gdzie jesteś?

No dobra, skoro musisz wiedzieć...

- W Bostonie.

Kolejna chwila ciszy.

- Frank... - Głos jego żony obniżył się o kilka tonów. Emanowała z niego podejrzliwość. - Czego ty szukasz w Bostonie? Albo kogo? Kto tam jest z tobą?

Clancy'ego poniosły nerwy.

- Do cholery, nikogo tu ze mną nie ma! Przyjechałem na oddział hematologii szpitala Springton, żeby się czegoś dowiedzieć. - Mówiąc, Clancy zdawał sobie sprawę, jak nieprzekonująco brzmią jego słowa.

- Czego próbujesz się dowiedzieć, Frank? Czemu mnie okłamywałeś? Frank?

Jezu Chryste, czy to się nigdy nie skończy? Jeżeli jej powiem

prawdę, zawiadomi policję. Może nawet szpital. Moja kariera zawiśnie na włosku. Speer o wszystkim usłyszy. Zatrze ślady. Nie wolno mi powiedzieć prawdy.

- Anno... - rozejrzał się wokół, mając nadzieję, że nikt go nie podsłucha. - Kocham ciebie i dzieci. Tym razem musisz mi po prostu zaufać. Wiem, że to wszystko wydaje się strasznie dziwaczne...

- Tu się nie mylisz - wtrąciła gniewnie Anna.

- Wszystko ci wyjaśnię jutro, po powrocie do domu. Tylko nic nikomu nie mów, proszę. Musisz mi to obiecać.

Cisza.

- Anno, jesteś tam jeszcze?

Cisza.

- Anno, wiem, że nadal mnie słuchasz. Nie mów nikomu o niczym. I nie wracaj do domu. Słyszałaś, co powiedziałem? Nie wracaj do domu!

Cisza.

- Kocham cię, Anno. Przekaż dzieciom, że też je kocham. Ze wszystkim sobie poradzimy, jak wrócę jutro do domu.

Połączenie zostało przerwane. Popatrzył w głuchą słuchawkę i wolnym ruchem odwiesił ją na widełki aparatu.

Frank Clancy odłożył niedojedzoną kanapkę i wyszedł na zewnątrz, prosto w jasne światło popołudnia. Było ciepło i panowała duża wilgotność, więc natychmiast poczuł, jak ubranie zaczyna mu się kleić do ciała. Powinien już wracać do domu.

**Godzina 17.03**

- Doktorze Clancy, przedstawiam panu Kena Fossa. Drzwi gabinetu Harry'ego Waltersa otworzył gospodarz we własnej osobie. Ciemnowłosej sekretarki nie było nigdzie w zasięgu wzroku i Clancy zapukał, zamiast czekać beczynn timer. W środku znajdowali się już dwaj nieznani mu mężczyźni, rozmawiając głowa przy głowie.

- A to jest Sam Bawden.

Powitania i uściski dłoni były zdawkowe, jakby wszyscy obecni chcieli jak najszybciej przejść do interesów. Clancy zauważył, że ani Foss, ani Bawden nie mieli na szyi zalaminowanego szpitalnego identyfikatora.

- Ken jest radcą prawnym szpitala Springton - wyjaśnił Walters.

Ken Foss okazał się wysokim, patykowatym mężczyzną o zaczątkach łysiny, odzianym w dwuczęściowy tradycyjny garnitur. Uśmiechnął się półgębkiem i niemal od razu usiadł na krześle przy biurku.

- Natomiast Sam to szef naszej ochrony.

W odróżnieniu od Fossa Sam Bawden był smagły i krępy. Zdawało się, że ktoś go wcisnął na siłę w za małą jasną marynarkę i ciemne spodnie. Poza tym miał na sobie rozpiętą koszulę i wygodne sportowe buty. Zajął miejsce nieco z boku, na wolno stojącym krześle. Clancy'emu gospodarz podsunął wyściełane krzesło, normalnie schowane za wieszakiem na płaszcze, po czym obszedł biurko i klapnął na obrotowy fotel. Zapadła niezręczna cisza, kiedy nikt nie wiedział, od czego zacząć. Walters obrzucił spojrzeniem swoich współpracowników.

- Doktorze Clancy...

- Proszę mówić do mnie Frank - zaproponował Clancy.

- Zgoda. Zatem Frank... - Pogmerał przy muszce, poluzowując kołnierzyk koszuli. - Wyjaśniłem już obu panom, co sprowadza cię do Bostonu.

Clancy zauważył, że tamci dwaj nie spuszczaają z niego oczu. Odkąd zmienił fryzurę i chodził w nietypowych dla siebie ciuchach, zrobił się nieco przewrażliwiony.

- Są niezwykle ciekawi tego, co masz do powiedzenia - ciągnął Walters. - Aczkolwiek mnie twoje pytania zbiły z tropu dzisiaj rano. Nie wiem, jak to wygląda w Irlandii, ale my tutaj, w Nowej Anglii, bardzo uważamy na procedury. Nikt nie udziela poufnych informacji bez zasięgnięcia rady prawnika.

W tym momencie pałeczkę przejął Ken Foss. Głos miał równie drżący jak sylwetkę.

- Frank, postawiłeś dość niecodzienne zarzuty...

- Nie zarzuty - sprostował Clancy - tylko podejrzenia. Choć rzeczywiście, niewiele mi brakuje do postawienia zarzutów i powiadomienia o wszystkim policji. Potrzebuję tylko potwierdzenia.

- Rozumiem - powiedział Ken Foss. - Mimo to ciężar tych podejrzeń grozi niesłuchanie poważnymi konsekwencjami. Jeżeli się mylisz, resztę życia spędzisz na próbie obrony dobrego imienia w sądzie, co będzie cię kosztowało ostatni grosz. Nie życzymy sobie powiązania z tą sprawą, jakkolwiek nieznaczne miałyoby ono być.

- Jestem tego świadom - zapewnił Clancy. Poprawił uchwyt na brązowej kopercie, którą przyniósł. Trzy pary oczu podążyły za jego

ruchem.

- Zatem - podjął Foss - może zanim przejdziemy dalej, podzielilibyś się z nami faktami, w których posiadaniu ponoć jesteś.

Clancy przytulił kopertę do piersi.

- Nie. - Powiedział to stanowczo, lecz zarazem asertywnie.

Foss zerknął na Waltersa i Bawdena.

- W takim razie chyba tracimy tutaj czas, Frank - rzekł. Popatrzył na zegarek. - Nie chcielibyśmy, żebyś się spóźnił na swój samolot.

Do rozmowy włączył się Harry Walters.

- Przestańmy krążyć wokół siebie jak walczące psy - zaproponował i unieruchomił obrotowy fotel. - Ty potrzebujesz informacji od nas, Frank. A my chcemy dowiedzieć się czegoś od ciebie.

Clancy już wiedział, że wygrał.

- Strzelaj - zgodził się.

Walters się ożywił.

- Jaki związek mają twoje przypadki agranulocytozy z Marksem, Speer i Colmanem?

- Każdy z pacjentów przebywał na oddziale kardiologicznym, zanim wdała się choroba krwi.

Brwi Waltersa zadrgały.

- To niezwykle wątle połączenie.

- Ale to jeszcze nie wszystko - rzucił na rybkę Clancy.

- Słuchamy - zachęcił go Foss. Sam Bawden notował coś szaleńczo.

Clancy zmusił się do teatralnego wzruszenia ramion.

- Nic więcej nie powiem, dopóki wy mi czegoś nie dacie.

Walters uśmiechnął się z przymusem.

- W porządku.

Clancy zadał swoje pytanie:

- Czy stwierdziliście zwiększoną liczbę przypadków agranulocytozy w minionych kilku latach?

- Nie. - Walters położył nacisk na to słowo.

Clancy'ego zamurowało. Foss i Bawden trzymali głowy nisko.

- Nie? - powtórzył słabo Clancy. Co tu się, u licha, dzieje?

- Nie, Frank. Nie stwierdziliśmy zwiększonej liczby przypadków agranulocytozy. Stwierdziliśmy zwiększoną liczbę przypadków kilku chorób krwi. Pomiędzy nimi była agranulocytoza. A także niedokrwistość hemolityczna.

Clancy uporządkował dotychczas zdobytą wiedzę. W niedokrwistości hemolitycznej krwinki rozpadają się, czyniąc chorego niezwykle słabym. Mógł spokojnie przyjąć, że na jego oddziale także były przypadki niedokrwistości hemolitycznej. Częstym powodem tej ostatniej jest nietypowa reakcja na przyjmowany lek. Zaczął mówić, zanim całkiem się pogubił.

- Czy ten wysyp przypadków różnych schorzeń krwi was zadziwił?

- Niezwykle nas zadziwił - przyznał Walters. Fotel pociągnięty stopami podjechał na kółeczkach bliżej biurka.

Walters oparł brodę na złączonych dłoniach i utkwiał spojrzenie w Clancym. Czuł się tak, jakby lekarz z Dublina przesłuchiwał go jako świadka w sądzie.

- Zaczęliście podejrzewać, że ta zwiększona liczba zachorowań wiąże się z działalnością grupy kardiologów pracujących tutaj wówczas?



- Nie odpowiadaj na to pytanie, Harry - poradził Foss. Stał teraz przy oknie, opierając się pośladkami o parapet. - Jakie jeszcze fakty posiadasz? - Patrzył prosto na Clancy'ego.

- Podmienione akta medyczne. - Clancy włożył rękę do koperty i zaprezentował kawałek okładki skoroszytu kasztanowego koloru. - Użycie niedopuszczonego do obrotu na terenie Irlandii farmaceutyku, będącego wciąż w fazie badań.

Foss zmarszczył brwi.

- Coś jeszcze? - Jego drżący głos nabrał mocy.

- Zmiana - powiedział Clancy. Przed chwilą spojrzął na zegarek. Dochodziła szósta. Jego samolot odlatywał o ósmej. Jeśli chciał zdążyć na lotnisko, musiał wkrótce stąd wyjść. Wciąż jednak nie miał niczego konkretnego. - Co takiego dzieje się w Springton? Wiecie już, że i u was, i u nas jest podobna sytuacja. Czemu nie mamy sobie pomóc wzajemnie?

- To nie takie proste, Frank - odparł Foss. Stanął obok szefa ochrony. - My...

Clancy przerwał mu ze złością.

- Domyślam się, że wszyscy trzej słyszeliście nazwisko Chuck Henning?

W gabinecie zapadła cisza. Chuck Henning był miejscowym dziennikarzem śledczym piszącym dla „Boston Globe”. Clancy poznał jego nazwisko tego ranka, czytając artykuł o defraudacji w bostońskich kręgach finansowych.

- No więc - skłamał - rozmawiałem z nim dwie godziny temu i z tego co się zorientowałem, pan Henning z radością wysłucha mnie do

końca. Poczul pismo nosem. - Kolejny blef.

Ken Foss zaczął coś mówić, lecz wpadł mu w słowo Walters.

- Nie sądzę, żeby którykolwiek z nas chciał pójść z podobnym problemem do prasy. - Wstał i podszedł do okna. Z plecami do rozmówcy spytał: - Lubisz swoją pracę, Frank? Daje ci ona satysfakcję?

Clancy nie odpowiedział.

- Cóż, ja na pewno kocham ten szpital - ciągnął niezrażony Walters. Uchylił lekko okno i do środka wpadł przyniesiony z wiatrem odległy jazgot syreny ambulansu. - Pracuję tu od ponad dwudziestu lat. - Kiedy się odwrócił, ramiona miał zgarbione, na twarzy wyraz klęski. - Wiem, że to nie ósmy cud świata ani nawet nie szpital doskonały. Żaden szpital nie jest doskonały, wiem, bo pracowałem w wielu. - Podszedł do biurka i oparł się o kant.

Clancy usiłował dociec, czy ma przed sobą człowieka pozbywającego się ciężaru z piersi czy też raczej świetnego aktora.

- Tak czy siak - mówił Walters - to mój szpital i odwałam tutaj kawał dobrej roboty. Moi pacjenci potrzebują mnie, gdyż mogę sprawić, by przynajmniej niektórzy poczuli się lepiej, ale i ja potrzebuję ich. Ludzkie nadzieje i marzenia, rodziny i życie pacjentów są dla mnie tak samo ważne jak moje nadzieje i marzenia, jak moja rodzina i moje życie. Cierpię razem z nimi, kiedy zapadają na zdrowiu. I raduję się wspólnie z nimi, kiedy zdrowieją. - Całkiem rozwiązał muszkę i przejechał palcem wewnątrz kołnierzyka. - Kiedy ich choroba jest wynikiem woli Boga albo wypadku, albo jakiejś dziwnej infekcji, umiem sobie z tym poradzić. Ale kiedy ktoś

wywołuje chorobę dla korzyści materialnej, bardzo mnie to zasmuca.

- Urwał i przeniósł spojrzenie na Bawdena.

- Powiedz mu, Sam. Czas zakończyć tę parszywą sprawę.

Bawden zamknął notatnik.

- Doktorze Clancy - zaczął - w tym szpitalu toczy się dochodzenie w sprawie niespotykanej wcześniej liczby zgonów. - Mówił z lekkim gardłowym akcentem. - To już dawno przestała być kwestia medyczna, mamy do czynienia z przestępstwem.

Clancy poruszył się na krześle, czując ogarniające go podniecenie. Oto jego nagroda. Ken Foss wtrącił:

- Przykro mi, jeśli to, co pan usłyszy, wyda się ogólnikowe. Doradziłem daleko idącą ostrożność przy ujawnianiu tych informacji.

Bawden podjął:

- Szpitalowi grozi osiem poważnych procesów sądowych. A to zaledwie wierzchołek góry lodowej.

A więc jednak, pomyślał Clancy. Zdjął zegarek i trzymał go w lewej ręce. Było dziesięć minut po szóstej. Dodajcie gazu, w przeciwnym razie spóźnię się na samolot.

- Ktoś przeprowadził próby nowego leku bez zgody i wiedzy pacjentów. - Teraz Bawden czytał ze swojego notatnika. - Od kwietnia ubiegłego roku do stycznia ośmiu pacjentów zeszło nam na różne schorzenia krwi, w przeważającej części agranulocytozę. Każda z tych osób, nieznanych sobie wzajemnie ani temu szpitalowi wcześniej, została poddana leczeniu niezaaprobowanym lekiem będącym wciąż w fazie badań przedklinicznych. Wszystkie osiem osób zmarło wskutek reakcji na ten lek. - Podniósł spojrzenie na Clancy'ego.

- Niebieska tabletki, którą pan przywiózł, nie przypomina tych, które podano pacjentom na terenie naszego szpitala. Jednakże oznakowanie CYN wskazuje, że pochodzi z tej samej firmy farmaceutycznej.

- Cynx Pharmaceuticals? - zapytał Clancy. Kolejne klocki układanki wskoczyły na swoje miejsce.

Foss odkaslnął cicho.

- Skąd pan wie?

Clancy zignorował pytanie.

- Co wam wiadomo o Cynx Pharmaceuticals? - zwrócił się do Bawdena.

- To niewielka firma z siedzibą tutaj, w Bostonie. Przeciętna, można powiedzieć: płotka pośród rekinów przemysłu farmaceutycznego. Do czasu. Pięć lat temu wykupiło ją nowojorskie konsorcjum z ambicjami, zamierzające zmienić ten stan rzeczy. - Zamilkł i rzucił spojrzenie Fossowi. Radca prawny skinął głową. - Doktor Linda Speer była jednym z inwestorów.

Wiedziałem, pomyślał Clancy. Cholera, wiedziałem. Zaczął się wiercić na krześle.

- Z naszych informacji wynika, że Cynx Pharmaceuticals skoncentrowała się na lekach kardiologicznych - kontynuował Bawden. - W kardiologii leżą ogromne pieniądze. Firma włożyła wszystkie swoje środki w jeden produkt. Zabrakło jej jednak pieniędzy, by przeprowadzić pełnowymiarowe badania kliniczne.

- I tu wkroczyła do akcji Linda Speer i jej know-how - domyślił się Clancy.

- Nie wiemy tego na pewno - zastrzegł Bawden.

- Prowadziliśmy obserwację trojga specjalistów, kiedy nieoczekiwanie wszyscy postawili żagle i opuścili Boston.

- Naszym zdaniem zwyczajnie uciekli - wtrącił Walters. Znow siedział na swoim obrotowym fotelu. Rozwiązana muszka leżała na blacie obok jego dłoni. - Dochodzenie zacieśniało kręgi, po tym jak nabrałem podejrzeń i poinformowałem o wszystkim naszego radcę prawnego. W moim osobistym odczuciu zrobiło się dla nich za gorąco w szpitalu Springton i poszukali sobie innego miejsca.

- Mam rozumieć, że przeprowadzali te testy - podsumował Clancy, z trudem hamując gniew - mimo iż zdawali sobie sprawę z groźnych skutków ubocznych?

- Wiedząc to, co nam dzisiaj powiedziałaś - odparł Walters - możemy założyć, że tak właśnie było. Aczkolwiek wydaje mi się, że wciąż pracowali nad składem chemicznym leku, próbując trafić na skuteczną formułę kliniczną, a przy tym nieniosącą zabójczych działań niepożądanych.

- A ilu pacjentów zamierzali poświęcić, nim ta cudowna formuła odkryłaby przed nimi swoją tajemnicę?

Walters zaczął się bujać na fotelu.

- Nie wiem, Frank. Twoja obecność tutaj zdaje się jednak sugerować, że nie są jej ani o krok bliżsi.

- W dodatku - wtrącił Ken Foss - finanse Cynx Pharmaceuticals są chyba na wyczerpaniu. W środowisku słychać plotki o planowanym przejęciu przez międzynarodowego molocha. Na moje oko podbijają stawkę, pokazując sfałszowane wyniki badań. Z pewnością cena ich

akcji skoczyła niedawno na nowojorskiej giełdzie.

Clancy popatrzył na zegarek. Za kwadrans siódma. Może uda mu się zdążyć na samolot, ale będzie to niezły wyścig z czasem. Zwrócił się do Waltersa.

- Możesz mi wyjaśnić, czemu Speer asystuje przy niektórych operacjach serca? To znaczy jaki jest związek między tymi zabiegami a lekiem, o którym mowa?

- Moim zdaniem - wyjaśnił Walters - ten związek chemiczny był badany na dotkniętych chorobą tętnicach zarówno in vitro, jak i u pacjentów na oddziałach. Przypuszczam, że zadaniem Speer było pobieranie uszkodzonych naczyń krwionośnych. Po to pchała się do operacji. Była w stanie naocznie się przekonać, że nadają się do ich celów. Wybierała je z pojemników, przekładała do lodu i przewoziła nocą do laboratorium Cynx Pharmaceuticals.

- Za wiedzą i zgodą Dana Marksa? - dopytywał Clancy.

Harry Walters potrząsnął głową.

- Nie mogę wiedzieć tego na pewno, Frank. Wiem za to, że Marks i Speer mieli gorący romans, kiedy jeszcze tutaj pracowali.

Brwi Clancy'ego podjechały w górę.

- Wiesz, jak to jest, Frank - uśmiechnął się krzywo Walters. - Chirurdzy to macho, z przerośniętym ego i libido. On w dodatku miał żonę inwalidkę. Prędzej czy później by zgrzeszył.

Sprawa się komplikowała ponad miarę. Frank Clancy zauważył, że pot kapie mu z czoła, więc otarł je ramieniem.

- A Stone Colman?

- Na niego nie mamy nic konkretnego - odparł Bawden. - Udział

Speer wydaje się pewny na bank. Co do pozostałej dwójki mamy wątpliwości. - Odłożył notatnik. - Linda Speer całymi latami próbowała wybić się w światku kardiologów. Coraz gorzej znosiła pomijanie jej przy awansach. Może uznała, że dojdzie na szczyt inną drogą? Wymyśliła sobie, że da ludzkości lek przyszłości.

Kiedy Bawden skończył mówić, odezwał się Ken Foss.

- Tylko widzisz, Frank... W przeciwieństwie do ciebie nie dysponujemy właściwie żadnymi materialnymi dowodami, które mogłyby potwierdzić nasze podejrzenia. Mamy świadomość, że dokumentacja medyczna została podmieniona, ale nie udało nam się dotrzeć do oryginałów. W sprawie tych tabletek panuje kompletne zamieszanie. Położyliśmy łapę na jednej sztuce, która jest właśnie poddawana analizie biochemicznej. - Pociągnął połę marynarki, żeby wyrównać fałdy.

- Co gorsza, komuś udało się wdrzeć do naszej bazy danych. Taka baza to serce każdego szpitala. Jeśli się w niej pogrzebie, wszystkie poczynione przez lekarzy notatki, wdrożone leczenie, reakcja pacjentów na podawane leki, dosłownie wszystko przepada na zawsze.

Mózg Clancy'ego pracował szaleńczo. Czy coś takiego zdarzyło się w Dublinie?

- Krótko mówiąc, nie sposób niczego udowodnić, jeśli sprawca skutecznie zatrze za sobą ślady - podsumował Foss.

Sam Bawden zdjął marynarkę i powiesił ją na oparciu krzesła. Następnie odwrócił się w stronę Clancy'ego.

- Siedzimy też sprawę morderstwa córki Dana Marksa - powiedział

jakby nigdy nic, a w gabinecie zapadła śmiertelna cisza.

Clancy przenosił spojrzenie od jednego mężczyzny do drugiego, napotykaając nieruchome, wpatrzone w niego oczy.

- Tak? I co?

- Coś strasznego - bąknął Bawden.

- Owszem - potaknął Clancy niepewnie. Nie miał pojęcia, dokąd to zmierza. - Prawdziwa tragedia.

- Ale nie sądzisz, żeby te dwie sprawy jakoś się łączyły?

- Bawden sprawiał wrażenie zażenowanego własną sugestią.

Clancy'emu opadła szczeka.

- A wy sądzicie?

- Nie, nie, skądże - pospieszył z zapewnieniem Bawden. Nie wypadło to przekonująco. - Prawdopodobnie jestem zbyt podejrzliwy z natury. - Spróbował się uśmiechnąć, żeby pokryć zmieszanie. Nie udało mu się. - Zapomnij o tym. - Sprawdził, która godzina. - Och, chyba nie zdążysz na samolot.

Frank Clancy skoczył na równe nogi. Dochodziła siódma. Modlił się, żeby jego samolot miał opóźnienie. Wiedział, że musi stanąć oko w oko z Lindą Speer przed konferencją prasową. Wiedział też, że grant unijny jest uzależniony od wyników Fundacji Serca działającej przy szpitalu Mercy. Nagle stracił zaufanie do wszystkiego, co płynęło z wyższego szczebla. Dotąd pewne rezultaty zaczęły budzić jego wątpliwości. Cieniem położyła się na nich chciwość i manipulacja. Oraz śmierć.

Harry Walters wezwał ambulans, żeby zawiózł Clancy'ego na lotnisko.



- Uważaj na siebie, Frank - przestrzegł, zamykając drzwi karetki. - To gra o wysoką stawkę. Ktokolwiek za tym naprawdę stoi, tkwi zbyt głęboko, by się wycofać. Bądź rozważny. Nie przestawaj oglądać się przez ramię.

Clancy oglądał się przez ramię przez całą drogę na lotnisko Logana. Jeśli intuicja go nie myliła, nie był śledzony.

- Gdzie oni są? - wrzasnął na teściową. Zadzwoił do niej, ledwie wysiadł na lotnisku. Spóźnił się na lot liniami Delta, ale zdołał przebukować bilet na Virgin Atlantic do Londynu, a stamtąd przyleciał Aer Lingus do Irlandii.

- Frank - skarciła go ostro staruszka - ani mi się waż podnosić na mnie głos! Masz pojęcie, która jest godzina?

Clancy wymamrotał przeprosiny. Całkiem zapomniał o strefach czasowych. Serce mu waliło - z podniecenia albo wysiłku, albo z jednego i drugiego, nie był pewien. Miał wrażenie, że zaraz wyskoczy mu z piersi.

- Wrócili do domu.

O nie, jęknął w duchu.

- Kiedy? - znowu krzyczał, nie umiał się powstrzymać.

- Po twoim telefonie. - Teściowa zbierała się do reprimendy z prawdziwego zdarzenia. - Powinnam ci też chyba powiedzieć, Frank, że po tym co ostatnio wyprawiałeś, wcale nie będziesz mile widz...

Clancy rozłączył się i wybrał numer domowy tak szybko, jak pozwalały mu trzęsące się palce. W tle słyszał dobiegające z głośnika ostatnie wezwanie kierowane do pasażerów linii Boston - Londyn. Był kwadrans po dwudziestej pierwszej.

- Cześć, tu mieszkanie Franka i Anny. Przykro nam, ale nie możemy teraz odebrać. Jeżeli... - Trzasnął słuchawką, jak tylko rozległ się nagrany głos Anny. Przez chwilę gorączkowo się zastanawiał, po czym ponownie wybrał ten sam numer.

- Cześć, tu mieszkanie Franka i Anny...

- Anno... Anno!... - ryknął do słuchawki.

Kobieta stojąca za nim w kolejce do aparatu telefonicznego aż się odsunęła z przestachu. Wpatrywała się niepewnie w plecy krzyczącego mężczyzny.

- Anno, jeśli mnie słyszysz, odbierz telefon! Proszę!

- Jeżeli chcesz, zostaw swój numer telefonu, a na pewno oddz...

Ukryta za mikrofonem pracownica lotniska ponownie wkroczyła do akcji.

- Pasażer Frank Clancy udający się do Londynu liniami Virgin Atlantic proszony jest o niezwłoczne przejście do bramki numer siedemnaście. To ostatnie wezwanie. Pasażer Frank Clancy proszony jest o niezwłoczne przejście do bramki numer siedemnaście.

Clancy chwycił się brzytwy. W ostatnim odruchu wybrał numer dyrekcji szpitala Mercy. Odezwała się telefonistka na centrali.

- Przykro mi, ale o tej porze nikogo tam nie ma. Wciąż jest bardzo wcześnie, wie pan...

Opuściła go nadzieja.

- Pan Frank Clancy?

Clancy błyskawicznie obrócił się na pięcie. Naprzeciwko niego stała kobieta w stroju linii Virgin Atlantic, z naziemnej obsługi lotniska. Wyraz jej twarzy sugerował, że jest przekonana, iż ma do czynienia z

szaleńcem. Clancy zmusił się do przybrania maski normalności.  
Uspokoił oddech.

- Tak, już idę.

Popędził do bramki numer siedemnaście.

Środa, 20 maja,  
godzina 2.37

Kiedy Frank Clancy wsiadał na pokład jumbo jęta linii Virgin Atlantic, w Dublinie wydarzenia osiągały klimaks. Dwie mile na południe od szpitala Mercy, po drugiej stronie ciemnego nurtu rzeki Liffey, Goon pracował późno w noc w garażu. Zadrapał lewy tylny błotnik swego czarnego lincolna, gwałtownie wycofując spod stacji kolejki po nieudanym spotkaniu z Joan Armstrong. To go oczywiście zdenerwowało jeszcze bardziej. W dodatku kiedy wrócił bez dziewczyny, Mo nie był tym faktem zachwycony. Dał Goonowi jasno do zrozumienia, jak bardzo martwi się o Joan. A Goon po prostu nie cierpiał, kiedy Mo się martwił. Frank Clancy nastęczał mu jeszcze więcej problemów. Jak gdyby się rozpląnął i Goon nigdzie nie umiał go znaleźć. To także mu się nie podobało. Ani trochę. Zwłaszcza że Mo był z niego coraz bardziej niezadowolony. Koniec końców Goon zdecydował, że co za dużo, to niezdrowo. Czas działać.

Teraz starannie pracował nad wgnieceniem. Odsunął się o krok i w świetle dwustuwatowej żarówki dyndającej u stropowej belki przyjrzał się z dumą swemu dziełu. Idealnie. Otworzył bagażnik i sprawdził zestaw narzędzi. Taśma do krępowania: czarna, gruba i wytrzymała. Cztery rolki. W sam raz, żeby unieruchomić parę rąk i

nóg oraz zakleić usta. Czarne rękawiczki, obcisłe, ale rozciągliwe i podatne. Dwie pary na wypadek, gdyby jedną zgubił w trakcie akcji. Przeładowany pistolet walther PPK kaliber .38 z pełnym magazynkiem. Wyjął magazynek, sprawdził, czy jest pełen, po czym założył go ponownie. Nacisnął boczny panel bagażnika i skrytka automatycznie się podświetliła. Włożył do niej rolki taśmy i broń. Z kieszeni wyjął nóż sprężynowy i odruchowo zwolnił spust. Wyskoczyło cienkie jak brzytwa sześciocalowe ostrze. Goon podziwiał zimny błysk stali w jaskrawym świetle. Z westchnieniem złożył nóż. Już postanowił, że z broni palnej skorzysta tylko w razie konieczności. Robiła zbyt dużo hałasu. Goon cenił sprawność i cichość noży. Zerknął na zegarek. Mo twierdził, że wkrótce będzie po wszystkim. Poprosił go, żeby się zajął niezłałatwio-nymi sprawami. Joan Armstrong. Frankiem Clancym. Rodziną Clancy'ego w razie potrzeby. Goon chętnie się zgodził, dla niego to bułka z masłem. Coś w rodzaju odebrania dziecku lizaka. Ale okazało się, że stracił z oczu Clancy'ego i jego bliskich. Do niedawna, kiedy to światła w domu rodzinnym Clancych znowu rozbłysły. Niezłałatwione sprawy mogły zostać złałatwione. Rozwinął mocny, wyjątkowo duży czarny plastikowy worek i rozłożył go na płask na dnie bagażnika, uważnie podwijając brzegi. Goon nie znosił mieć upapranej tapicerki. A plamy z krwi ciężko schodziły. Już dawno zmodyfikował jedno z tylnych siedzeń, tak że łatwo się przesuwawało i składało - dzięki temu mógł przewozić niewygodne długie przedmioty. Albo ciała, które nie chciały się zmieścić w bagażniku. Przygotowania zakończył, ukrywając za przednimi siedzeniami kij bejsbolowy i dwa kanistry z

benzyną.

Goon był gotowy do ostatniego ruchu.

### **Godzina 3.02**

Pot lał się strumieniami z twarzy, czoła i w ogóle całego ciała Joan Armstrong, która leżała wyciągnięta na łóżku w swoim pokoju, gapiąc się to w sufit, to w elektroniczny budzik na szafce nocnej i odliczając upływające minuty. Wszystko ją bolało, drżała jak w febrze. Zamknęła oczy i nie zważając na mokre prześcieradło, starała się usnąć. Sen jednak nie nadchodził. Rzucała się przez chwilę w pościeli, wreszcie usiadła i objąwszy nogi rękoma, zaczęła kiwać się w przód i w tył, przyciskając kolana do piersi. Rozpaczliwie potrzebowała działki. Potarła strupki na wewnętrznej stronie łokcia, próbując sobie wyobrazić ukłucie igły, falę szczęścia biegnącą żyłami do mózgu. Potrzebowała Mo. Mo dawał jej to, czego pragnęła. Ona dawała Mo to, czego on chciał. W swej desperacji nie miała nic przeciwko temu, że pojawił się u niej Goon.

### **Godzina 4.47**

Goon przeciął kable telefoniczne biegnące do domu Franka Clancy'ego. Wcześniej zaparkował lincolna za dwoma innymi samochodami stojącymi na wyłożonym płytami podjeździe. Ledwie się zmieścił; nieomal jard pomalowanego na czarny metalik wozu wystawał, zajmując kawał chodnika. To nic, przekonywał się Goon w

ciemnościach, przecież nie będzie stał tu długo. Góra dziesięć minut. Rozbroił alarm, wyciął dziurę w szklanych tylnych drzwiach i otworzył od wewnątrz zamek. W parę minut od przyjazdu był już w środku domu. Stał bez ruchu i nasłuchiwał. Cisza. Powoli, lecz zdecydowanie przeszedł do frontowego holu i znów zamarł. Ponownie nastawił uszu. I raz jeszcze nic nie usłyszał.

Odwinął kawałek taśmy i uciął trzy kawałki. Dwa były tej samej długości, trzeci nieco krótszy. Zakradłszy się na paluszkach do pierwszej z brzegu sypialni, odkrył dziecko numer jeden: ośmioletniego Martina. Śpiący chłopiec prawie się nie poruszył, kiedy taśma oklejała mu kostki u nóg. Dopiero gdy Goon chciał wyjąć mu z rąk zeszyt z powklejanymi zdjęciami drużyny Manchester United, Martin zaczął się budzić. Szarpnął się, usiłując uniknąć napastnika, i w ciemnościach poczuł uderzenie pięści w głowę. Niecałą minutę później leżał na dole, skrepowany od stóp do głów i z zaklejoną buzią. Zeszyt, którego nie wypuścił z dłoni, również został owinięty taśmą klejącą. Trzy minuty później wierzgająca córeczka Franka Clancy'ego, czteroletnia Laura, spoczęła obok brata. Oczy przestraszonego dziecka latały na wszystkie strony, kiedy rzucając głową, próbowało oswobodzić się z krępujących je więzów.

Dwoje dzieci patrzyło z przerażeniem, jak wysoka postać wraca sprintem na górę po ich śpiącą matkę. Łzy płynęły po policzkach, ale taśma tłumiła szlochy. Anna Clancy była jedną nogą w łóżku, a drugą już stała na ziemi, kiedy Goon pchnął drzwi jej sypialni. Natychmiast zaczęła wrzeszczeć. Zwinięta pięść, która trafiła ją w bok głowy, ucięła krzyk w połowie. Brzęknął nóż sprężynowy, stalowe ostrze

zaświeciło w ciemnościach. Goon podszedł bliżej. Ciach, ciach, ciach. W jego ręku pojawiły się trzy kawałki taśmy. Sprawnymi ruchami związał jej złączone kostki nóg i nadgarstki. Odzyskując przytomność, kobieta zobaczyła, że coś czarnego zasłania jej pole widzenia. Chciała krzyknąć, ale nim zdążyła otworzyć usta, czarna taśma zakleiła jej połowę twarzy.

### **Godzina 5.06**

Anna Clancy i jej dwoje dzieci leżeli na podłodze w kuchni, wijąc się szaleńczo w próbie oswobodzenia z więzów. Tymczasem Goon przetrząsał dom w poszukiwaniu Franka Clancy'ego.

- Gdzie jest ten skurwiel? - ryknął koło ucha młodej kobiety, przykładając nóż niebezpiecznie blisko szyi Laury. Szarpnął taśmę, aby mogła mówić.

- W pracy - skłamała Anna, łkając ze strachu. - W szpitalu.

Goon kopnął ze złością szklane drzwi, powodując więcej szkód.

- No dobra, idziecie ze mną, póki nie wróci.

Wykradł się na zewnątrz, żeby sprawdzić, czy nie przyplątał się jakiś sąsiad społecznik. Ulica była pusta, okna pobliskich domów zasłonięte żaluzjami i kotarami w obronie przed jasnym światłem nadchodzącego świtu. Goon otworzył bagażnik i tylne prawe drzwi.

### **Godzina 5.09**

Najpierw Laura - do bagażnika. Wciśnięta jak najgłębiej. Potem



Martin, dołączył do siostry, mimo że próbował walczyć. Uniesiona nad jego twarzą pięść powstrzymała wszelkie protesty. Dwie pary przerażonych oczu przyglądały się, jak ręka męczyzna zatraskuje klapę bagażnika.

### **Godzina 5.11**

Wijące się ciało Anny Clancy trafiło pomiędzy tylne i przednie siedzenia. Kobieta usiłowała przeszkodzić w zamknięciu drzwi, ale tylko złamała sobie paznokiec u dużego palca u nogi. Aż się skrzywiła z bólu.

Goon zapalił silnik najciszej, jak umiał, i zaczął się wycofywać na jezdnię. Rozejrzał się, badając teren. Cisza i spokój. Zerknął na okna pobliskich budynków, na parterze i na piętrze. W dalszym ciągu zero aktywności sąsiadów. Uśmiechnął się do siebie i włączył radio, żeby zagłuszyć monotonne tupanie dochodzące z tyłu. Siedem minut później jechał już jedną z głównych arterii Dublina, nabierając prędkości. Ruch był o tej porze niewielki. Mimo to Goon zatrzymywał się grzecznie na każdym świetłach i unikał wyprzedzania z nieprzepisowej strony, aby nikt się do niego nie przyczepił. Mo przestrzegł go, aby nigdy nie ściągał uwagi na siebie i auto. Przejechawszy wstęgę rzeki Liffey, mijając straganiarzy szykujących się do kolejnego dnia pracy, Goon powoli się odprężył. Wszystko szło zgodnie z planem. Mo będzie z niego zadowolony. A potem to wszystko się skończy, tak jak obiecał. Pierwszy promień wstającego słońca zatańczył na stalowo-szklanej konstrukcji kompleksu

Międzynarodowego Centrum Finansowego. Zapowiada się ładny dzień, pomyślał Goon. Tak, to może być całkiem udany dzień...

### **Godzina 6.07**

Troje porwanych, Anna Clancy i jej dzieci, trafiło do piwnicy w rezydencji należącej do Mo. Przenosząc ich z samochodu, Goon dyszał z wysiłku i musiał raz po raz ocierać zroszone potem czoło i wąsy. Obok jeńców postawił dwanaście plastikowych butelek z wodą. Z każdej butelki wystawała długa słomka. Potem upewnił się, że w piwnicy nie ma niczego, co mogłoby posłużyć do przecięcia taśmy krępującej im ręce i nogi. Usatysfakcjonowany inspekcją zerwał taśmę z twarzą dzieci, nie zwracając uwagi na łzy zbierające się w ich oczach.

- Możecie ryczeć i wrzeszczeć, ile, kurwa, zapragniecie.

- Przytknął spoconą twarz do głowy Anny Clancy. - Nikt was tu nie usłyszy.

Podważył brzeżek taśmy i powoli odkleił ją od ust kobiety. Anna Clancy splunęła na niego. Zaskoczony Goon odskoczył, a następnie wyszczerzył zęby.

- Lepiej uważaj - ostrzegł ją. - W każdej chwili mogę skrócić ci kark na oczach dzieciaków.

Zatrzymał się jeszcze na moment przy drzwiach. Były zrobione z solidnej, wzmocnionej stali. Pociągnął je za sobą, pogrążając pomieszczenie w mroku.

- No to pa.

## Godzina 9.00

Psychiatra sądowy Patrick Dillon poinformował Jima Clarke'a, że zamierza postawić wszystko na jedną kartę.

- W przeciwnym razie to może ciągnąć się tygodniami - wyjaśnił przez telefon.

Clarke był już na nogach i właściwie wychodził z domu. Maeve krążyła w pobliżu, usiłując podsłuchać rozmowę. Wcześniej starała się przekonać męża, że nie powinien iść do pracy po wczorajszej konfrontacji. On jednak nie zamierzał słuchać jej dobrych rad.

- To ostatnia sprawa, której muszę dopilnować do końca - warknął przy śniadaniu. Udał, że nie dostrzega pełnego dezaprobaty zmarszczenia brwi po drugiej stronie stołu.

- Wszystko rozwiąże się dzisiaj przed osiemnastą. Kelly albo wpadnie, albo wypadnie.

Co ciekawe, telefon ze szpitala Rockdale wziął go przez zaskoczenie.

- Zorganizowałem już wizję lokalną w parku Sandymount - mówił dalej Dillon. - Dzisiaj o trzeciej po południu. Clarke sprawdził swój rozkład dnia i potwierdził, że może być obecny.

- Wynik nie jest pewny - przestrzegł go psychiatra.

- Nie daję gwarancji. To swego rodzaju ruletka, ale uważam, że warto zaryzykować.

Clarke wymamrotał obiekcje.

- A jaką mamy alternatywę? - przekonywał doktor Dillon.

Clarke nie odpowiedział.

- Dzisiejszego wieczora Regan rzuci Kelly'ego opinii publicznej na pożarcie. Mój pomysł jest ostatnią szansą na odkrycie prawdy.

Dziesięć minut po dziewiątej dograli szczegóły.

Clarke odwołał poranne spotkania, postanawiając zostać w domu i odpocząć. Nic już nie leży w moich rękach, powiedział sobie w duchu. Teraz rozdaje karty Dillon. I Kelly. Usiadł przy stole w kuchni i dolał sobie do kubka herbaty. Maeve uśmiechnęła się do niego, a on zdołał odpowiedzieć słabym skrzywieniem ust.

- Wieczorem będzie po wszystkim - obiecał.

Wyjął z kabury rewolwer i odłożył go do puszek po ciastkach, którą następnie odstawił na miejsce do kredensu z porcelaną.

Dzisiaj nie będę go potrzebował.

## Godzina 10.17

Frankowi Clancy'emu zaczęło się wydawać, że bogowie są przeciwko niemu.

- Tutaj ponownie kapitan.

Z gardeł pasażerów lotu Boston - Londyn linii Virgin Atlantic dobył się jęk. Planowany czas przylotu na lotnisko Heathrow minął punktualnie o dziesiątej. Przez ostatnią godzinę pasażerowie byli na bieżąco informowani o niesprzyjających warunkach atmosferycznych panujących w miejscu lądowania. Gęsta mgła spowiła całą południową Anglię. Do tego hiszpańscy kontrolerzy ruchu lotniczego ogłosili na ostatnią chwilę strajk. W efekcie wystąpiły znaczne opóźnienia i zarówno na Heathrow, jak i na Gatwick oraz Stansted panowało niesłychane zamieszanie. W powietrzu czekała długa kolejka samolotów podchodzących do lądowania.

- Obawiam się, że wiadomości z Heathrow nie są najlepsze. Nad lotniskiem nadal zalega mgła i nie zanoszą się na to, by miała się podnieść w najbliższym czasie. Poradzono nam czekać. Odezwę się do państwa, kiedy będę wiedział coś więcej. Tymczasem proszę się nie denerwować. Zaraz puścimy państwu od początku film tego rejsu.

To tylko spowodowało głośniejsze jęki zawodu. Pasażerowie zaczęli podejrzewać, że opóźnienie potrwa dłużej, niż im z początku

mówiono. Na swoim miejscu z tyłu samolotu Frank Clancy siedział jak na szpilkach. Obgryzał z nerwów paznokcie. Wszystko będzie dobrze, przekonywał się w duchu. Kiedy w końcu wylądujemy, natychmiast zadzwonię do domu... Jednakże optymistyczna strona jego natury nie wygrywała z tą pesymistyczną. Coś się stało, wiem o tym... Wypił piątą filiżankę kawy w ciągu czterdziestu minut. Doskwierał mu pęcherz. Przeprosił współpasażerów i przecisnął się na sam tył samolotu, żeby zająć miejsce w kolejce do toalety. Stojąc, patrzył przez okno na jaśniejące w dole gęste chmury. W toalecie zrobił szybką inspekcję. Włosy miał zmierzwione i sterczące, twarz zapadniętą i poszarzałą ze zmęczenia i zgryzoty. Na jego T-shircie widniały plamy potu, wydzielające nieprzyjemny zapach. Ciemna szczecina na brodzie dopełniała nieatrakcyjnego wyglądu. Wyglądam jak szaleniec, stwierdził. Umył ręce i wrócił na swoje miejsce, by niecierpliwie się dalej.

Pół godziny później:

- Tutaj ponownie kapitan.

Ludzie wyjmowali słuchawki i nadstawiali uszu, żeby nie uronić żadnego słowa.

- Obawiam się, że będziemy musieli lądować w Bristolu.

Głośne jęki, okrzyki frustracji.

- Kontrola lotów na Heathrow nie jest w stanie zagwarantować, że warunki się zmienią w ciągu najbliższych dwu godzin, a my nie mamy paliwa, by krążyć dłużej nad Londynem. Dlatego skierowano nas do Bristolu. Naziemna obsługa tamtejszego lotniska pomoże państwu zorganizować sobie połączenia z miejscem docelowym. W

imieniu swoim i linii Virgin Atlantic pragnę przeprosić państwa za te niedogodności, które jak państwo z pewnością rozumieją, wynikają z sytuacji będącej całkowicie poza naszą kontrolą.

Historia mojego życia w pigułce, pomyślał Frank Clancy. Sytuacje będące całkowicie poza moją kontrolą. Boże, spraw, żeby Anna i dzieci były bezpieczne.

### **Godzina 10.58**

W ciemnościach piwnicy Anna Clancy starała się podnieść dzieci na duchu. Opanowała ich pierwsze, niekontrolowane krzyki przerażenia zwykłym dla niej spokojem.

- No, Martin - koła głosem - jesteś już dużym chłopcem, prawda? A duzi chłopcy niczego się nie boją. Musisz być odważny za nas obie. Nie chcę, żeby Laura słyszała, jak płaczesz, więc nawet nie próbuj.

Było to podejście, które zawsze zdawało egzamin przy poprzednich atakach paniki lub złości. I tym razem się sprawdziło. Laura nie widziała, jak bardzo boi się jej starszy brat - było za ciemno. Mimo to czuła jego niepokój. I niepokój matki. Nie przestawała szlochać.

- Chcę do tatusia. - To tylko pogłębiało nastrój grozy.

- Tata niedługo tu przyjdzie i nas uratuje - zapewniała Anna, wiedząc, że kłamie. - A ten niedobry pan będzie miał za swoje. Tata da mu pstryczka prosto w nos.

Dzieci zachichotały na jej słowa.

- Zaśpiewajmy coś - zaproponowała i rodzeństwo nieśmiało zaczęło nucić „Jingle Bells”.

Tylko że Laura mruczała, nie śpiewała.

- Mamusiu, gorąco mi.

### **Godzina 12.37**

- Doradzałabym panu pojechać pociągiem. Mamy stąd połączenia do stacji, z których odchodzą ekspresy do Holyhead. Tam mógłby się pan przesiąść na prom do Dublina.

Sala przylotów na bristolskim lotnisku zdawała się piekłem. Frank Clancy odnosił wrażenie, że każdy samolot, któremu nie udało się wylądować w Londynie, zostanie skierowany właśnie tutaj, do niewielkiego miasta na zachodzie Anglii. Ludzie przekrzykiwali się, usiłując się dowiedzieć, jak mają się dostać do domów. On stał na czele jednej z licznych kolejek do biura informacji i próbował przedstawić swoje położenie wykończonyj brunetce w błękitnym uniformie.

- O której będę w Dublinie?

Brunetka zamyśliła się nad rozkładem pociągów i promów.

- Wygląda na to, że dopiero o siódmej albo ósmej wieczorem.

Clancy zaklął.

- Niedobrze - poskarżył się. Wypiął się, żeby powstrzymać napierający na niego tłum desperatów.

Brunetka odłożyła rozkłady jazdy i spojrzała na ekran komputera.

- Za pięćdziesiąt minut odlatuje stąd samolot do Paryża - poinformowała. - Są jeszcze wolne miejsca. Potem mógłby pan... - stuk, stuk w klawiaturę - złapać lot Air France do Dublina z lotniska



Orły o szesnastej dziesięć. Byłby pan na miejscu parę minut po siedemnastej.

Clancy nie zastanawiał się ani chwili.

- Doskonale. Proszę mi to zabukować.

Stuk, stuk, stuk. Brunetka wklepała do systemu jego dane osobowe. Połączenia zostały zarezerwowane. Biegiem ruszył w stronę automatów telefonicznych, gdzie znowu musiał odczekać swoje w kolejce równie jak on zdenerwowanych i uziemionych pasażerów lecących ze Stanów i Europy do domów i usiłujących się dodzwonić do rodzin i współpracowników, żeby wyjaśnić, gdzie się znajdują. Po ciągnących się w nieskończoność dziesięciu minutach za gestykulującym dziko Włochem, który skarżył się komuś na stracone połączenia, bagaże i kontrakty warte wiele milionów, Clancy nareszcie dopchał się do telefonu. Wsunął w szczelinę kartę kredytową i wybrał numer domowy. Linia była głucha. Nie rozległ się uspokajający sygnał oczekiwania na rozmowę. Spanikowany, wdusił przycisk redial. Znow to samo, redial. Cisza. redial. Nadal brak sygnału. Połączył się z informacją telefoniczną, ignorując gniewne pomruki dochodzące zza pleców.

- Przykro mi, ale podany przez pana numer zdaje się odłączony. Jest pan pewien, że nie pomylił pan cyfr?

Clancy'emu serce podeszło do gardła. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie doświadczył i nawet się nie spodziewał, że to określenie może mieć coś wspólnego z rzeczywistością.

- Tak, jestem pewien. To mój domowy numer telefonu.

Kobieta na informacji zaofiarowała się spróbować ponownie.

- Bardzo mi przykro, ale numer wciąż nie odpowiada. Postaram się połączyć z lokalną centralą...

Clancy wyciągnął T-shirt z za paska spodni i otarł sobie spoczone czoło.

- Będę pani zobowiązany.

Kolejka za nim eksplodowała gniewem. Pomruki już dawno zmieniły się w pełne złości pokrzykiwania. Clancy w dalszym ciągu starał się je ignorować.

- Naprawdę mi przykro, proszę pana, ale lokalna centrala też nie umie się połączyć z podanym numerem. Dowiedziałam się jednak, że na tej linii nie zostało zgłoszone uszkodzenie. Jeszcze dzisiaj po południu pošlę tam jednego ze swoich techników. Czy chciałby pan połączyć się z jakimś innym numerem?

Czyjś rozżalony głos rozległ się w lewym uchu Clancy'ego.

- Ej, koleś!

Clancy odwrócił się i stanął oko w oko ze wściekłym śniadym młodzieńcem o fryzurze na rekruta, z wygolonymi bokami i językiem na czubku głowy. Facet najwyraźniej stracił cierpliwość do jego telefonicznych przepychanek. Opuścił swoje miejsce w środku kolejki, żeby go ponaglić.

- Wszyscy utknęliśmy w tym pierdolonym korku lotniczym, więc nie próbuj tu teraz obdzwaniać całego świata. Dwa telefony na łebka. Ty już przekroczyłeś swój limit. - Wyrwał Clancy'emu słuchawkę i wręczył ją stojącej za nimi kobiecie. Oczekujący na swoją kolej zaczęli bić brawo.

Clancy odstąpił. W pierwszym odruchu chciał wyróżnić intruza w

szczękę, ale się opanował. Jego priorytetem było znalezienie innego aparatu telefonicznego.

Zerwał się do biegu w kierunku hali odlotów. Samolot do Paryża miał oderwać się od płyty lotniska za niecałe pół godziny.

### **Godzina 12.59**

- Lauro? Dobrze się czujesz?

Nawet w ciemnej piwnicy Anna Clancy wyczuła niezwykle spokojny głos córki. Ruchem dżdżownicy podpełzła bliżej dziewczynki. Taśma krępująca jej złączone kostki u nóg i nadgarstki trzymała wciąż mocno. Pozostało jej tylko więc się wężowym ruchem. Zbliżyła głowę do twarzy dziewczynki i natychmiast poczuła bijące od niej gorąco.

- Lauro, co ci jest? Odpowiedz mamusi. - Po raz pierwszy jej głos się załamał.

Martin natychmiast to wyczuł i zaczął pociągać nosem.

- Mamo, czy my tu umrzemy?

- Nie, Martinie. Z całą pewnością nikt z nas nie umrze. Twój tata niedługo tu będzie. Masz na to moje słowo.

Podpełzła do butelek z wodą i po kilku próbach zdołała złapać jedną w zęby. Ostrożnie wróciła na miejsce koło córki. Bezcenna woda pryskała na boki przy każdym ruchu. To, co zostało w środku butelki, wylała na twarz dziewczynki.

- Przestań, mamusiu - zaskomlało dziecko. - Chce mi się spać. Zostaw mnie w spokoju.

Anna Clancy położyła się na zimnej podłodze i zaczęła nucić. Czuła

szybko bijące serduszko i drobną pierś unoszącą się gwałtownie. Zbyt gwałtownie.

- Martin - powiedziała. Głos znów miała opanowany i stanowczy. Rozkazujący. - Podpełnij do butelek z wodą, postaraj się złapać jedną zębami i przyciągnąć tutaj. - Chociaż nie widziała chłopca wyraźnie, wiedziała, że uważnie jej słucha. - Potem przechylił butelkę i wychlap wodę na twarz Laury. Dasz radę to zrobić?

Martin stanął na wysokości zadania.

- Jasne, mamó.

Chłopiec zaczął się więc jak wąż. Anna Clancy zaczęła się modlić.

### **Godzina 13.04**

Frank Clancy ponownie wybierał numer na tarczy automatu telefonicznego. Znajdował się w hali odlotów na lotnisku w Bristolu, czekając, aż zaczną wpuszczać na pokład samolotu lecącego na Orły w Paryżu. Najpierw zadzwonił do teściowej. Nikt nie odebrał. Rozpaczliwie próbował sobie przypomnieć nazwiska sąsiadów mieszkających obok nich na Greenlea Road w północnym Dublinie. Bez skutku. Ani jedno nie przychodziło mu na myśl. Za to usłyszał w głowie wymówki żony: „Frank, jesteś tak pochłonięty pracą, że nie zauważyłbyś, gdyby dom stanął w płomieniach. W ogóle nie udzielasz się towarzysko. Tylko praca i praca. Jakby nie interesowało cię nic poza szpitalem. Założę się, że nie umiałbyś wymienić imion naszych najbliższych sąsiadów”.

Teraz żałował, że był takim odludkiem. Raz jeszcze skorzystał z

pomocy informacji telefonicznej i koniec końców nabazgrał numer komisariatu w swojej dzielnicy.

- Komisariat w Clontarf. W czym mogę pomóc?

Clancy zaczerpnął powietrza. Wyjaśnił, gdzie się znajduje i że nie umie dodzwonić się do domu.

- Nie powinien pan przypadkiem skontaktować się z firmą telekomunikacyjną, która świadczy panu usługi? - zasugerował oschle dyżurny.

- Już się skontaktowałem - odpowiedział. Robił, co mógł, żeby jego głos brzmiał normalnie. Nie chciał, żeby policjant pomyślał, że ma do czynienia z wariatem. - Chodzi o to, że bardzo się martwię o żonę i dzieci. Boję się, że przytrafiło im się coś złego. Mógłby pan posłać kogoś do domu, żeby sprawdził, czy wszystko z nimi w porządku?

Dyżurny milczał wyczekująco. W końcu zapytał:

- A co pańskim zdaniem mogło ich spotkać?

Clancy domyślił się, że dyżurny zbytnio się nie przejął jego naciąganyimi obawami.

- Nie wiem - przyznał. - Po prostu ogromnie się martwię.

Z oddali usłyszał wezwanie pasażerów na lot do Paryża.

Pospiesz się.

- Proszę powtórzyć, jak pan się nazywa - poprosił dyżurny.

Clancy wyrecytował imię, nazwisko, adres, tytuł naukowy, miejsce zatrudnienia i podał przybliżony czas zjawienia się w Dublinie.

- Przyleci pan z Paryża?

- Tak.

- Ale w tej chwili jest pan w Bristolu?

Jezu Chryste! A nie mógłbyś po prostu ruszyć dupy i przejść koło mojego domu? Co za różnica, czy przylecę z Paryża czy z Księżyca?

- Tak, mój lot został tu przekierowany z Heathrow. Na angielskich lotniskach panuje spore zamieszanie z powodu mgły. Moja jedyna szansa na powrót do Dublina o rozsądnej porze to lot przez Paryż.

Dyżurny okazał zainteresowanie po raz pierwszy od początku rozmowy.

- A nie lepiej było złapać pociąg i wsiąść na prom? Ostatnio uruchomili nowe połączenia z Holyhead. Podróż zabiera tylko godzinę.

Clancy'emu chciało się wyć. Zgrzytając zębami, wyjaśnił dyżurnemu, w czym problem. W głośniku po raz drugi w ciągu doby rozległo się wezwanie dla pasażera Franka Clancy'ego.

- Pasażer Frank Clancy udający się do Paryża liniami British Airways proszony jest o niezwłoczne przejście do bramki...

- Proszę posłuchać! - ryknął do słuchawki Clancy.

- Muszę kończyć. Sprawdź pan ten dom czy nie?

- Sprawdzę, doktorze Clancy. Proszę do nas zadzwonić z następnego postoju. Powinienem coś wtedy wiedzieć.

- Dziękuję.

Clancy porwał z ziemi swoją torbę i puścił się biegiem.

**Godzina 13.27**

Micko Kelly został wyprowadzony ze swojej celi tuż po lunchu w środę, dwudziestego maja. Miał na sobie czyste cywilne ubranie: granatowe spodnie od dresu, biały T-shirt, jasnoczerwoną bluzę od dresu, białe skarpetki i białe nowiutkie trampki. Jego jeź na głowie wyglądał teraz jak fryzura rasowego rekruta, a kłujący zarost na brodzie znikł, ogolony tego ranka. Jego wysoka, wiotka postać nabrała ciała, odkąd pojawił się w szpitalu Rockdale. Oczy mu się jakby przejaśniły i nawet zdołał się uśmiechnąć do paru osadzonych.

- Dokąd się wybierasz, Micko? - spytał go rudy wielokrotny morderca zajmujący celę w górze korytarza.

Kelly potrząsnął głową, jakby sam był zdziwiony.

- Kurwa, nie wiem.

Dillon był szefem operacji i to on wydawał rozkazy. Tego dnia włożył cienkie jasne spodnie, koszulę z krótkim rękawem i miękkie, wygodne buty. Za nim postępowali dwaj strażnicy w granatowych dresach. Jeden z nich niósł w rękach kajdanki. Kelly, przyzwyczajony do więziennej procedury, wyciągnął przed siebie dłonie i w parę sekund był już skuty. Podobne, tylko nieco większe kajdanki objęły mu kostki u nóg, pozwalając jedynie na bardzo drobny chód. Było wczesne popołudnie - silne żółtopomarańczowe promienie słońca

przedzierały się przez kraty w oknach korytarza.

- Ty szczęśliwy gnojku! - zawołał inny osadzony.

- Wychodzisz stąd.

Ponury krótki uśmiech był jedyną odpowiedzią.

Niewielki kondukt przemieszczał się wzdłuż pootwieranych cel, kierując się ku zakratowanym drzwiom odgradzającym najpilniej strzeżony oddział szpitala od reszty kompleksu. Brzęczały trącane o siebie klucze i klikały kolejne zamki, w miarę jak otwierano i zamykano jedne drzwi po drugich.

- Jezusiczku - wymamrotał Kelly. - To jakieś pieprzone Alcatraz. Nikomu nie udałoby się stąd dać nogi.

Dillon uśmiechnął się pod nosem.

- Z Rockdale wychodzi się tylko wtedy, kiedy się wydobrzeje.

Kelly zatrzymał się i odwrócił do niego.

- Nie mam pojęcia, co takiego zrobiłem, żeście mnie tutaj zamknęli, ale wiem jedno. Muszę stąd wyjść, zanim to miejsce doprowadzi mnie do szaleństwa.

Strażnicy wymienili kpiące uśmieszki.

- Ani mi się śni wracać do tego kurewskiego wariatkova.

Dillon zignorował wybuch pacjenta. Kajdanki zadźwięczały, kiedy Kelly został lekko pchnięty przez kogoś ze strażników. Czterej mężczyźni zatrzymali się przy następnych zamkniętych drzwiach. Klucze zabrzęczały, zamek kliknął. Kelly przeszedł przez próg i znalazł się w wykafelkowanym na biało holu. Strażnik, który wysforował się do przodu, palcami wybrał największy klucz z kółka i włożył go do zamka w drzwiach frontowych. Wystarczyły dwa



szybkie ruchy i wkrótce do środka wdarło się światło słoneczne. Kelly chciał zasłonić oczy dłonią przed jasnością dnia, od której odwykł, jednakże uniemożliwiły mu to kajdanki. Spuścił więc głowę i noga za nogą wytupał na zewnątrz. Ciepło powietrza, wiejskie zapachy, bzyczenie owadów, wszystko to zalało jego zmysły, stał więc oszołomiony i rozkoszował się chwilą. Aż poczuł szturchnięcie w plecy.

- Ruchy.

Łańcuchy ponownie się rozdzwoniły.

W pobliżu głównego wejścia stały trzy nieoznakowane wozy policyjne. W każdym siedział kierowca i uzbrojony detektyw. Oczy wszystkich skierowały się na sylwetkę mężczyzny w dwu-kolorowym dresie. Pod wejście podjechała czarna furgonetka; nim stanęła, już rozsunęły się boczne drzwi. W środku znajdowała się długa ławka ze specjalnymi uchwytami w podłodze, przeznaczonymi do przypinania kajdanek, i takimi samymi w wewnętrznej burcie samochodu. Kelly zeszywniał. Obrzucił wnętrze furgonetki nieufnym spojrzeniem.

Zabierają cię stąd na zawsze. Zabrali twoje włosy, paznokcie i ubranie. Teraz chcą zabrać ciebie całego, Michaelu.

Głos piszczał w jego umyśle niczym przestraszony szczur. Kelly słyszał go zaledwie przez ułamek sekundy, ale to wystarczyło, żeby wrócił niepokój i podenerwowanie. Nie chciał wsiadać do tej furgonetki. To przypominało mu tamten dzień. Zły dzień, bardzo zły.

- Nigdzie nie jadę! - krzyknął i zaczął się wycofywać.

Dwie pary silnych ramion powstrzymały jego ucieczkę.

Dillon podszedł i zaczął go uspokajać.

- Odpręż się. Jesteś bezpieczny, nic ci się nie stanie.

Kelly obnażył zęby, dostrzegłszy umundurowanych policjantów. Narastający upał dawał się im we znaki, zmuszając do wachlowania się zdjętymi czapkami. Drzwi wozów były pootwierane, podobnie okna. Szeptane uwagi płynęły przez powietrze w stronę uszu Kelly'ego. Dillon dał pacjentowi parę minut na oswojenie się z sytuacją, w końcu jednak spojrzął na zegarek. Dwanaście minut do drugiej. Kelly miał trafić do parku Sandymount na trzecią. W zależności od natężenia ruchu ulicznego jazda mogła im zabrać nawet ponad godzinę.

- Michael - odezwał się psychiatra - jeżeli chcesz kiedykolwiek opuścić to miejsce, musisz wsiąść do furgonetki.

Bez reakcji. Dillon zaczął się gotować.

- Masz trzy minuty. Po tym czasie odprowadzę cię na oddział. - Obrócił głowę pacjenta ku przytłaczającym szarym murom i spadzistym dachom szpitala.

Kelly patrzył na kompleks Rockdale tylko przez minutę. Nerwowo potrząsając skutymi rękami, wgramolił się do podstawionej furgonetki. Łańcuchy odpięto i przewleczono dodatkowo przez uchwyty w podłodze i burcie samochodu, po czym na powrót zamknięto. Dwaj strażnicy zajęli miejsca po bokach Kelly'ego. Dillon usiadł z przodu, na fotelu pasażera. Rozejrzał się, sprawdzając, czy nie uchybiono zasadom bezpieczeństwa.

- Dobra, możemy ruszać - rzucił.

Karty zostały rozdane.

## Godzina 14.08

Dwaj umundurowani policjanci stali przed domem Franka Clancy'ego na Greenlea Road w północnej dzielnicy Dublina, Clontarf. Obydwaj mieli na sobie koszule mundurowe z rozpiętymi pod szyją kołnierzykami, a zdjęte czapki trzymali pod pachą. Obydwaj byli młodzi, wysocy, krótko ostrzyżeni i przepisowo uczesani - nawet przedziałek mieli po regulaminowej stronie. Słońce stało wysoko na niebie, od czasu do czasu chowając się za niegroźnym obłoczkiem. Ptaki robiły rejwach w koronach okolicznych drzew. Mężczyźni zdawali się zrelaksowani. Niewiele się działo w Clontarf, poziom przestępczości spadł ostatnio. Donikąd im się nie spieszyło. Z radością powitali propozycję przełożonego, który wysłał ich z komisariatu na przejażdżkę ulicami spokojnego przedmieścia. Była to miła odmiana od rutyny ich dnia.

Przy Greenlea Road po obu stronach wyrastał rząd przeważnie ceglanych budynków, cofnięty nieco za również dwustronny szpaler drzew. Okolica tchnęła spokojem, była bezpieczna nawet dla dzieciaków, którym zachciało się grać w piłkę na drodze. Aczkolwiek o tej porze na ulicy nie było żadnych dzieci - wszystkie tkwiły wciąż w szkole.

Jeden z funkcjonariuszy zadzwonił do drzwi, podczas gdy drugi leniwie opierał się o parapet okna od frontu. Obaj podziwiali widok, który rozpościerał się przed ich oczami. Chwila sielanki przedłużała się, kiedy nikt nie otwierał. Palec powędrował do dzwonka ponownie. Nadal żadnej odpowiedzi. Bardziej aktywny policjant włożył palec w

otwór na listy, podniósł klapkę i krzyknął do środka. Nic. Funkcjonariusze oderwali się więc od swoich miejsc i przeszli na tył domu, gdzie zauważyli potłuczone szkło. I uchylone drzwi z uszkodzoną szybą.

Jeden z nich ostrożnie pchnął skrzydło i zajrzał do wnętrza. Nic nie zobaczył. Zawołał więc. W dalszym ciągu cisza. Żadnych śladów włamania. Potem wbiegł na piętro i natknął się na niezastane łóżka. Powtórzył wołanie. Wciąż nic. Odpowiedź nie nadchodziła. Wziął do ręki rodzinne zdjęcie w ramce i przyjrzał się uśmiechniętym twarzom. Dziesięć stopni na poddasze pokonał w paru susach. Tam również nikogo nie było. Zawołał ponownie, ale nadaremno.

Wyciągnął komórkę i wdusił przycisk szybkiego wybierania. Czuł, że spokojny dzień dobiegł końca.

### **Godzina 14.58**

Jim Clarke kuśtykał wzdłuż parkanu przy wejściu do parku Sandymount. Tony Molloy siedział w nieoznakowanym wozie policyjnym zaparkowanym nieopodal. Biały nalot po antacydzie osiadł na jego wargach; mężczyzna masował coraz bardziej dolegający mu brzuch i przysłuchiwał się skrzekliwej wymianie zdań na policyjnym paśmie radiowym. Ogłoszono już oficjalnie zaginięcie dublińskiej rodziny: Anny Clancy i jej dwojga dzieci w wieku ośmiu i czterech lat. Teraz podawano szczegółowe rysopisy zaginionych, nadając je do funkcjonariuszy w całej stolicy. Molloy wyczuł wielki niepokój w głosie dyżurnego i odnotował to sobie w pamięci.

Droga biegnąca wzdłuż parku Sandymount została odcięta dla ruchu ulicznego przez dwa zaparkowane w poprzek wozy policyjne - na obu jej końcach. Tłum reporterów telewizyjnych, kamerzystów i fotografów walczył o jak najlepsze miejsca przy prowizorycznej barykadzie. Obrzeża parku patrolowali piesi funkcjonariusze uzbrojeni w krótkofalówki, które raz po raz podnosili do ust, komunikując się z kolegami i centralą. Sprawiali wrażenie podenerwowanych, jak gdyby obawiali się nagłego ataku. W pobliżu otwartej parkowej bramy zatrzymały się kolejne trzy wozy. Drzwi rozsunęły się i wysypali się przez nie uzbrojeni policjanci, czujnymi spojrzeniami omiatający okolicę. Wszyscy ocierali czoła zroszone potem wywołanym przez popołudniowy upał. Przy jednej z barykad nastąpiło małe zamieszanie, kiedy pojawił się Moss Kavanagh. Został natychmiast przepuszczony i po chwili uchylał boczną szybę, uśmiechając się szeroko do Clarke'a.

- Caroline urodziła - oznajmił radośnie.

Clarke wyciągnął rękę.

- Gratulacje, Mossy. To wspaniała wiadomość. - Poczuł uniesienie, ale zaraz się wkurzył. Przez to wszystko całkiem zapomniał, że żona Kavanagha spodziewała się dziecka.

- Kiedy?

Kavanagh szczerzył się jak głupi do sera. Wyrzucał z siebie szybko słowa.

- O trzeciej nad ranem. Bóle porodowe zaczęły się o szóstej wieczorem. Wody odeszły tuż przed jedenastą, a mały Alexander przyszedł na świat punkt trzecia. Zdaniem lekarzy wszystko poszło jak

z płatka.

Clarke pokręcił głową, czując szczerą radość.

- Mossy, tak bardzo się cieszę. Wiem, że się wyczekałeś na ten szczęśliwy dzień, ale nie powiesz teraz, że nie było warto, co?

Podeksytowanie było najwyraźniej zaraźliwe, bo oto obaj mężczyźni śmiali się już do siebie otwarcie. Kavanagh wzruszył nieznacznie ramionami.

- Do trzech razy sztuka, jak to mówią. Te dwa poronienia omal nas nie zabiły. Ale wszystko dobre, co się dobrze kończy. Dzięki temu maluchowi patrzymy spokojniej w przyszłość.

- Jasne, Mossy, jasne... - Clarke doskonale pamiętał dzień, kiedy przyniósł do domu małą Katy. - Ile ważył?

- Dziewięć funtów i siedem uncji.

- Auć - skrzywił się Clarke. - Dzielna kobieta. Ja bym sobie chyba nie poradził.

Rozmowę przerwało pojawienie się Molloya.

- Przedstawienie zaraz się zacznie.

Czarna furgonetka stanęła właśnie przed jedną z barykad. Czyjaś głowa wystawała przez okno od strony pasażera, ręka gestykulowała zamasyście. Po paru chwilach wóz policyjny przesunął się kawałek, robiąc przejazd. Furgonetka wolno wjechała na odcięty teren. Clarke, Molloy i Kavanagh nie odrywali od niej wzroku. Panujący w tej okolicy spokój zakłócały jedynie odległe odgłosy ruchu ulicznego. Boczne drzwi furgonetki otworzono od wewnątrz. Tuż wcześniej Patrick Dillon wysiadł i przeciągnął się. Popatrzył w stronę zgromadzonych dziennikarzy i potrząsnął głową. Eskorta Michaela

Leo Kelly'ego zeskoczyła na ziemię, odruchowo poprawiając przepecone ubranie. Zaczęły trzaskać migawki.

Dillon nachylił się do otwartych szeroko drzwi, wywołując lekkie kołysanie furgonetki, potem odstąpił o krok. Obuta w białego trampka stopa dotknęła chodnika, za nią wyłoniła się reszta odzianej w czerwono-granatowy dres postaci. Micko Kelly nadal miał skrępowane nadgarstki, ale łańcuchy na kostkach u nóg zniknęły. Szum kamer i trzask migawek jeszcze się wzmógł. Co odważniejsi reporterzy wykrzykiwali do Kelly'ego, żeby popatrzył w ich stronę. Mężczyzna zaczął się odwracać, ale lekko popchnięty, ruszył posłusznie w stronę wejścia do parku. Na niebie zbierały się chmury, w powietrzu czuło się nadchodzący deszcz. Wiatr przybrał na sile. Zrobiło się chłodniej i nareszcie mniej parno.

- Zbliża się chwila sądu - mruknął Molloy.

Dillon zwołał naprędce naradę; wtajemniczonych wezwał bliżej, natomiast resztę oddalił gestem. Kelly stał pomiędzy strażnikami, rzucając głową, kiedy próbował ogarnąć sytuację. Co jakiś czas usiłował otrzeć czoło łokciem - był to jedyny ruch, jaki dopuszczały krępujące go kajdanki. Wkrótce uformowała się czwórka: Dillon i Kelly oraz Clarke z Molloyem.

- Jak tylko zdejmemy kajdanki, wszyscy schodzą na bok, pod płot - instruował Dillon. Na jego czole błyszczały kropelki potu. - Nikt się nie zbliża, chyba że na mój znak.

- Przerwał na chwilę. - On wciąż pozostaje pod moją opieką. Jest pacjentem, nie więźniem. Czy to jasne? - mówił stanowczo, z emfazą.

Clarke zerknął na czerwono-granatową sylwetkę.

- Całkowicie - odparł.

Dillon otarł czoło wielką lnianą chustką do nosa.

- Po wszystkim - dodał - chcę go zabrać z powrotem do szpitala bez zbędnego cyrku ze strony dziennikarzy.

Clarke skinął na Mossa Kavanagha.

- Z tym nie będzie problemu - zapewnił psychiatrę.

Dillon wyciągnął z kieszeni dyktafon i sprawdził, czy działa.

- Będę na nim nagrywał na gorąco swoje ustne uwagi - wyjaśnił. - Mam też na sobie podsłuch. - Poklepał się po kieszeni, z której wystawał maciupki czerwony mikrofon.

- Dla was przywiozłem słuchawki. - Wręczył im niewielkie urządzenia.

Clarke od razu włożył swoje do prawego ucha, po czym przez chwilę nim manipulował, aż siedziało wygodnie. Molloy zrobił to samo. Kabelki od słuchawek prowadziły do skrzyneczek przypominających walkmany; te zostały przymocowane u pasków do spodni obu mężczyzn. Dillon tymczasem przypiął mikrofon do dziurki od guzika przy koszuli, starannie chowając pod spód czarny cienki przewód. Jego drugi koniec trafił do gniazda dyktafonu. Psychiatra upewnił się, że mikrokaseta tkwi w środku, po czym nacisnął start.

- W porządku - powiedział. - Możemy zaczynać.

Clarke i Molloy odsunęli się na odległość dziesięciu kroków. Jeden ze strażników odpiął kajdanki na rękach Kelly'ego i je zdjął, po czym także się odsunął. Pacjent roztarł nadgarstki w miejscach, gdzie wrzynała się w nie stal, a następnie rozejrzał się wokół. Zdawał się oszołomiony, niepewien. W oddali reporterzy nie przestawali się



przepychać i filmować. Dillon raz jeszcze sprawdził elektronikę i pokierował pacjenta w stronę drewnianej altany.

- Oto - odezwał się cicho - nasza ostatnia szansa na poznanie prawdy.

Molloy i Clarke wzmocnili siłę głosu w słuchawkach.

Altana została przygotowana do wizji lokalnej ściśle według wskazówek Dillona. Wyglądała prawie tak samo jak w noc z poniedziałku na wtorek, dwunastego maja. Zbutwiałe drewno, graffiti, odłóżka farba - wszystko pozostawiono jak wtedy. Rozrzucano niechlujnie puste puszki po piwie, butelki po cydrze i niedopałki papierosów. Poplamiona czerwienią strzykawka została strategicznie umieszczona pod porysowanym, straszącym drzazgami siedziskiem.

- Usiądź tutaj - polecił Dillon.

Kelly ostrożnie podszedł do skraju półokrągłej ławki. Dillon czekał cierpliwie, aż zajmie na niej miejsce, po czym przysiadł na przeciwległym krańcu.

- Zapalisz?

Oczy Kelly'ego rozblęły.

- Jasne, kurwa, że tak.

Dillon podał mu papierosa własnej roboty. Kelly włożył go między wargi i zaczął pykać, kiedy płomień zapalniczki zbliżył się do drugiego końca. A gdy wreszcie koniuszek papierosa się rozżarzył, mężczyzna zaciągnął się łapczywie.

- Ale, kurwa, wypas. - Odchylił się do tyłu i raz po raz wciągał dym do płuc.

- Pamiętasz to miejsce? - zapytał go Dillon, kiedy z papierosa został tylko niedopałek. Poczęstował go też następnym papierosem, który Kelly przyjął z wdzięcznością. Zaciągnął się nie mniej łapczywie niż na początku, wyczuł kawałek tytoniu na języku i wypluł mały listek. Dopiero wtedy rozejrzał się po altanie bez większego zainteresowania.

- Y-y - pokręcił głową.

- Byłeś tu wcześniej. Tej nocy, gdy zamordowano Jennifer Marks, byłeś tutaj razem z nią.

Kelly przybrał zdumiony wyraz twarzy. Przytknął palec wskazujący do piersi.

- Ja? Tutaj? - Ponownie poczuł na języku listek tytoniu i tym razem sięgnął po niego palcem. Z uwagą przyjrzał się paprochowi na opuszcze. - Z Jennifer Marks?

- Tak się nazywała tamta dziewczyna.

W pewnej odległości, na trawniku, Jim Clarke znów zaczął manipulować przy uchu. Obrócił się bokiem i już lepiej słyszał.

- Ze mną? W tym miejscu? Nie żartujesz? - Kelly nadal wydawał się nieporuszony.

- Mówię poważnie. Widziano ją z tobą.

Dillon poprawił mikrofon zatknięty za dziurkę od guzika, ponieważ plastik zaczął drażnić mu skórę. Potem wyrzwał na zewnątrz. Policjanci stali w małych grupkach i rozmawiali między sobą. Słońce wychynęło na moment zza chmury i oślepiło jasnością, rzucając cienie.

- Dobiliście targu i rozluźniliście się. Popijaliście i być może dawaliście sobie w żyłę.

- Byłem naćpany?

- Właśnie tego próbujemy się dowiedzieć. Jak bardzo byłeś naćpany tamtej nocy.

Kelly zaciągnął się papierosem i raz jeszcze popatrzył wokół siebie. Daj mi ten pieprzony nóż, śmieciu! Głos rozległ się w jego głowie i zaraz zamilkł.

- Jennifer Marks? To ta dziewczyna, której zdjęcia mi pokazywałeś?

- Tak,

Nie, Mo, nie. Nie. Nie zrobię tego. Głosy powróciły. Kelly słyszał dwie osoby. Jedna z nich krzyczała w gniewie. W strasznym gniewie.

- Brunetka, tak? Mówiłeś, że to była brunetka, zgadza się?

- Owszem. Miała długie kruczoczarne włosy. Była bardzo ładna.

- Daj jeszcze papierosa. - Dłonie Kelly'ego drżały, kiedy Dillon podawał mu ognia. Micko zaciągnął się, kaszlnął i znów się zaciągnął, jeszcze głębiej. - Co się z nią stało?

- Jego głos, nawet zmieniony przez elektronikę, wydawał się poruszony. Micko Kelly nareszcie zaczął okazywać jakieś emocje.

- Pchnięto ją nożem. - Dillon przesunął się nieco na ławce. - Była z tobą w tej altanie. Co się tu wtedy wydarzyło? Pokłóciliście się? Powiedziała coś, co cię zdenerwowało? O to poszło?

Kelly wzdrygnął się. Pot kapał mu z czoła wielkimi kroplami. Potarł nerwowo głowę. Daj mi ten pieprzony nóż, śmieciu!

- Chciałem jej pomóc, daję kurewskie słowo honoru, że chciałem. - Zwiesił głowę, ślina wymieszana z tytoniem ciekła mu z dolnej wargi.

- Opowiedz mi, jak to było. - Dillon przemawiał łagodnym, opanowanym tonem. Popatrzył dyskretnie na zegarek: za dwadzieścia

pięć czwarta. Siedzieli w altanie od kwadransa.

- Nie pamiętam! - krzyknął nagle Kelly. - Za cholere nie umiem sobie przypomnieć. Przestań mnie dręczyć!

- Był tu ktoś jeszcze, prawda? Jeden z twoich kumpli?

- Dillon przysuwał się do Kelly'ego kawałek po kawałeczku. Czuł już bijące od niego ciepło. - Kto to był?

Daj mi ten pieprzony nóż, śmieciu! Powróciły doń słowa, złe, groźne słowa. Nabrzmiałe gniewem. Kelly zerwał się z miejsca i zaczął się niespokojnie przechadzać. Strażnik oderwał się od ściany zieleni i ruszył do przodu, potem nagle zatrzymał się, kiedy Dillon uniósł rękę uspokajającym gestem.

- Dlaczego pchnąłeś ją nożem? Wyrolowała cię? - Dillon podniósł głos. - Dlaczego ją zabiłeś?

Kelly popatrzył wprost na niego. Na ustach zbierała mu się piana.

- Ja nie chciałem nic zrobić. To ten wielki skurwiel zaczął...

Clarke i Molloy omal się nie przewrócili z wrażenia. Podeskcytowani poprawili słuchawki w uszach.

Dillon rozsiadł się wygodniej.

- Co za wielki skurwiel?

Daj mi ten pieprzony nóż, śmieciu! Wszystko nagle powróciło. Kelly stanął jak wryty. Opuścił głowę, jęknął, potem oplótł się rękoma i ścisnął mocno. Pot lał się z niego strumieniami, kapiąc z brody, mocząc T-shirt i ciało. Zerwał z siebie czerwoną bluzę od dresu i cisnął ją na ziemię.

- Wypuść mnie stąd... - Wypadł z altany, jak gdyby chciał uciec. I wtedy ją zobaczył. - Jezusiczku - wymamrotał.

- Coście jej zrobili?

Na trawniku leżało zakrwawione ciało. Ciało miało na sobie krótką czarną spódniczkę i poplamiony na czerwono T-shirt. Na jego stopach tkwiły białe adidasy włożone na granatowe podkolanówki. Ułożone na wznak ciało, z czarnymi włosami i intensywnie czerwonymi wargami, spoczywało w tym samym miejscu, gdzie tydzień temu natrafiono po raz pierwszy na zwłoki Jennifer Marks. Jednakże był to tylko manekin, spreparowany ściśle według wskazówek Dillona.

Kelly usiłował się wycofać do altany, ale powstrzymały go silne ręce Dillona.

- Co przytrafiło się tej dziewczynie? Kto ją zabił?

Kelly zaskomlał ze strachu. Odwrócił wzrok od ciała.

- Czemu ją zamordowałeś? - krzyczał Dillon. - Kłamiesz od samego początku. Zamordowałeś tę dziewczynę. Zamordowałeś ją, prawda?

Daj mi ten pieprzony nóż, śmieciu! Głos w głowie Kelly'ego rozległ się donośnie niczym wystrzał pistoletu.

- Nie chciałem jej zrobić krzywdy. - Niespodziewanie zaczął szeptać. - Nie życzyłem jej źle...

- Co się tutaj wydarzyło? - naciskał Dillon. Wskazał na manekin. - Co spotkało Jennifer Marks?

Głosy zaczęły się przekrzykiwać. Kakofonia przekleństw i gniewnych ryków wypełniła umysł Kelly'ego. Nie, Mo, nie.

Nie. Nie zrobię tego. Przypomniał sobie wszystko. Kiedy umysł mu się przejaśnił, zobaczył straszną scenę.

- Było ich dwóch. - Micko Kelly opadł na kolana.

Paręnaście jardów dalej Tony Molloy sprawdził, która godzina. Był

kwadrans po czwartej. Detektyw wiedział, że okoliczne szkoły zaczęły wypuszczać ze swoich murów uczniów, którzy jak co dzień będą chcieli przejść wzdłuż parku i ku swemu zdziwieniu zostaną zatrzymani przez blokadę policyjną. Bał się, że młodzież zacznie krzyżeć, co może zdekongtrować Kelly'ego. No dalej, ponaglił go w myślach.

- Kim byli? - spytał Dillon.

Nie, Mo, nie. Proszę, nie...

- Nie wiem. W życiu ich nie widziałem. Ale ona ich znała. - Kelly nadawał jak najęty, zupełnie jakby z nagła opadł spowijający dotąd jego pamięć całun. Gruby, przesiąknięty krwią całun. Mówił ze spokojem, rzeczowo. - Siedzieliśmy w tej altanie, kiedy oni przysli. Poznała ich.

- Co się potem wydarzyło?

- Ja zostałem w środku. Nie wiedziałem, kim są, i miałem to gdzieś. Dziewczyna zabrała ich na zewnątrz, żeby pogadać.

- Co było dalej?

Kelly potrzęsnał głową.

- Nie wiem. Usłyszałem krzyki. Dziewczyna mnie wołała.

- Mów dalej - zachęcił go Dillon.

- Wszedłem, żeby zobaczyć, co się, kurwa, dzieje...

- Urwał, jak gdyby obraz na moment zniknął mu sprzed oczu. - Któryś z nich powiedział mi, że bym spadał. To był ten wielki skurwiel. Nawet po ciemku widziałem, że to góra, nie facet.

- Co robili?

- Kłócili się o coś. - Micko Kelly wykonał markowany ruch pięścią. -

A dziewczyna darła się, żeby ją zostawili w spokoju. „Nie miałam złych zamiarów...” czy jakoś tak.

Nie, Mo, nie. Nie. Ja tego nie zrobię, naprawdę.

- Co wtedy zrobiłeś?

Kelly przejechał ręką po odrastających włosach i poczuł lepłą wilgoć. Wytarł dłoń w T-shirt.

- Miałem nóż.

Dillon zamarł. Stojący kilkanaście jardów dalej Clarke i Molloy także trwali w bezruchu.

- Co zrobiłeś z tym nożem? - Dillon starał się, by jego pytania były jasne, a głos pozostał spokojny. Czuł pewność, że udało mu się dotrzeć do Kelly'ego, przełamać jego szaleństwo.

- Rzuciłem się na wielkiego skurwiela.

Nie, Micko, nie.

- Co było potem?

- Ona próbowała mnie powstrzymać. - Kelly potrząsnął głową ze złością. - Głupia pizda.

- A potem? Chcę, żebyś powiedział mi wszystko.

Kelly zobaczył ruchy w ciemności, przepychankę, czyjeś machające ręce.

- Zaczęła mnie tłuc. Chciałem dać nauczkę temu wielkiemu skurwielowi, ale ona mi przeszkodziła. Próbowała wyrwać mi nóż. - Kelly drżał na całym ciele. - Straciłem cierpliwość i ją dźgnąłem. Parę razy. - Zakrztusił się i złapał za brzuch. - Wcale nie chciałem jej skrzywdzić. Po prostu wlała mi w drogę. Sama się nadziała. - Starł pot z twarzy.

- Chciałem ją podnieść, ale była cała we krwi i mi się wyslizgnęła. -  
Opadł na czworaki. Ramiona mu się trzęsły.

Dillon ukucnął obok niego.

- Co zrobili tamci dwaj?

Kelly podciągnął kolana do piersi.

- Zabrali ją. To jej chcieli. Ale wielki skurwiel wrócił do mnie i...

Daj mi ten pieprzony nóż, śmieciu!

- Co zrobiłeś?

- Uciekłem. Rzuciłem nóż i kurwa, uciekłem.

Przypomniawszy sobie, co było potem. Chwytał się płotu zakrwawionymi rękami, szukając punktu podparcia. Obejrzał się za siebie. Zobaczył, jak dwie niewyraźne postacie ciągną ciało dziewczyny. Usłyszał gniewne krzyki i przekleństwa. A później dostrzegł błysk swojego noża. Ostrze opadało po morderczym łuku.

- Dźgali ją, jak już leżała na ziemi.

Dillon otarł brew. Usiadł na trawie obok Kelly'ego, podpierając się rękoma.

- Kim byli ci mężczyźni?

Nie, Mo, nie. Nie. Nie zrobię tego. Kelly przejechał dłonią po twarzy.

- Dziewczyna nazywała jednego Mo, tyle pamiętam. Mo, Mo, pierdolony Mo. - Wysmarkał nos w T-shirt. - Ta druga dziwka pewnie by wiedziała.

Dillon rzucił spojrzenie przez ramię.

- Jaka druga dziwka?

- Ta druga dziwka z pubu. Ta, która rozmawiała z wielkim



skurwielem. Pewnie go zna.

Molloy odciągnął Clarke'a na bok.

- Mówi o Joan Armstrong. Musiała wiedzieć o wszystkim od samego początku.

Clarke przywołał energicznym ruchem Mossa Kavanagha.

- Gdzie ją można znaleźć?

Molloy popatrzył na zegarek i odpowiedział:

- Pewnie teraz wysiada z kolejki przy Sydney Parade Avenue.

\*

Clarke, kuśtykając, ruszył w stronę zbliżającego się Kavanagha i od razu skierował go ku bramie.

- Zajmij się Kellym, a potem jedź za nami - rzucił przez ramię. - Jeżeli ta Armstrong rzeczywiście coś wie, chcę z niej to wyciągnąć jak najszybciej.

Podczas gdy Molloy wydawał rozkazy, coś wypłynęło na wierzch w jego pamięci. Włożył rękę do kieszeni spodni i zaczął przetrząsać zawartość, aż natrafił na zmięty świstek papieru. Zanotował na nim wynik badania, o którym poinformowało go z samego rana laboratorium wydziału. W końcu udało się rozszyfrować włókna pobrane z miejsca zbrodni. Moher.

Mo. Moher. Nie śmiał uwierzyć w to skojarzenie. Mo. Moher. Niemożliwe. Czysty przypadek. Pobożne życzenie. Mimo to ruszył sprintem za Jimem.

**Godzina 16.34**

Goon dotarł na miejsce pierwszy.

Joan Armstrong właśnie wysiadła z kolejki przy Sydney Parade Avenue. Przełożyła z ręki do ręki szkolną torbę, wysypała książki, zaczęła je niespiesznie zbierać z ziemi. Oczekała, aż koleżanki i koledzy opuszczą peron. Przez cały czas rozglądała się w poszukiwaniu Goona, właściwie modliła w duchu, aby się pojawił. Nie miała pojęcia, czy uda jej się przetrwać kolejny dzień. Dygotała i trzęsła się na wszystkich lekcjach, była niespokojna i poirytowana. Potrafiła myśleć wyłącznie o białym proszku, ampułce ze sterylną wodą i czystej strzykawce. Ależ jej się chciało dać w żyłę. Wreszcie dostrzegła Goona. Był ubrany na czarno. Czarna kurtka i czarne dżinsy, czarny T-shirt i czarne buty. Włosy zaczesane gładko do tyłu. Jak zwykle opierał się o drugą latarnię przy Ailesbury Gardens.

Upewniając się, że nikt za nią nie idzie, weszła po schodach na metalową kładkę biegnącą nad torami. Starła się iść z nonszalancją, co jednak nie wychodziło jej najlepiej. Spotkania z Mo zawsze przebiegały tak samo: Goon czekał przy latarni, dziewczęta - ona i Jennifer - zbliżały się do niego i dawały zaprowadzić do Mo czekającego w zaparkowanym gdzieś niedaleko samochodzie. Obie rozumiały, że Mo nie może tak prostu pokazać się na ulicy, był zbyt

ważny.

- Gdzie Mo? - spytała, mijając Goona, jakby jej w ogóle nie interesował.

Mężczyzna pozwolił jej odejść parę kroków, po czym rozejrzał się i upewniwszy, że nikt na nich nie patrzy, ruszył jej śladem.

- Nie mógł przyjechać. Mam cię zaprowadzić do jego domu.

Joan odwróciła się o sto osiemdziesiąt stopni.

- Nie mogę z tobą iść. Mówiłam ci przecież. Muszę być w domu najpóźniej o szóstej.

Goon ostentacyjnie popatrzył na zegarek.

- Spoko. Podrzucę cię w pobliże domu o wiele wcześniej.

- Gdzie samochód?

- Za rogiem.

Joan poczuła niepokój. Czarny wóz o przyciemnianych szybach zazwyczaj stał tu niedaleko, przy Ailesbury Gardens.

- Za którym rogiem?

Goon złapał ją za ramię.

- Za drugim. Ruchy, do cholery.

Czarny lincoln stał zaparkowany w zacisznej ślepej uliczce, przodem do wyjazdu. Goon ciągnął Joan siłą, właściwie nieomal ją niósł, z każdym krokiem wzmacniając uścisk na jej ramionach.

- To boli - poskarżyła się dziewczyna.

- Pospiesz się, bo się spóźnimy. Mówiłaś, że chcesz być w domu przed szóstą. - W oddali rozbrzmiała policyjna syrena. - Gazu.

Goon nacisnął przycisk alarmu i wszystkie cztery migacze mrugnęły dwukrotnie, po czym zgasły. Centralny zamek otworzył się z

kliknięciem, kłapa bagażnika miękko się uniosła. Mężczyzna pociągnął Joan ku tyłowi samochodu.

- Możesz włożyć torbę do bagażnika - powiedział.

Dziewczyna popatrzyła na niego z przestraszonym wyrazem twarzy.

- Czemu mam chować torbę do bagażnika? - zapytała głosem drżącym z napięcia.

Goon wolną ręką odchylił szerzej kłapę. Joan spojrzała w dół i w tej samej chwili, gdy zauważyła czarny plastikowy worek, zaczęła krzyczeć. Goon uderzył ją tak mocno, że aż oklapła, na poły zamroczona. Jednym zwinnym ruchem oderwał ją od ziemi i włożył do środka. Rozejrzał się dookoła. Jezdnia była pusta, nikogo nie było widać. Obrzucił spojrzeniem okna stojących w zaułku domów. W nich także nikogo nie dostrzegł. Dźwięk syreny stawał się coraz wyraźniejszy. Otworzył skrytkę w bagażniku i wyjął rolkę taśmy. W ciągu paru sekund skrępował nogi dziewczyny. Jęczała cichutko, wciąż zbyt otumaniona, by wiedzieć, co się dokoła niej dzieje. Nóż sprężynowy odcinał kolejne paski taśmy. Ciach, ciach. Po paru chwilach miała też skrępowane ręce. Goon przykleił koniec taśmy do pokrywy bagażnika, odmierzył na oko i ciachnął nożem po raz trzeci. Krótki odcinek taśmy zakleił usta otwarte do protestu. Rolka trafiła z powrotem do skrytki, złożony nóż do kieszeni. Goon ponownie sprawdził okolicę. Nadal śladu życia. Odwrócił się i napotkał przerażony wzrok Joan Armstrong. Wyszczrzył się do niej i zatrzasnął kłapę bagażnika.

Następnie zajął miejsce za kierownicą. Tymczasem syrena policyjna zdążyła umilknąć. Zegar na desce rozdzielczej wskazywał dokładnie

szesnastą pięćdziesiąt. Wciąż miał mnóstwo czasu. Zamierzał pojechać do położonego na uboczu podziemnego parkingu, który wybadał wcześniej, i tam poderżnąć dziewczynie gardło. Na koniec obleje samochód benzyną w środku i na zewnątrz i podpali.

Łatwizna.

Jak odebranie dziecku lizaka.

### **Godzina 16.57**

Frank Clancy miał nerwy w strzępach. Gapił się na chmury przez okienko niewielkiego samolotu Air France regularnie kursującego między Paryżem i Dublinem. Serce waliło mu jak młot. Pocił się obficie. Czuł, że zbiera mu się na mdłości. Nie jadł nic od śniadania, które podano na pokładzie samolotu lecącego z Bostonu do Bristolu. Na głowie miał szopę, ubranie przepocone na wskroś. Teraz już wiedział, że coś złego spotkało jego rodzinę.

- O której będzie pan w Dublinie?

Clancy zatelefonował na komisariat w Clontarf z lotniska Orły. Sierżant pełniący funkcję dyżurnego robił, co mógł, by w jego głosie nie było słycać paniki.

- O piątej dziesięć. Dlaczego pan pyta?

- Chcemy z panem porozmawiać zaraz po lądowaniu.

- Dlaczego? Czy coś się stało?

- Tego nie powiedziałem, doktorze Clancy. Prawdopodobnie to nic takiego... - Dyżurny sam nie wierzył w to, co mówi. - Chodzi o to, że nie zastaliśmy w domu pańskiej żony i dzieci.

Clancy omal się nie przewrócił. Złapał mocniej za słuchawkę.

- To nie wszystko, mam rację? - krzyknął. - Nie powiedział mi pan wszystkiego!

- Proszę nie wyciągać pochopnych wniosków - poradził mu sierżant. - Z pewnością okaże się, że ich nieobecność ma racjonalne wytłumaczenie.

- Zostali porwani, tak?

- Cóż, tak jak mówiłem, nie było ich w domu...

- Chryste, wpadli w łapy tych zbirów. Jezu Chryste. Mają moją rodzinę.

Po drugiej stronie linii zapadła cisza.

- Kogo nazywa pan zbirami, doktorze Clancy? O kim pan mówi? Kto pańskim zdaniem przetrzymuje wbrew woli pańskich bliskich?

Powodowany frustracją Clancy uderzył się dłonią w czoło. Jak mam cokolwiek udowodnić? Kiedy zacznę przedstawiać swoje teorie spiskowe, ten człowiek każe mnie aresztować po postawieniu nogi w Dublinie. Trafię do domu bez klamek. Zresztą chyba już mnie podejrzewa. Ojcowie rodzin są częstymi sprawcami zbrodni...

- Łatwiej mi będzie wszystko wyjaśnić, kiedy spotkamy się twarzą w twarz - oznajmił. - Gonię w piętce. Muszę pędzić, bo spóźnię się na samolot.

- Dobrze, doktorze Clancy. Postaram się, żeby na płycie lotniska czekał na pana wóz policyjny. Nie będzie pan musiał przechodzić przez kontrolę paszportową. Ktoś od nas odbierze pana prosto z pokładu.

Clancy wystraszył się nie na żarty. Albo chcą mnie zatrzymać i

przesłuchać, albo rzeczywiście wiedzą więcej, niż mówią. Jezu Chryste. W głowie odbiły mu się echem pożegnalne słowa doktora Harry'ego Waltersa: „Uważaj na siebie, Frank. To gra o wysoką stawkę. Ktokolwiek za tym naprawdę stoi, tkwi zbyt głęboko, by się wycofać. Bądź rozważny. Nie przestawaj oglądać się przez ramię”. Uważałem, pomyślał. Ale nie na swoją rodzinę. Jeżeli cokolwiek stało się Annie albo dzieciom, zabiję tę zdzirę Speer. Gołymi rękami ękręę jej kark i odetchnę, jak usłyszę trzask łamanych kręgów. Po rozmowie z komisariatem zadzwonił jeszcze w dwa miejsca. Jego teściowa była w domu, lecz nie miała dobrego nastroju.

- Nie, nie ma ich tutaj, Frank. Usiłowałam się z nimi skontaktować przez całe rano. Linia padła albo coś... Anna była smutna, kiedy ode mnie wyjeżdżała. A dzieci też zdawały mi się jakieś przygaszone i płaczliwe.

No dalej, przekręć teraz nóż.

- Nie mam pojęcia, co ty wyprawiasz, ale...

Odwiesił słuchawkę. I natychmiast wybrał numer dyrekcji szpitala Mercy.

- Przykro mi, ale nikogo pan nie zastał, doktorze Clancy - usłyszał. - Połowa szpitala wzięła wolne, żeby się przygotować do wielkiej wieczornej uroczystości. Każdy chce zobaczyć ministra na własne oczy.

Clancy zaklął na głos, po czym od razu przeprosił.

- Jest dla pana wiadomość...

Poczuł, jak wstępuje w niego nowy duch. Wiadomość od Anny. Wyjechała gdzieś z dziećmi, ale zostawiła namiary.

- Tak? Jaka to wiadomość? Proszę mi ją szybko przeczytać.

Telefonistka odchrząknęła nerwowo.

- Jutro o dziewiątej rano ma się pan stawić na komisję dyscyplinarną. Może pan przyprowadzić swojego prawnika. Spotkanie odbędzie się w sali narad zarządu.

Frank Clancy poczuł, że ziemia usuwa mu się spod nóg. Stracę pracę. Porwano mi rodzinę. Poważnie rozważył, czyby ze sobą nie skończyć. Ot, skoczyć głową w dół do głębokiej zimnej wody i raz na zawsze o wszystkim zapomnieć. Zazgrzytał zębami. Jeszcze nie pora na to. Jeszcze nie przegrałem. Przebiegł przez bramkę i zdyszany wsiadł do samolotu mającego go powieźć do domu. Wcześniej dopilnuję, żebyś trafiła do piekła, Lindo Speer.



### Godzina 17.15

Jim Clarke pierwszy zauważył lincolna. Moss Kavanagh ruszył spod parku Sandymount z piskiem opon i nie spuszczał nogi z gazu przez całą drogę, wyjąc syreną i migając kogutem. Przejeżdżał na czerwonym świetle, wyprzedzał na chodnikach, powodował chaos na jezdni, zmieniając znieścaka pasy. W rekordowo krótkim czasie zahamował przy wyjściu ze stacji kolejki przy Sydney Parade Avenue. Clarke wyczuł, że się spóźnili. Peron był pusty, tak samo jak okolica. Wysiadał właśnie, by wypytać konduktora, kiedy kątem oka dostrzegł czarny, imponujących rozmiarów samochód wyjeżdżający zza rogu. Wóz włączył się do ruchu na głównej drodze nieprzepisowo, zmuszając motocyklistę do rozpaczliwego uniku. Wóz wypisz, wymaluj przypominał ten z opisu Danny'ego Cartona. Clarke już wiedział, że ma ptaszka.

- Szybko, Mossy, ruszamy.

Dogonili lincolna w korku na Merrion Road w południowym Dublinie. Stał jakieś dziesięć aut przed nimi. Kierowcy lawirowali i kombinowali, jak by tu przyspieszyć choćby odrobinę. Rozlegały się gniewne pomruki klaksonów, ten i ów potrzasał pięścią w złości na innego użytkownika drogi. Kavanagh skontaktował się przez radio z centralą, podając szczegółowy opis ich celu.

- Dorwiemy go, szefie. Stąd nie sposób uciec.

Nieoczekiwanie dla wszystkich czarny lincoln wykonał ostry zwrot w boczną uliczkę. Kavanagh depnął na gaz i włączył syrenę, przepędzając przed maski wlokące się samochody. Skręcił w prawo na czas, by zobaczyć, jak czarny tył znika za garbem mostu. Po drugiej stronie uciekinier odbił w lewo, w kierunku stadionu piłkarskiego na Landsdowne Road, i tam zniknął im z oczu.

- O! Jest! - krzyknął Clarke, wisząc na przednim siedzeniu. - Po lewej!

Lincoln znalazł się na równoległej drodze i teraz pędził środkiem, a jadące spokojnie auta umykały przed nim na boki.

- Skręć w lewo, na miłość boską. Chyba nas zauważył.

Z wyciem syreny Kavanagh wyprzedził na trzeciego, po czym błyskawicznie skręcił w lewo, o włos mijając się z ciężarówką przewożącą węgiel. Zignorował białka przerażonych oczu błyskające w usmarowanych sadzą twarzach. Niestety przyhaltowała ich toyota z dziewięćdziesiątego pierwszego roku, sunąca dostojnie i kaszląca z rury wydechowej tumanami gęstego dymu.

- Szlag by to, zgubiliśmy go.

Nim udało im się wyprzedzić ledwie dychającą staruszkę, lincoln całkiem przepadł. Kavanagh zjechał na pobocze i zatrzymał się raptownie. Clarke otworzył z impetem drzwi i wygramolił się na zewnątrz. Kavanagh zaczął coś mówić, ale uciszyło go gwałtowne machnięcie ręki. Znajdowali się na spokojnej bocznej uliczce. Nowo postawione apartamentowce sąsiadowały bezpośrednio ze znacznie starszymi szeregowcami z czerwonej cegły. Paskudny jak noc

wielopoziomowy parking, oferujący tanie całodobowe postoje, straszył po ich prawej stronie.

Clarke nasłuchiwał, wyęzając wszystkie zmysły. W końcu usłyszał szuranie opon po betonie i pracujący nietypowy silnik.

- Jest na parkingu.

Kavanagh odpalił stacyjkę i raz-dwa podjechał na rampę. Wjazd blokowała pomalowana w biało-czerwone pasy barierka, podnosząca się dopiero wtedy, gdy pobrało się bilet parkingowy. Obok szlabanu stała zielona przenośna budka, w której znudzony młodzieniec gapił się na paręnaście monitorów.

Kavanagh wyskoczył z wozu i do niego podbiegł.

- Policja! - krzyknął, pokazując legitymację.

Młodzieniec podniósł do góry obie ręce.

- Ten wielki amerykań, który dopiero co tu wjechał?

Młodzieniec zamasyście pokiwał głową.

- Gdzie teraz jest? Szybko, który poziom?

Młodzieniec odwrócił się do monitorów i zaczął wduszać jakieś przyciski. Ręce mu latały, nie umiał wykrztusić słowa ze strachu. Na ekranach przemknęły różne ujęcia molocha. Kavanagh odepchnął chłopaka i sprawnie zaczął przebierać palcami. Stojący za nim bez tchu Clarke patrzył nieruchomym wzrokiem. Jakiś obraz mignął i zaraz zniknął.

- Wróć.

Ziarnisty, szaro-czarny obraz pokazywał rząd zaparkowanych samochodów. Nie było widać żadnego ruchu.

- Da się tym robić zbliżenia? - warknął Kavanagh w stronę

chłopaka.

Młodzieniec brodą wskazał dżojstik. Szarpiąc za niego i szaleńczo kręcąc obrazem, nareszcie udało się wycelować kamerę w dziwnie zaparkowany wóz przy samym końcu alejki. Kavanagh zrobił maksymalne zbliżenie, do jakiego był zdolny sprzęt, i zamroził obraz. Nic nie budziło podejrzeń. Już miał wrócić do przeszukiwania parkingu, kiedy w polu widzenia mignął jakiś cień. Clarke bez słowa postukał palcem w ekran i Kavanagh nachylił się bliżej. Samochód zakołysał się lekko, mglista sylwetka drgnęła.

- Mamy go. - Kavanagh sięgnął po broń i pobiegł ku rampie. - Który to poziom? - zapytał przez ramię chłopaka.

- Podziemny, minus drugi. - Młodzieniec zdawał się mieć oczy na szypułkach.

Clarke skorzystał z aparatu w budce i wezwał posiłki. Później ruszył za Kavanaghem.

Czas, którego potrzebował na skontaktowanie się z centralą, wystarczył, by Moss Kavanagh zniknął mu z oczu. Clarke przebiegł rampą i zatrzymał się przed dużym biało-czarnym znakiem ze strzałką głoszącym: dolne poziomy. Przystanął i zaczął nasłuchiwać. Usłyszał tylko łomot własnego serca. Biegnąc dalej, sięgnął do kabury po rewolwer. Wolną ręką pomacał jedno biodro, potem drugie. Dopiero wtedy przypomniał sobie, że tego ranka zostawił broń w domu, w puszcze po ciastkach stojącej w kredensie z porcelaną. A niech to. Oparł się o bagażnik najbliższego auta. Muszę poczekać na wsparcie, pomyślał. Nie ma sensu ryzykować życia. Będą tu za moment.

Sięgnął ręką do czoła, by otrzeć pot, i wtedy usłyszał

przyprawiający o mdłości odgłos. Nie zastanawiając się, co robi, ruszył w stronę, z której dobiegł dźwięk. Zraniona noga zostawała w tyle, kula zgrzytała o goły beton. Clarke przystanął i wyteżył słuch. Cisza. Zszedł kolejne parę kroków w dół rampy, teraz był już niemal w połowie drogi na niższy poziom. Znowu stanął i zaczął nasłuchiwać. Wciąż nic. Już miał poruszyć się ponownie, kiedy usłyszał wyraźny stukająco-kołyszący hałas. Przykucnął i wlepił oczy w ciemność. Wypatrzył charakterystyczną sylwetkę amerykańskiego wozu. Chciał zawołać „Mossy!”, ale ugryzł się w język. Kavanagh mógł być gdziekolwiek, nawet na zewnątrz. Wracam, powiedział sobie w duchu. Chłopak z budki musiał widzieć wszystko na ekranie, będzie wiedział, co to było.

Zaczął wstawać z kucek, lecz zamarł w pół ruchu, gdyż znowu usłyszał to samo. Jeśli nie liczyć odległego kapania, był to jedyny odgłos rozlegający się w podziemiach. Przykucnąwszy z powrotem, Clarke zaczął obserwować samochód. Przez dłuższą chwilę nic się nie działo. Nagle rozległa się „zwariowana melodyjka” komórki Kavanagha. Telefon dzwonił i dzwonił. Clarke w tym czasie zsunął z ramion marynarkę, żeby mieć większą swobodę ruchów. Po omacku przejechał dłonią po uchwycie kuli, domacał się bliźniaczych bolców, nacisnął je i przekręcił. Uchwyt drgnął. Kręcił tak długo, aż poczuł, że jeszcze moment i oddzieli się od głównej części kuli. Upewnił się, że osiągnął to, co sobie zamierzył. Komórka zamilkła, pogrążając podziemia w przeraźliwej ciszy.

Clarke wstrzymał oddech i nadstawił uszu. Nic. Postąpił dwa niepewne kroki w przód i w końcu znalazł się na poziomie minus

drugim. Obrócił się w lewo i w prawo, jak gdyby spodziewał się ataku. Wciąż nic. Pozwolił spojrzeniu błędzić po maskach zaparkowanych wozów, aż dotarło do zwalistego ciemnego modelu. Samochód nie wzbudzał żadnych podejrzeń. Clarke zaczął się odwracać, ale w tej samej chwili dźwięk się powtórzył. Błyskawicznie spojrzął przed siebie i zobaczył, że lincoln nieznacznie się kołysze. Pot zalewał komisarzowi oczy, ograniczając widoczność. Otarł twarz niecierpliwie. Do stukania i kołysania dołączyło drapanie i szuranie. Zaczął się skradać w stronę wozu, co rusz oglądając się przez ramię. Kiedy był około dziesięciu stóp od samochodu, zauważył kałużę świeżej krwi. Miał pewność, że jest świeża, że dopiero wydobywa się z rany. Kałuża powiększała się na jego oczach. Zbierała się obok opony szarego mercedesa. Gdy Clarke dotarł do przerwy pomiędzy dwoma samochodami, odkrył Mossa Kavanagha. Wielkolud leżał bezwładnie między wozami, jedną ręką czepiając się klamki auta. Nogi miał rozrzucone, czoło przytknięte do betonu. Nie ruszał się.

Poruszał się za to lincoln. Clarke popatrzył na niego, bojąc się wypuścić powietrze z płuc. Podkuśtykał bliżej, trzymając mocno uchwyt kuli. Wystarczyły dwa kroki, żeby znalazł się za czarnym potworem. Rozejrzał się na boki. Nic. W bagażniku coś stuknęło, tym razem dwukrotnie. Dobiegł go jęk. Wślizgnął się od prawej strony wozu, gdzie było trochę więcej miejsca. Zauważył, że drzwi są zamknięte. Tył wozu ponownie się zakołysał. Na poły wyczuł, na poły zobaczył ruch na tylnym siedzeniu.

Nachylił się do okna, przetarł palcem szybę. Opuszka z wolna przebijała brud. Przez głowę Clarke'a przebiegło skojarzenie z

robakiem wydostającym się na powierzchnię ziemi. Poruszył głową, żeby lepiej widzieć, i nagle poczuł koło ucha ruch powietrza. Boczna szyba rozprysła się, a na jego prawe ramię spadł silny cios. Zachwiał się pod wpływem uderzenia, ale ustał na nogach. Zaraz jednak czyjś twardy but wraził mu się w łydkę, wywołując falę bólu. Zazgrzytał zębami z cierpienia i spróbował się obrócić, by dojrzeć napastnika, ale wszystko nadaremno. Nogi zaczęły odmawiać mu posłuszeństwa. Jedną ręką szukał oparcia w powietrzu, drugą trzymał się kurczowo kuli.

- Nie umiesz dać za wygraną, co? - Goon stał nad nim, wywijając zakrwawionym kijem bejsbolowym. W pewnym momencie opuścił go na nogę Clarke'a, powodując kolejną falę bólu, która dotarła aż do biodra. - Kurewskie utrapienie z ciebie, wiesz?

Clarke próbował się odepchnąć, lecz nie starczyło mu sił. Goon kopnął go z rozmachem.

- Próbujesz zepsuć mój wielki dzień... - kopnięcie - ty żałosny... - kopnięcie - skurwysynu.

Ból w nodze nieoczekiwanie zelżał, zastąpiony przez dziwne uczucie lepkości. Clarke był tylko na wpół przytomny. Odkręcił uchwyt kuli do końca, uwalniając go na dobre.

Goon zamachnął się kijem bejsbolowym i uderzył. Clarke szarpnął głową, dzięki czemu kij wylądował o cal od jego prawego ucha. Równocześnie poczuł i usłyszał wibrację przebiegającą przez zimny beton, na którym leżał.

- Spudłowałem - Goon popluł w dłonie i przymierzył się do kolejnego uderzenia - ale to się więcej nie powtórzy.

- Uniósł kij wysoko nad głowę.

Mimo bólu i pochłaniającej go ciemności Clarke wciąż był w stanie dostrzec pochylającą się nad nim rosłą sylwetkę. Kij bejsbolowy ponownie zderzył się z jego nogą, łamiąc kość i chrząstkę. Clarke'owi gwiazdy zatańczyły przed oczami. Kij znów znalazł się w górze. Twarz Goona wykrzywiona była wściekłością. Opuścił ramię szerokim łukiem.

- A idź do diabła, skurwielu! - Clarke przycisnął bolce na uchwycie kuli i ostatkiem woli poderwał się do góry. Usłyszał głośnie „szszsz” metalu, kiedy wystrzeliło ostrze, a potem zdumione charknięcie, gdy stal napotkała ciało. Momentalnie poczuł na twarzy wilgoć, ciepłą i wylewną. Tracąc przytomność, Clarke przekręcił nóż w otwartej ranie, wrażając go głębiej z każdą umykającą zeń uncją siły.

Ciemność pochłaniała ból. Clarke opadł na plecy i powitał ją z wdzięcznością.



## Godzina 17.37

Wielopoziomowy parking zalali uzbrojeni funkcjonariusze policji. Skradali się po rampach, przeciskali między wozami i przełazili przez ciężarówki, zaglądając w każdą mysią dziurę. Przewodził im Tony Molloy, trzymając w garści rewolwer i dysząc z wysiłku. Dobrze wiedzieli, dokąd iść - pokierował ich osłupiały młodzieniec z budki, który wszystko widział na ekranie. Znaleźli Clarke'a ledwie przytomnego i pojękującego z bólu. Zwalista postać Goona leżała obok całkowicie nieruchoma. Krew wypływała spod niego strumykami i zbierała się w kałuże. Moss Kavanagh był w stanie śpiączki. Policjanci ułożyli go na plecach i poluzowali na nim ubranie. Wszystkich zdumiał obraz rzezi i komentarzom nie było końca. Molloy przeklinał się za to, że się spóźnił. Refleksem wykazał się młodzieniec z budki, który wezwał karetkę pogotowia. Syrena ambulansu narastała z każdą chwilą.

Pośród ogólnego rozgwaru policjanci nieomal przeoczyli zduszone odgłosy dochodzące z wnętrza lincolna. Molloy uciszył zebranych uniesieniem ręki. W podziemiach parkingu ponownie zapadła martwa cisza. Wielki czarny wóz zakołysał się lekko. Z bagażnika dobiegły głuche stukoty. Komuś wyrwał się jęk. W klapę wymierzono trzy pistolety maszynowe uzi i cztery lufy rewolwerów smith & wesson

kaliber .459.

Molloy przeszukał zakrwawione kieszenie Goona i znalazł kluczyki samochodowe. Nacisnął guzik alarmu i centralny zamek uległ zwolnieniu. Kiedy wdusił drugi przycisk, otworzył się bagażnik. Trzymając oburącz broń, zbliżył się do tyłu wozu i lufą podniósł wyżej klapę bagażnika. Wbiły się w niego przerażone oczy Joan Armstrong. Molloy zatoczył się do tyłu.

- Jezus Maria!

Jak tylko zdjęto dziewczynie taśmę z ust, rozkrzyczała się histerycznie. Pięć minut zabrało jej uspokajanie. W tym czasie pod parking zajechał ambulans i kolejnymi rampami dostał się na dolny poziom. Zanim karetka całkiem się zatrzymała, wyskoczyli z niej czterej ratownicy medyczni w białych kitlach i natychmiast zaczęli się rządzić. Molloy okrył Joan kocem i odprowadził na bok. Trzęsa się na całym ciele i wciąż płakała. Ramiona drżały jej niekontrolowanie. W trakcie oględzin bagażnika, aby sprawdzić, czy nie kryje on więcej niespodzianek, Molloy wypatrzył zeszyt poświęcony drużynie Manchester United. Był wciśnięty w najdalszy kąt. Otworzył go i zamarł ze wzrokiem wbitym w stronę tytułową. Nawet w półmroku parkingu podziemnego był w stanie odczytać dziecięce gryzmoły:

Martin Clancy, lat 8

Greenlea Road 14

Clontarf

Dublin

Irlandia

Europa

Ziemia

## NIE DOTYKAĆ POD GROŻBĄ ŚMIERCI

### ARSENAL PSY

Patrzył i myślał. Potem się odwrócił. Ciało Goona leżało tam gdzie przedtem. Wokół miejsca zdarzenia pojawiła się żółta taśma. Ratownicy medyczni zapakowali już Clarke'a i Kavanagha do ambulansu i właśnie podłączali im kroplówki. Joan Armstrong siedziała owinięta kocem obok jednego z detektywów. Nadal dygotała jak w febrze. Molloy ponownie przeczytał adres, porównując go z zapamiętaną informacją o zaginionej rodzinie. W okamgnieniu skojarzył nazwisko.

- Dokąd cię wiozł? - zapytał ostro wciąż dygoczącą dziewczynę.

Podniosła na niego oczy.

- Do Mo.

Molloy przyjrzał się jej uważniej. Wyglądała, jakby właśnie zrobiła sobie wycieczkę po piekle.

- Gdzie mieszka Mo? - Właściwie już wiedział. Chciał się tylko upewnić.

Wargi Joan zadrżały, jej oczy wypełniły się łzami. Już nie drżała, tylko się telepała.

- Gdzie mieszka Mo? - powtórzył Molloy, podnosząc na nią głos.

Podał jej notes i długopis. Trzęsąca się ręka nabazgrała trzy linijki. Molloy zerknął na nie, potem wlepił gały w dziewczynę. Znowu

plakała. Molloy nie umiałby powiedzieć, czy nad sobą, czy raczej nad Mo.

### **Godzina 17.48**

Frank Clancy siedział w radiowozie jadącym na komisariat w Clontarf. Został przejęty przez funkcjonariuszy u dołu schodków, którymi wysiadł z samolotu linii Air France na płycie lotniska w Dublinie. Trzej policjanci nie puszczali pary z ust. Jeden z nich na wstępie powiedział tylko:

- Zabieramy pana na posterunek. Wszyscy chcą z panem rozmawiać.

Clancy domagał się faktów.

- Czy wiadomo coś o mojej rodzinie? Czy moja żona i dzieci nadal pozostają zaginione?

Wszystkie jego pytania natrafiały na mur milczenia. Radiowóz został spowolniony przez zakorkowany ruch uliczny. W jednym miejscu zepsuty autobus zajmował prawie dwa pasy, dodatkowo utrudniając poruszanie się. Nagle ożyła policyjna radiostacja, Clancy wszakże nie zrozumiał ani słowa z komunikatu przekazywanego pośród trzasków i szumów. Widział, jak siedzący na miejscu pasażera policjant nachyla się i sięga po słuchawki. Mężczyzna przyciskał słuchawkę do prawego ucha, potem pociągnął za rękaw kierowcy. Wóz zwolnił i zahamował, zjeżdżając na bok. Policjant od radiostacji wyskoczył na zewnątrz i wstrzymał ruch na drodze. Kierowca zawrócił, przecinając podwójną ciągłą. Trzasnęły drzwi od strony

pasażera, zawyła syrena. Ruszyli z pełną prędkością, paląc opony.

- Co się stało? - dopytywał Clancy. Czuł prawdziwy strach. - Co się dzieje?

Nikt mu nie odpowiedział. Samochód wyprzedzał ciężarówki i autobusy, wjeżdżał na ścieżki rowerowe, zmieniał chaotycznie pasy i nie zważał na czerwone światła. Frank Clancy miał złe przeczucia. Ze strachu chciało mu się wymiotować i musiał opuścić boczną szybę, żeby zaczerpnąć świeższego powietrza. Nie jadł od tak dawna, że zaczynało mu się kręcić w głowie z głodu. Kiedy przyłożył policzek do chłodnego metalu, przed oczami miał jeden ciągły zamazany obraz. Ludzie zajmowali się swoimi codziennymi sprawami: sprzątacze zmiatali ulice, kioskarze sprzedawali gazety, przechodnie oglądali wystawy sklepów. Życie biegło zwykłym torem dla wszystkich z wyjątkiem niego.

Nie żyją, czuję to, pomyślał. Anna, Martin, mała Laura... Zginęli. Przeze mnie. Zamrugał powiekami i zobaczył, że przejechali już na drugi brzeg rzeki i pędzą na wschód wzdłuż nabrzeża.

- Dokąd jedziemy? - zawołał.

Policjant siedzący na fotelu pasażera obrócił się lekko. Miał ponury wyraz twarzy.

- Zaraz pan się wszystkiego dowie, jesteśmy już prawie na miejscu.

## **Godzina 18.02**

Tony Molloy stał przed dwupoziomowym podpiwniczonym domem na końcu szeregu przy Fitzhill Square. Placyk leżał trzy mile od

modnego centrum handlowego w południowej części Dublina i niedaleko dzielnicy biurowej. Okalały go dziewiętnastowieczne kamieniczki pochylające się nad kawałkiem zieleni. Były wśród nich zarówno domy mieszkalne, jak i biurowce. Na chodnikach rosły drzewa o rozłożystych koronach, a trawnik odgradzały od ulicy kute barierki. Miejsca parkingowe były przeznaczone wyłącznie dla mieszkańców. Molloy przestępował z nogi na nogę przed numerem piątym. Budynek pomalowany był na jaskrawożółty kolor i miał typowe, georgiańskie czerwone drzwi wejściowe. Po zewnętrznym narożniku piął się kwitnący powojnik.

Molloy zdążył zadzwonić i zapukać. Nikt mu nie otworzył. Wtedy skontaktował się z Donalem Murphym, by wyjaśnić, gdzie jest i dlaczego. Komendant okazał zdziwienie. Słyszał już o rzeźni na wielopoziomym parkingu i podana przez Molloya wiadomość całkowicie wytrąciła go z równowagi.

- Możesz wchodzić - powiedział. - Biorę to na siebie.

Tylko że wszystkie okna na parterze i okienka piwniczne były zakratowane. Żeby wejść do środka, trzeba było sforsować drzwi, a te były nadzwyczaj solidne. Zdawały się specjalnie wzmocnione. Trzeba było poczekać na ekipę „włamywaczy”. Pojawiła się równocześnie z wozem, który przywiózł Franka Clancy’ego. Kazano mu wysiąść i zaprowadzono do grupki mężczyzn stojących na progu domu.

- Kto to? - zapytał na jego widok Molloy.

Przedstawiono mu Clancy’ego. Detektyw obrzucił lekarza spojrzeniem od stóp do głów.

- To panu porwano rodzinę?

Clancy potaknął skinieniem, w ustach miał tak sucho, że nie mógł mówić.

- Proszę zaczekać w samochodzie. I niech pan trzyma mocno kciuki. Moim zdaniem są w tym budynku.

Clancy osłupiał. Zrobił krok do tyłu, żeby lepiej przyjrzeć się budynkowi.

W tej samej chwili przed domem z numerem pięć zatrzymała się spora furgonetka, z której wysiedli czterej dobrze zbudowani mężczyźni ubrani w czarne kombinezony. Mieszkańcy i pracownicy tłoczyli się przy oknach okolicznych budynków. Po piątym silnym uderzeniu zawiasy czerwonych drzwi puściły i sześciu uzbrojonych detektywów wdarło się do środka z Molloyem na czele. Wkrótce namierzyli drzwi do piwnicy. Były zamknięte, ale nie na klucz. Wewnątrz policjanci znaleźli Annę Clancy skuloną przy dwójce dzieci. Wszyscy troje drżeli z zimna i kwilili ze strachu. Wokół nich wałały się puste plastikowe butelki, wszędzie było mokro od wody.

Molloy zostawił z nimi funkcjonariuszy i popędził na górę. Wraz ze swymi ludźmi sprawdził wszystkie pomieszczenia i w końcu dotarł na piętro. Tam zastał drugie zamknięte drzwi. Te były zaopatrzone w aż trzy zamki patentowe. Ekipa „włamywaczy” poradziła sobie z nimi w parę chwil - po czwartym uderzeniu taranem skrzydło ziało wielką dziurą. Molloy przedarł się przez potrzaskane drewno, trzymając w pogotowiu rewolwer. Gestem powstrzymał depczących mu piętach kolegów.

Pokój miał około dwudziestu stóp kwadratowych. Jego środek zajmowało wielkie łóżko, którego wezglowie dotykało ściany.

Zarówno wezłowie, jak i rama były zrobione z metalu, sprawiając staromodne wrażenie. W nogach łóżka stał statyw z zamontowaną kamerą. Dwa reflektory tkwiły w kątach. Do górnej rurki wezłowia przyczepiono kajdanki, do dolnej - czarne jedwabne stringi. Na przeciwległej ścianie wisiał duży telewizor plazmowy, a pod nim na półce stało DVD. Wszędzie walały się płyty kompaktowe. Molloy na chybił trafił otworzył kilka szuflad i wszędzie znalazł zapakowane sterylne strzykawki i igły, a także ampułki oraz sprzęt do podgrzewania narkotyków. W końcu natrafił na dwadzieścia paczuszek zawierających heroinę.

Usiadł ciężko na łóżku, zdumiony i zszokowany własnym odkryciem. Kiedy znów przebiegł oczyma po płytach kompaktowych, postanowił przyjrzeć im się lepiej. Dostrzegł jedną opisaną wielkimi czerwonymi literami J. M. Wsunął ją do odtwarzacza i włączył telewizor. Z początku niewiele było widać, tylko jakieś zygzaki i szarości. Potem jednak pojawił się wyraźny obraz. Kamera pokazywała łóżko, na którym teraz siedział Molloy. Obrócił się, żeby mieć pewność - tak, wezłowie z metalowych rurek było takie samo. Z głośnika dobiegł dziewczęcy niepowstrzymany chichot. Nagle na łóżko wtoczyła się ciemnowłosa dziewczyna. Poruszała się w zwolnionym tempie, jakby była pod wpływem narkotyków. Jedną ręką machnęła w stronę kamery, przywołując tego, kto tam stał. Molloy dostrzegł plaster w zgięciu jej łokcia. Dziewczyna ponownie spojrzała prosto w kamerę i lubieżnie ponagliła kamerzystę.

W tym momencie Molloyowi opadła szczeka. To była Jennifer Marks. Dołączyła do niej męska postać, wysoka i szczupła. Mężczyzna



stał tyłem do kamery, ubrany tylko w dżinsy. Przysiadł na łożku, nadal nie pokazując twarzy, i zaczął ciągnąć jedno ramię dziewczyny ku uczeponym do wezglowia kajdankom. Wkrótce obie ręce miała nad głową i nie mogłyby się oswobodzić, nawet gdyby chciała. Dłoń mężczyzny przejechała po nagim ciele i dojechawszy do kostek u nóg, rozszerzyła je lekko. Kiedy mężczyzna na ułamek sekundy odwrócił się do kamery, Molloy zamarł, nie wierząc własnym oczom. Ale tej twarzy nie dało się pomylić z żadną inną.

Wyjął płytę z odtwarzacza i wybrał numer na komórce. W parę sekund połączył się z komendantem.

- To on - powiedział głucho. - To John Regan na sto procent. Mam go nawet na filmie.

### **Godzina 18.15**

Frank Clancy obejmował żonę i dzieci. Ścisnął ich tak mocno, że jego ośmioletni syn zaczął się skarżyć. Anna chwyciła się kurczowo jego szyi i obsypywała go pocałunkami. Laura leżała mu bezwładnie na kolanach, spocona i dziwnie cicha. Zdawała się bez życia, jednakże ocknęła się na dźwięk głosu ojca i od tego czasu nie zamykała już oczu. Siedzieli we czwórkę na kanapie w salonie domu Johna Regana pod wieloma warstwami koców. Anna wciąż miała na sobie koszulę nocną, a dzieci były ubrane w piżamki, te same, w których spały, kiedy przyszedł po nie Goon. Drzwi salonu były przymknięte, aby mogli się sobą nacieszyć bez świadków. Później mieli zostać zabrani do szpitala na badania. Zona zasypywała Clancy'ego pytaniami, lecz

on nie umiał na żadne odpowiedzieć. Był tak uradowany z odzyskania bliskich całych i zdrowych, że nie potrafił myśleć o niczym innym. Po prostu chciał ich trzymać i nigdy już nie wypuścić z objęć.

- Co stało się z twoimi włosami, tatusiu? - spytała cieniutkim głosikiem Laura. Pomimo gorączki i wygłodzenia oraz przebywania w warunkach, w jakich żadne czteroletnie dziecko nie powinno się nigdy znaleźć, wracała szybko do siebie. Patrzyła na ojca, jakby pochodził z innej planety.

Martin wstał i przyjrzał się Clancy'emu uważniej.

- No, Laura ma rację. Co ci się stało, tato?

Anna usiadła wygodniej i zmierzyła męża badawczym wzrokiem, dopiero teraz dostrzegając sterczące na wszystkie strony włosy, niechlujny zarost i zmizerowaną twarz.

- Coś ty ostatnio robił?

Oczy Clancy'ego zabłyszczały szczęściem. Obrzucił całą trójkę kochającym spojrzeniem.

- Walczyłem ze smokiem.

Anna zdobyła się na skrzywiony grymas.

- Kimkolwiek była ta smoczyca, najwyraźniej wygrała.

Ktoś zapukał do drzwi i do pokoju wszedł Tony Molloy.

Twarz miał poszarzałą. Odwołał Clancy'ego na bok i wyjaśnił, co właśnie odkryto na piętrze.

- Jedziemy go zdjąć.

Clancy nie wahał się ani chwili.

- Pojadę z wami.

Anna zaprotestowała stanowczo.

- Nie, Frank. To sprawa policji - tłumaczyła. - Zostaw to fachowcom.

Frank Clancy ponownie przytulił najbliższych do piersi. Ucałował najpierw dzieci, potem żonę i trzymając ją pod brodę, powiedział cicho:

- To również moja sprawa, Anno. To byli moi pacjenci. Doprowadziłem to aż do tego punktu i nie mogę się nagle wycofać.

Laura podniosła się z trudem, czepiając się matczynej koszuli nocnej.

- Mamusiu... - odezwała się całkiem głośno - powiedziałaś nam tam, w piwnicy, że tatuś da złemu panu pstryczka prosto w nos. No więc ja uważam, że powinien pójść i zrobić to jak najszybciej.

Frank Clancy rzucił okiem na zegarek. Dochodziło wpół do siódmej. Konferencja prasowa już się zaczęła.

- Disneyland - obiecał. - Jak tylko porachuję się ze złym panem, zarezerwuję dla naszej czwórki bilety do Disneylandu.

Dzieci zaczęły wiwatować. Anna Clancy westchnęła z rezygnacją.

## Godzina 18.51

- Dobry wieczór państwu. Dziękuję wszystkim za przybycie.

John Regan zwracał się z podium do przedstawicieli mediów. Sala w kancelarii premiera była wypełniona po brzegi i Regan wodził wzrokiem po tłumie, badając liczebność i znaczenie obecnych. Był więcej niż usatysfakcjonowany. W sali znalazło się sześć ekip telewizyjnych, w tym dwie amerykańskie, i to zaliczające się do tych ważniejszych. Publiczna telewizja irlandzka RTE nadawała konferencję na żywo. Wiedział, że już dobito targów ze stacjami Sky, CNN, BBC i paroma europejskimi w sprawie retransmisji w godzinach największej oglądalności. Ekipa reporterów z Bostonu przebiła się pod samo podium i kamerzysta teraz wypróbowywał różne kąty filmowania. Dziennikarze prasowi i radiowi zajmowali tylne rzędy krzeseł. Na przodzie zasiedli goście ze szpitala Mercy, głównie działacze Fundacji Serca. Wszyscy włożyli na tę okazję swoje najlepsze stroje. Dyrektor administracyjny szpitala, wysoki chudzielec z siwym barankiem na głowie, siedział rozparty na krześle w środku pierwszego rzędu, tuż przy przejściu. Z jego ust nie schodził uśmiech.

Propaganda rządowa robiła za tło imprezy. Hasła wyborcze. „Nowy rząd dla nowego pokolenia”. Zdjęcia. John Regan ściskający dłonie, robiący zafrasowaną minę, z odrzuconą do tyłu głową i śmiejący się

serdecznie, ocierający łzy wzruszenia, kopiący piłkę na boisku. Wyraziste, pozytywne obrazy. Za żywym Reganem znaleźli się członkowie drużyny marzeń. Linda Speer olśniewała w lnianym spodnium. Stone Colman miał na sobie gustowne szare spodnie z zakładkami i granatową marynarkę, spod której wyzierała rozpięta pod szyją biała koszula. Dan Marks także był uosobieniem swobodnej elegancji w garniturowych spodniach i samej koszuli - marynarkę zdążył odwiesić na oparcie krzesła. Gawędził właśnie z doktorem Hansem Ottonem Mayerem, niemieckim ministrem, który przewodniczył komisji przyznającej unijne granty. Doktor Mayer okazał się niskim, baryłkowanym mężczyzną w źle dopasowanym garniturze, z przerzedzonymi włosami zaczesanymi gładko na poźyczkę i okularami w za grubych oprawkach. Jakby nie zdając sobie sprawy ze swego wyglądu, uśmiechał się na prawo i lewo, bardzo z siebie zadowolony. Raz po raz sięgał do wewnętrznej kieszeni marynarki, macając unijny czek na dwadzieścia milionów.

Przez ostatnie pół godziny on i reszta widowni byli zanudzani informacjami podawanymi w formie wykresów i monotonnej litanii na temat śmiertelności spowodowanej chorobą wieńcową. Potem John Regan przeszedł do robiących wrażenie wyników pierwszego półrocza działalności Fundacji Serca przy szpitalu Mercy. Liczby przemawiały do wyobraźni nawet tych niezorientowanych w medycznych niuansach. O połowę zmniejszono umieralność z powodu chorób serca, ponad dwukrotnie zwiększono liczbę pacjentów, u których wcześniej zakładano bypassy. Czas oczekiwania na operację wśród dzieci poniżej pierwszego roku życia skrócił się z dziesięciu do

dwóch miesięcy. Wiadomość dnia stanowiło jednak opracowanie nowego leku na serce.

- Choć nie mogę zdradzić zbyt wiele na tym etapie - zastrzegł się Regan - nie przesadzę, informując państwa, że mamy do czynienia z prawdziwym przełomem w kardiologii.

Rozległy się uprzejme brawa, zainicjowane tradycyjnie przez asystenta Regana, Louisa Flanagana. Mężczyzna zajął strategiczne miejsce w środku sali, skąd miał dobry widok na widownię i mógł na bieżąco śledzić reakcje dziennikarzy na słowa szefa.

- Teraz chciałbym państwu przedstawić naszego honorowego gościa - ogłosił Regan - dzięki któremu my wszyscy będziemy mieć dzisiaj powód do świętowania. Mam rację? - zwrócił się z uśmiechem do niemieckiego ministra, który w odpowiedzi rozpromienił się jeszcze bardziej.

Flesze rozjaśniły i tak dobrze oświetlone pomieszczenie. Doktor Mayer wstał z miejsca. W tej samej chwili otworzyły się drzwi z tyłu sali.

- Panie ministrze - zaczął Mayer - proszę pozwolić, że złożę na pańskie ręce gratulacje z powodu wspaniałych pierwszych wyników Fundacji, o której założenie i przetrwanie tak ciężko pan walczył. - Jego angielski był bez zarzutu, mimo że brzmiał nieco sztucznie. - Mówię te słowa jako lekarz i...

Wzdłuż rzędów krzeseł, przy ścianie, przedzierali się umundurowani policjanci o ponurych twarzach. Odsuwali każdego, kto znalazł się na ich drodze.

Mayer urwał. Wyraz konsternacji przemknął mu po twarzy. Zaraz

jednak odzyskał kontenans i podjął:

- Mogę potwierdzić, że dane, które w zwięzłej formie zaprezentował pan tu dzisiaj...

Policjanci podeszli do podium i zatrzymali się. John Regan popatrzył na nich z góry i zaczął gwałtownie machać, każąc im natychmiast zniknąć.

- ...spełniają warunki ostrych międzynarodowych standardów...

Środkowym przejściem ku podium zmierzał komendant Donał Murphy. Miał na sobie mundur, graniastą czapkę naciągnął głęboko na uszy. Za nim kroczył Tony Molloy. Wyjętą z kabury broń trzymał odbezpieczoną. Ten krótki pochód zamykał Frank Clancy. Wyciągał szyję, aby ponad głowami dwóch policjantów zobaczyć, kto siedzi na podium. Nagle kątem oka dostrzegł ruch bocznych drzwi. Stanął na palcach, żeby lepiej widzieć. Krzesło, na którym przed chwilą siedziała Linda Speer, było puste.

Doktor Mayer przyglądał się, jak policjanci zatrzymują się naprzeciwko niego. Popatrzył nerwowo na Regana i wyszarpnął kopertę z wewnętrznej kieszeni marynarki.

- Zatem - podjął niepewnie - chciałbym bez dalszych ceregieli przekazać tę...

- Proszę przestać - przerwał mu Murphy, stając za Reganem.

Czterej policjanci zajęli miejsca za plecami Stone'a Colmana i Dana Marksa. Kardiolodzy rozejrzeli się wokół siebie i zaczęli podnosić się z miejsc, ale silne dłonie usadziły ich z powrotem. Donał Murphy położył rękę na lewym ramieniu Regana. Twarz ministra zdrowia zbladła.

- Johnie Reganie - powiedział głośno i wyraźnie komendant. Kamerzysta stojący tuż pod podium walczył ze sprzętem, żeby zrobić jak najlepsze ujęcie. - Jest pan podejrzany o współudział w morderstwie Jennifer Marks w dniu jedenastego maja. Aresztuję pana. Ma pan prawo zachować milczenie. Cokolwiek pan powie, może zostać wykorzystane przeciwko panu.

Stojący z tyłu Tony Molloy nie mógł powstrzymać uśmiechu. Sala eksplodowała dźwiękami. Kamerzyści i dziennikarze jęli się przepychać do przodu, wrzeszcząc na siebie nawzajem. Krzesła przewracały się z hukiem, ludzie stojący jak słupy soli byli odtrącani na boki. Rozdzwoniły się komórki, kiedy reporterzy usiłowali skontaktować się pilnie z redaktorami wydań.

Personel szpitala Mercy skamieniał z szoku i niedowierzania. Chyba tylko Frank Clancy zachował zdolność trzeźwego myślenia. Pogonił za Lindą Speer i teraz przetrząsał budynek. Kobiety nigdzie jednak nie było. Clancy biegał od drzwi do drzwi, otwierając je na oścież. Wybiegł na zewnątrz i rozejrzał się po parkingu przed budynkiem, potem uważnie zaglądał do każdego stojącego samochodu. Bez skutku. Speer im się wyślizgnęła.

Clancy wrócił do sali. Panowało tam istne pandemonium. John Regan, czerwony na twarzy i pokrzykujący coś, był prowadzony środkiem. Na rękach miał stalowe kajdanki. Dan Marks i Stone Colman szli gęsiego przy ścianie, poprzedzani przez dwóch policjantów i pilnowani z tyłu przez drugą parę funkcjonariuszy. Doktor Hans Otto Mayer wciąż stał na podium. W dłoni trzymał kopertę z dwudziestomilionowym grantem. Na przemian otwierał i



zamykał usta, jednakże nie wydobywał się z nich żaden dźwięk.

Clancy popatrzył na dyrektora administracyjnego szpitala. Mężczyzna siedział oklapnięty na swoim krześle, obejmując rękami głowę i kołysząc się w przód i w tył. Clancy złapał go za klapy marynarki.

- Gdzie jest szpitalna baza danych? - wrzasnął.

Dyrektor spojrzał na niego, jakby urwał się z choinki.

- Pan... pan... pan... ma jutro stawić się w sali zarzą... - jąkał się.

Clancy potrząsnął nim.

- Gdzie, do kurwy, jest szpitalna baza danych? - powtórzył. - A może mam ci to wyrwać z gardła razem z językiem, co?

Dyrektor strachliwie potrząsnął głową.

- N... n... n... nie... nie. W dobudówce obok starego archiwum.

Clancy puścił go jak gorącego ziemniaka.

### **Godzina 19.43**

Szpitalna baza danych mieściła się w dużym pomieszczeniu odgrodzonym od starego archiwum ścianą z cegły i szkła, leżącym na tyłach kompleksu. Prowadziło do niej osobne wejście, stalowe przesuwne drzwi, które otwierały się dopiero po włożeniu karty do czytnika. Górna część ściany była przeszklona, tak że obecność intruza nie mogła ujść niczyjej uwagi. Pokój przez całą dobę oświetlały mocne halogeny punktowe. Na serwerach przechowywano wszystkie informacje wprowadzone do komputera na terenie szpitala Mercy, zarówno medyczne, jak i niemedyczne. Cokolwiek znalazło się

w którymkolwiek pececie, o północy tego samego dnia trafiało do bazy danych. Dodatkowo zawsze była automatycznie robiona kopia na dysku. Dzięki temu nawet jeśli ktoś zmienił wprowadzone raz dane, można było się odwołać do kopii zapasowej. Dyski były zapisywane codziennie dzięki zastosowaniu nowej technologii i przechowywane w starannie zamkniętych kontenerach.

Linda Speer właśnie szukała konkretnego pojemnika. Aby dostać się do środka, użyła skradzionej karty, która przed paroma miesiącami zginęła z pomieszczeń administracji szpitala. Od dawna planowała tę akcję, lecz jak dotąd nie miała okazji wprowadzić jej w życie. Bazy danych strzeżono niezwykle pilnie. Tego dnia jednak prawie wszyscy udali się na konferencję prasową i nawet ochroniarzy było jakby mniej. Opuściła salę w kancelarii premiera w tej samej chwili, kiedy doktor Hans Otto Mayer podniósł się, by wygłosić mowę gratulacyjną. Nie zobaczyła policjantów wkraczających do sali, nie widziała, jak John Regan i jej koledzy z drużyny marzeń są wyprowadzani pod obstawą. Jak zwykle dbała o siebie. Teraz stała w pustym pomieszczeniu i rozglądała się wokół. Stalowe drzwi zasunęły się za nią z cichym szumem. Dla pewności zerknęła za szybę. Nikogo. Żadnego ruchu. Bułka z masłem. Za parę minut wszystkie dowody zostaną zniszczone.

Obejrzała wielką maszynериę. Urządzenia zajmowały całą przestrzeń od podłogi do sufitu, oprócz pomalowanych na czerwono drzwi wejściowych. Kolory oznaczały poszczególne działy: kliniczny, laboratoria, administrację, magazyny. Wybrała segment kliniczny. Gdy weszła do niego, oniemiała. To miejsce nie przypominało w

niczym widoku zapamiętanego z Bostonu. Tam wszystko było jasne, system można było rozgryźć w trzy sekundy. Tutaj natomiast widziała jedynie rzędy identycznych nieopisanych kontenerów, z których dobiegało stłumione buczenie i brzęczenie. Cofnęła się, by przemyśleć sprawę. Jak ja mam je znaleźć?

### **Godzina 19.52**

Frank Clancy zaczepił policjanta na motocyklu.

- Proszę mnie zabrać do szpitala Mercy, tak szybko, jak się da.

Funkcjonariusz byłby go wyśmiał, ale Clancy postarał się o autoryzację u Tony'ego Molloya. Wkrótce pędzili na złamanie karku ulicami Dublina, migając kogutem i wyjąc syreną. Clancy w dalszym ciągu miał na sobie tylko przepocony T-shirt, dzinsy i adidas. Nieomal zamarzył na tylnym siodełku. Kiedy motocykl wyhamował przed drzwiami frontowymi szpitala, Clancy zeskoczył z ulgą na ziemię. Stał przez chwilę i zastanawiał się.

Szpital Mercy nie należał do małych, a Clancy nie zamierzał tracić czasu na błądzenie po korytarzach. Rozglądając się, dostrzegł tabliczkę z napisem archiwum. Rzucił się w tamtą stronę.

### **Godzina 19.58**

Linda Speer odkryła, w jaki sposób się zalogować. Znalazła też pojemnik z kopiami zapasowymi. Udało jej się go otworzyć za pomocą tej samej karty, którą otworzyła sobie drzwi. Gorączkowo

przeglądała dyski w poszukiwaniu dat, które jak wiedziała, niosły zagrażającą informację. Dłonie jej się trzęsły, kiedy jeden po drugim upuszczała nieważne dla niej dane. Zaczęła się pocić.

Wewnątrz pomieszczenia było niesamowicie gorąco. Potężne komputery oddawały mnóstwo ciepła, pomimo wentylacji panowała tam duszna atmosfera, która nie służyła płucom kobiety. Linda Speer rozkaszała się. Tuż potem natrafiła na interesujące ją dane. Pięć dysków opisanych datami, które najbardziej ją martwiły. Pięć dysków, które mogłyby posłużyć za dowód. Pięć dysków, które doprowadziłyby ją do upadku. Wsunęła je do kieszeni zakietu. Kolejny tryumf. Raz jeszcze pobiła system. Pieprz się, Franku Clancy.

Rozerwała opakowanie mentolowych papierosów, czując, że musi zapalić. Rozejrzała się i upewniła, że nie zrobiła bałaganu. Starannie wytarła wszystkie powierzchnie, których dotykała, pozbywając się odcisków palców. Na koniec włożyła kartę do czytnika. Stalowe drzwi rozsunęły się przed nią cicho.

## **Godzina 20.02**

Frank Clancy dobijał się do niewłaściwych drzwi, kiedy od tyłu złapał go wpół ochroniarz, mający chyba praktykę w grze w rugby. Myśląc, że baza danych znajduje się wśród pomieszczeń archiwum, Clancy uderzał barkiem w zamknięte na klucz drzwi i bezskutecznie próbował wyrwać je z zawiasów. Nagle poczuł, że czyjeś ręce odrywają go od ziemi i rzucają na posadzkę.

- Puszczaj, puszczaj - sapał z rozpaczą. - To sytuacja wyjątkowa.

Tymczasem ochroniarz przygwoździł go do podłogi i trzymał w żelaznym uchwycie.

- Jestem lekarzem, puść mnie natychmiast.

Ochroniarz widział tylko odzianego w poplamiony T-shirt i pomięte dzinsy faceta z podejrzaną fryzurą.

- A ja jestem pierdoloną wróżką z księżyca - odwarknął i sięgnął po krótkofalówkę.

Wietrząc swoją szansę, Clancy zamachnął się na oślep zwiniętą w pięść dłońią. Trafił ochroniarza prosto w nos, o czym świadczył chrupot i głośne przekleństwo. Mężczyzna poluzował uchwyt i to wystarczyło, by Clancy mu się wywinął i zaczął uciekać. Usłyszał wycie alarmu w tej samej chwili, kiedy skręcił za róg wiodący do pomieszczenia bazy danych.

## **Godzina 20.05**

Stalowe drzwi stały otworem. Przywoływała ją ciemność korytarza. Linda Speer znalazła to, czego szukała. Zamierzała teraz wyslizgnąć się bocznym wyjściem, złapać taksówkę i pojechać na lotnisko. Jej fałszywe dokumenty i bagaż już tam na nią czekały w przechowalni. Spodziewała się, że za niecałe dwie godziny będzie sącyła szampana w pierwszej klasie. A trochę później zostanie multimilionerką.

Powiodła wokół ostatnim spojrzeniem i dostrzegła dysk leżący na podłodze. Musiała go upuścić w pośpiechu. Mentolowy papieros zwisał spomiędzy jej warg. Podniosła dysk i zastanowiła się, gdzie go schować. Zaraz jednak zdecydowała, że zabierze go ze sobą, zamiast

tracić czas na ponowne otwieranie pojemnika. Nie myśląc wiele więcej, pstryknęła złotą zapalniczką i zaciągnęła się łapczywie pachnącym dymem. W tym samym momencie zapaliła się czerwona lampka nad stalowymi drzwiami i zawyła syrena alarmu przeciwpożarowego. Speer stała w miejscu, jakby jej nogi wrosły w ziemię. Potem cisnęła niepotrzebny jej dysk i rzuciła się do wyjścia. Ledwie dotknęła dłonią ich krawędzi, zasunęły się tuż przed jej nosem. Równocześnie w pomieszczeniu rozległ się syk gazu. Speer rozpaczliwie biła dłońmi o litą stal. Czowała kwaśny smak w ustach, w płucach ją paliło. Zaczęła niekontrolowanie ka-słać. Usiłowała rozsunąć drzwi, lecz metal ani myślał ustąpić. Zatoczyła się; powietrze w płucach zdawało się żywym ogniem.

Przykleiła twarz do szyby obok i wyjrzała na zewnątrz.

- Na pomoc! Na pomoc!...

Syk rozsadzał jej uszy, kolana pod nią zmiękły. Nagle usłyszała stukanie w szybę od zewnętrznej strony. Podniosła wzrok i zobaczyła Franka Clancy'ego, który patrzył prosto na nią. Pociemniało jej przed oczami, teraz już nie kasłała, tylko charczała. Siły ją opuszczały. Clancy walił rękami w oddzielającą ich szybę. Speer przewróciła się na ziemię, nie odrywając spojrzenia od zachęcającej ciemności korytarza. Nawet halogeny zdawały się przygasać. Zamknęła powieki. Kiedy znowu dobiegło ją stukanie w szybę, z wysiłkiem je uniosła. Po raz ostatni popatrzyła w oczy doktorowi Frankowi Clancy'emu. Płakał, wielkie łzy płynęły mu po policzkach. Linda Speer wyciągnęła rękę i dotknęła nią szkła. Przestała widzieć cokolwiek. Jej ręka opadła bezwładnie. Na korytarzu Frank Clancy zwinął się do pozycji

embrionalnej i zanosił szloch. Jeszcze jedna niepotrzebna śmierć.  
Straszna, okropna śmierć. A wszystko przez chciwość.

### Sześć dni później

Tony Molloy oglądał gruszkę. Nacisnął ją lekko, stwierdził, że jest za miękka, i odłożył do misy z owocami. Oderwał gałązkę z kiści zielonych winogron i zaczął wrzucać pojedyncze grona do ust. Siedział w za małym jak na niego krześle w sali numer dwadzieścia sześć w prywatnym skrzydle szpitala Mercy. Pomieszczenie miało przyzwoite rozmiary: piętnaście stóp szerokości i dwadzieścia stóp długości. W rogu stał kolorowy telewizor, po każdej stronie łóżka tkwiła szafka nocna, zamknięte teraz drzwi prowadziły do łazienki do wyłącznej dyspozycji pacjenta. Na łóżku leżał Jim Clarke ubrany w jasną szpitalną piżamę. Pielęgniarka właśnie zmieniała mu opatrunek na kikucie.

Po tym jak trafił na ostry dyżur szpitala Mercy po krwawej łaźni na dolnym poziomie parkingu, był w kiepskim stanie. Podjęto decyzję o amputacji nogi i natychmiast przewieziono go na salę operacyjną. Podczas gdy podawano mu narkozę, w sali naprzeciwko zespół neurochirurgów pracował nad wgniecioną czaszką Mossa Kavanagha. Kij bejsbolowy Goona strzaskał kość ciemieniową wielkoluda, ale na szczęście nie spowodował trwałych obrażeń mózgu. Obaj, i Kavanagh, i Clarke, najgorsze mieli już za sobą i powoli wracali do sił.

Na łóżku Clarke'a piętrzyły się gazety. Irlandzkie, brytyjskie,



europiejskie i amerykańskie wydania. Brukowce i takie, których nie wstyd wziąć do ręki. Clarke przeczytał już większość nagłówków, upadek rządu!... polityczny skandal... rząd Irlandii podaje się do dymisji... Międzynarodowa prasa miała używanie. Brukowce tylko zaogniały atmosferę. SEKS-SKANDAL DOPROWADZA DO UPADKU RZĄDU... MOJE piekielne noce z Johnem Reganem... Wiele młodych dziewcząt wyjawiało swoje przeżycia z Johnem Reganem. minister narkoman zamieszany w skandal obyczajowy. W Dublinie zaroilo się od reporterów chcących wyeksploatować historię do końca. Zawierała wszystko, co ważne dla mediów: chciwość, korupcję, seks i narkotyki. Nagłówki gwarantowały wzrost sprzedaży.

- Mogę zacząć? - zapytał Molloy, kiedy pielęgniarka wreszcie wyszła z sali.

Clarke pomasaował kikut.

- Wiesz co? Cieszę się, że już nie czuję bólu. I żałuję, że nie odjęli mi tej nogi znacznie wcześniej.

Molloy się wyszczerzył.

- Nawet lepiej wyglądasz, Jim - przyznał. - Nie jesteś już taki skwaszony. Musiało cię boleć jak cholera.

Clarke nakrył kikut i przyjął wygodniejszą pozycję.

- No dobra, mów.

Molloy obrał banana ze skórki.

- Po pierwsze, to Linda Speer namówiła drużynę marzeń na przyjazd do Dublina. Najwyraźniej w Bostonie zrobiło się dla niej za gorąco i chciała zmienić scenerię. Wypróbowywała leki na pacjentach w tajemnicy. Ktoś to wyniuchał i doniósł władzom. Obława się

zacieśniała.

- A Marks i Colman? - zapytał Clarke.

- Colman znalazł się w tym przez przypadek. Jest czysty - odparł Molloy. - Marks i Speer nawiązali płomienny romans. - Wypluł końcówkę banana. - Trzymała go za jaja, dosłownie, i nie puszczała. Poza tym wiedziała wszystko o jego kłopotach z Jennifer.

Clarke popatrzył na partnera uważnie.

- O jakich kłopotach?

- Jenny też narozrabiała w Bostonie. Uprawiała seks za narkotyki. Nawet wciągnęła w to trzy koleżanki ze szkoły.

- Jezu... - mruknął Clarke. Odrzucił nakrycie, żeby się ochłodzić.

- No i - kontynuował Molloy, łakomie popatrując teraz na zielone jabłko - Speer poznała Regana na jakiejś konferencji kardiologicznej, zanim został politykiem. Żaliła mu się, jak to nie może przebić szklanego sufitu w Stanach i jest wiecznie pomijana przy awansach. Twierdziła, że wszystko przez to, iż jest kobietą. Takie tam seksistowskie gadki.

- A powód był inny?

- Owszem, całkiem inny. Speer pomijano, ponieważ nikt nie wierzył w wyniki, które przedstawiała. Z tego co mi wiadomo, kombinowała przy badaniach i machlowała, ukazując swoje dokonania w lepszym świetle, niż na to zasługiwały.

Pielęgniarka wróciła do sali i rozmowa policjantów ucichła. Pacjentowi sprawdzono temperaturę, ciśnienie krwi oraz tętno. Molloy przyglądał się bez słowa. Kiedy kobieta wyszła, zamknął za nią dobrze drzwi.

- Nikt nigdy nie mierzy mi ciśnienia - poskarżył się.

- Co trzeba zrobić, żeby mieć taką obsługę jak ty?

Clarke pokazał zęby w uśmiechu.

- Dać sobie uciąć nogę.

Molloy skrzywił się.

- W takim razie chyba spasuję. - Ponownie przerzucił się na winogrona. - No więc - podjął, wypluwając pestki - Regan o tym wiedział i później skontaktował się ze Speer. On chciał zrobić wrażenie na międzynarodowym świątku lekarskim, jej zależało na tym, by dostać się na sam szczyt. Oboje wiedzieli, że to drugie ucieknie się do każdego sposobu, legalnego i nielegalnego, by osiągnąć to, co sobie zamierzeli. Stanowili zgrany zespół. Speer umiała pomanipulować wynikami i zapewnić unijny grant. Regan przymykał oko na jej cichociemne badania kliniczne.

- Gdzie popełnili błąd? - Clarke z bólem serca przyglądał się znikającym owocom.

- Z Jennifer Marks. Tę dziewczynę ciągnęło na ulicę. - Molloy potarł palcem plamkę soku na koszuli. Jego brzuch zdawał się bardziej napięty niż zwykle. Zaczął szukać antacydu. - Jenny wiedziała, że jej ojciec i Speer kombinują ze sobą. Miała na nich oko, przynajmniej według Joan Armstrong. Którejś nocy Jennifer podsłuchiwała awanturę między rodzicami. Annie Marks wyrzucała Danowi uganianie się za Speer. Armstrong twierdzi, że zdaniem Jennifer jej matka była wtedy bardziej pijana niż zwykle. Wypluła z siebie wszystko, co wiedziała, a wiedziała sporo. A Jennifer to podsłuchiwała. Dorobiła sobie klucz do mieszkania Speer, korzystając z kompletu kluczy ojca, i pewnego dnia

zakradła się do gniazdka Lindy. Tam zobaczyła wszystkie te tabletki.

- Na co jej to było? - zdziwił się Clarke. Wciąż było mu gorąco, poprosił więc Molloya, żeby otworzył okno.

- Potrzebowała silnego atutu - wyjaśnił Molloy, siłując się z klamką. W końcu udało mu się ją pokonać i do sali wdarł się szum ruchu ulicznego. - Jennifer chciała narkotyków. Dość wcześnie dowiedziała się o sekrecie Regana, o tym, że lubił młode dziewczęta i płacił im za pojawienie się w jego domu. Chcę przez to powiedzieć, że właściwie wszyscy o tym wiedzieli, tylko że Regan zdawał się taki mocny i ważny, że nikt nie śmiał pisnąć choćby słówka.

Clarke potrząsnął głową.

- I pomyśleć, że ten drań miał czelność mi grozić.

- Zapomnij o tym, Jim - poradził mu Molloy. Zaczął ssać antacyd. - Niedługo stąd wyjdiesz. A Regan trafi do pudła. Przegrał na całej linii.

- W jaki sposób Jennifer Marks rozwścieczyła Regana?

- Próbowała go szantażować - odpowiedział Molloy.

- Zabrała z mieszkania Speer garść tabletek wykorzystywanych w szpitalu i wysyłała do niego po jednej. Anonimowo. Przez trzy dni. Czwartego dnia posłała mu liścik, w którym napisała, że chce równy milion za milczenie. Gotówką.

- Skąd to wszystko wiesz? - zdumiał się Clarke. Imponowała mu drobiazgowa wiedza partnera.

- Głównie od Joan Armstrong. Pracowały w tandemie. Obie były uzależnione od heroiny, poważnie uzależnione. Obie zarabiały na narkotyk w jedyny dostępny im sposób. Sprzedając swoje ciała. Obie

chciały regularnych i pewnych dostaw minimalnym kosztem.

- Zrobiły się pazerne? - podsunął Clarke.

- I nierozważne.

- Tamtej nocy w parku Sandymount... co tam się naprawdę stało? - Clarke rozpiął górę od pizamy, żeby schłodzić rozgrzane ciało.

- Regan miał takiego tępaka na posyłki. Nazywał go Goon. To ten sam facet, który o mało nie zepsuł mu kampanii wyborczej przez swoją porywczosć.

Clarke pochylił się do przodu.

- Tak, pamiętam coś o nim...

- To on - dodał Molloy. Rozpiął jeden guzik koszuli, żeby zmniejszyć nacisk na brzuch. - Regan wysłał Goona do pubu Balfe's po Jennifer Marks. Tylko że Jennifer już zdążyła się naćpać i lewitowała z tym nożownikiem Kellym. Według Joan Armstrong Jenny kazała Goonowi spadać. Do rozmowy włączyła się ta ofiara, Micko Kelly.

- Niebezpieczny scenariusz - podsumował Clarke.

- Niebezpieczny jak cholera - zgodził się Molloy.

- Regan i jego przydupas poszli do parku za Jennifer i Kellym. Regan próbował przemówić jej do rozsądku, otworzyć jej oczy. Zaczęła się z nim kłócić. Kelly wyszedł na zewnątrz zobaczyć, co się dzieje...

- I rozpętało się piekło - wpadł mu w słowo Clarke. Leżał na poduszkach, wyczerpany. Molloy wyczuł, że partner ma dość, i zaczął się zbierać do wyjścia. - Ponoć wiedziałeś, że to Regan, jeszcze przed tym, zanim poszedłeś do jego domu. Skąd?

Molloy z powrotem usiadł. Wisiał na brzeżku krzesła.

- Włókna pobrane na miejscu zbrodni. To był moher. Micko Kelly pamiętał tylko jedno imię z tamtej nocy. Mo.

- Spojrzał na Clarke'a. - Kojarzysz?

Clarke pokręcił głową.

- Mo. Moher. Mo. John Regan. Wszyscy mówią na niego Mo Regan. Nasz farbowany socjalista. Nosi wyłącznie moherowe swetry i najlepsze garnitury. To włókna z jego stroju zaczepiły o gałązki w parku Sandymount tamtej nocy.

- A to skurwiel - mruknął Clarke. - Chory skurwiel. Molloy znowu wstał.

- Wpadnę jutro. Rozmawiałem z Maeve i Katy. Wkroczą na wojenną ścieżkę, jeśli nie złożysz rezygnacji, a ja nie zamierzam stawać im na linii ognia.

Clarke uśmiechnął się. Zjechał niżej na poduszce i ułożył się wygodniej.

- Zanim pójdziesz... - Molloy zdążył już uchylić drzwi - powiedz mi, kim jest ten cały Frank Clancy, o którym tyle piszą w gazetach. I co się właściwie przytrafiło Speer w szpitalnej bazie danych?

Molloy pokazał zęby w uśmiechu.

- Temu Clancy'emu należy się medal. Prowadził własne dochodzenie w szpitalu. A teraz cały kraj wychwala go, jakby był bohaterem wojennym. Dziennikarze uganiają się za nim i proszą o wywiady. - Dopiął guzik w pasie. - Speer miała drobną sprzeczkę z nowoczesnym systemem przeciwpożarowym zainstalowanym w pomieszczeniu szpitalnej bazy danych. Jak się okazało, system jest

niezwykłe czuły na wysoką temperaturę i dym. Zapaliła papierosa, alarm się włączył, drzwi się zatrzasnęły i do pomieszczenia automatycznie wtłoczono neon. - Zauważył zdziwioną minę Clarke'a.

- Jeden z gazów szlachetnych. W okamgnieniu wysysa tlen i gasi każdy pożar. Zgasił też Lindę Speer.

Clarke skrzywił się, potem poprawił poduszkę pod głową.

- Gdzie teraz jest bohaterski Clancy?

Molloy potarł skrzydełko nosa.

- To ściśle tajna wiadomość - poinformował szeptem, wychodząc. - W Disneylandzie.

## EPILOG

John Regan został oskarżony o szereg przestępstw, w tym morderstwo, handel narkotykami i oszustwa. Obecnie odsiadyuje dwudziestoletni wyrok. W ciągu godziny od jego aresztowania i nagiej śmierci Lindy Speer zawieszono obrót akcjami Cynx Pharmaceuticals na nowojorskiej giełdzie, po czym detektywi wkroczyli do siedziby spółki.

Jim Clarke odszedł z policji z powodu złego stanu zdrowia. Obecnie pracuje na stanowisku doradcy do spraw ochrony w największej międzynarodowej firmie farmaceutycznej z siedzibą w Irlandii. Porusza się o lasce i całkiem sprawnie posługuje protezą nogi.

Moss Kavanagh odzyskał przytomność i pełną sprawność po ciężkim urazie głowy i obecnie jest zatrudniony w komendzie policji.

Tony Molloy został awansowany na komisarza i nadal pracuje w wydziale przestępczości zorganizowanej.

Doktor Frank Clancy powrócił z Florydy do Irlandii, gdzie został powitany jako bohater narodowy. Był podejmowany przez zarząd szpitala Mercy, który jednogłośnie zaoferował mu znaczące nakłady mające pomóc w otwarciu własnego oddziału. Otrzymał także propozycję zasiadania w radzie nadzorczej. Dla takiego młodego lekarza byłby to istotny krok w karierze medycznej. Jednakże Frank Clancy grzecznie podziękował za obie oferty, nie potrzebując ani chwili do namysłu. Przed wszystkim czuł się bowiem lekarzem.



Kochał swoją pracę, zależało mu na pacjentach. Nie zamierzał dać się zepchnąć na boczny tor bez względu na to, jak atrakcyjny mógłby się wydawać. Nadal pracuje na istniejącym oddziale w szpitalu Mercy, lecz co dzień wraca do domu nie później niż o siódmej wieczorem. Jego żona Anna spodziewa się ich trzeciego dziecka. Martin i Laura są tym faktem zachwyceni.

Dan i Annie Marks powrócili do Bostonu. On pracuje w prywatnej klinice, zarzucając poprzednie obowiązki i badania medyczne. Wystąpił o rozwód.

Doktor Stone Colman został całkowicie oczyszczony z zarzutów w trakcie śledztwa prowadzonego w związku ze sprawą drużyny marzeń. Pozostał w Irlandii, gdzie wciąż zajmuje to samo stanowisko w szpitalu Mercy.

Patrick Dillon zwolnił Michaela Leo Kelly'ego z pilnie strzeżonego oddziału zamkniętego szpitala Rockdale w początkach lipca, przenosząc go na zwykły oddział z zachowaniem szczególnych środków bezpieczeństwa. Trzydziestego lipca Kelly'emu postawiono oficjalnie zarzut morderstwa Jennifer Marks. Dillon zaświadczył, że oskarżony może odpowiadać przed sądem. Trzy dni przed pierwszą rozprawą Micko Kelly zmoczył łóżko w swojej celi i podarł prześcieradła na cienkie pasy. Oczekał, aż strażnicy zrobią nocny obchód i wyłączą światła.

W dniu trzydziestego pierwszego sierpnia o godzinie dwudziestej trzeciej trzydzieści siedem został znaleziony z zadzierzgniętą na szyi pętlą z płótna przywiązaną do krat okiennych. Trzy minuty przed północą dyżurny lekarz stwierdził jego zgon. Celę po nim już

nazajutrz zajął siedemnastolatek zatrzymany na dublińskim lotnisku za posiadanie kilograma heroiny.

Świat kręcił się dalej.